

NAGRODA **COSTA** DLA KSIĄŻKI ROKU!

# Andrew Miller

OCZYSZCZENIE



**znak** *litera  
nova*

ANDREW MILLER

# Oczyszczenie

tłumaczenie  
Michał Kłobukowski

*Pamięci mojego ojca, doktora Keitha Millera,  
oraz moich przyjaciół, Patricka Warrena  
i George'a Lachlana Browna*

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

## **Pierwsza**

1 2 3 4 5 6 7 8  
9 10 11 12 13

## **Druga**

1 2 3 4 5 6 7 8  
9 10 11 12 13

## **Trzecia**

1 2 3 4 5 6 7 8 9  
10 11 12 13 14 15

## **Czwarta**

1 2 3

Od autora

Przypisy

## *Pierwsza*

„Nadejdzie czas, kiedy słońce będzie świeciło tylko dla ludzi wolnych, którzy nie mają innego mistrza poza rozumem”<sup>[1]</sup>.  
markiz de Condorcet

# 1

Młody mężczyzna – młody, ale nie młodzieniaszek – siedzi w którymś z przedpokojów w jednym ze skrzydeł pałacu wersalskiego. Czeki. Już od dawna tak czeka.

W przedpokoju nie płonie ogień, chociaż jest trzeci tydzień października, zimno jak w Matki Boskiej Gromnicznej. Od chłodu sztywnieją mu nogi i plecy, od chłodu i dlatego, że trzy dni jechał w taki ziąb, najpierw z kuzynem André z Bellême do Nogent, a później dyliżansem, wciśnięty między ludzi czerwonych na twarzach, ubranych w zimowe płaszcze, z koszami na kolanach, z paczkami pod stopami. Niektórzy zabrali w podróż psy, a jeden starzec pod połą płaszcza trzymał kogutka. Trzydzieści godzin do Paryża i na rue aux Ours, gdzie wreszcie zleźli na bruk i końskie łajno, a potem, nieco jakby chwiejąc się na nogach, szwendali się przed poczthalterią. A dziś rano przyjechał, przenocowawszy przy rue... jakżeż ona się nazywa?... wyruszył skoro świt na wynajętej szkapie, żeby zdążyć w porę do Wersalu, i oto jest, w tym dniu, może najważniejszym w życiu, a może całkiem nieważnym.

Nie jest sam w przedpokoju. Naprzeciw niego w wąskim fotelu siedzi mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w zapiętym aż pod brodę surducie, z zamkniętymi oczami, ze złożonymi na podbrzuszu dłońmi, z których jedną zdobi duży, prastary pierścień. Nieznajomy co pewien czas wzdycha, ale poza tym milczy jak głaz.

Za tym śpiochem i po jego bokach są lustra, sięgające od parkietu aż po osnutą pajęczynami sztukaterię sufitu. W pałacu wręcz roi się od luster. Jego mieszkańcy muszą dzień w dzień po stokroć spotykać samych siebie, a każdy korytarz budzi w nich próżność i zwątpienie zarazem. Zwierciadła, które młody mężczyzna ma przed sobą, powleczone mgiełką kurzu (czyjś palec od niechcenia naszkicował spęczniałe przyrodzenie, a obok kwiat podobny do róży), pałają zielonkawą poświatą, jakby cała budowla tkwiła pod wodą, w topieli. Częścią tego wraku jest odziana w brąz postać petenta i jego twarz, nie dość wyraźnie odbita w plamistym lustrze, aby dało się ją opisać czy choćby dokładnie obejrzeć. Błady owal wieńczący ciało zgięte wpół, ciało w brązowym ubraniu, podarunku od ojca, skrojonym przez krawca Gontaut, o którym powiadają, że to najlepszy krawiec w Bellême, chociaż po prawdzie nie ma tam innych krawców, bo w takich miasteczkach jak Bellême dobre ubranie dziedziczy się razem z innymi cennymi przedmiotami, z mosiężnym termoforem, z pługiem i broną, siodłem i uzdą. Surdut jest przyciasny w ramionach, trochę za obszerny u dołu i ma nieco za grube mankiety, ale całość została rzetelnie uszyta i jak na ten fason wygląda bez zarzutu.

Potent ścisną dłońmi uda, ugniata kości kolan, a potem sięga ręką w dół, żeby zetrzeć coś z pończochy na wysokości lewej kostki. Starał się nie ubrudzić pończoch, ale wyszedł po ciemku i chodził nieznanymi ulicami przed zapaleniem latarń, więc nie wiadomo, w co wdepnął. Zeskrobuje plamę bokiem kciuka. Błoto? Oby. Mógłby powąchać kciuk, ale woli nie.

Wchodzi jakiś piesek, stukając pazurkami w podłogę. Przelotnie spogląda na młodego człowieka dużymi, mętnymi ślepiami, a potem podchodzi do wazonu, a raczej wysokiej, pozłacanej amfory, wystawionej czy też zapomnianej wśród lusterek w kącie przedpokoju. Obwąchuje ją i zadziera łapę. Jakiś głos – niemłody, kobiecy – grucha do niego z korytarza. Za otwartymi drzwiami przemyka czyjś cień, a jedwabne spódnice muskają podłogę z poszumem raptownego deszczu. Piesek spieszy za kobietą, a jego mocz spływa zygzakami z wazonu ku obcasom skrzyżowanych butów śpiącego mężczyzny. Młodszy przygląda się strużce, która wędruje po nierównym parkiecie, bo nawet psie szczyny podlegają niezmiennym prawom fizyki...

Wciąż jeszcze je obserwuje (w tym dniu, może najważniejszym w życiu, a może całkiem nieważnym), gdy drzwi gabinetu ministra otwierają się z trzaskiem, jaki towarzyszy łamaniu pieczęci na drzwiach domu dotkniętego zarazą. Jakaś postać – służący czy sekretarz, kanciastej budowy, żółtooki – daje mu znak lekkim uniesieniem podbródka. Młody petent wstaje. Starszy otworzył tymczasem oczy. Nie odezwali się do siebie ani słowem, nie znają nawzajem swoich nazwisk – ot, w zimny październikowy ranek spędzili razem trzy godziny. Starszy się uśmiecha. Jest to najbardziej zrezygnowany, najelegantszy wyraz twarzy na świecie; uśmiech, który pojawia się jak kwiat przeogromnej, bezużytecznej uczoności. Młodszy kiwa mu głową i szybko wślizguje się przez uchylone drzwi do gabinetu, bojąc się, że znów zamkną się przed nim, nagle i na zawsze.

– Od Świętego Augustyna – mówi minister, trzymając dwoma palcami napoczęte ciasteczko – dowiadujemy się, że głównym celem hołdów składanych umarłym było niesienie pociechy żywym. Tylko modlitwa odnosiła jakikolwiek skutek. To, gdzie chowano trupa, nie miało znaczenia.

Minister znów skupia się na ciasteczku, macza je w szklance białego wina i ssie. Parę okruchów spada na spiętrzone na ogromnym biurku papiery. Stojący za krzesłem swojego pana sługa patrzy na okruchy z czymś w rodzaju profesjonalnego smutku, ale nie próbuje ich usunąć.

– Był Afrykaninem – ciągnie minister. – Święty Augustyn. Musiał widywać lwy, słonie. Widziałeś kiedy słonia?

– Nie, jaśnie panie.

– Jest tu jeden. Gdzieś tu jest. Wielki melancholijny zwierz, burgundem karmiony. Dar od króla Syjamu. Kiedy go tu przywieziono za czasów dziadka Najjaśniejszego Pana, wszystkie pałacowe psy na miesiąc się pochowały. Potem przywykły do słonia, zaczęły go obszczekiwać i zaczepiać. Gdyby go nie ukryto, może by go zagryzły. W pięćdziesiąt mogłyby dać mu radę. – Minister przelotnie spogląda ponad biurkiem na młodego człowieka, milknąc na chwilę, jakby słon i psy także były figurami z jakiejś przypowieści. – Na czym to ja stanąłem? – pyta.

– Święty Augustyn? – podsuwa młody.

Minister kiwa głową.

– To średniowieczny Kościół wprowadził zwyczaj chowania zmarłych w krypcie, oczywiście po to, żeby być blisko relikwii świętych. Kiedy krypta się zappełniała, chowano ich w ziemi wokół murów. Honoriusz z Autun nazywa cmentarz świętą sypialnią, łonem Kościoła, Ecclesiae gremium. Jak myślisz, kiedy zyskali nad nami przewagę liczebną?

– Kto, jaśnie panie?

– Umarli.

– Nie wiem, jaśnie panie.

– Chyba wcześniej. Wcześniej.

Minister dojada ciastko. Sługa podaje mu chustkę. Dygnitarz wyciera palce, wkłada okrągłe okulary, sięga po kartkę leżącą na stosie papierów, który ma przed sobą, i zaczyna czytać. W gabinecie jest cieplej niż w przedpokoju, ale tylko troszkę. Mały ogieniek trzaska, a niekiedy wypuszcza na pokój smugę dymu. Biurko jest jednym z nielicznych sprzętów. Na ścianie wisi portrecik króla. I drugi obraz, który chyba przedstawia ostatnie chwile polowania na dziki. Stoi też stół, a na nim karafka i szklanki. Przy kominku masywny porcelanowy nocnik. Pod oknem oparty parasol z natłuszczonego jedwabiu. Przez okno widać tylko zmierzwiony szary brzuch nieba.



- Lestingois – mówi minister, czytając z kartki. – Jesteś Jean-Marie Lestingois.
- Nie, jaśnie panie.
- Nie? – Minister spogląda na stos papierów i wyciąga drugą kartkę. – Zatem Baratte. Jean-Baptiste Baratte?
- Tak, jaśnie panie.
- To stary ród?
- Rodzina mojego ojca mieszka w mieście, czyli w Bellême, od kilku pokoleń.
- A twój ojciec jest rękawicznikiem.
- Mistrzem w swoim fachu, jaśnie panie. I mamy kawałek ziemi. Nieco ponad cztery hektary.
- Cztery? – minister pozwala sobie na uśmiech. Jedwab na jego ramionach pobieliała szczypta pudru z peruki.
- „Gdyby trochę przedłużyć mu twarz ku przodowi – myśli Jean-Baptiste – zakończyłaby się krawędzią jak ostrze topora”.
- Le Comte de S. twierdzi, że jesteś pracowity, sumienny i obyczajny. I że twoja matka jest protestantką.
- Tylko matka, jaśnie panie. Ojciec...
- Minister ucisza go machnięciem ręki.
- Nikogo nie ciekawi, jak modlą się twoi rodzice. Nie ubiegasz się o stanowisko nadwornego kapelana. – Dygnitarz znów spogląda na kartkę. – Uczyłeś się u braci oratorianów w Nogent, a potem dzięki hojności księcia wstąpiłeś do Ecole Royale des Ponts et Chaussées.
- Tak, jaśnie panie, z czasem. Miałem zaszczyt być uczniem maître Perroneta.
- Czyim?
- Wielkiego Perroneta, jaśnie panie.
- Znasz geometrię, algebrę. Mechanikę płynów. Piszą tu, że zbudowałeś most.
- Zaledwie mostek, jaśnie panie, w posiadłości księcia.
- Taką sobie ozdóbkę?
- W istocie... Był poniekąd ozdobą, jaśnie panie.
- Otarłeś się też o pracę w kopalni?
- Prawie dwa lata spędziłem w kopalniach koło Valenciennes. Książę ma w nich udziały.
- Tak jak w wielu rzeczach, Baratte. Bez udziałów nie da się obwiesić żony diamentami.
- Być może minister zażartował i należałoby mu odpowiedzieć dowcipnie, acz z uszanowaniem, ale Jean-Baptiste nie myśli o księżnej i jej klejnotach ani o kochance księcia i jej biżuterii, tylko o górnikach z Valenciennes. O tym szczególnym rodzaju biedy, której pod tamtejszymi całunami dymu żaden urok przyrody nie daje wytchnienia.
- W twojej karierze książę też ma pewien udział, nieprawdaż?
- Tak, jaśnie panie.
- Twój ojciec szył księciu rękawiczki?

– Tak, jaśnie panie.  
– Może i ja je u niego obstaluję.  
– Ojciec nie żyje, jaśnie panie.  
– Ach, tak?  
– Od kilku lat.  
– Na co umarł?  
– Na jakąś wolno postępującą chorobę.  
– Z pewnością chcesz uczcić jego pamięć.  
– Chciałbym, jaśnie panie.  
– Jesteś gotów służyć?  
– Tak.  
– Mam coś dla ciebie, Baratte. Przedsięwzięcie, dzięki któremu, jeżeli nim pokierujesz z niezbędnym polotem, a także dyskrecją, twoja kariera rozwinie się bez przeszkód. Wyrobisz sobie nazwisko.  
– Jestem jaśnie panu wdzięczny za zaufanie.  
– Na razie nie mówmy o zaufaniu. Znasz cmentarz Niewiniątek?  
– Cmentarz?  
– Ten koło targowiska les Halles.  
– Słyszałem o nim, jaśnie panie.  
– Połyka trupy paryżan od tak dawna, że już nikt nie pamięta, kiedy to się zaczęło. Od tych pradawnych czasów, gdy niemal całe miasto mieściło się na wyspach. Musiał pewnie być wtedy jeszcze całkiem znośny. Spłacheć ziemi, a wokoło prawie nic. Ale miasto rosło. Otaczało cmentarz. Zbudowano kościół. I mur dookoła cmentarza. A za murem domy, sklepy, oberże. Całe życie. Cmentarz z czasem zdobył sławę, wręcz zasłynął, stał się celem pielgrzymek. Kościół, macierz nasza, zbił majątek na opłatach za pogrzeby. Tyle a tyle za miejsce w krypcie. Trochę mniej za pochówek w zewnętrznych podsieniach. W dołach oczywiście chowano za darmo. Nie można przecie żądać od człowieka opłaty za to, że jego szczątki legną jak plaster boczku na stosie cudzych. Ponoć w czasie raptem jednego wybuchu zarazy w niespełna miesiąc pochowano na Niewiniątkach pięćdziesiąt tysięcy trupów. I tak to dalej szło, trup na trupie, a furgony grabarzy czekały w kolejce na rue Saint-Denis. Zmarłych chowano nawet nocą, przy świetle pochodni. Trupa na trupie. Niezliczone mnóstwo. Całe legiony upchnięto na spłachetku nie większym niż pole ziemniaków. Ale najwidoczniej nikomu to nie wadziło. Nikt się nie sprzeciwiał, nie okazywał wstrętu. Może nawet uważano, że to rzecz zwyczajna. A potem, mniej więcej jedno pokolenie temu, zaczęto do nas zgłaszać skargi. Niektórym mieszkańcom domów stojących blisko cmentarza przestało odpowiadać jego sąsiedztwo. Psuło się jedzenie. Świece gasły, jakby knot ścisnęły niewidzialne palce. Ludziom schodzącym rano z piętra na parter kręciło się w głowach. Zdarzały się też występkę przeciwko moralności, zwłaszcza wśród młodych. Młodzież płci obojga, przedtem nienagannie się prowadząca. Powołano komisję gwoli zbadania sprawy. Wielu znawców przedmiotu napisało o tym wiele słów. Poczyniono zalecenia, nakreślono plany

nowych, higienicznych cmentarzy, które miały tak jak niegdyś leżeć poza granicami miasta. Ale zaleceń nie posłuchano, a plany zwinięto i odłożono na półkę. Zmarłych wciąż przywożono pod bramę Niewiniątek. Jakoś się mieścili. I tak działałoby się do dziś, Baratte. Nie mamy powodu w to wątpić. Działoby się tak aż do sądu ostatecznego, gdyby wiosną przed pięcioma laty nie spadły wyjątkowo ulewne deszcze. Podziemny mur odgradzający cmentarz od piwnic domu na jednej z dookólnych ulic nagle się zawalił. Do piwnicy runęła zawartość zbiorowej mogiły. Zapewne sobie wyobrażasz, jak zaniepokoiło to ludzi mieszkających nad ową piwnicą, a także ich bliższych i dalszych sąsiadów – słowem, wszystkich, którzy kładąc się wieczorem do łóżek, musieli myśleć o tym, że cmentarz niczym żarłoczne morze napiera na ściany ich domów. Nie potrafił już utrzymać w ryzach swych umarłych. Mogło się zdarzyć, że ktoś pochowa na nim rodzzonego ojca, a po niecałym miesiącu nie będzie wiadomo, gdzie jest ciało. Sam król był wzburzony. Wydano rozkaz zamknięcia Niewiniątek. Kościoła i cmentarza. Kazano je niezwłocznie zamknąć, na klucz. Do dziś są więc zamknięte, chociaż Jego Eminencja biskup złożył w tej sprawie petycję. Zamknięte, puste, milczące. I co ty na to?

– Na co, jaśnie panie?

– Czy takie miejsce można po prostu zostawić własnemu losowi?

– Trudno powiedzieć, jaśnie panie. Chyba nie.

– Ono cuchnie.

– Tak, jaśnie panie.

– W niektóre dni wydaje mi się, że ten odór zalatuje aż tutaj.

– Tak, jaśnie panie.

– Zatrzuwa miasto. Jeżeli zbyt długo pozostaniemy beczynni, może zatruć nie tylko miejscowych sklepikarzy, ale i samego króla. Króla i jego ministrów.

– Tak, jaśnie panie.

– Należy je usunąć.

– Usunąć?

– Zniszczyć. Kościół i cmentarz. A opróżnionemu miejscu przywrócić dawny urok. Użyj ognia, użyj siarki. Wszystkiego, co będzie potrzebne, żeby oczyścić plac.

– A... lokatorzy, jaśnie panie?

– Jacy lokatorzy?

– Umarli?

– Wyprzątnij ich. Co do ostatniego paliczka. Do tej pracy potrzeba człowieka, którego nie zrażą drobne przykrości. Kogoś, kogo nie onieśmieli ujadanie klechów. Kto nie ulega przesądom.

– Przesądom, jaśnie panie?

– Chyba nie sądzisz, że takie miejsce jak cmentarz Niewiniątek nie ma własnych legend? Mówi się nawet, że w kostnicach mieszka jakiś stwór, splodzony przez wilka pewnego dnia, a raczej pewnej nocy, w czasach gdy wilki jeszcze przychodziły zimą do miasta. Bałbyś się takiego stworzenia, Baratte?

– Tylko gdybym w nie wierzył, jaśnie panie.

– Sceptyk z ciebie, bez dwóch zdań. Uczeń Woltera. Rozumiem, że jego nauki mają szczególny powab dla młodzieńców twego stanu.

– Jestem... Oczywiście słyszałem...

– Tak, oczywiście. Tutaj też ma on czytelników. Liczniejszych, niż mógłbyś przypuszczać. Jeśli idzie o dowcip, jesteśmy szczerymi demokratami. A ktoś, kto miał tyle pieniędzy co Wolter, nie mógł być całkiem zły.

– Nie, jaśnie panie.

– A zatem nie wzdrygasz się w obliczu cieni?

– Nie, jaśnie panie.

– Czeka cię delikatna, a zarazem ohydna praca. Będziesz miał poparcie tego urzędu. Dostaniesz pieniądze. Masz mi się opowiadać za pośrednictwem mojego agenta. Oto monsieur Lafosse.

Minister rzuca spojrzenie ponad ramieniem Jean-Baptiste'a. Ten odwraca się. Na taborecie za drzwiami siedzi jakiś człowiek. Jean-Baptiste ma zaledwie dość czasu, żeby dostrzec smukłe białe palce, długie kończyny obleczone czarną tkaniną. No i oczy, rzecz jasna. Dwa czarne gwoździe wbite w czaszkę.

– Będziesz mówił mu o wszystkim. Ma w Paryżu biuro. Będzie wizytował twój plac robót.

– Tak jest, jaśnie panie.

– Charakter swej pracy postarasz się jak najdłużej utrzymać w tajemnicy. Ludzie są nieobliczalni w swych uczuciach. Nawet takie miejsce jak cmentarz Niewiniątek może być im drogie.

– Kiedy mam zacząć, jaśnie panie?

Ale minister raptem ogłuchł. Przestał się nim interesować. Przewraca kartki, sięgając po szklaneczkę, a sługa obchodzi biurko i wkłada ją swojemu panu między rozcapierzone palce.

Lafosse wstaje z taboretu. Z czeluści płaszcza wyciąga złożony w kilkoro i zapieczętowany arkusz papieru, a potem sakiewkę. Wręcza je Jean-Baptiste'owi. Ten kłania mu się, składa nieco głębszy ukłon ministrowi, cofa się do drzwi, odwraca i wychodzi. Człowiek, który czekał z nim razem w przedpokoju, tymczasem znikł. Czy to także inżynier? Jean-Marie Lestingois, o którym wspomniał minister? A gdyby żółtooki sługa spojrział najpierw na niego, czy to jemu powierzono by zniszczenie cmentarza?

Podnosi swój jeździecki płaszcz z krzesła, na którym go powiesił. Psi mocz stracił tymczasem impet i z wolna wsiąka w parkiet.

Przemierza kilka korytarzy i wreszcie całe skrzydło, przekonany, że wraca po własnych śladach. Mija okna – dość duże, aby dało się nimi wjechać konno, a może nawet na słońcu. Schodzi po kręconych schodach, przy których drżą w jesiennych przeciągach olbrzymie arraszy ze scenami alegorycznymi. Ich powstanie z pewnością przypłaciły ślepotą dziesiątki kobiet, ściboląc z dokładnością co do ściegu każdy szczegół, kwiaty u podnóża Parnasu, francuskie kwiaty polne – maki, chabry, ostróżki, rumianki...

Pałac jest grą, ale jemu odechciewa się w nią grać. W jednych korytarzach panuje wieczorny mrok, w innych świece w rozgałęzionych kandelabrach płoną, kapiąc woskiem. Napotyka tam przepychające się gromadki sług, lecz gdy ich pyta o drogę, ignorują go albo wskazują cztery kierunki naraz. Jeden woła za nim:

– Kieruj się węchem!

Lecz jemu własny węch mówi tylko, że łąno możliwych tego świata niewiele różni się od łąna biedaków.

Wszędzie, we wszystkich korytarzach, są drzwi. Czy powinien w któreś wejść? Czy to właśnie byłby sposób, żeby się wydostać z pałacu wersalskiego? Ale drzwi w takich budowlach tak jak wszystko podlegają prawom etykiety. Do jednych się puka; w inne trzeba skrobnąć paznokciem. Kuzyn André wytłumaczył mu to, gdy jechali konno do Nogent. Uprawia zawód prawnika i choć jest o trzy lata młodszy, posiadał już tę światową przebiegłość, godną pozazdroszczenia znajomość rzeczy.

Staje przed drzwiami, które nie wiedzieć czemu wydają mu się bardziej obiecujące od sąsiednich. I czy nie czuje płynącej spod nich strużki chłodnego powietrza? Szuka na drewnianej powierzchni śladów zadrapań, a nie znalazłszy ich, delikatnie puka. Nikt nie odpowiada. Obraca gałkę i wchodzi. Przy okrągłym stoliku dwaj mężczyźni grają w karty. Mają duże niebieskie oczy i srebrzyste szaty. Mówią mu, że są Polakami, przebywają w pałacu już kilka miesięcy i prawie zdążyli zapomnieć, po co w ogóle przyjechali.

– Znasz waśc madame de M.? – pyta jeden.

– Niestety, nie.

Wzdychają, odwracając po jednej karcie. W głębi pokoju dwa koty wypróbują pazury na jedwabnym obiciu kanapy. Jean-Baptiste kłania się i uprzejmie żegna. A czy nie zagrałby z nimi partyjki? Przy pikiecie czas mija jak z bicza strzelił. Jean-Baptiste wyjaśnia, że szuka wyjścia.

Wyjścia? Tamci spoglądają na niego i wybuchają śmiechem.

Znalazłszy się z powrotem w korytarzu, przystaje, żeby przyjrzeć się kobiecie o wysoko upiętych fioletowych włosach, którą w pozycji poziomej przenoszą przez drzwi. Kobieta odwraca głowę i patrzy na niego czarnymi oczami. Takiej jak ona nie pyta się o drogę. Wąską kamienną śrubą schodów dla służby Jean-Baptiste schodzi piętro niżej.

Siedzą tam rozparci na ławach żołnierze, a chłopcy w niebieskich liberiach drzemią, skuleni na stołach, pod stołami, na wyściełanych parapetach – gdzie tylko znajdują miejsce. Z przeciwka nadbiega tuzin dziewcząt. Biegną niemal na oślep, bo taszczą przed sobą tobołki brudnej pościeli. Nie chcąc dać się stratować, Jean-Baptiste (bez pukania ani skrobania) otwiera najbliższe drzwi i wchodzi do rozległego pomieszczenia, gdzie w donicach z terakoty stoi pewnie ze sto drzewek. Chociaż jest mieszkańcem Północy, rdzennym hiperborejczykiem, z czasów służby u księcia S. wyniósł wiedzę, że są to drzewka cytrynowe. Dla ochrony przed nadchodzącą zimą opatulono je słomą i jutą. Wonne powietrze ma łagodny odcień zieleni, a skośne smugi światła wpadają przez rzędy łukowych okien. Jean-Baptiste siłą otwiera jedno z nich, wyłazi na beczkę z deszczówką i zeskakuje w zewnętrzny świat.

Za jego plecami w pałacu niezliczone zegary wyśpiewują godzinę. Sięga po zegarek. Jest on, tak jak i ubranie, darem, lecz nie dał mu go ojciec, tylko maître Perronet z okazji ukończenia studiów. Na wieczku namalowano wszechwidzące masonskie oko, chociaż Jean-Baptiste nie należy do masonów i nie wie, czy sam maître Perronet do nich się zalicza. Gdy wskazówki dosięgają godziny drugiej, zegarek lekko wibruje mu w dłoni. Jean-Baptiste chowa go do kieszeni, zatrzasnąwszy wieczko.

Ciągnie się przed nim ścieżka wysypana jasnym żwirem, biegnąca szpalerem przystrzyżonego żywopłotu, tak wysokim, że nie da się zajrzeć górą na drugą stronę. Nie widząc wyboru, Jean-Baptiste rusza nią naprzód. Mija fontannę bez wody, pełną już jesiennych liści. Jest mu zimno i nagle czuje zmęczenie. Wkłada jeździecki płaszcz. Ścieżka się rozwidla. Którędy pójść? Na rozstajach stoi altanka, w niej półkolista ławka, a nad ławką kamienny omszały kupidyn, mierzący z łuku do tego, kto pod nim usiądzie. Jean-Baptiste siada. Rozpieczętowuje pismo od Lafosse'a. W środku jest adres domu, w którym ma zamieszkać. Otwiera sakiewkę i wysypuje na dłoń kilka ciężkich monet. Sto liwrów? Może trochę więcej. Przyjmuje je z radością, wręcz z ulgą, bo od miesiący żył ze skromnych oszczędności i zadłużył się u matki, a także u kuzyna André. Widzi jednak, że w zamiśle ofiarodawcy suma ta bynajmniej nie ma mu pochlebić. Dokładnie ją wyliczono. Akurat tyle wart jest ten, kim właśnie został: najęty przedsiębiorca, najemnik na państwowym wikcie, niszczyiciel cmentarzy...

Cmentarz! Jeszcze nie całkiem to do niego dotarło. Cmentarz w środku Paryża! Oslawione wysypisko gnatów! Bogu tylko wiadomo, czego się spodziewał, jadąc do stolicy, jakiej oczekiwał propozycji: może udziału w jakichś robotach na terenie samego pałacu? W każdym razie nawet mu się nie śniło, że dostanie właśnie taką. Czy mógł ją odrzucić? Nie przyszło mu to do głowy, najprawdopodobniej zresztą nie wchodziło w rachubę. Co się zaś tyczy tego, czy wykopywanie kości licuje z jego rangą, z godnością absolwenta Ecole Royale des Ponts et Chaussées, będzie musiał znaleźć punkt widzenia nieco bardziej... abstrakcyjny. Jest wszak młodzieńcem pomysłowym, a przy tym idealistą. Zapewne da się spojrzeć na tę pracę jak na godne, poważne dzieło. Uzasadnione wyższą racją. Coś, co pochwaliliby encyklopedyści.

Przed ławką zgromadziło się kilkanaście wróbli, nastroszonych z zimna. Jean-Baptiste

patrzy, jak te obszarpańce skaczą po kamieniach. W jednej z kieszeni płaszcza – dość głębokiej, żeby zmieściło się w niej całe stadko – ma kawałek chleba, pozostały ze śniadania, które zjadł po ciemku, jadąc konno. Odgryza kęs i zaczyna go żuć, a potem odrywa rożek i kruszy go między kciukiem a palcem wskazującym. Ptaszki dziobią okruchy, podskakując, jakby tańczyły między jego stopami.

Na rue de la Lingerie przy prawym skraju okna w salonie na pierwszym piętrze Emilie Monnard, którą wszyscy nazywają Ziguette, siedzi na krześle i delikatnie ssie dolną wargę, patrząc, jak dzień dogasa nad rue Saint-Denis, rue aux Fers i targowiskiem les Halles. Targowisko oczywiście już dawno opustoszało, a jadalne odpadki unieśli ci, którzy się nimi żywią. To, co jeszcze zostało – śmietnik, na którym wala się brudna słoma, rybie bebechy, pociemniałe od krwi pióra, zielone ścinki kwiatów przywiezionych z południa – w nocy zdmuchnie wiatr, a resztę o świcie zgarną miotłami i spluczą wiadrami wody sprzątacze. Ziguette przez całe życie bez znużenia podziwiała ten widok: targowisko, a na bliższym planie stary kościół Niewiniątek i przyległy doń cmentarz, choć na cmentarzu od lat nic się nie dzieje, tylko czasem grabarz z wnuczką idzie ku jednej z bram, a jeszcze rzadziej pojawia się stary ksiądz w niebieskich okularach, który wygląda, jakby go tam po prostu zapodziano. Bardzo jej tego wszystkiego brak. Procesji, które noga za nogą szły zygzakiem od drzwi kościoła, a żałobnicy opierali się o siebie ramionami, bił dzwon, kołysała się trumna, potem zaś ksiądz mamrotał modlitwę i wreszcie następował gwóźdź programu: zmarłego mężczyznę, kobietę lub dziecko spuszczano jak kęs strawy w rozwarte usta ziemi. A kiedy wszyscy się rozchodzili i powracał spokój, Ziguette trwała na posterunku, z twarzą przy szybie, czuwając jak siostra albo anioł.

Z westchnieniem znów spogląda na ulicę, na rue aux Fers, i widzi, że madame Desproux, czyli piekarczowa, mijając włoską fontannę, przystaje, żeby porozmawiać z wdową Aries. Nieco dalej, pod krzyżem na targowisku, stoi pijak Merda. A oto wyplatacz koszyków Boubon – ten, co mieszka samotnie na tyłach swojego sklepiku przy rue Saint-Denis... A od końca rue de la Fromagerie nadchodzi ta kobieta w czerwonej opończy. Czy Merda przed chwilą coś do niej krzyknął? Pewnie sprawia mu to ulgę, że może znieważyc istotę jeszcze mniej od siebie poważaną, ale kobieta nie zatrzymuje się ani nie ogląda. Zanadto już przywykła do ludzi pokroju Merdy. Ależ jest wysoka! I jak absurdalnie wyprostowana! Ktoś ją zagaduje, jakiś mężczyzna, chociaż zbytnio do niej się nie zbliża. Kto to? Przecież nie Armand (choć należałoby raczej powiedzieć, że to najprawdopodobniej właśnie on)? Teraz jednak rozchodzą się każde w swoją stronę i niebawem znikają z pola widzenia. Po zapadnięciu ciemności niejeden spośród mężczyzn, którzy za dnia obrzucają tę kobietę szyderstwami lub obelgami, będzie ją ścigał, żeby umówić się na schadzkę w jakimś pokoju... Czy tak się to załatwia? A gdy już do tego pokoju wejdą... Ach, Ziguette nieraz to sobie wyobrażała, szczegółowo odmalowywała w wyobraźni, a nawet w zaciszu sypialni, przy kominku, wściekle się rumieniła od takich rojeń, grzechów myślą, z których powinien ją wypowiadać père Poupart w kościele Saint-Eustache, i może rzeczywiście poszłaby do jego konfesjonału, gdyby tak bardzo nie przypominał świni sparzonej wrzątkiem. Dlaczego w Paryżu nie ma



przystojnych księży? Nikt nie kwapi się spowiadać brzydalowi.

– Widzisz na ulicy kogoś ciekawego, kochanie? – pyta zza pleców Ziguette matka, ze świecą w pulchnej dłoni wchodząc do pokoju.

– Właściwie to nie.

– Nie?

Madame Monnard staje za córką i głaszcze ją po głowie, z roztargnieniem wierząc palcem w ukochanej gęstwie włosów. Na rue aux Fers latarnik opiera drabinę o latarnię przed kościołem. Matka i córka w milczeniu patrzą, jak zręcznie się wspina, a potem wstawia pod szklany klosz zapaloną świeczkę, gdy zaś ta rozkwita żółtym światłem, latarnik żwawo schodzi po drabinie. Kiedy madame i monsieur Monnard zamieszkali w swoim obecnym domu, na rue aux Fers nie stała ani jedna latarnia, a na rue Saint-Denis tylko nieliczne. W Paryżu było wtedy ciemniej, ale dzięki hartującej sile nawyku wszyscy uważali to za rzecz zwyczajną.

– Obawiam się – wyznaje madame – że nasz nowy lokator zabłądził. Pochodzi ze wsi, więc bardzo wątpię, czy trafi wśród tylu ulic.

– Może spytać o drogę – odpowiada Ziguette. – Zna chyba francuski.

– Oczywiście – niepewnie przytakuje madame.

– Spodziewam się – dodaje Ziguette – że będzie bardzo mały i kosmaty.

Jej matka śmieje się, zasłaniając dłonią usta pełne brązowych ząbków.

– Ależ głupiutkie pomysły się ciebie trzymają – wzdycha.

– A jada tylko – ciągnie Ziguette, która od wczesnego dzieciństwa miewa tego rodzaju weny, czasem zabawne, kiedy indziej zaś mocno niepokojące – jabłka i świńskie nóżki. A palce wyciera w brodę. O, tak.

Pokazuje, jak on to robi, przeczesując palcami powietrze pod kształtnym różowym podbródkiem, gdy z tupotem drewniaków wchodzi służąca.

– Nie widziałaś aby kogo, Marie? – pyta madame.

– Nie – odpowiada krzepka młódka, przystając w półmroku przy drzwiach w takiej pozie, jakby szykowała się do odparcia zarzutu.

– Twój ojciec zapewniał mnie, że wcześniej dziś wróci – mówi madame do córki. – Ubolewałabym, gdybyśmy musiały same przyjąć lokatora. Powiedz, Marie, monsieur Monnard nie przysłał do domu jakiejś wiadomości?

Dziewczyna kręci głową. Służy u Monnardów od półtora roku. Jej ojciec, farbiarz z faubourg Saint-Antoine, umarł na tyfus, kiedy była za mała, żeby go zapamiętać. Tak jak resztę domowników dręczą ją sny.

Zmierzch przechodzi w wieczór. Madame Monnard zapala więcej świec. Ostrożnie szturcha pogrzebaczem ogień w kominku. Palą drewnem, a ono jest drogie. Polano w sam raz tak długie i grube jak męska ręka kosztuje dwanaście sous, a potrzeba dwudziestu takich polan, żeby palić przez cały dzień. Kobieta siada, sięgając po „Journal des Dames Modernes”, który wczoraj tak miło zaprzął ją i Ziguette, i znów otwiera go na ilustracji przedstawiającej dzikusów, wspaniałych władców dzikich królestw, szlachtetnych dzikusów o twarzach od podbródków aż po oczy fantastycznie ozdobionych

niebieskimi tatużami, tworzącymi zawijasy i spirale, podobne do planów formalnych ogrodów. Pomyśleć, że spodziewany lokator może mieć właśnie taką twarz! Cóż to byłby za sukces! Jeszcze większy niż pojawienie się fortepianu (to dopiero był triumf, kiedy instrument, podciągnięty dźwigiem jak wyratowana z kamieniołomu krowa, na oczach połowy dzielnicy wjechał przez okno!). Szkoda, że nie trzyma stroju. Biedny nauczyciel Ziguette prawie nad nim płakał, choć swoją drogą signor Bancolari zawsze był bliski łez.

Na parterze trzaskają drzwi wejściowe. Po schodach wkrada się przeciąg, od którego drżą płomyki świec w salonie, a po chwili zjawia się monsieur Monnard w skórzanym fartuchu, pociemniałym od zużycia i starości. Nosi go w sklepie, chociaż madame Monnard doprawdy nie pojmuje, po co mu w ogóle ten fartuch, skoro w szlifowaniu i ostrzeniu wyręcza go aż trzech świetnie wyszkolonych czeladników. Jej mąż musi jednak być panem we własnym domu.

Małżonkowie witają się. Monsieur Monnard wita się też z córką, która zasiadła tymczasem do fortepianu i coś tam brzdąka: może fragment jakiejś znanej sobie melodii, a może co innego. Jej ojciec zdejmuje perukę i mocno drapie się w głowę.

– Wciąż ani śladu gościa? – pyta.

– Ziguette – odpowiada madame Monnard – wygaduje o nim prześmieszne rzeczy. Twierdzi, że skoro on pochodzi z Normandii, to na pewno nie zna francuskiego.

– W Bretanii – mówi monsieur Monnard – posługują się zupełnie niezrozumiałym językiem. Panuje przekonanie, jakoby nauczyli się go od mew.

– A po co on tu w ogóle przyjeżdża? – pyta Ziguette. – Źle mu było w domu?

– Pewnie chce zbić majątek – odpowiada jej ojciec. – Czy nie po to wszyscy przyjeżdżają do Paryża?

Marie pyta, czy podać zupę. Monsieur jest ciekaw, co to za zupa tym razem.

– Na kościach – wyjaśnia Marie.

– Ona ma na myśli wtorkową cielecinę – tłumaczy madame Monnard – do której dodaliśmy mnóstwo smakołyków.

– Na przykład świńskie nóżki – wtrąca Ziguette, a zachwycona matka kwituje to perlistym śmiechem.

Przyjeżdża między zupą a odrobiną potrawki, również przyrządzonej z wtorkowej cielęciny. Nie zamierzał przyjechać tak późno, po ciemku. Wielki kufer z pałakami (jeden pękł podczas ściągania z dachu dylizansu) pomaga mu nieść olbrzymi chłopak niemowa, pociotek właścicieli domu przy poczthalterii, w którym Jean-Baptiste spał zeszłej nocy.

– Baliśmy się, że pan zabłądził! – przyjaźnie woła z półpiętra monsieur Monnard. – Zabłądził z krete sem.

– Byłem w Wersalu, monsieur, a potem trafił mi się kulawy koń...

– W Wersalu! – powtarza monsieur Monnard, patrząc, jak młody człowiek pnie się ku niemu po schodach.

Następnie gospodarz prowadzi lokatora do niedogrzanego pokoju na piętrze.

– Monsieur Babette był dziś w Wersalu.

– Baratte, monsieur.

– Hę?

– Nazywam się Baratte, monsieur. Moje nazwisko Baratte.

Sadzają go naprzeciwko Ziguette. Przez chwilę trwa debata, czy potrawkę należy odnieść z powrotem do kuchni, podczas gdy przybysz będzie jadł zupę. Czy zupa nie zanadto wystygła? I czy monsieur Baratte w ogóle ma na nią ochotę?

– I cóż tam dzisiaj w Wersalu? – pyta monsieur Monnard takim tonem, jakby sam często bywał w pałacu.

Jean-Baptiste zjada łyżkę letniej zupy i nagle czuje wilczy głód. Gdyby był w pokoju sam, niewykluczone, że wypiłby zupę prosto z miski i natychmiast rozejrzał się za miejscem do spania. Musi jednak postarać się zjednać sobie gospodarzy. Będą przecież jego najbliższym ludzkim otoczeniem, przynajmniej przez jakiś czas. Niech go nie wezmą za tępaka czy grubianina, nieokrzesanego prowincjusza. Nich nie myślą, że jest tym czy tamtym, za kogo w chwilach słabości sam się uważa. Podnosi wzrok znad miski. Ależ ta dziewczyna ma wielkie, czerwone usta! Pewnie to od tłuszczu z zupy tak błyszczą.

– Wersal – mówi, zwracając się do jej ojca – to najdziwniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem.

– Celną odpowiedź – ze stanowczym skinieniem głowy przytakuje madame. Każe Marie nalać gościowi wina. – I dorzuć do ognia jeszcze jedno polano, Marie. Jak żyję, nie pamiętam tak zimnego października.

Okazuje się, że Monnardowie lubią rozmawiać, jest to jednak zupełnie inny styl rozmowy niż te bardziej rozmyślnie rytmy, wśród których wychował się w Bellême. Lubią też jeść: zupę, potrawkę, smażone flądry, sałatkę z buraków, ser, trochę ciasta. O ile zdążył się przekonać, wszystko to jest dobrze przyrządzone, ale podszyte dziwacznym

smaczkiem, dla którego w jedzeniu raczej nie powinno być miejsca.

Po kolacji zasiadają przed kominkiem. W zimnej porze roku salon służy jednocześnie za jadalnię, całkiem nieźle się z tej roli wywiązując, chociaż trzeba omijać fortepian, ilekroć przechodzi się przez pokój. Monsieur Monnard robi miny, żeby pozbyć się napięcia w twarzy. Madame i jej córka udają, że szyją. Słychać drapanie w drzwi. Ktoś wpuszcza kota rozmiarów tego pieska, który na oczach Jean-Baptiste'a obsikał podłogę przed drzwiami gabinetu ministra. Jest to czarny kocur z uchem uszczuplonym o strzępiasty półksiężyc. Wabi się Ragoût. Nikt już nie pamięta, skąd to imię i kto je wybrał. Kot rusza prosto w stronę gościa i obwąchuje podeszwy jego butów.

– Coś ty tam znowu napsocił, zbytniku? – pyta madame Monnard, z widocznym wysiłkiem podnosząc kota z podłogi i biorąc na kolana. – Nie odpowiadam za to, jak się prowadzi – dodaje, śmiejąc się wesoło. – Ragoût i Ziguette są nierozłączni.

Jean-Baptiste zerka na dziewczynę. Ma wrażenie, że Ziguette przygląda się kotu z lekką odrazą.

– Małe amatorki sera – wtrąca monsieur Monnard – krótki mają żywot w tym domu.

– Te, których nie złowi Ragoût – dorzuca madame Monnard – łapią się w maszynki męża.

– Maszynki? – pyta Jean-Baptiste, bo to słowo zawsze budzi w nim miły dreszcz.

– Robię je i sprzedaję w swoim sklepie – zaczyna monsieur Monnard. – Klatka, sprężyna, drzwiczki. – Pokazuje ręką, jak to wszystko działa. – No i zwierzak w pułapce. Wystarczy ją wrzucić do wiadra z wodą.

– Marie podrzyna im gardła – mówi Ziguette.

– Nigdy w życiu – protestuje jej matka. – Mąż ma zakład na rue des Trois Mores – wyjaśnia gościowi.

– Sprzedaje pan pułapki, monsieur? – pyta Jean-Baptiste.

– Noże, monsieur, od zwykłych do wykwintnych. Wykańczamy je, ostrzemy i szlifujemy. Mamy stałą klientelę w wyższych sferach. Père Poupart z Saint-Eustache kraje mięso jednym z moich noży.

– Kiedy się ochładza – mówi Ziguette – przyłazą szczury. Do domu.

– Tak samo było w moich stronach – wspomina Jean-Baptiste – w najzimniejsze noce.

– W Normandii? – pyta madame Monnard, jakby zdumiona, że szczury zdołały odkryć tak daleką okolicę.

– Pewnie pan za nią tęskni – domyśla się Ziguette.

– Za domem? – Znużenie podsuwa mu przelotną wizję wron, które niby czarne szmaty wzlatują o zmierzchu z pola, i samotnej dzwonnicy wiejskiego kościoła. – Chyba dobrze mi wszędzie, dokąd jadę za pracą.

– Bardzo męskie podejście – mówi madame Monnard, zanurzając palce w kociej sierści.

– A nad czym będzie pan tutaj pracował? – pyta Ziguette.

Wygląda tak ślicznie, taka się wydaje zadziorna w tej kremowej sukni, że Jean-Baptiste ma ochotę wyznać jej prawdę o celu swojej wizyty. Zastanawia się, jaką wersję Lafosse

przedstawił Monnardom, jeżeli w ogóle coś im powiedział.

– Przyjechałem – mówi, zdając sobie sprawę, że wszyscy troje nagle słuchają z wyteżoną uwagą – dokonać oględzin cmentarza Niewiniątek.

– Cmentarza Niewiniątek? – powtarza madame Monnard po chwili ciszy, w której słychać było tylko mruczenie kota i trzask płomieni.

– Jestem inżynierem – wyjaśnia Jean-Baptiste. – Nie powiedziano państwu o tym?

– A kto miał nam powiedzieć? – pyta monsieur Monnard.

– Ten, kto załatwił mi tu kwaterę.

– Zawiadomiono nas tylko, że pewien monsieur z Normandii będzie potrzebował pokoju.

– Z wiktem – uzupełnia madame Monnard.

– W istocie – przytakuje jej mąż. – Z porannym i wieczornym posiłkiem.

– Mieszkał kiedyś u nas jeden muzyk – wtrąca Ziguette.

– Dosyć szczególny jegomość – stwierdza monsieur Monnard.

– Rudy – dodaje madame.

Ziguette otwiera usta, jakby chciała coś dorzucić, ale po króciuteńkiej pauzie, po ćwierćnucie wahania, znów je zamyka.

– Pan – mówi madame, błogo się uśmiechając – ma bardzo praktyczne zajęcie. Powinszować.

– Moim nauczycielem w Ecole des Ponts – odpowiada Jean-Baptiste – był maître Perronet. Największy inżynier we Francji.

Ponad kocią głową madame Monnard bije brawo samymi koniuszkami palców.

– A zbudował pan już jakiś most? – pyta Ziguette.

– Jeden. W Normandii.

– A nad jaką wodą?

– Nad rogiem jeziora.

– Nie przypuszczałam, że jeziora miewają rogi – dziwi się Ziguette.

– Niech pan lepiej powie Marie, monsieur – wtrąca madame Monnard – czy rano woli pan kawę, czy czekoladę.

– Muzyk lubił czekoladę – mówi Ziguette.

– Marie poda ją panu do pokoju, jeżeli pan sobie zażyczy – ciągnie madame – razem z wodą do mycia. Proszę tylko powiedzieć o której.

– On jeszcze nie widział swojego pokoju – przypomina Ziguette.

– Rzeczywiście – przyznaje jej rację matka. – Chyba go nie widział.

– No to pomogę panu wnieść kufer po schodach – oświadcza monsieur Monnard, wstając od stołu. – Byłby za ciężki nawet dla Marie.

Pokój jest na tyłach domu, a nad nim już tylko poddasze. Dwaj lekko zadyszani mężczyźni wnoszą tam kufer z sieni, trzykrotnie skręcając na schodach. Marie idzie przed nimi z zapaloną świecą.

– Niczego panu tu nie powinno brakować – mówi monsieur Monnard.

– Raczej nie – odpowiada Jean-Baptiste, omiatając wzrokiem wąskie łóżko, stół z

krzesłem, majolikową miskę na trójnogu, wąski kominek i zamknięte okiennice nad łóżkiem.

– Naprzeciwno jest pokój Ziguette. Madame Monnard i ja śpimy piętro niżej. Marie oczywiście na poddaszu. Pański poprzednik zwykł prosić ją, żeby zdejmowała saboty, kiedy chodzi mu nad głową. Był niezwykle uczulony na hałasy.

– Życzyłby pan sobie, monsieur, dostawać komorne z góry?

– Bardzo pan solidnie do tego podchodzi. Godna uznania cecha u tak młodego człowieka. Niech no pomyślę. Sześć liwrów tygodniowo chyba będzie w sam raz. Bez świec i drewna na opał.

Jean-Baptiste odwraca się nieco od pana domu, wytrząsa z sakiewki na stół kilka monet i wybiera spośród nich pół ludora.

– Za dwa tygodnie – mówi.

Monsieur Monnard bierze od niego monetę, sprawdza ją paznokciem i wsuwa do kieszonki kamizelki.

– Jest pan tu mile widziany – oświadcza z taką miną, jakby właśnie sprzedał księdzu komplet znakomitych noży. – Proszę koniecznie powiedzieć Marie o wszystkim, czego panu potrzeba.

Lokator i służąca na kilka sekund spotykają się wzrokiem. Potem dziewczyna zapala przyniesioną z dołu świecą stojący na stole ogarek.

– Jak pan rano zniesie na dół swoją świecę – mówi – to może ją pan zostawić na półce przy drzwiach wyjściowych. Leży tam krzesiwo.

– Właściwie to nawet nie będzie pan musiał wychodzić z domu – dodaje monsieur Monnard – w sprawie tych swoich oględzin.

– Widać stąd cmentarz?

– Jeszcze pan nie zdążył się przejść po dzielnicy?

– Nie, monsieur.

– No cóż, za dnia sam się pan przekona.

Mężczyźni żegnają się wśród ukłonów i uśmiechów. Monsieur Monnard i Marie wychodzą z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jean-Baptiste nagle zostaje sam w obcym domu, w mieście, w którym prawie nikogo nie zna. Pochyla się nad łóżkiem i otwiera okiennice, choć zawiasy stawiają opór, ale w szybie widzi tylko siebie i świecę, więc znowu się pochyla, przekręca owalną klamkę i lekko popycha framugę. Nic go już nie dzieli od nocnego nieboskłonu, nic nie odgradza od kościoła Niewiniątek, bo ten czarny masyw, ledwie majaczący na tle nieba po wschodniej stronie, to z pewnością właśnie kościół. Rozpościerający się między nim a ulicą pas czerni to najwidoczniej – cóż by innego? – cmentarzysko. Gdyby inżynier przelazł przez łóżko i wyskoczył oknem, znalazłby się właśnie tam, na tym polu, które zatruwa Paryż! A już z pewnością truje rue de la Lingerie. Coś z tego odoru, wkradającego się przez otwarte okno, Jean-Baptiste wyczuł w oddechu wszystkich Monnardów, w smaku ich jedzenia. Będzie musiał do niego przywyknąć, i to szybko, albo wyjechać stąd, wrócić dyliżansem do domu, antyszambrować u księcia de S., błagać o kolejny most...

Zamyka okno i okiennice. Świeca na stole wkrótce się dopali. Jean-Baptiste rozpina pasy kufra, grzebie w nim i wyjmuje książkę księcia de Buffon *Histoire naturelle. Volume II*, długi mosiężny liniał, puzderko z przyborami do pisania i palisandrową skrzyneczkę, w której trzyma cyrkiel z mosiądzu. W kufrze przywiózł też rycinę przedstawiającą most Rialto, tak jak go widział Canaletto, zawiniętą w wełnianą koszulę. Szuka gwoźdźca w ścianie i znajduje go nad pustym kominkiem. Wiesz obrazek i jeszcze przez chwilę weń się wpatruje.

Kładzie zegarek na stole obok Buffona, sakiewkę wsuwa pod wałek na łóżku, wiesz perukę na oparciu krzesła, a potem rozbiera się do koszuli i pończoch. Będzie w nich spał, żeby nie zmarznąć. Nie ma wody, nie ma czym się umyć. Wślizguje się pod kołdrę i przez moment myśli z zakłopotaniem o rudowłosym muzyku, który dawniej tu sypiał, po czym zdmuchuje kapiącą świecę i kładzie się w ciemnościach tak nieprzeniknionych, że wzrok w obliczu zupełnej porażki maluje na nich dziwne kształty, dziwaczne mrzonki. Jean-Baptiste zamyka oczy – ciemność po obu stronach powiek! – i po chwili zaczyna cicho odmawiać nie modlitwę, lecz katechizm własnego jestestwa.

– Kto ty jesteś? Jean-Baptiste Baratte. Skąd pochodzisz? Z Bellême w Normandii. Kim jesteś z zawodu? Inżynierem wykształconym w Ecole des Ponts. W co wierzysz? W potęgę rozumu...

Nabrał tego zwyczaju w pierwszych tygodniach po śmierci ojca i początkowo była w tej litanii jak gdyby wyzywająca, niemal radosna nuta. On sam przecież żył – był żywy i młody. Ecce homo! Za to później (może gdy zaczął pracować w kopalniach Valenciennes) pytania przybrały ton bardziej pytający i przez samą swoją prostotę wywoływały chwile zamętu, przelotne zawroty głowy, z powodu których to rytualne odpytywanie stało się tym niezbędniejsze. Oczywiście powinien go zaniechać. Wszak to dziecinada. Źródło skrywanego zażenowania, prawie występki. Lecz dziś, tej nocy, w tym miejscu...

– Kto ty jesteś? Jean-Baptiste Baratte. Skąd pochodzisz? Z Bellême w...

Ktoś albo coś skrobie w drewniane drzwi. Jean-Baptiste nasłuchuje, wstrzymując oddech. Czy to ten kot, co się tak wątpliwie prowadzi? Czy poprzedni lokator pozwalał stworzeniu sypiać w nogach łóżka? Jean-Baptiste nie widzi przeszkód, właściwie miłe by mu było takie towarzystwo, lecz gdy siada, skrobienie natychmiast ustaje. Pod drzwiami widać lekki ruch światła. A potem już nic.

Światło paryskiego poranka wpada cienkimi szarymi sznurami przez wysokie okna kościoła Niewiniątek, lecz tylko trochę zakłóca wiecznie tam panujący półmrok. Kolumny – czarne albo prawie czarne – wznoszą się niby szczątki skamieniałego lasu, a ich wierzchołki giną w baldachimach cienia. W bocznych kaplicach, gdzie od pięciu lat nie zapalono ani jednej świeczki, nagromadziły się zasy ciemności. Święci, madonny, dzieciątka zbawiciele, wszystkie wielkoformatowe, mierne malowidła ze scenami męczeństwa i gołębiami siadającymi na ufryzowanych, poniekąd włoskich głowach, zamknięte na klucz szkatułki z kośćmi palców lub drzazgami świętego drewna są tak dokładnie ukryte, że równie dobrze mogłyby nigdy nie istnieć.

Organy (trzy manualy, czterdzieści registrów), niemieckiej roboty i bardzo stare, stoją z boku północnej nawy, równoległej do odcinka rue aux Fers, który łączy się z rue Saint-Denis. Drzwiczki antresoli (mniej więcej trzykrotnie niższe od zwykłych drzwi wejściowych mieszkalnego domu) są otwarte i dobiega z nich pokaszływanie i odchrząkiwanie, a po chwili wyłania się głowa mężczyzny, który nieruchomieje jak pies, kiedy ma przebiec nieznaną mu otwartą przestrzeń, po czym cofa głowę, a zamiast niej w otwartych drzwiczkach ukazują się dwie długie nogi bez butów, potężny zad w opiętych spodniach, następnie zaś tułów i wreszcie znów ta sama rozczochrana głowa.

Drabinę zużyto na opał, więc mężczyzna zsuwa się, jakby spływał po ścianie, póki nie sięgnie palcami stóp prowizorycznego schodka ułożonego z mszałów, Biblii o spękanych okładkach i żywotów świętych (nieraz zabawiał przyjaciół kiepskimi żartami, opowiadając, jak po drabinie religii wspina się do nieba muzyki). Stanąwszy na płytach posadzki, a raczej na grobie jakiegoś barona, jego żony i kilkorga zgastych dzieci, otrzepuje się z kurzu, spluwa sadzą w chustkę do nosa, wkłada surdut i zasiada do klawiatury. Z trzaskiem prostuje sobie palce, aż jakiś spłoszony jasnopióry ptak wzbija się pod sufit. Nawet w półmroku widać, że włosy mężczyzny mają lekko miedziany połysk. Organista włącza registry. Trompette, tierce, cromorne, voix humaine. Na pulpicie ma *Livre du musique* Gigaulta, a obok księgę kantat Clérambaulta, ale do grania z nut potrzebowałby świec, a nie chce mu się ich zapalać. Ma świecę we własnej głowie i obejdzie się bez innego światła, więc gra z pamięci trio Couperina, trochę odchyliwszy do tyłu szyję i tułów, jakby nie siedział przy organach, lecz mknął poszóstną karocą przez środek les Halles, roztrącając gęsi, główki kapusty i stare baby.

Słychać tylko głuchy klekot klawiszy i dudnienie pedałów. Organom brak powietrza, chociaż przy Couperinie samo powietrze i tak nie rozwiązałoby sprawy: stary instrument nie nadaje się już do tego rodzaju muzyki. Kiedy organista chce zagrać inny utwór, stawiający mniejsze wymagania pogiętym piszczałkom i starej skórze, najmuje do kalikowania tragarza z bazaru albo tego rosnącego chłopaka niemowę, co szwenda się po rue Saint-Denis. I wtedy kościół Niewiniątek niemal wpada w obłąd, a mosiężne orły,



wystrzępione chorągwie i miliony kości w kryptach zostają na kilka minut gwałtem przywrócone do stanu podobnego życia. To właśnie jest zadaniem organisty, bo poza tym nie ma przecież po co grać: do kościoła nie przychodzą wierni, nie odprawia się w nim mszy, nie udziela ślubów, a już na pewno nie celebruje nabożeństw żałobnych. Lecz póki muzyk gra, a księdzu, temu staremu, wynędzniałemu żołnierzowi Chrystusa, wolno jest snuć się po świątyni, Kościół ma w Niewiniątkach swoje udziały, z których może wyciągnąć realny zysk, jak to z udziałów.

Organista skacze z oktawy w oktawę, wściekle modulując, jego bieluteńkie palce tańczą po klawiaturach w pogoni za jelonkiem Couperina, gdy raptem słyszy – no nie, niemożliwe! – że otwierają się drzwi w północnej ścianie. Ksiądz rzadko wychodzi z kościoła i nigdy tamtędy, lecz któż to może być, jeżeli nie père Colbert?

Muzyk odwraca się na ławce i patrząc spod zmrużonych powiek w głąb nawy, dostrzega mężczyznę, który stoi w otwartych drzwiach wychodzących na rue aux Fers. Jest to mężczyzna, owszem, młodzieniec, lecz organista go nie poznaje, chociaż zna większość twarzy z tej dzielnicy.

– W czymś panu pomóc, monsieur? – pyta.

Intruz przystaje w pół kroku. Odwraca głowę, rozglądając się za źródłem głosu.

– Widzi pan piszczalki? Proszę iść w ich stronę. Za chwilę mnie pan zobaczy... Jeszcze kawałek... kawałeczek... Oto istota z krwi i kości, taka jak i pan. Jestem Armand de Saint-Méard. Organista w kościele Niewiniątek.

– Organista? Tutaj?

– Oto organy. A oto i organista. Doprawdy, nie ma czemu się dziwić.

– Nie chciałem...

– A pan, monsieur? Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

– Baratte.

– Baratte?

– Jestem inżynierem.

– Aha! Przyszedł pan naprawić organy.

– Naprawić?

– W sensie muzycznym kuleją. Staram się jak mogę, ale...

– Bardzo mi przykro, monsieur... Nie znam się na organach.

– Nie? Ale prócz nich nie mamy tu żadnej maszyny. Twierdziłbym, że pomylił pan adresy, gdyby nie klucz w pańskim ręku. Biskup pana przysłał?

– Biskup? Nie.

– No to kto?

Jean Baptiste cicho i nie bez wahania wymienia nazwisko ministra.

– Czyli mają nareszcie wobec nas jakieś plany – stwierdza organista.

– Przyjechałem zrobić tu...

– Szszszsz!

Z góry, z wąskiego przejścia za tryforium, słychać szuranie stóp. Organista wciąga Jean-Baptiste'a w cień filaru. Czekają. Po minucie szuranie cichnie.

– Père Colbert – szepcze muzyk. – Raczej nie spojrzysz przyjaźnie na inżyniera, którego przysłał minister. Ani zresztą na nikogo.

– To ksiądz?

– Stary, ale silny jak wół. Był misjonarzem w Chinach, zanim myśmy się urodzili. Podobno go tam nawet torturowano. Od tamtej pory dokuczają mu oczy. Światło sprawia mu ból. Dlatego nosi przyciemnione okulary. Widzi przez szkło, mrocznie<sup>[2]</sup>. Mordercze ma usposobienie...

Jean-Baptiste kiwa głową, po czym zerka na rudawe włosy rozmówcy i pyta:

– To pan mieszkał u Monnardów?

– U Monnardów? A skąd panu o tym wiadomo, monsieur?

– Do dziś pana wspominają.

– I to pan tam teraz wylądował? W pokoiku nad cmentarzem?

– Tak.

– Pan tam mieszka?

– Tak.

– No, no. Ha! Zimno tam było, nie powiem.

– I nadal jest.

– Dam panu drobną radę. Kiedy się pan położy do łóżka, proszę spojrzeć na sufit. Zobaczysz pan mały... Och, och, ostrożnie, przyjacielu. Źle się pan poczuł?

Słuchając łomotu własnego serca, Jean-Baptiste uświadamia sobie, że odkąd wszedł do kościoła, stara się nie oddychać. Daje się zaprowadzić muzykowi do ławy stojącej przed organami, a po drodze słyszy jakby przez ścianę, jak tamten mówi, że zrazu też miewał takie chwile słabości, więc wchodził do kościoła, przyciskając do twarzy chustkę zamoczoną w wodzie kolońskiej, bo inaczej się nie dawało.

– Nie rozumiałem, jak w ogóle można mieszkać w promieniu pół dnia jazdy wierzchem od tego miejsca. A jednak ludzie mieszkają, jak pan widzi. Rojni niczym pszczoły. Człowiek się przyzwyczaja. Niech pan stara się oddychać ustami. Smak łatwiej znieść niż zapach.

– Kazano mi znaleźć Manettię – mówi Jean-Baptiste.

– Grabarza? Rzeczywiście coś pan knuje. Ale spokojna głowa. Manettię łatwiej znaleźć niż kogokolwiek innego w Paryżu. Wyjdźmy na powietrze. Może nam pan zafundować po szklance czegoś, co nas postawi na nogi.

Opierając się na ramieniu organisty (bo to doprawdy nieuniknione), Jean-Baptiste wraca do drzwi w północnej ścianie. Nie żeby winą za swój obecny stan obarczał jedynie kościół. Ma za sobą burzliwą noc: cały dom niespokojnie dygotał jak podczas huraganu, chociaż wcale nie wiało. Jean-Baptiste'owi zdawało się, że znów słyszy skrobanie do drzwi, a nawet (i to o jakiejś nieludzkiej porze) do okna. A wczesnym rankiem w salonie Monnardów stał Lafosse, dzierżąc w ręku klucze do kościoła Niewiniątek. Widok jego twarzy nikomu nie dodałby otuchy...

Wyszli na ulicę, zamykając kościół na klucz, a ponieważ Jean-Baptiste może już zaufać nogom i własnej sile, skręcają w lewo, ku rue de la Lingerie, a potem w prawo, do

targowiska. Mniej więcej co dziesięć kroków ktoś wita organistę, przeważnie jakaś kobieta. Każda strzela spojrzeniem w stronę towarzyszącego mu młodzieńca, nowego kompana.

– Tam – mówi organista, machając ręką – zje pan dobrze i tanio. Na tamtym rogu wyreperują panu ubranie i go nie ukradną. A tu jest zakład Gaudeta. Dobry z niego golibroda i wszystkich zna. A tu... Tu zaczyna się rue de la Fromagerie. Może pan tu przyjść, kiedy zapagnie pan odetchnąć czym innym niż aromatem grobów. No, dalejże. Zaczernij tchu.

Weszli w sam początek ulicy, która jest jak dziwna, niedrożna żyła: właściwie to nie tyle ulica, ile zaułek, a nawet nie zaułek, lecz rynsztok. Ostatnie piętra domów chylą się ku sobie, tak że widać między nimi tylko pasek białego nieba. Po obu stronach w co drugim domu jest sklep, a we wszystkich sklepach sprzedają sery. Czasem jajka, czasem mleko i masło, ale zawsze sery. Sery w oknach, sery wyłożone na stołach i ręcznych wózkach, sery spiętrzone na słomie, wiszące na sznurkach lub pływające w baliach z solanką. Sery, które trzeba krajać nożem tak wielkim, że można by nim zarznąć byka, sery czerpane rzeźbioną łyżką z drewna. Czerwone, zielone, szare, różowe, śnieżnobiałe. Jean-Baptiste nie ma pojęcia, jak smakuje i skąd pochodzi większość z nich, lecz jeden natychmiast rozpoznaje i aż serce mu rośnie, jakby dostrzegł z dawna ukochaną twarz z rodzinnych stron. Pont-l'Evêque! Normandzka trawa! Normandzkie powietrze!

– Chcecie skosztować? – pyta młoda przekupka.

Jego ciekawość już jednak przykuło sąsiednie stoisko, przy którym kobieta w czerwonej opończy kupuje małą gomułkę koziego sera, obtaczaną w popiele.

– A to – mówi organista, nachylając się do ucha Jean-Baptiste'a – jest Austriaczka. Zawdzięcza ten przydomek podobieństwu do naszej ukochanej królowej. Owo podobieństwo nie kończy się zaś na jasnych włosach. Hej, Héloïse! Poznaj mojego przyjaciela, którego imię niestety zapomniałem, przybyłego Bóg wie skąd, żeby wywrócić nam życie do góry nogami.

Kobieta odlicza drobne monety, płacąc za ser. Spogląda najpierw na Amanda, a potem na Jean-Baptiste'a. Czy ten się rumieni? Wydaje mu się, że zmarszczył brwi, patrząc na nią. A potem ona odwraca wzrok, bierze nabytek i oddala się w tłumie.

– Tutejsze kobiety – mówi Armand – gardzą nią po trosze dlatego, że ich mężowie mogą ją sobie kupić na godzinę, ale głównie z tej racji, że ona nigdzie nie pasuje, nie należy. Gdyby mieszkała w Palais Royal, nikt by okiem nie mrugnął. Widziałeś chyba Palais?

– Słyszałem o nim. Jeszcze nigdy...

– Ależ z ciebie okaz, człowieku! Jesteś jak Pers z Monteskiusza. Napiszę o tobie do gazety. Cotygodniowy felieton.

Armand kroczy naprzód, a gdy mijają przypory Saint-Eustache, podniesionym, choć lekkim tonem zaczyna improwizowany wykład o historii Palais: mówi, że na miejscu pałacu był niegdyś ogród kardynała Richelieu, ale duc d'Orléans podarował go swojemu synowi, który urządził w nim mnóstwo kawiarni, teatrów oraz sklepów, i że zawsze było

tłoczno, a zarazem niewymownie elegancko w tym największym europejskim burdelu...

Jeszcze nie skończył opowiadać, gdy dochodzą na miejsce i stają przed jednym z pałacowych wejść, nie szerszym niż rue de la Fromagerie, a wtedy tłum porywa ich za sobą, więc przechodzą pod łukiem i dostają się na dziedziniec z podsieniami, pośrodku którego właśnie kończy swój występ teatrzyk kukiełkowy, żegnany przez widzów wybuchami śmiechu. Jean-Baptiste ma wrażenie, że lalkarze wprawiają kukiełki w ruch kopulacyjny. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdza, że tak jest w istocie.

– Policja nigdy tu nie zagląda – mówi organista. – Księżę daje oficerom drobne upominki, więc znajdują sobie inną robotę. A sprośne marionetki to jeszcze nic w porównaniu z tym, co tu się nieraz wyprawia.

Kim są ci ludzie? Nie mają fachu, zajęcia? Ich ruchy, stroje i gromka wrzawa przywodzą na myśl karnawał, a jednak w panującym zamęciu nie widać wyraźnego centrum ani struktury. Wszystko zdaje się dziać spontanicznie, jakby każda kolejna chwila sama się wynajdywała.

– Chodź – mówi organista, pociągając Jean-Baptiste'a za rękaw płaszcza ku drzwiom kawiarni w połowie długości jednego z podsieni. – Spróbujemy tu szczęścia.

W środku jest równie tłoczno jak na zewnątrz, lecz organista wita jednego z kelnerów wyraźnie adresowanym gestem i po chwili dostaje stoliczek z dwoma trzcinowymi krzesłami w opłakanym stanie. Zamawia kawę, miseczkę słodkiej śmietanki i dwa kieliszki koniaku. Klientelę stanowią wyłącznie mężczyźni, w większości młodzi. Mówią wszyscy jednocześnie, na cały głos. Co jakiś czas ktoś czyta fragment z gazety albo puka w okno, żeby zwrócić uwagę znajomego przechodnia – może kobiety, do której chce się wyszczerzyć w uśmiechu. Kelnerzy (drobni, skoncentrowani) nawigują po wąskich, krętych ścieżkach między oparciami krzeseł. Okrzyki zamawiających kwitują ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Dwa psy rzucają się sobie do gardeł, ale panowie spuszcza im lanie i zapędzają je z powrotem pod stoły. Jean-Baptiste ściąga płaszcza, co w tej ciasnocie nie jest łatwe. Od tygodni nie był w tak ciepłym pomieszczeniu. Gorącym, zadymionym, trochę zawilgłym. Podany koniak wychyla, bo mu się po prostu chce pić.

– Lepiej? – pyta organista. On też już opróżnił kieliszek. Zamawia jeszcze po jednym.  
 – Mów mi Armand – proponuje. – Chociaż nie nalegam.

Skoro tak już siedzą naprzeciw siebie, a Jean-Baptiste rzeczywiście czuje się lepiej, może nareszcie trochę się przyjrzeć rozmówcy, temu jakiemuś Armandowi, zwłaszcza że organista nie patrzy na niego, lecz ma zwyczaj nerwowo popatrywać po wszystkich twarzach w kawiarni. Nie nosi peruki ani nie pudruje włosów. Takim włosom jak jego niewiele by zresztą pomógł puder. Ubranie (na oko sądząc – kosztowne, chociaż z bliska widać, że to tylko pozór) nie jest zgodne z żadną modą znaną Jean-Baptiste'owi. Pasiaste spodnie, obcisłe jak druga skóra. Kamizelka dwa razy krótsza od tej, którą ma na sobie inżynier, i surdut z tak szerokimi klapami, że ich czubki rozstawione są mniej więcej na szerokość ramion właściciela. Fular, na który zużyto całe naręczce zielonego muślinu. Kiedy organista chce się napić, musi odsuwać jego górny brzeg od dużych ust o nieco

fioletowym odcieniu.

– Nie spodziewałeś się zastać w kościele organisty – stwierdza, znów patrząc w oczy Jean-Baptiste’owi. – Ściśle mówiąc, powierzono mi tam kierownictwo muzyczne.

– Od jak dawna tam jesteś?

– Półtora roku.

– Czyli mianowano cię już po zamknięciu kościoła.

– A czy kościół można zamknąć jak piekarnię?

– Zapewne tak, jeżeli ktoś rozkaże.

– Zapewne, co? Niewątpliwie masz rację. Mój poprzednik zapił się na śmierć. Śmiem mniemać, że własne położenie wydawało mu się... niepokojące.

– A tobie się takie nie wydaje?

– O posadę, jak może wiesz z doświadczenia, nigdy nie jest łatwo.

– Ale przecież nie masz tam dla kogo grać.

Armand wzrusza ramionami, sięgając po drugi kieliszek koniaku.

– Jestem ja, père Colbert, Bóg. A teraz jeszcze ty. W sumie niczego sobie audytorium.

Jean-Baptiste szeroko się uśmiecha. Wprawdzie gryzie go sumienie, że siedzi w kawiarni, popijając koniak, zamiast poznawać cmentarz, i z przykrością wspomina chwile, gdy ledwo mógł oddychać w kościele, ale nie żałuje spotkania z płomiennowłosym muzykiem. Może się zresztą od niego dowiedzieć paru użytecznych rzeczy. Powierzone mu zadanie nie sprowadza się przecież do wykopania i wywiezienia kości. Przynajmniej to już zrozumiał. Będzie się borykał zarówno ze zmarłymi, jak i z żywymi.

– Jeżeli uda mi się pozostać w łaskach u biskupa – mówi Armand – to z czasem dostanę lepszą posadę. Może w Saint-Eustache.

– Nawet tam – odpowiada Jean-Baptiste – doleci cię smrodek.

– Cmentarza? Przecież już ci powiedziałem. Człowiek się przyzwyczaja. To znaczy całkiem przywyknąć się nie da, ale po jakimś czasie idzie wytrzymać. Wyrabia się nawyk. Słuchaj, zauważyłeś u Monnardów coś szczególnego?

– Że są... szacowni?

– O, tak. Bardzo szacowni. I co jeszcze?

– Rozmowni?

– Żeby ich uciszyć, trzeba by nałożyć podatek od słów. Niewykluczone zresztą, że nasi panowie rozważają ten pomysł. Ale mów śmiało. Szczerze. Co jeszcze zauważyłeś?

– Oddech?

– Otóż to. Poczuleś też zapewne, że i mój nie pachnie fiołkami. Nie potrzeba mi twojej uprzejmości. Ta przypadłość dotknie każdego, kto trochę pobędzie na Niewiniątkach.

– Mnie to też czeka?

– Masz zamiar aż tak długo zabawić?

– Nie wiem, jak długo tu zostanę.

– Nie lubisz mówić o swojej pracy.

– Na pewno by cię nie zaciekała.

– Nie? Podejrzewam, że zaciekałaby mnie ogromnie, ale nie będę cię naciskał. Porozmawiamy o czym innym. Na przykład o Ziguette Monnard. Dobrze jej się przyjrzałeś?

– Siedziałem naprzeciw niej przy kolacji.

– Nie zrobiła na tobie wrażenia? To jedna z najładniejszych dziewczyn w całej dzielnicy.

– Ładna, nie przeczę.

– Aha, nie przeczysz? Co za wspaniałomyślność! Masz kogoś w rodzinnych stronach? Gdziekolwiek one są.

– To Bellême w Normandii.

– Czyli w Bellême. Nie, widzę, że nikogo tam nie masz. No, to uważaj, przyjacielu. Jeżeli dłużej tu zabawisz, na pewno będą próbowali ją za ciebie wydać.

– Ziguette?

– Czemu nie? Jesteś przecież młodym inżynierem. Zaufanym ministra.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem jego zaufanym.

Siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna z siecią srebrzystych szram na gardle podnosi wzrok znad planszy do tryktraka, spogląda na dwóch młodzieńców i wolno wraca do gry.

– A ty? – pyta Jean-Baptiste. – Z tobą też próbowali?

– Muzycy mają mniejsze wzięcie. Dla ludzi pokroju Monnardów muzyk to ktoś niewiele lepszy niż aktor.

– Jej ojciec prowadzi sklep ze sztukami. Stać ich na to, żeby patrzeć z góry na muzyków?

– Patrzenie na ludzi z góry bardzo niewiele kosztuje. A swoją drogą, rzeczywiście brali mnie pod uwagę.

– Podobała ci się?

– Tak jak podoba się towarzystwo każdej ładnej kobiety. Ale z Ziguette trzeba uważać.

– Jakże to?

Armand zanurza palec w śmietance, oblizuje go i ociera usta.

– Wychowała się w tym domu. Mieszka tam od urodzenia. W tym powietrzu.

– I dlatego powinienem mieć się przed nią na baczności?

– Ożenić się z Ziguette – mówi Armand – to jak poślubić cmentarz. I nie idzie tu tylko o oddech. Za to mała Marie...

– Służąca?

– Oczywiście nie mówię o ożenku.

– Ty? I Marie?

– Ubogie dziewczyny z faubourg Saint-Antoine to wolnomyślicielki. Jej umysł może być pusty jak grób Zbawiciela, ale jest nowocześniejsza, niż kiedykolwiek będą Monnardowie. I może niż ty. Nie gniewaj się. Mam zresztą zamiar cię unowocześnić. Właśnie wpadłem na ten pomysł.

– A jeżeli nie czuję potrzeby pobierania nauk?

– Od kościelnego organisty? Właśnie taką postawę musimy wykorzenić, jeżeli mamy cię skaptować dla sprawy przyszłości. Dla jej partii.

– To taka partia istnieje?

– Nie ma punktu zbornego, nie ściąga składek, a mimo to istnieje tak samo niewątpliwie jak ty czy ja. Partia przyszłości. Partia przeszłości. Może niewiele zostało ci już czasu na to, żeby opowiedzieć się po tej czy tamtej stronie. Powinniśmy chyba zacząć od zmiany twojego kostiumu. Masz jakieś szczególne upodobanie do brązu?

– Coś w moim stroju cię razi?

– Nic a nic. O ile należysz do partii przeszłości. Przedstawię cię Charvetowi. Już on będzie wiedział, co z tobą zrobić. Jest nowoczesny.

– Co to za jeden, ten Charvet? Pisarz?

– Krawiec.

Zirytowany, zaintrygowany, podpity Jean-Baptiste stara się zrobić wzgardliwą minę, ale organista już znowu wpatruje się w twarze reszty obecnych. Po skończonym przeglądzie dodaje:

– Mam nadzieję, że zgodzisz się zapłacić rachunek. A potem musimy znaleźć miejsce, gdzie da się coś zjeść. Nic tak nie szkodzi rodzącej się przyjaźni jak koniak na pusty żołądek.

W podsieniach i na dziedzińcu popychanie, pokrzykiwanie, kapeluszy uchylenie, brwi unoszenie, pogoń niezmordowana za czymś, byle czym, trwa i wedle wszelkich oznak nigdy nie straci impetu. Czy to właśnie jest nowoczesność? A ci ludzie należą do partii przyszłości czy przeszłości? Czy człowiek zawsze wie, do której partii należy? Czy może być tego pewien? A jeżeli to jest tak – myśli inżynier – jak w religii matki: jednym sądzone zbawienie, innym potępienie i nie ma skąd się dowiedzieć, co kogo czeka?

Przeciskają się przez tłum (czasem muszą iść bokiem, a czasem przystanąć albo nawet kawałek się cofnąć), gdy wtem Armand znów łapie Jean-Baptiste'a za płaszcz i prowadzi przez portal salonu siódmego. W holu kobieta w ciasno zasznurowanym gorsieci przycupnęła na brzeżku taboretu za stołem, na którym stoi tylko mała puszczyka i dzwonek.

– Musisz jej dać cztery sous – mówi Armand.

Jean-Baptiste płaci żadaną sumę. Kobieta macha dzwonkiem. Mężczyzna w różowej peruce wyłania się zza kotary tegoż koloru i zachęcająco ją podnosi. Najwidoczniej zna Armanda. Dwornie kłaniają się sobie, chociaż widać, że nie traktują serio tego gestu.

– Dziś tylko Zulima – oznajmia Armand.

– Wedle życzenia – odpowiada człowiek w różowej peruce.

– Ten jegomość – mówi Armand, wskazując kciukiem Jean-Baptiste'a – pochodzi skądś z Normandii. Będzie kiedyś największym we Francji inżynierem.

– Naturalnie – uprzejmie mruczy tamten.

Prowadzi ich korytarzem, w którym pali się przyćmione światło. Po obu stronach ciężkie kotary zasłaniają, jak należy się domyślać, drzwi pokojów, lecz dwie ostatnie są nieco rozsunięte, więc Jean-Baptiste przystaje, ujrzawszy mimochodem mężczyznę, a

raczej tylko jego nagą rękę i takąż nogę, przywiązane do koła wozu, twarz porośniętą bujną brodą i wybałuszone oko o szalonym wyrazie. Któż to ma być? Damiens? Ten sam Damiens, którego na place de Grève przez pół dnia zabijano za to, że drasnął króla kozikiem? Połamano go kołem, rozplątano, lano ołów w rany, chłostano konie, żeby wyrwały mu członki ze stawów, chociaż nie podołały – biedne, niewinne zwierzęta! – dopóki kat nie podciął konającemu mięśni. Ponoć tysiące gapiów przyglądały się owego dnia z okolicznych domów...

Przy końcu korytarza czeka na niego przewodnik. Podnosi kolejną zasłonę. Jean-Baptiste pochyla się, żeby przejść pod jego ręką.

– Zulima – zaczyna tamten jak nakręcany automat – księżniczka perska, umarła tak jak Kleopatra, od ukąszenia żmii. Miała zaledwie siedemnaście lat i była nieszczęśliwie zakochana. Dzięki swej czystości – ciągnie przewodnik, odsuwając drugą, cieńszą zasłonę – tudzież kunsztowi perskich kapłanów zachowała się w nienaruszonym stanie przez ponad dwieście lat.

Dziewczyna spoczywa na postumencie, trochę podobnym do katafalku, a trochę do leżanki. U jej stóp stoją dwie świece, a druga para płonie u wezgowia. Ciało spowija całun z cieniutkiej tkaniny – tiulu, organdy, kto wie czego. Zulima jest dojrzała do zamęścia. Jest doskonała. Armand i Jean-Baptiste stoją na prawo i lewo od niej, zapatrzeni. Starszy od nich przewodnik czeka u jej stóp, pochyliwszy głowę, jakby się modlił.

– Kogoś ci przypomina? – szepcze organista.

– Nie – odpowiada Jean-Baptiste, chociaż wie, kogo Armand ma na myśli. W woskowej twarzy i obfitej figurze istotnie znać wyraźne podobieństwo do Zigarette Monnard.

Z Palais Royal idą do oberży koło La Bourse, żeby coś zjeść. Siadają przy wspólnym stole i za dziesięć sous każdy dostaje zupę z chleba i gotowaną wołowinę. W głębi sali płonie żwawy ogień. Piją wino, czerwone wino, ani dobre, ani podłe. Piją i rozmawiają, a policzki stopniowo im czerwienieją. Armand bez cienia wstydu czy zażenowania wyznaje, że porzucono go w dzieciennym wózek przed wejściem do l'Hôpital des Enfants-Trouvés. Intendenci dostrzegli jego talent i zwrócili na niego uwagę komisarzom, tym litościwym kobietom i mężczyznom, którzy chętnie przechadzali się po salach, gdzie zaświerzbione dzieci o ogolonych główkach żyły i umierały, i próbowali wyłowić spośród nich to jedno warte ocalenia.

– W takim przybytku nikt nie ma młodzieńczych złudzeń. Nie myli się w kwestii natury świata. Przed siódmym rokiem życia wszyscy byliśmy cyniczni jak opaci.

Zgadzą się co do tego, że wyzbycie się złudzeń to nieodzowne stadium przygotowawcze dla ludzi, którzy mają nadzieję wybić się w świecie. Przy trzeciej butelce wyznają sobie nawzajem, że są ambitni, wściekle ambitni, i zamierzają dzięki ciężkiej pracy i łutowi szczęścia zdobyć sławę, zanim umrą.

– I majątek – dodaje Armand, wydłubując spomiędzy zębów włókienko wołowiny. – Nie mam zamiaru umrzeć, zasłynąwszy wyłącznie ze swego ubóstwa.



Jean-Baptiste opowiada o swoim byłym mecenasie, księciu de S., o dwuletnich studiach w Ecole des Ponts, o maître Perronecie, o mostach, które pragnąłby zbudować, lekkich jak myśl mostach nad Sekwaną, Orne, Loarą...

Wino i poczucie głębokiego osamotnienia, o które nawet się nie podejrzewał, skłaniają go do wylewności, jaka na trzeźwo budziłaby w nim tylko nieufność i niechęć, gdyby okazywał ją kto inny. O mały włos nie zwierza się Armandowi, po co przyjechał do Paryża, bo organista z pewnością byłby pod wrażeniem i zrozumiałby to, co on sam (w rubinowym świetle karczemnego wina) stopniowo pojął: tę prawdę, że zniszczenie cmentarza Niewiniątek w istocie, a nie tylko w sferze retoryki, równa się zmiecieniu trującego wpływu przeszłości! I czy Armand nie przyznałby wtedy, że on, inżynier Jean-Baptiste Baratte, bezsprzecznie należy do partii przyszłości, a nawet kroczy w jej awangardzie? A może by się zaniepokoił? Przeraził? Wściekł? Co właściwie łączy Armanda Saint-Méarda z biskupem? Co powiedziano Jego Wielbności o planach ministra?

Po wyjściu z oberży sikają pod ścianą, zapinają rozporki i ruszają w dalszy rejs przez resztę popołudnia. Wciąż rozmawiają, wciąż gadają o polityce, Paryżu, o niezbywalnej godności wieśniaków („Ale ja wiem, jacy są wieśniacy – chciałby wtrącić Jean-Baptiste. – Mam wśród nich kilkudziesięciu krewnych”), lecz właściwie nie słuchają się nawzajem, a zresztą Armand już znowu wciąga inżyniera w jakieś drzwi – po ich przekroczeniu Jean-Baptiste natychmiast czuje się bardziej pijany niż na ulicy – i przedstawia mu mężczyznę o posturze dystygowanej małpki, czyli krawca Charveta, jak się po chwili okazuje.

Sklep, jeżeli tego rodzaju lokal można określić tak skromnym mianem, ozdobiony zgrabnymi mebelkami i olejnymi obrazami, ani trochę nie przypomina cuchnącej pracowni, w której ojciec Jean-Baptiste’a zwykł szyc rękawiczki. Jedynym oczywistym dowodem, że ktoś tam w ogóle pracuje, jest stojący pod oknem stół, na którym dwaj młodzieńcy o marzycielskich ruchach odcinają z beli jakąś tkaninę, lśniącą i mieniącą się niczym źródłana woda.

Charvet nie traci czasu. Armand rzuca kilka słów, Jean-Baptiste wzrusza ramionami i już krawiec bierze się do dzieła. Obchodzi wkoło inżyniera, dotykając i skubiąc, cofając się, żeby lepiej ocenić długość nogi, lekkie zaokrąglenie ramion, smukłość w pasie. Być przedmiotem takich uważnych i fachowych oględzin jest wcale miło. Jean-Baptiste nawet nie zauważa zniknięcia Armanda. Cały ten dzień ma swój własny, osobliwy impet. Inżynier już nie próbuje mu się opierać. Później się nad tym zastanowi.

– Sądzę, monsieur – oświadcza Charvet – sądzą, że uda nam się zrobić z panem coś bardzo ciekawego. Ma pan, pozwolę sobie stwierdzić, w sam raz odpowiednią figurę do nowych mód. Nie przypomina pan tych zażywnych jegomościów, których muszę nie tyle ubierać, ile przebierać za kogo innego. Pana, monsieur, możemy po prostu ubrać. Tak. Uszyjemy coś, co popłynie wraz z przyrodzonym ruchem ciała. Coś nieco swobodniejszego, choć na swój sposób jak najstosowniejszego, oczywista... Musimy opowiedzieć historię, monsieur. Opowiedzieć jasno i pięknie. Ubiorę pana nie na rok

1785, lecz na 1795. Cédric! Przynieś panu kieliszek lafitte'a. Przynieś całą butelkę. A teraz, monsieur, jeżeli raczy pan pójść za mną...

Po dwóch godzinach Jean-Baptiste przygląda się sobie – a raczej komuś – w dużym, wypolerowanym do połysku zwierciadle owalnego kształtu. Ma na sobie ubranie z pistacjowego jedwabiu, na jedwabnej podszewce w zielone i szafranowe pasy. Sięgająca szczytu uda kamizelka jest również pistacjowa, ze skromnym złotym haftem. Mankiety surduta są małe, kołnierz wysoki. Fular – także szafranowy – niemal dorównuje obfitością fularowi Armanda. Charvet i Cédric przez dłuższy czas wyciągali z ust szpilki, przycinali i szyli, obchodząc się z klientem poufale, w sposób zastrzeżony dla przedstawicieli ich fachu, dla osobistych służących, chirurgów i katów. Już prawie skończyli. Cofają się, uważając, żeby lustro ich nie objęło. Patrzą, jak Jean-Baptiste na siebie patrzy. On zaś doskonale zdaje sobie sprawę, że jest już o wiele za późno na to, aby nie kupić ubrania czy choćby je zganić. Równałoby się to potępieniu nie tylko samego Charveta, lecz w ogóle przyszłości. A tego uczynić niepodobna! Weźmie ubranie, płacąc każdą żadaną cenę. Okazuje się ona bardzo wysoka. Inżynier się rumieni. Nie ma przy sobie aż tyle pieniędzy. Krawiec rozkłada ręce. Oczywiście, oczywiście. Jutro nie będzie ani trochę za późno. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Czy młody pan ma skłonności intelektualne? Aha! Od początku tak mu się wydawało, ale nie chciał wyjść na impertynenta.

Charvet posuwistym krokiem podchodzi do lśniącej orzechowej szafy, wyjmując z jednej z szuflad obrazek w ramce i wraca z nim do Jean-Baptiste'a.

– Wolter – oznajmia, uśmiechając się do portreciku, a uśmiech ten nasuwa przypuszczenie, że gdyby krawiec był z obrazkiem sam na sam, przemówiłby doń czułymi słowy. – Widzi pan, co on ma na sobie? Tę szatę? To banian, hinduski szlafrok. Panowie o skłonnościach intelektualnych ledwie potrafią się bez niego obejść. Mam tu jeden taki, z czerwonego adamaszku. Większości klientów nawet bym o nim nie wspomniał, bo i tak by nie zrozumieli. Ale w pana wypadku...

– Tak – przerywa mu Jean-Baptiste.

– Tak?

– Biorę go.

– A poza tym, monsieur, musi pan nosić własne włosy. Za pięć lat peruka zniknie z tego świata. A na razie mam tu doskonałą perukę z harcapem, z samych ludzkich włosów, do wypożyczenia za cotygodniową opłatą...

– Ją też biorę – wtrąca Jean-Baptiste.

– A czy wziąć w zastaw pańskie stare ubranie? Mam na rue du Bac mniejszy zakład, w którym obsługuję... hmm, bardziej zachowawczo usposobioną klientelę. Może mógłbym je tam sprzedać?

– Jak pan sobie życzy.

– To zależy od pańskiego życzenia.

– W takim razie zgoda. – Jean-Baptiste wzrusza ramionami. – Tak.

Wydostawszy się z objęć Charveta i z jego sklepu, inżynier przechodzi na drugą stronę

place des Victoires i skręca w rue de la Feuillade, w stronę targowiska i domu Monnardów. Wiatr wzmógł się tymczasem. Wieje kurzem prosto w twarz, aż chce się kichać. Nowe ubranie mniej grzeje niż stare. Nie jest też darem od zmarłego ojca. Jean-Baptiste przyciska do piersi paczkę z banianem. Odór cmentarza z każdym krokiem gęstnieje, lecz inżynier i tak parę razy zmuszony jest przystanąć z wahaniem, spojrzeć przed siebie, a potem przez ramię, upatrując punktów orientacyjnych w jakiejś bramie, jakimś filarze, bezlistnym drzewie, kamiennym korycie. Czy już je kiedyś widział? Wtem stwierdza, że stoi u wylotu rue de la Fromagerie. Okiennice sklepików już pozamykano, wózki stoją oparte na drążkach, bruk jest mokry od pomyj. Na rogu klęczy żebrak, lecz poza tym ulica jest pusta. Nędzarz podnosi głowę, zsuwając kaptur, żeby pokazać wrzody, lecz w chłodzie nowych kieszeni Jean-Baptiste nie znajduje dlań drobnych. Obaj mamroczą – jeden przeprosiny, drugi przekleństwo.

Je kolację z Monnardami. Czy widzą, że pił, przebirbantował cały dzień? Może jego wygląd tak ich oszałamia, że niczego nie zauważają. Widocznie pistacjowy jedwab potrafi wzbudzić coś w rodzaju zdumienia. Kobiety chciałyby dotknąć tej tkaniny, ale nie śmia. Monsieur Monnard sprawia wrażenie zacukanego. W zadumie ciągnie się za płatki uszu, jakby doił dwa maleńkie wymionka.

Siedzą przy stole. Jean-Baptiste nie ma apetytu. Wypija kilka kieliszków wina monsieur Monnarda, ale u Charveta pił lafitte, więc to wińsko smakuje tym, czym jest, czyli głównie wodą.

Po kolacji madame zaprasza go, żeby został posłuchać, jak Ziguette gra na fortepianie.

– Kiedyśmy go tu sprowadzili, monsieur, od samego patrzenia aż mi krew poszła z nosa, słowo daję! A na ulicy taki tłum. Wszyscy wiwatowali, kiedy wjechał przez okno, podniesiony dźwigiem. Mówię do męża: „Myślałby kto, że gapią się, jak kogoś wieszają”!

Jean-Baptiste siedzi, skąpany we własnej jasnozielonej poświacie, a Ziguette gmera palcami w jakiejś nieznannej mu melodii. Czy instrument aby na pewno jest nastrojony? Czy można celowo grać takie dźwięki? Dziewczyna ma na sobie wydekoltowaną suknię z wełny cytrynowego koloru i śledzi ruchy własnych dłoni, w skupieniu wydymając usta, a jasny lok opadł jej na czoło i skacze jak spirala, ilekroć Ziguette podnosi głowę, żeby zerknąć z ukosa w nuty. Jean-Baptiste myśli o Zulimie z sutkami jak pestki brzoskwiń, martwej od dwustu lat. Muzyka milknie. Inżynier bije brawo razem z tamtymi, ale musi jeszcze odsiedzieć drugi utwór, a potem i trzeci. Madame Monnard promiennie się do niego uśmiecha, kiwając głową. Przez rozpoczęciem czwartego utworu Jean-Baptiste niezdarne wstaje, wymawiając się niedyspozycją.

– To nic poważnego, mam nadzieję? – pyta madame.

Inżynier zapewnia ją, że to drobiazg.

W pokoju jest równie zimno jak poprzedniego wieczoru, czyli o kilka stopni chłodniej niż na dworze. Wciąż nie ma drewna. Pomówi o tym z Marie, kiedy będzie szła do siebie na poddasze, poprosi, żeby się tym zajęła, chociaż sądząc po jej dotychczasowym zachowaniu, wydaje mu się całkiem prawdopodobne, że dziewczyna nie kiwnie palcem.

Czy to dowód jej wolnomyślicielstwa? Nie jest pewien (choć ta myśl natychmiast wprawia go w zakłopotanie), czy bardzo sobie ceni nowoczesność, skoro ma przez nią pusty kominek i pustą umywalkę.

Rozwija paczkę, rozpościera banian na łóżku, zdejmuje pistacjowy surdut i starannie go składa, po czym wciąga na siebie banian. Ten okazuje się bardzo obszerny. Spowija go całego. Mógłby chyba spowić dwóch takich jak on. Jest jeszcze czapka (prezent od monsieur Charveta), tarbusz z tej samej czerwonej tkaniny. Jean-Baptiste zdejmuje perukę i wkłada czapkę. W rozjaśnionym tylko świecą półmroku lustro wygląda jak wenecki senator. A zarazem trochę jak dziecko, które zakradło się do pokoju rodziców i włożyło ubranie ojca. Chociaż akurat jego ojciec nie mógł mieć takiego szlafroka. Nie podobałby mu się ten strój i wcale a wcale by go nie cieszyło, że najstarszy syn w czymś takim paraduje. Może by go nawet wyśmiał, zawrzał gniewem.

Od własnego odbicia w lustrze wędruje spojrzeniem ku rycinie z mostem Rialto, wiszącej na gwoździu nad kominkiem. Ilekroć przywdzieje ten strój, musi rozmyślać o sprawach wzniosłych. Nie wystarczy zgrywać filozofa. Trzeba czytać, pracować, myśleć. Podciąga poły banianu gestem podpatrzonym u kobiet na zabłoconych ulicach i siada przy stole, przysuwa sobie świecę i otwiera *Histoire naturelle. Volume II* Buffona. Zamiast zakładki używa jasnej słomki. Marszczy brwi nad stronicą. Systematyka ryb. Dobrze. Znakomicie. Dopiero po przeczytaniu całego akapitu słowa zaczynają odpływać czarnymi, migotliwymi ławicami, pozostawiając nagie obrazy minionego dnia, tego haniebnego, niewybaczalnego marnotrawstwa czasu i pieniędzy. Widzi wewnątrz kościoła Niewiniątek, widzi Armanda, przycupniętego jak olbrzymi chochlik na ławie przy organach, widzi, jak obaj kryją się przed księdzem, widzi kobietę, Austriaczkę, jak kupuje gomółkę sera i patrzy na nich, przez chwilę patrzy wprost na niego, ta kobieta nie na miejscu, niepasująca. A potem Palais, kukielki zderzające się drewnianymi biodrami, woskowa księżniczka. I Charvet z uśmiechem lśniącem od szpilek...

Wkłada słomkę między kartki, zamyka książkę i zaczyna obracać w dłoniach mosiężny liniał. Bóg jeden wie, gdzie się podziewa Marie. Trzeba z nią rano pomówić. Nie można dłużej czekać.

Zdejmuje buty i pistacjowe spodnie. Z zaciekawieniem, a i z lekkim zmieszaniem, stwierdza, że dostał wzvodu. Dziwna rzecz: ten skutek uboczny picia, popędliwego wina. Przez połę koszuli łapie się za kutasa. Czy życie ciała jest życiem prawdziwym? A umysł to tylko dziwaczne światło, tak jak ognie Świętego Elma, które marynarze widują, krążące wokół wierzchołków masztów pośrodku Atlantyku? Smakuje tę drobną pensée (choć ani trochę w nią nie wierzy), trzymając kutasa jak pióro, którym mógłby ją zapisać, gdy raptem wzdryga się, bo z korytarza dobiega jakiś odgłos, powolne szuranie pazurami po drewnie, dźwięk coraz bardziej swojski. Czeką. Znow to skrobanie. Podchodzi do drzwi. Kiedy je otwiera, Ragoût spogląda na niego z dołu żółtymi ślepiami o nieodgadnionym wyrazie, które zdają się pałać własnym blaskiem jak niektóre kwiaty o zmierzchu. Jean-Baptiste kuca i zaczyna głaskać stworzenie po łebku, po zmaltretowanym uchu.

– Dobrze, przyjacielu – mówi. – Tylko mi w środku nocy nie wraź w gardło pazurów. Milknie, bo z drugiego końca ciemnego korytarza słychać szmer czyjegoś ruchu. Mruży oczy. To Zigulette Monnard. W nocnej koszuli. Z rozpuszczonymi, wyszczotkowanymi włosami.

– Kot – mówi Jean-Baptiste.

– Ragoût – odpowiada dziewczyna.

– Tak. – Nie może się wyprostować, bo wciąż mu stoi. Nawet w półmroku nie zdołałby tego ukryć. – Chyba już późno – dodaje.

– Mam nadzieję, że kontent pan z mieszkania – mówi Zigulette.

– Na pewno nie będę narzekał.

– Zaczął pan już pracę?

– Poczyłem... przygotowania.

Zigulette kiwa głową.

– Zatem dobranoc, monsieur.

– Dobranoc, mademoiselle.

Dziewczyna odwraca się i znika w swoim pokoju. Jean-Baptiste stoi, masując sobie plecy, a po chwili spogląda na niedorzeczną kukielkę między swoimi udami, która wreszcie pomału się kłoni. W nogach łóżka Ragoût liże sobie łapy. Jean-Baptiste wzruszeniem ramion zrzuca z siebie banian, przewiesza go przez oparcie krzesła, zdmuchuje świecę i po omacku wślizguje się w nieco zawilgłą pościel. A potem...

– Kto ty jesteś? Jean-Baptiste Baratte. Skąd pochodzisz? Z Bellême w Normandii. Kim jesteś z zawodu? Inżynierem wykształconym w Ecole des Ponts....

Nie w każdą noc brzmi to całkiem przekonująco.

Przez cmentarz Niewiniątek idzie dziewczyna. W jednej ręce niesie kurę, trzymając za szpagat krępujący nogi ptaka; w drugiej taszczy wiklinowy kosz, a w nim warzywa, trochę owoców, bochen ciemnego chleba. Jak zwykle była na targu jako jedna z pierwszych; jej szczupła sylwetka i gęste kasztanowe włosy to znajomy widok dla służących, które przeważają wśród porannej klienteli. Gdy zatrzymuje się przy straganach, przekupnie nigdy nie próbują jej oszukać. Nie musi też ścisnąć ani macać towaru, wachać ani targować się wzorem podkuchennych o splekanych palcach lub kościstych matriarchiń przetrzebionych rodzin, żyjących o krok od nędzy. Obsługują ją szybko i z szacunkiem. Mogą spytać o zdrowie dziadka, o jego sztywniejące stawy, lecz nikt długo jej nie zatrzyma. Nie żeby jej nie lubiano. Za cóż można by nie lubić Jeanne? Ale ona przybywa zza cmentarnego muru, z miejsca, o którym w ostatniej ćwierci osiemnastego stulecia wielu wolałoby zapomnieć. Jest urocza, ładna, dobrze wychowana. Jest zarazem małą emisariuszką śmierci, jej zwiastunką o kasztanowych włosach.

W ten zimny, pięknie słoneczny ranek jej cień wraz z cieniem kury sunie po sztywnej trawie, gdy Jeanne idzie ścieżką znaczoną tylko śladami jej własnych stóp od furty na rue aux Fers do domu grabarza przy rogu kościoła. Ziemia miejscami bywa nierówna, a w płytkich zagłębieniach po zapadniętych grobach trawa leży pokotem. Nieostrożny, nieznający drogi przechodzień mógłby wpaść w jeden z tych dołków, ugrzęznąć po pas albo i po ramiona, a nawet całkiem zniknąć. Ale nie Jeanne.

Dziewczyna staje przy krzyżu kazalniczym, tej kolumnie z kamienia i żelaza, z której mężczyźni o obłąkanych wejrzeniach zapewne pochylali się niegdyś nad tłumem, wygłaszając gniewne tyrady. U dołu schodków wyrosła kępa miesięcznicy, a jej łuszczyzny błyszczą w słońcu jak monety. Jeanne schyla się, żeby ich narwać, łamiąc suche łodygi, i wkłada je do kosza. Na cmentarzu mało co już rośnie. Ziemia jest spracowana, chociaż dziadek, grabarz od pięćdziesięciu lat, opowiadał, że gdy tam nastał za młodu, cmentarz wiosną przypominał wiejską łąkę, a za czasów poprzedniego grabarza ksiądz i miejscowi ludzie paśli tam inwentarz, trawę zaś koszono na siano.

Jeanne podnosi z ziemi kurę. Ledwie ptak zwiśnie głową w dół, natychmiast znowu wpada w odrętwienie. Dziewczyna idzie po linii biegnącej tuż poza skrajem rozległego cienia, który rzuca kościół. Idzie niespiesznie, nasłuchując odgłosów miasta, dobiegających zza muru, porannej paryskiej krzątaniny: gęgania gęsi w kojcach na targu, głosu sprzedawczyni krewetek, która śpiewnie zachwala swój towar, płaczu niemowląt w domu mamki na rue de la Ferronnerie...

W jej wczesnym dzieciństwie (ostatni pogrzeb odbył się, gdy miała dziewięć lat) cmentarz rozbrzmiewał własnymi odgłosami. Stukały murarskie narzędzia, zgrzytały łopaty, bił dzwon. Teraz jednak (bo też ile hałasu narobić mogą dziewczyna i starzec?) panuje tam cisza, którą zakłócają tylko nieproszeni goście, przekradając się nocą przez

mur. Zimowym świtem przed dwoma laty w narożniku przy rue de la Lingerie stoczono pojedynek. Jeanne i jej dziadek wyraźnie wszystko słyszeli z domu: przez chwilę szczęk oręża, a na koniec krzyki. Dziadek odczekał, aż się całkiem rozwidni, i dopiero wtedy wyszedł. Po walczących została tylko zdeptana trawa i zakrwawiony strzęp koszuli.

Przychodzą też kochankowie: jeśli idzie o te sprawy, mało jest rzeczy, których Jeanne jeszcze nie widziała. Nie dalej jak w sierpniu pod osnutym mgłą żółtym księżycem podglądała chłopaka (zapewne tragarza, sądząc po budowie ciała) i nie starszą od siebie dziewczynę, piękną jak królowa elfów. Dziewczyna miauczała jak kotka, kiedy chłopak jej dogadzał, i to nie raz, ale trzy lub cztery, przerywając tylko po to, żeby chwilę popatrzeć na księżyc i napić się z przyniesionej butelki, którą Jeanne znalazła nazajutrz, opartą o grobowiec Peyronów, bo to on służył im za łóżko. Na dnie został jeszcze łyk wina, więc go skosztowała, czując, jak spływa jej gardłem, a butelkę schowała w jamie pod grobowcem.

Czasem – ale tylko z rzadka – widuje starego księdza w okularach, ogromnego bezskrzydłego nietoperza o zmroku. Kiedy indziej zdarza jej się ujrzeć rudowłosego muzyka, gdy ten wychodzi, żeby sobie ulżyć, i zawsze wita ją machnięciem ręki. Chciałaby zobaczyć jego dłonie. Na pewno są niezwykle, bo inaczej nie umiałby przecież zagrać tej muzyki, która kilka razy w miesiącu sączy się przez czarne mury kościoła, aż serce Jeanne zrywa się do galopu.

Przed domem podnosi głowę, wystawiając twarz na ciepłe jesienne słońce, a gdy czuje, że pod jego kojącym dotykiem nieco odżyła, wchodzi do środka. Dziadek jest w kuchni. Jeanne podaje mu kurę, żeby zanurzył palce w piórach. Starzec lekko chrząka z aprobatą, a potem wskazuje podbródkiem przyległe do kuchni biuro grabarza. Jest to izba o bielonych ścianach i wąskim, łukowo sklepionym oknie, w której na uginających się półkach stoją w rzędach niezliczone tomy dokumentów pokrytych kurzem, mysimi odchodami i zwariowanym marmurkowym deseniem plam wilgoci. Przy biurku stoi jakiś mężczyzna, a przed nim leży otwarty jeden z tomów. Nieznajomy wpatruje się w dokument, przewraca stronicę, zasłania twarz chustką, zamyka oczy, bierze głęboki wdech i wpycha chustkę z powrotem do kieszeni rozpiętego płaszcza. Między rozchyłonymi połami widać surdut, zielony jak środek sałaty.

Kura cicho gdacze. Mężczyzna odwraca się w stronę kuchni. Kiwa głową dziewczynie, a gdy ta milczy, przedstawia jej się imieniem i nazwiskiem.

– Przeglądam dokumenty – wyjaśnia.

– Widzę – mówi Jeanne.

Mężczyzna znów kiwa głową, wracając do księgi.

– Możemy pana poczęstować winem, monsieur – proponuje Jeanne. – I mamy troszkę kawy.

On kręci głową, znów z chustką przy twarzy. Chustka nasączona jest perfumami, które dziewczynie wydają się tak mocne, że prawie nieprzyjemne. Dziadek wychodzi z kurą przed dom.

– Pan cudzoziemiec? – pyta dziewczyna.

– Pochodzę z Normandii – wyjaśnia mężczyzna, sunąc palcem w dół, wzdłuż brzegu starannie wykaligrafowanej atramentem kolumny nazwisk i dat. Jesienią 1610 roku wyzionęło ducha siedem osób z rodziny Flaselle. Siedmioro po kolei w niecały miesiąc.

– Takem i myślała.

– Dlaczego?

– Jeszcze nigdy pana nie widziałam.

– Znasz wszystkich w Paryżu?

– W dzielnicy.

– Znasz rodzinę Flaselle?

– Nie. Nie ma tu takich.

– Kiedyś byli – mówi mężczyzna.

Zamyka tom i podchodzi do dziewczyny. Zza okna słychać szalone gdakanie, które raptem milknie.

– To ty jesteś Jeanne? – pyta mężczyzna.

– Tak – odpowiada dziewczyna, bezgłośnie śmiejąc się z zaśpiewu w jego głosie.

– Dziadek powiedział, że oprowadzisz mnie po cmentarzu. Że wiesz, gdzie są doły.

– Jakie doły?

– Zbiorowe groby.

– Są wszędzie – mówi Jeanne.

– Ale możesz mi je pokazać?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Jeśli tak pan sobie życzy.

Starzec wchodzi z kurzą głową w jednej dłoni i trochę jeszcze wierzgającą resztą w drugiej. Krople krwi padają jak ziarna na kamienną posadzkę kuchni.

Zaczynają od południowej kostnicy – podsienia z poczerńiałych kamieni, przyległego do rue de la Ferronnerie. Niektóre z prowadzących do niej łuków zamyka zardzewiała żelazna brama wysokości dorosłego mężczyzny; inne są otwarte. Nad łukami każdy, kto wejdzie na cmentarz, natychmiast dostrzeże poddasza, a na nich ciasno upchnięte za żelaznymi kratami kości, niektóre czarne jak otaczające je kamienie.

Jean-Baptiste po sekundzie wahania wchodzi jednym z łuków. Na kamieniach pod stopami widzi napis. Kuca, dotykając go czubkiem palca. Henri taki a taki, powalony, syn jego także, ukochane coś tam, czyjaś małżonka, niegdyś, pobożny, ulotne, miłośnik, ciało, wieczność, czternaście czegoś tam.

Wstaje i idzie kawałek podsieniem. Światło pada tam dziwnie, jedne rzeczy ukazując wyraźnie, innych zaś wcale. Jean-Baptiste widzi delikatny ornament kamiennych kwiatów i kamienną kobietę zasłaniającą twarz kamiennym woalem. Wąskie schodki zapewne wiodą na poddasza. Inżynier niechcący trąca butem okrusz muru, a gdy ten ze stukotem toczy się po ziemi, natychmiast słychać, jak czmychają żywe stworzenia, niewidoczne, lecz bliskie. Jean-Baptiste spiesznie zawraca ku otwartej przestrzeni.

Ma ze sobą kajet i płócienną miarkę na szpuli. Zabierając się do mierzenia, prosi Jeanne, żeby przytrzymała jeden koniec miarki, a sam piórem ze stalówką, którą macza w



przenośnym kałamarzu, pisze i szkicuje w kajecie. Zadaje wiele pytań. Dziewczyna odpowiada na wszystkie, a on ze zgrzytem stalówki przenosi te odpowiedzi na papier. Co pewien czas zamyka oczy i wyjmuje z kieszeni chustkę. Pyta Jeanne, czy umie czytać.

– Troszkę – mówi dziewczyna, wskazując palcem inskrypcję na jednym z kamieni. – „Hic jacet” – czyta. – A tam „Hic requiescit”. Tam znów „Hic est sepultura”.

Jean-Baptiste kiwa głową, prawie się uśmiechając.

– Pan to dopiero umie czytać – mówi Jeanne.

– Jestem inżynierem. Wiesz, co to takiego?

– Coś jakby ksiądz?

– My budujemy. Wznosimy budowle.

– Takie jak ściana?

– Takie jak most.

Jean-Baptiste pyta, gdzie jest najnowszy ze zbiorowych grobów. Dziewczyna prowadzi go tam. Inżynier patrzy na ziemię, rozgląda się wokoło. To miejsce w żaden oczywisty sposób nie różni się od sąsiedniego spłachetka ziemi.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– I zamknięto go, zasypano pięć lat temu?

– Tak.

– Byłaś wtedy mała.

– Tak.

– Ale pamiętasz?

– Pamiętam.

Idą dalej. (On nie może ustać w miejscu.) Dół za dołem.

– A ten? Jest starszy od poprzedniego?

– Tak.

– A ten?

– Jeszcze starszy.

Jean-Baptiste szkicuje plan. Dziewczyna patrzy, jak on dzięki lekkim zmianom nachylenia stalówki potrafi kreślić cieńsze i grubsze linie. A także rysunki i słówka. Jest w tym swoiste piękno.

– A to co? – pyta Jeanne, wskazując jakiś zygzak, jeden z kilku, które inżynier nakreślił w jej obecności, kształtu połowy czaszki.

– Znak zapytania – wyjaśnia Jean-Baptiste. – Oznacza niepewność.

Dziewczynie rzednie mina.

– Czyli nie wierzy mi pan – stwierdza.

Inżynier zapewnia ją, że wierzy, ale to, co pod ziemią, jest ukryte. A o rzeczach ukrytych nic pewnego nie wiadomo.

– Może panu – mówi Jeanne bez odrobiny zadziorności.

Jean-Baptiste chwilę jakby się zastanawiał, a potem zamyka kajet i kałamarz, wyciera stalówkę.

– Na dziś koniec – oznajmia. A gdy idą z powrotem do domu grabarza, pyta: – Nie chciałybyś stąd się wyprowadzić? Przenieść się w inne miejsce?

– Nie znam innych miejsc – odpowiada Jeanne. – A zresztą, kto by się nimi opiekował?

– Czyli kim?

Dziewczyna zatacza ręką łuk.

– Umarłymi – wyjaśnia.

Po rozstaniu z Jeanne i ze starym grabarzem inżynier idzie do kościoła. Dziewczyna pokazała mu drzwi, którymi dostanie się do środka: nie te wielkie, przeznaczone zapewne dla nieboszczyków i konduktów żałobnych, lecz mniejsze, tuż obok tych dużych, tak niskie, że musi schylić głowę. Przemierza paroma krokami czarny jak piekło przedsionek i kolejnymi drzwiami wchodzi do kościoła. Jest w tylnej części południowej nawy. Widzi przed sobą część rozety nad ołtarzem. Żaden odgłos ani inny znak nie wskazuje, żeby jeszcze ktoś oprócz niego tam był. Rusza zygzakiem z prawa na lewo, przechodząc za klęcznikami, mijając śniące kolumny; idzie w poprzek nawy i mija otoczony balustradą grobowiec, na którym rycerz w zbroi spoczywa przy swojej metalowej żonie, a oboje składają smukłe dłonie w modlitewnym geście. Dociera do północnej ściany i podchodzi do organów. Tym razem nie zastaje tam Armanda Saint-Méarda. Przyjmuje to z lekkim rozczarowaniem, ale i z niejaką ulgą. Podziw organisty dla jego nowego ubrania mógłby mu dodać otuchy. Mogłoby to też jednak oczywiście stać się wstępem do kolejnego dnia strwonionego na picciu i łaździe.

Siada na ławie przy organach i przebiera palcami nad klawiaturą. Po prawej i lewej stronie są rzędy registrów – gałki zgrabnie wytoczone z drewna, a niektóre chyba z kości słoniowej. Wyciąga jedną, pochyla się i próbuje odczytać widoczne na niej litery, ale mają zbyt wymyślnie gotycki krój, a w dodatku napis jest tylko skrótem, przypominającym symbol związku chemicznego. Jean-Baptiste wsuwa gałkę z powrotem. W całym kościele jedynie ten instrument budzi w nim jakąkolwiek ciekawość i sympatię. Czy nie dałoby się go ocalić? Rozebrać, zawinąć poszczególne części, przechować je i na powrót złożyć w całość?

Wstaje, schodzi do nawy i wśród murarskich detali oraz tablic, materialnych i niematerialnych cieni, wypatruje drzwi wychodzących na rue aux Fers, gdy raptem z jakiegoś nieprzeniknionego obszaru podsklepiennej ciemności spada nań czyjś głos, niemal go miażdżąc:

– Hej, ty tam! Ktoś zacz?

Strasznie być tak widzianym, samemu nie widząc obserwatora. Wytrzeszcza oczy ku górze, krzywiąc twarz, jakby spodziewał się usłyszeć gromki łopot skórzastych skrzydeł.

– Tyś nie muzyk! Znam odgłos jego kroków. Coś za jeden?

Echa, czarne stada ech pod sklepieniem. Nie sposób ustalić źródła.

– Odpowiadaj, łotrze!

Nareszcie dostrzega drzwi i za trzecim razem udaje mu się trafić kluczem w dziurkę, ale stwierdza, że to klucz do domu Monnardów, więc dopasowuje inny, przekręca go, ciągnie za klamkę...

– Kim jesteś? No, kim!?

I wreszcie jest na zewnątrz, na rue aux Fers. Ulicy nie trawi ogień. Nie ma tam żadnych poczwar z Hieronima Boscha rodem, blade kobiety nie oddają się demonom, wyrzucone na brzeg wieloryby nie womitują dusz. Przy włoskiej fontannie pracuje pół tuzina praczek. Bruk wokół nich lśni. Dwie rzucają okiem w stronę Jean-Baptiste'a, może zdziwione, że ktoś wychodzi z kościoła, jakiś mężczyzna, którego nigdy nie widziały, wkrótce jednak wracają do pracy, zanurzając zimne ręce w zimnej wodzie. Pościel sama się nie upierze.

Siedzi w swoim pokoju, okutany adamaszkiem, i przez odsłonięte okno patrzy na kościół. Zachodzi słońce, lecz kamienie Niewiniątek odbijają zaledwie cząstkę jego światła. Przez chwilę okna sinieją ogniem, który wydaje się raczej odbłaskiem jakowegoś całopalenia trwającego właśnie w kościele niż czegoś tak dalekiego, tak dobrotliwego jak czerwone słońce pod koniec października. A potem światło raz jeszcze rozbłyskuje, zanim zblaknie i odpłynie, a cała fasada zestali się w jednolitą ciemność.

Wstaje z krzesła, ciekaw, czy uda mu się dostrzec migotanie pierwszej wieczornej świecy w domku grabarza, ale nic się tam nie świeci, jeszcze nie. Może oni tak jak normandzcy wieśniacy i ich bydłota chodzą spać, gdy tylko robi się za ciemno, żeby pracować.

Czy dziewczyna jest nie całkiem rozgarnięta? Nie wydaje mu się, żeby tak było. Ale czy może polegać na jej opisie tego, co znajdzie pod szorstką trawą, kiedy już zacznie kopać? To pewnie jedyne wyjście, bo nie bardzo ma czym się kierować prócz wspomnień starego grabarza, no i dokumentów, na których od pokoleń wieczerają myszy...

Odwraca krzesło i siada przodem do stołu. Sięga po hubkę i krzesiwo, niezręcznie zapala własną świecę i przysuwa ją do brzegu kajetu, w którym rano porobił notatki. Ogląda szkice, przesuwa palcem po cyfrach, próbując potraktować to wszystko jak jedno z czysto inżynierskich zadań, które w szkole mimochodem rzucał uczniom maître Perronet po drodze do gabinetu. Tyle a tyle metrów kwadratowych gruntu, tyle a tyle wozów z... odpadkami. Tylu a tylu robotników, tyle a tyle godzin. Rachunek. Równanie. Voilà! Oczywiście musi zostawić niewielki margines na nieprzewidziane zdarzenia. Perronet twierdził z naciskiem, że konieczna jest pewna elastyczność, pewien luz, uwzględniający tę odrobinę niepewności, która miesza szyki każdemu przedsięwzięciu, a z którą naiwny adept inżynierii zaczyna się liczyć dopiero poniewczasie.

Starannie wydziera z końca kajetu czystą kartkę, otwiera kałamarz, macza stalówkę i pisze.

Panie!

Przeprowadziłem wstępne oględziny zarówno kościoła, jak i cmentarza, i nie widzę powodu, żeby odwlekać rozpoczęcie pracy, którą mi Wasza Miłość powierzył. Trzeba będzie nająć co najmniej trzydziestu krzepkich mężczyzn do robót na cmentarzu i drugie tyle do kościoła, a część z nich powinna mieć pewne doświadczenie w dziedzinie prac wyburzeniowych. Potrzeba mi też koni, wozów i sporego zapasu drewna budowlanego.

Co się tyczy cmentarza, to prócz usunięcia szczątków z krypt, kostnic i zbiorowych mogił zalecałbym zebranie z całej powierzchni nekropolii dwumetrowej warstwy ziemi i wywiezienie jej z miasta w jakąś niezamieszkaną okolicę albo i aż nad morze, aby ją w nie zsypać.

Pozwolę sobie spytać, czy przygotowano odpowiednie miejsce gwoli umieszczenia w

nim materiału ludzkiego. Co należy zachować z kościoła prócz przedmiotów natury sakralnej, relikwii etc.? Są tam na przykład organy niemieckiej roboty, które można by, gdyby Wasza Miłość sobie tego życzył, rozebrać takim sposobem, aby dało je się na powrót złożyć.

Waszej Miłości sługa unizony,

J.-B. Baratte, inżynier

Nie ma piasku do posypania mokrego atramentu. Dmucha więc na papier, a potem wyciera stalówkę. Z parteru słychać głuchy dźwięk gongu wzywającego na kolację. Kolejną porcję trupiej strawy. Jean-Baptiste wzruszeniem ramion zrzuca banian, sięga po pistacjowy surdut, ale przed zejściem na dół przystaje ze świecą w dłoni przy oknie. Jest to oczywiście tylko kaprys fantazji, całkowicie irracjonalny odruch, który nie bardzo miałby ochotę komukolwiek wyjaśniać, lecz porusza świecą w lewo i w prawo, jakby dawał znaki. Komu? Kto, jaki stwór mógłby patrzeć stamtąd, z tego mrocznego pola? Jeanne? Armand? Ksiądz? Jacyś pustoocy wartownicy spośród miliona umarłych? A może jakieś późniejsze wcielenie jego samego stoi w jeszcze nienadeszłym czasie i widzi w oknie wysoko nad sobą migoczące światełko? Jakież barokowe esy-floresy potrafi spłodzić umysł, nawet taki jak jego! Nie powinien im folgować, bo w końcu gotów uwierzyć w tę stworę, o której wspomniał minister, w wilkopsa z kostnic.

\*

Gwiazdy nad Paryżem są okruchami szklanej kuli, rzuconej w niebo. Temperatura spada. Za parę godzin pierwsze kwiaty szronu zakwitną na trawie placów defilad, parków, królewskich ogrodów, cmentarzy. Świece w ulicznych latarniach kapią woskiem. Przez ostatnie pół godziny przed zgaśnięciem palą się kopcącym pomarańczowym płomieniem, który tylko je same oświetla.

We włościach bogaczy wartownicy okrzykują godzinę. W ruderach biedoty niekształtne postaci próbują skryć się nawzajem w swoim cieple.

U Monnardów w klitce tuż pod dachem służąca Marie klęczy w ciemnościach. Zwinęła chodnik i przytknęła oko do dziury po sęku, przez którą widać pokój lokatora i jego łóżko. Organistę też tak podglądała, ale to nie ona zrobiła dziurę. Namacała ją palcem stopy tydzień po tym, jak się zgodziła do pracy.

Powietrze z pokoju lokatora wznosi się ciepłym słupem rozrzedzonego dymu i gryzie ją w oko. Inżynier wieczorem rozpałił ogień który wciąż płonie na tyle jasno, że Marie widzi, jak mężczyzna leży pod kołdrą, widzi jego blade usta i miękkość wokół zamkniętych oczu. Na stole przy łóżku spoczywa otwarty kajet, a obok niego mosiężna sztaba do pomiarów. I przybory do pisania.

Marie lubi podpatrywać chwilę, dokładnie tę chwilę, gdy zasypiają. Jest na swój sposób kolekcjonerką i podczas gdy szczęśliwsze, zamożniejsze dziewczyny mogą zbierać napastrki albo fikuśne guziki, ona musi zadowolić się tym, co nic nie kosztuje. Oczywiście musi być ostrożna. Dziurka w podłodze nie może jej zdradzić. Żaden lokator nie ma prawa ujrzeć nad sobą lukrecjowego połysku ludzkiego oka.

Ten tutaj, ten nowy, szarooki cudzoziemiec, leży na wznak, nieco skręcony w prawo, z

prawą ręką wyciągniętą w dół, na zewnątrz, na kołdrze. Dłoń odwrócił wnętrzem do góry i lekko zgiał palce. Czyżby drżały? A może to tylko zwodniczy poblask żarzących się węgli? Marie przeciera oko i znowu spogląda. Ma wrażenie, że lokator z tej rozwartej dłoni wypuścił samego siebie, więc jego umysł toczy się po podłodze jak kłębek czarnej włóczki i rozwija się, rozwija...

O dziesięć cichych ulic na wschód w mieszkaniu na pierwszym piętrze przy rue des Ecouffes leży w wielkim łożu Armand Saint-Méard z dorodną kobietą, właścicielką domu, a zarazem swoją kochanką, Lisą Saget, owdowiałą matką dwójki dzieci i jeszcze dwojga innych, które poszły do ziemi, zanim skończyły pięć lat. Kobieta prawie przez sen wymyka się z łóżka, kuca nad wiadrem, sika, podciera się szmatą i wraca pod kołdrę. Kiedy znów się kładzie, dłoń organisty sennie wędruje w górę po jej udzie, wygrywa na gorącej skórze powolny pasaż i nieruchomieje, spoczywa.

Na zachodzie (na zachód od cmentarza i ucichłego targowiska, dość blisko kościoła Saint-Eustache, żeby w porze bicia dzwonów nie dało się rozmawiać bez podnoszenia głosu) Héloïse Godard, zwana Austriaczką, siedzi ubrana na brzegu łóżka, czytając *Cierpienia młodego Wertera* Johanna Wolfganga von Goethego.

Książkę tę, tak jak i resztę swojej biblioteczki, dostała w ramach zapłaty od monsieur Ysbeau – miłego uczonego jegomościa, który prowadzi nad rzeką dwa duże stragany z książkami. W pierwszy wtorek miesiąca Héloïse wybiera sobie tomik z któregoś pudła, podczas gdy bukinista ze spodniami spuszczoneymi do kostek siedzi za nią na taborecie. Odwracając się twarzą do niego, kobieta ma z udawanym oburzeniem zbesztać go najwybrańszymi słowami, a on wtedy przeprosza, podciąga spodnie i paroma zręcznymi ruchami zawija książkę w papier.

Nauczyła się czytać dzięki rodzicom, właścicielom oberży przy drodze z Orleanu do Paryża. Chcieli oni, żeby pozostała w branży, a zadaniem nauczania jej liter obarczyli pewnego curé, który pochylał się wraz z nią nad elementarzem, a przy okazji zaznajamiał z tym, co miała pod halkami. Potem tak samo obeszło się z nią kilku stałych bywalców zajazdu, hojniej niż inni szastających pieniędzmi, i to często pod okiem rodziców, którzy widocznie uważali tego rodzaju podchody za przypisane do ich fachu, a więc całkiem do przyjęcia, skoro postanowili ignorować jej łzy i błagalne spojrzenia, aż zrozumiała, że zamiast liczyć na cokolwiek z ich strony, musi ukryć przed nimi i resztą świata wszelkie oznaki tego, co czuje.

Świece to największy luksus, na jaki sobie pozwala. Czyta wyłącznie nocą, wśród nocnej ciszy i bezludzia. Pali dwie, a nawet trzy świece naraz. Nie może przecież rano pokazać się z przekrwionymi oczami. W zimnych porach roku siedzi w opończy, bo pokój jest wychłodzony. Biedny Werter się zakochał. („Zobaczę ją! – wołam, budząc się rankiem i spoglądając radośnie na słońce”<sup>[3]</sup>). Czy ta historia źle się skończy? Ysbeau nie chciał jej powiedzieć, tylko się uśmiechnął, jakby zdziwiony, że kobieta jej pokroju żywi upodobanie do miłosnych opowiadań. Nie jest marzycielką ani niewiniątkiem, to pewne. Zna się na mężczyznach i sporo wie o naturze świata. Ale bez względu na to, co się w życiu przeszło, trudno wyrzec się miłości. Trudno przestać o niej myśleć jak o domu,

który może kiedyś znów się odnajdzie. Więcej niż trudno.

Liże palec, przewraca kartkę.

W zakrystii kościoła Niewiniątek czuwa père Colbert. Ma tam wprawdzie coś w rodzaju łóżka (niskie, na kółkach, przykryte materacem z łachmanów), ale sypia głównie na siedząco, w drewnianym fotelu, a wielka głowa opada mu przy tym na pierś. Ksiądz ślini się przez sen. Kiedy się budzi, jego czarna sutanna jest mokra na gorsie. Mniejsza o to. Nie ma świadków, a nawet gdyby byli, nic by go to nie obeszło. Na stole trzyma zapaloną lampkę, knot pływający w oliwie, płomyczek (niebieski, gdy ksiądz patrzy nań przez okulary), który niegdyś migotał w kaplicy Saint-Sebastian. Nocami w mieście grasuje diabeł i słudzy jego, a père Colbert nie ma ochoty ich spotkać w zupełnej, niezmaconej ciemności, przed którą ratuje go tylko ta lampka. Z perspektywą nieuchronnego z nimi spotkania już się pogodził. Bardzo możliwe, że dziś rano spłoszył jednego z ich zwiadowców, gdy ten myszkował przy organach. Czy cały kościół nie poczuł się nieswojo? Czy nie było słyhać, jak śpiący w krypcie cicho jęknęli ze strachu? Ksiądz nie może liczyć na żadną pomoc, na nikogo, kto wraz z nim wzięłby na barki brzemień czuwania (biskup ma ponoć kochankę i spłodził kilkoro dzieci). Père Colbert samotnie trwa na posterunku, równie samotnie jak wtedy, gdy dni mijały mu wśród kurzu prowincji Hunan, a pewnego ranka zawleczono go na miejski plac i całkiem wyraźnie dostrzegł w tłumie oczy Nieprzyjaciela, od tamtej zaś pory wszystko widzi jak przez mgłę...

Obserwuje drzwi wychodzące na ulicę i te drugie, prowadzące do absydy za ołtarzem. Dla niego to tylko plamy, mętne plamy, ale pozna, jeżeli ktoś poruszy klamką lub je otworzy.

Łóżko Jeanne, która akurat teraz smacznie w nim śpi, stoi w nogach masywnego, rzeźbionego łóżka jej dziadka. W ostatnie, czternaste urodziny dziadek wniósł to nowe po schodach i oświadczył, że jest już za duża, zanadto kobieca, byłoby więc nieprzyzwoitością, gdyby nadal dzieliła posłanie z mężczyzną, który nie jest jej mężem. Rozpłakała się na te słowa, zadrżała z żalu, bo przecież sypiała z dziadkiem od niemowlęctwa, odkąd między jedną a drugą niedzielą oboje rodziców i dwie siostry zabrała gorączka potna. Gdy zatem kazano jej spać samej, nagle powróciło ślepe wspomnienie tamtej straty, toteż przez wiele nocy czekała, aż starzec ustąpi, trwał jednak przy swoim, aż przywykła do nowego układu i swojej nowej roli kobiety.

Śni jej się cmentarz usłany kwiatami – białymi, różowymi, żółtymi i karmazynowymi. Piękny to sen, tak szczerze obiecujący, że dziewczyna się uśmiecha, a nad nią, nad splekanymi, czarnymi jak dym krokwiemi, rówieśnicami kościoła, kot Ragoût siedzi przy ciepłej nadstawce komina i jakby w zadumie pociera wylizaną łapą poszarpane ucho. Wtem przykuwa jego uwagę jakiś ruch na cmentarzu, pod łukiem południowej kostnicy. Kocur spogląda w tamtą stronę i cały zastyga, a potem rozpląszcza się na dachówkach.

– Minister – oświadcza Lafosse – przyjmuje waszą ofertę. Dostaniecie ludzi, których wam potrzeba. Tak samo jak konie i drewno. W tej sakiewce – podpiszecie na nią pokwitowanie, tu i tu – jest pięćset liwrów. A tutaj macie weksle. Możecie je spieniężyć u złotnika Kellermana przy rue Saint-Honoré. Oczekujemy, że rozliczycie się z każdego sou. Ministrowi z pewnością nie będzie do śmiechu, jeśli się dowie, dajmy na to, że wydaliście pięćdziesiąt liwrów na nowy surdut.

Jean-Baptiste pąsowieje. Chciałby się bronić, ale nie przychodzi mu do głowy żaden argument. Miałby powołać się na to, że się upił i zapragnął być nowoczesny? Uchodzić za nowoczesnego?

– Jeśli idzie o wasze zapytanie, co z kościoła należy ocalić, odpowiedź brzmi tak jak poprzednio. Nic.

– A stary ksiądz?

– Nie każemy wam burzyć księdza.

– Pytam, czy się nie sprzeciwi.

– Z jakiej racji? Wszak to nie jego kościół.

– Ale nie będzie zachwycony...

– Nie poradzicie sobie ze starym księdzem?

– Poradzę... oczywiście.

– No to nie ma przeszkód.

– Jest jeszcze ten muzyk. Organista kościelny.

– I cóż z nim?

– Po zburzeniu kościoła straci posadę.

– Zapewne.

– Podobno jest nader zręczny w swym fachu. Może minister...

– Żądacie, żeby minister zaprzętał sobie głowę losem kościelnego organisty? Lada chwila wstawicie się za grabarzem.

– Sądziłem...

– Chyba nie bardzo pojmujecie, Baratte, czego się od was oczekuje. Przystąpicie do pracy najszybciej, jak się da. Nie dacie się powstrzymać żadnym błahym przeszkodom. Jeśli nie zaczniecie przed Nowym Rokiem, zastąpi was ktoś zaradniejszy. Zrozumiano?

– Najzupełniej, monsieur. Czy wolno mi mówić o tym, co robię? Moja obecność tutaj wzbudza podejrzenia i jest żerem dla plotek.

– Wyjaśnienia nie położą kresu plotkom.

– A jak mam rozporządzić szczątkami?

– Kośćmi? Niebawem otrzymacie w tej kwestii wskazówki.

Na chwilę zapada między nimi nieprzyjazne milczenie. Lafosse wodzi po pokoju małymi oczkami, przez moment zatrzymując wzrok na fortepianie, którego widok chyba



skrycie go bawi.

– Nowa kwatera przypadła wam do gustu? – pyta.

Jak trudno o trzydziestu ludzi? Nietrudno, w takich czasach. Ale trzydziestu dobrych robotników, którzy podolają tej pracy?

Już wie, gdzie ich poszuka: w kopalniach Valenciennes. Znajdzie tam mężczyzn przywykłych do nędznej płacy, obytych z harówką, która innych w miesiąc by zabiła.

Pisze do Lecoeura. Jest on – albo był – jednym z zarządców na północnym pokładzie. Kiedy Jean-Baptiste jeszcze pracował w kopalni, wyobcowani ze wszelkiej społeczności, półukryci w tym wilgotnym, dalekim zakątku północnej Francji, z nerwami napiętymi od dymu, od zgiełku sprzętu i z powodu masakr, do których czasem dochodziło, zawarli we dwóch rodzaj paktu, zadzierzgnęła się między nimi poufna więź, która jednak nie przetrwała wyjazdu Jean-Baptiste'a.

Mieli zwyczaj (zwłaszcza owej pierwszej, bez końca wlokącej się zimy) wymyślać utopie, w których wszystko, co ich urażało, co raziło ich uszy, oczy i młode serca, w wyobraźni doskonalili. Ich ulubionym dziełem, najbardziej szczegółowym i zadowolającym, była Valenciana. W mieście tym ekonomia i moralność, cnota i przemysł spłoty się ku ogólnemu pożytkowi i poprawie. Stały tam czworoboki schludnych domków dla rodzin, dormitoria dla samotnych mężczyzn, parki, w których powietrze było czyste, a dzieci mogły bawić się tak, jak gdzie indziej bawią się ich rówieśnicy, i miały szansę wyrosnąć na mniej pokracznych osobników niż ich ojcowie. W Valencianie żadnego dziecka poniżej dwunastego roku życia nie posłano by na dół do kopalni. Dopiero dziesięciolatków wolno było zatrudniać na powierzchni do pchania wózków, obracania kołowrotów przy pochylniach i tego rodzaju prac. W szkołach uczyli dobrotliwi, wykształceni ludzie – tacy jak Jean-Baptiste i Lecoeur. W Valencianie zakazano budowy kościołów (cały jeden wieczór pochłonęła szczególnie zażarta debata na ten temat), choć na placach stały posągi stosownych bóstw z czasów antycznych: Ateny, Apolla, Prometeusza, lecz nie Dionizosa ani Afrodyty. Lecoeur uparł się, że ma też nie być żadnych miejsc, w których mężczyźni mogliby się spotykać gwoili spożywania mocnych trunków. Było to coś więcej niż zabawa. Rozważali nawet możliwość zaprezentowania Valenciany w książce i co najmniej przez jeden wieczór wspólnie śnili na jawie, jak to utworzą sobie drogę – nieśmiali, lecz pewni swego – w stołecznych salonach.

Czy Lecoeur jeszcze pracuje w kopalniach? Czy zainteresują go Niewiniątka? W południe siódmego listopada 1785 roku dyliżans zabiera list do Lille.

Kiedy pyta o konie, kolejni rozmówcy kroczonek po kroczonek kierują go do pewnego młodego oficera, który umawia się z nim w zajeździe koło fabryki sewrskiej porcelany przy drodze do Wersalu. Wygląda na to, że gotów jest dostarczyć nie tylko konie, ale wszystko, co potrzeba.

W niebieskiej kurtce i kremowych nogawicach (ależ on ma długie nogi!) młodzieniec

znany jako Louis Horatio Boyer-Duboisson sprawia wrażenie świetnie zadomowionego w świecie. Mimochodem napomyka o ojcu i o majątku w Burgundii. Zdaje się wiedzieć o pracy Jean-Baptiste'a rozmaite rzeczy, których inżynier raczej mu nie mówił. Czy ma jakieś powiązania z ministrem? Z Lafosse'em? Czyżby to był jakiś sprytny, określny układ, poprzez który państwowe pieniądze trafiają z powrotem do skarbu państwa, a przynajmniej do kieszeni jego przedstawicieli? Umawiają się, że za tydzień na kolejnym spotkaniu Jean-Baptiste będzie mógł obejrzyć przykładową partię zwierząt. Kłaniają się sobie, a choć inżynier nie darzy sympatią ani zaufaniem tego wojaka, który przypomina mu młodego księcia de S., mimo woli czuje, że sam chciałby nim być, nosić życie jak dobrą koszulę i móc w razie poprawy pogody wybrać się konno do ojcowskiego majątku, położonego wśród lasów i rzek Burgundii.

Pogoda się nie poprawia. Chmury zahaczają o paryskie kominy. Wieje wschodni wiatr. Zanim upłynie połowa popołudnia, w domach przeważnie jest już za ciemno, żeby dało się swobodnie czytać.

Jean-Baptiste codziennie zmusza się, żeby pójść na cmentarz, porzechadzać się w obrębie jego murów, czasem samotnie, a czasem w towarzystwie dziewczyny, która o zmarłych, co leżą pod jej stopami, mówi jak o nieprzeliczonym tłumie bliższych i dalszych krewnych. Udaje nawet, że umie rozpoznać wiele spośród kości poniewierających się na ziemi: to żuchwa niejakiej madame Charcot, a to kość udowa monsieur Mericourta, podkuwacza, który zaziębił się na śmierć.

On sam woli nie myśleć o tym, że kości mają właścicieli i nazwiska. Jeśli zacznie je traktować jak niegdysiejszych ludzi, podkuwaczy, matki, a może inżynierów, jakże się ośmieli wbić łopatę w ziemię i na wieczność całą oddzielić stopę od nogi, a głowę od prawowicie jej przynależnej szyi?

Wspólne wieczory z Monnardami przy rue de la Lingerie okazują się nie tak znów całkiem wyprane z przyjemności, jak się zrazu spodziewał. Z monsieur Monnardem prowadzi mętne, ostrożne rozmowy o polityce. Omawiają podatki, braki w zaopatrzeniu, finanse państwa. Monsieur, jak łatwo zgadnąć, nie jest liberałem. Lekceważąco wyraża się o Wolterze i o Rousseau, o ideach oderwanych od życia, o salonach, o agitacji. Sprawia wrażenie zwolennika ładu, w razie konieczności zaprowadzanego siłą. Pochwala też handel, krzątanie i szacowność sklepikarzy. Jean-Baptiste w odpowiedzi poprzestaje na ogólnych uwagach o potrzebie reform, lecz tego rodzaju komentarze mogłyby zaniepokoić tylko największego reakcjonistę wśród arystokratów. Mówi, że wszystko powinno iść ku lepszemu i sprawiedliwшему, lecz jaką inną drogą można by to w praktyce osiągnąć niż dzięki swego rodzaju promieniowaniu umysłowości, tego już nie wie. Czy ktokolwiek ma na to jakiś pomysł? Pewnego wieczoru o mało nie napomyka o swojej dawnej utopii, czyli Valencianie, ale gryzie się w język. Od człowieka pokroju Monnarda, który czyta wyłącznie gazetę, nie można w tej sprawie oczekiwać zrozumienia, a zresztą sam Jean-Baptiste wieczory spędzone przy wiecznym za słabym żarze pieca węglowego w saloniku Lecoeura wspomina nie bez lekkiego zażenowania. To młodsze, gadatliwsze wcielenie jego samego, dwie głowy nachylone ku sobie pośród

cieni i wpisana w całą sytuację dziwna niecierpliwość...

Z madame dyskutuje o niuansach aury. Czy dziś nieco mocniej wiało? Chłodniej było rano czy po południu? Co monsieur Baratte przewiduje w kwestii opadów śniegu? Czy w ogóle lubi śnieg? A jeżeli tak, to czy każdy?

No i Ziguette. Rozmowy z nią – czasem przy stole, kiedy indziej na ławie przed kominkiem albo przy oknie z widokiem na cmentarz – wymagają większego wysiłku. Jean-Baptiste próbuje rozmawiać o muzyce, ale dziewczyna wie o niej jeszcze mniej niż on, nic jej nie mówią nazwiska Clérambaulta ani nikogo z rodziny Couperinów. Z teatrem sprawa jest równie beznadziejna, bo żadne z nich na nim się nie zna, a jeżeli idzie o książki, to wyraźnie widać, że Ziguette sięga po nie równie rzadko jak jej rodzice. Inżynier pyta o jej przeszłość, lecz ten temat najwidoczniej ją nudzi. Gdy z kolei ona zagaduje o jego pracę, Jean-Baptiste musi mydlić jej oczy. Zastanawia się, czy jest zakochana – oczywiście nie w nim. W kimkolwiek. Wsłuchuje się we własne uczucia. Czy jej pragnie? Sam nie wie. Ziguette nie budzi w nim bardziej odczuwalnego zainteresowania niż ta mała służąca o kosmatych rękach, która podaje do stołu kolację. Co się tyczy małżeństwa... czy mógłby? Córkę (i to bardzo ładną) dobrze prosperującego właściciela sklepu w Paryżu większość ludzi uważałaby za niezłą partię, a ożenek z nią uznano by za korzystny dla obu stron. Jean-Baptiste przeprowadza drobne eksperymenty myślowe: czasem nawet podczas rozmów z nią wyobraża sobie jakieś tête-à-tête w pokoju, w kabriolecie, w łóżu z baldachimem: jej oddech dzięki likwidacji cmentarza stał się wonny, część pieniędzy starego Monnarda leży w zamkniętym na klucz kufierku pod łóżkiem... Myśli te są niby wcale miłe, ale towarzyszące im wizje – cienkie jak bibułka. Ani trochę nie przekonują.

Jedzenie Monnardów wydaje mu się równie zagadkowo niesmaczne jak na początku. Nawet szarlotka potrafi nasunąć skojarzenia z tymi srebrzystymi grzybkami, które rosną w najbardziej zawilgłych kątach piwnic, a mimo to Jean-Baptiste zawsze opróżnia talerz do czysta. Po części powoduje nim nawyk z najwcześniejszego dzieciństwa, wpojony grzbietem ojcowskiej dłoni, a później utrwalony przez braci z zakonu oratorianów w Nogent za pomocą kijów i innych kar, ale druga strona medalu jest taka, że spędziwszy w tym domu prawie pięć tygodni, inżynier po prostu przyzwyczaja się do specyficznego smaku jedzenia, tak jak i do całej reszty. Po kolacji zaszywa się w swoim pokoju, wkłada banian i czyta parę stron Buffona. A potem do łóżka, świecę zgaś, odmów katechizm. Nie zastanawia się, czy jest szczęśliwy. Zostawia to pytanie na później. Na podniebieniu zrobiły mu się dwa wrzody, a on, leżąc po ciemku, bada je koniuszkiem języka. Czy i jemu już cuchnie z ust? A gdyby tak było, czy umiałby sam to stwierdzić? Choćby go miano zabić, nie przychodzi mu na myśl nikt, kogo mógłby o to z pełnym zaufaniem spytać.

Piętnastego znów spotyka się z Louisem Horatiem Boyer-Duboissonem. Już prawie zapadł zmrok, a oni stoją na polu za oberżą, w której poprzednio się spotkali. Konie w liczbie pięciu stoją w siąpiącym deszczu, trzymane za uzdy przez dwóch żołnierzy, którzy w niedopasowanych mundurach wyglądają bardzo dziecinnie.

Inżynier obchodzi konie wkoło, a potem żąda, żeby je oprowadzono wokół niego. Jego ojciec miał oko do koni. Może Jean-Baptiste odziedziczył po nim tę smykałkę, lecz gdy tak stoi i moknie, sam czuje, że tylko naśladuje postawę ojca, drobne ruchy oka i ust, znamionujące trzeźwy osąd.

– Nie zapłacę za żadne chrome ani chore.

– Oczywiście – przytakuje oficer. – Któż by za takie płacił?

– I przechowa je pan u siebie w stajni, dopóki nie będę ich potrzebował?

– Będą na pana czekały.

Młodzi żołnierze zostają na deszczu, a Jean-Baptiste i Boyer-Duboisson wchodzą do zajazdu, żeby dokończyć transakcję. Proszą o osobny pokój i dostają go. Inżynier wpłaca sto liwrów zadatku. Prosi o pokwitowanie. Oficer unosi brew, a potem się uśmiecha, jakby sobie uprzytomnił, z kim ma do czynienia, z jakiej klasy człowiekiem. Wypijają po kieliszku nijakiego wina i wychodzą na pole, na którym konie i młodziutcy żołnierze stoją razem niby jedno skomplikowane stworzenie, okryte płaszczem szarej mżawki.

Przychodzą dwa listy. Marie wręcza mu je na schodach. Zasób min ma wprawdzie skromny, lecz wszystkie są wymowne i lekko niepokojące.

Inżynier dziękuje, po czym zabiera pocztę do swojego pokoju. Na rogu pierwszego listu widać czarny jak sadza odcisk kciuka. Jean-Baptiste łamie pieczęć. List jest od Lecoeura. Upstrzone ospą kleksów, miejscami nieczytelne litery wyglądają, jakby autor pisał w wielkim pośpiechu, jadąc konno, ale treść wydaje się dość zrozumiała. Jak wspaniale było dostać wiadomość od starego przyjaciela! Życie w kopalniach nie jest ani trochę miłsze niż dawniej, zwłaszcza odkąd nie można znaleźć ukojenia w inteligentnej rozmowie. Zmienili się zarządcy, bo prawie żaden nie wytrzymuje dłużej niż rok, a ci nowi są niezbyt wykształceni i mają wąskie horyzonty kupczyków, natomiast górnicy i ich przerażające żony po staremu żyją jak półdzikie psy. Co się tyczy możliwości przeprowadzenia wśród nich werbunku, to siły roboczej zawsze jest aż nadto, a życie nie szczędzi jej udręk. Bez trudu powinno się więc znaleźć trzydziestu, a nawet sześćdziesięciu ludzi. A cóż to za przedsięwzięcie, o którym inżynier pisze z tak intrygującą powściągliwością? I to w Paryżu! Może przydałby się ktoś, kto dobrze zna górników i potrafi nimi pokierować? Człowiek sumienny, dyskretny? Kompan od filozofowania – ni mniej, ni więcej?

Drugi list, nienagannie wykaligrafowany na dobrym papierze, napisał niejaki de Verteuil z Akademii Nauk. Pismo dotyczy przygotowań prowadzonych w kamieniołomie przy Porte d'Enfer, na południe od rzeki, gwoli złożenia tam szczątków usuniętych z kościoła i cmentarza Niewiniątek. Nabyto dom i w jego piwnicy przedłużono schody, żeby sięgnęły w głąb starych wyrobisk, a w ogrodzie jest studnia o obwodzie ponad trzech metrów, której dno mieści się w tychże wyrobiskach, dosyć suchych i w sam raz zdatnych do tego celu. Po zakończeniu przygotowań biskup poświęci odnośne korytarze i komory. Potem monsieur l'ingenieur będzie mógł ruszyć z pierwszym transportem. Czy monsieur l'ingenieur zechciałby w przybliżeniu określić spodziewaną liczbę kości?

Jean-Baptiste składa kartkę i wsuwa ją do kajetu. Liczba kości? Nie ma o niej żadnego

wyobrażenia.

Przed wyjazdem do Valenciennes odnajduje Armanda i wszystko mu wyznaje. Nie przywykł niczego ukrywać, więc zatajana prawda leży mu w żołądku jak któraś ze smakowitych galaretek Monnardów. Wie, że w tym zabójczym przestrzeganiu czystości sumienia, w tej niezmordowanej buchalterii moralnej przejawia się nieuchronny wpływ matczynej religii. Ale pragnie też ofiarować coś jednemu w Paryżu człowiekowi, którego ma jakiegokolwiek prawo uważać za przyjaciela, bo po tamtym pierwszym spotkaniu widzieli się jeszcze trzy- lub czterokrotnie, za każdym razem okazując sobie wzajemne zainteresowanie i radość z tego, że tacy są odmienni. Zresztą i tak wszystko wkrótce wyjdzie na jaw. Lepiej teraz, niż gdy przez kościół przemaszeruje z oskardami i młotami trzydziestu górników o dzikich wejrzeniach.

Spotyka wreszcie Armanda zimnym, niezbyt wczesnym rankiem na rue Saint-Denis, gdy organista gawędzi ze sprzedawczynią krewetek i co pewien czas, nie przestając patrzeć jej w oczy, częstuje się jednym z różowych ciałek leżących na tacy, którą dziewczyna postawiła sobie na głowie. Muzyk wita się z Jean-Baptiste'em, bierze go pod rękę i przechadzając się z nim tam i z powrotem po ulicy, słucha jego niezręcznej przygrywki do wyznania prawdy, lecz zaraz wpada mu w słowo, żeby wskazać palcem dwa smętne psy, które przed sklepem kapelusznika kopulują w rynsztoku, i zanim inżynier zdąży podjąć przerwany wątek, Armand zaprasza go do siebie na kolację.

– Będą tam bachory Lisy, ale jedzenie zawsze jest przyzwoite. Na pewno nie smakuje cmentarzem. A później towarzystwo się powiększy.

Umawiają się punkt siódma przy włoskiej fontannie. Jean-Baptiste przychodzi dziesięć minut przed czasem, lecz musi czekać jeszcze czterdzieści, zanim zjawi się Armand. Żadnych przeprosin ani tłumaczeń. Ruszają w drogę i gdy tak kroczą razem od jednej zatoczki światła do następnej, organista wymachuje długimi białymi palcami, wygłaszając złożony ze strzępów greki i kościelnej łaciny panegiryk, w którym opiewa piękno, istny ogrom piersi swojej gospodyni.

Do rue des Ecouffles trzeba iść dwadzieścia minut w stronę place Royale i Bastylli. Na parterze domu jest zakład wyrobu i naprawy luster, więc Armand i Jean-Baptiste przystają przed jednym z nich, wiszącym na wystawie, chociaż w ciemnościach widzą tylko przychwycone na moment zarysy własnych postaci. Po omacku wdrapują się na strome drewniane dwukrotnie zakręcające schody i wreszcie stają pod drzwiami mieszkania. Lisa Saget i jej dzieci są w kuchni. Jest tam widno, płonie ogień, pachnie jedzeniem. Armand wita gospodynię głośnym cmoknięciem w czoło, a dzieciom czochra włosy. Na rożnie piecze się kura; jej obracanie powierzono dziewczynce. Mała zerka na Jean-Baptiste'a i uśmiecha się do Armanda. Pierś ma zupełnie płaską, lecz poza tym jest wykapaną miniaturą swojej postawnej matki.

– Monsieur Baratte – anonsuje Armand, kierując te słowa w głąb kredensu, w którym

właśnie szuka kieliszków i butelki – odziedziczył po mnie kwaterę u Monnardów.

Kobieta najwyraźniej słyszała już to i owo o inżynierze. Siedząc przy końcu kuchennego stołu, oprawia jadalne części kurzych wnętrzności. Podnosi wzrok i mierzy nim gościa – szarookiego mężczyznę, tonącego we własnym zielonym surducie.

– Będzie z nami jadł? – pyta.

– Oczywiście – potakuje Armand. – Od przyjazdu do Paryża nie zjadł ani jednego przyzwoitego posiłku.

Jean-Baptiste siada na stołku przy stole, twarzą do ognia i do dziewczynki. Braciszek obserwuje ją zza ramienia Armanda, drapiąc się po pupie. Widać, że zazdrości siostrze pracy przy przyrządzaniu jedzenia.

– I co tam u Monnardów? – pyta kobieta, nie przestając błyskać nożem.

– Chyba wszystko dobrze – odpowiada Jean-Baptiste, chociaż wie, że nie o to go pytano.

– Musimy mu znaleźć inne mieszkanie – mówi Armand – jeżeli ma zamiar dłużej tu zabawić.

– A ma zamiar? – pyta kobieta.

– Kto go tam wie. Jest małomówny.

Jean-Baptiste przygląda się swoim pistacjowym mankietom, zastanawiając się, czy aby stół jest dość czysty, bo może rozsądniej byłoby zdjąć surdut.

– Trochę tu pobędę – mówi. – Jeszcze nie wiem jak długo.

– Ja tam nie mogłabym mieszkać tak przy samym cmentarzu – oświadcza kobieta. – Nie wiem, co za ludzie to wytrzymują, i w dodatku latami. Wystarczy, że Armand przynosi na sobie tamtejszy smród.

– Ona mnie obmywa cytrynami – wtrąca organista. – Mydłem z liści szalwii i popiołu. Okadza rozmarynem...

– A czy nie byłoby dobrze – pyta Jean-Baptiste – całkiem ten cmentarz stąd usunąć?

– Usunąć? – prycha kobieta. – Taki cmentarz jak Niewiniątka? Jakim cudem? Równie dobrze można by usunąć rzekę.

– To całkiem wykonalne – odpowiada półgłosem Jean-Baptiste. – Jedno i drugie.

Armand, który tymczasem iska chłopca, rozgarniając jego kasztanowe pukle w poszukiwaniu robactwa, nieruchomieje i spogląda na Jean-Baptiste'a.

– Więc to właśnie knujesz? Kasację cmentarza?

– Oczywiście nie będzie to łatwe – mówi inżynier. – Zajmie wiele miesięcy.

– Jest taki sam jak reszta twoich przyjaciół – stwierdza Lisa. – Gotów byłby twierdzić, że księżyc to miska zupy, gdyby tylko myślał, że ktoś mu uwierzy.

– A mnie się wydaje – odpowiada Armand, cedząc słowa – że on mówi zupełnie poważnie.

– To całkiem wykonalne – powtarza inżynier. – I będzie wykonane.

– Cały cmentarz? – upewnia się Armand.

– Cmentarz. Kościół.

– Kościół?



– Na razie nikt go nie tknie. Może nawet przez rok.  
– Czyli – cicho mówi Armand – nadeszła chwila.  
– Byłbym wolał powiedzieć ci o tym wcześniej. Kazano mi zachować sprawę w tajemnicy.

Kobieta przerwała pracę.

– A jego posada? – pyta. – Ją też skasujecie?  
– Już o niej... wspomniałem – mówi Jean-Baptiste.  
– Ministrowi? – pyta Armand.  
– Jego przedstawicielowi.  
– I mogę na coś liczyć?  
– Wspomnę mu jeszcze raz.

Zapada między nimi milczenie, przerwane po chwili ostrym słowem, którym Lisa karci córkę, tę bowiem tak wciągnęła owa interesująca wymiana między dorosłymi, że przestała obracać rożen.

– Chyba... – zaczyna Armand. – Chyba powinienem ci podziękować.  
– Dziękować mu? – dziwi się kobieta. – Niby za co?  
– Kościół, moja miła, zamknięto pięć lat temu. Nie mogę bez końca grać Bacha nietoperzom.

– To tak czy owak tylko wiatr – stwierdza kobieta, znów chwytając za nóż. – Chybaście po drodze zaszli do Djeca.

– Gdyby nie padło na mnie – mówi Jean-Baptiste – przysłałiby kogoś innego. Chociaż trudno ci się dziwić, że... masz o to żal.

– A kto ci tak powiedział? – pyta Armand, sięgając po butelkę. – Nie można mieć żalu do przyszłości. Ani do jej sprawców. – Nalewa wszystkim do kieliszków. – No, wypijmy za krainę cieni, ku której wszyscy zdążamy, jedni na nogach, inni zaś na tyłkach, z kwikiem.

Dziewczynka wybucha śmiechem. Po chwili wtóruje jej chłopiec. Lisa nie zwraca na nich uwagi.

Jedzą. Kolacja rzeczywiście smakuje lepiej niż wszystko, co Jean-Baptiste jadł dotąd w Paryżu, chociaż smakowałaby mu jeszcze bardziej, gdyby zdołał jakoś zjednać sobie kobietę, która podała mu porcję kury takim gestem, jakby wolała wygnać go za drzwi, wymachując rożnem. Temat cmentarza już nie powraca w rozmowie. Armand jest zamyślony, trochę daleki, nieco roztargniony, ale w dobrym humorze.

Po kolacji Armand uczy dzieci piosenki, a one śpiewają mu ją słodkimi głosikami. Prosi Jean-Baptiste'a, żeby też je czegoś nauczył, może trochę arytmetyki, więc przez pół godziny inżynier próbuje spełnić prośbę. Dzieci słuchają, ale nic a nic nie rozumieją. Rysuje im na tabliczce figury geometryczne, trójkąty w kołach, koła w kwadratach, budząc natychmiastowy podziw. Malcy stoją po obu jego bokach, patrząc, co też za nowa sztuczka wyskoczy za chwilę spod palców gościa. Dziewczynka poufale kładzie mu dłoń na ramieniu.

Czar pryska, gdy w okno stuka rzucony z dołu drobny przedmiot. Lisa, której rezerwa

wobec gościa zaczęła już trochę topnieć, wstaje, cmokając z irytacją. Sięga po jedną ze świec i zabiera dzieci do izby w głębi mieszkania. Armand wychodzi drugimi drzwiami, a po chwili przyprowadza trzech mężczyzn. Wyglądają jak studenci, chociaż wszyscy już dawno wyrosli z wieku studenckiego. Jeden przypiął do klapy surduta wystrzępioną różę z jedwabiu, drugi owinął chudą szyję kołnierzem z rudego futra, a trzeci ma nos w sam raz dobry do komedii, na nim zaś drucziane okulary.

– Messieurs Fleur, Renard i de Bergerac – przedstawia ich Armand. Przybysze składają żartobliwy ukłon. – Ja nazywam się odtąd monsieur Orgue, a ty... niech no pomyślę. Jesteś... hmm. Monsieur Triangle? Monsieur Normand? A może Bêche? Tak. Bêche brzmi lepiej. Nazwiemy cię od jednej z tych łopat, którymi wykopiesz zmarłych.

– Widzę, że posłałeś go do Charveta – mówi monsieur Fleur.

– Naturalnie – przytakuje Armand, odwzajemniając uśmiech tamtego.

Niełatwo podążać za ich rozmową. Brzmi ona tak, jakby składała się z plotek o ludziach, którzy także mają nazwiska godne farsowych postaci. Kiedy kończy się wino, na stół wjeżdża coś mocniejszego. Nikt chyba nie jest pewien, co to za trunk. Ma lekki posmak migdałów i mile pali w piersi. Zaczynają się chichoty. De Bergerac ociera nos, a Renard draży palcem dziurę w podeszwie buta, ale tak czule, jakby to była dziura w jego własnej stopie.

Czy Lisa Saget położyła się z dziećmi do łóżka? Jean-Baptiste już od jakiegoś czasu czeka na jej powrót, w nadziei że będzie mógł się pożegnać i wrócić do domu. Wprawdzie miło jest siedzieć przy ogniu i saczyć napitek, czując jeszcze na ustach smak kurzego tłuszczu, ale zrobił to, co zrobić postanowił, a jutro musi jechać do Valenciennes. Nie chce podróżować z ciężką głową.

Zerka w stronę drzwi, lecz Armand przyłapuje go na tym i kładzie mu dłoń na ramieniu:

– Nie myśl, że nam się wymkniesz, monsieur Bêche – mówi. – Jeszcześmy nie skończyli.

Wychylają kieliszki do ostatniej kropli i milkną, wpatrzeni w skrzące się węgle. Pokój stygnie. Nic się nie dzieje. Czy to już północ? A może później? Wtem Armand wstaje bez uprzedzenia. Wychodzi, ale prawie natychmiast wraca z dwoma wielkimi szklanymi słojami w owijce z plecionej słomy.

– Zakładam, panowie – szepcze – że wszyscy macie przy sobie oręż?

Renard, Fleur i de Bergerac z czeluści surdutów dobywają pędzli. Pokazują je i szybko chowają.

Schodzą na ulicę. Jaki ziąb! Ziąb i wilgoć, prawdziwa zimowa noc, nic w niej romantycznego. Jean-Baptiste zapiął jeździecki płaszcz aż pod samą brodę, ale nie po raz pierwszy żałuje, że nie ma pod nim starego ubrania.

Wchodzą śladem Armanda w wąskie uliczki za rue Saint-Antoine. Cały Paryż jest ich – nigdzie żywej duszy, ani widu, ani słyhu. W życiu miasta jest to ta krótka pora między przypływem a odpływem, gdy z ostatnich winiarni wyrzucono już pijaną hołotę, ale na targowisko jeszcze nie zjechały wozy dostawcze, wielkie sześciokołowe furgony z

kolebiącymi się po bokach latarniami, ani karawany juczych koni – nieszczęsnych szkap, które przez całą noc szły z okolicznych gospodarstw i wiejskich ogrodów, dźwigając skrzypiące kosze.

Przemierzają rue Neuve i rue de l'Echarpe, a potem wchodzą pod kolumnadę place Royale... Nie jest jasne, co właściwie robią, gdy tak po pijanemu spieszą ze słojami farby przez plac, ale trudno by im było się z tego wytłumaczyć, gdyby napotkali patrol. A jeżeli by Jean-Baptiste, nowo mianowany inżynier, musiał się usprawiedliwić przed Lafosse'em? Albo i ministrem? („Zmuszono mnie, jaśnie panie. W tych okolicznościach nie widziałem sposobu, żeby odmówić udziału w czymś, co miało pozór nieszkodliwej eskapady. Gdybym wiedział, jakie ci dopiero co poznani ludzie żywią zamiary...”)

Docierają do rue Saint-Antoine, przechodzą przez nią i mijają kościół Sainte-Marie, na którego schodach kuli się tuzin nędzarzy, czekających na odprawianą o piątej rano pierwszą mszę, z nadzieją że jakaś pobożna wdowa rzuci im monetę.

Mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów przed nimi wznosi się Bastylia, a jej mury i wieżyczki odcinają się niezgrabnymi sylwetkami na tle nocnego nieba. Przytłacza wszystko wokół, ale sama sprawia wrażenie osaczonej, zapędzonej w kozi róg niczym ostatni z bazyliżków, stający dęba, strwożony, pełen bezużytecznej siły. A w jej murach? Co? Dziesiątki nieszczęśników przykutych do ścian podziemnych cel, żywcem pochowanych? Czy tylko warstwy kamieni i całe piętra zawilgłego powietrza, a w kilku izbach siedzą pod kluczem znudzeni, lecz niezbyt udręczeni więźniowie, szlachetnie urodzeni pisarczykowie, którzy popełnili satyrę na tego czy tamtego spośród królewskich faworytów i za karę lettre de cachet wyrwał ich z zacisznych gabinetów.

Przystają przed drzwiami jakiegoś warsztatu. Penetrują wzrokiem ulicę, którą mają za chwilę przebyć, zsuwają kapelusze na oczy, po czym Armand rzuca zwięzłą komendę i już biegną zgarbieni, przemykają przed frontem twierdzy ku trzem łukom Porte Saint-Antoine. Właśnie na kamieniach tej bramy rząd nalepia obwieszczenia i dekrety. O podwyżce podatku od soli lub nowej karze za nielegalny połów ryb w Sekwanie i za wylewanie ludzkich nieczystości na ulicę między szóstą rano a szóstą wieczór. O dacie kazania, które królewski kapelan wygłosi w Sainte-Chapelle. O dacie i godzinie, gdy jakiś złoczyńca zostanie napiętnowany albo powieszony.

Bezczeszczenie takich zawiadomień jest jednym z elementów dialogu między rządem a ludem. Owszem, zdarza się, że jakiegoś wielokrotnego sprawcę dopadnie straż, przeważnie jednak władza nie zwraca zbytnej uwagi na gryzmoły zawierające sprośną obelgę pod adresem królowej – „La pute Austrienne!” – lub znanego z szalbierstw poborcy podatków.

Dziś świeżo rozlepione obwieszczenia splugawią Renard, Fleur, de Bergerac, Orgue i Bêche. Uwijają się z tym w niecałą minutę. Trzymając słój, podczas gdy Renard wściekle wymachuje pędzlem, Jean-Baptiste czuje, jak farba pryska mu na policzki. Z całego napisu widzi tylko słowo „LUD!”. Już po chwili czmychają jak myszy ze spizarni, unosząc pędzle i słoje.

Kiedy wracają zdyszani na rue des Ecouffes, Armand zaprasza ich na górę, bo przecież

trzeba uczcić nocną akcją. Gdzieś chyba została jeszcze butelka trunku o smaku migdałów, może pod łóżkiem. Jean-Baptiste wymawia się od udziału w świętowaniu. Jest późno, a on rano rusza w drogę... Żegna pozostałych skinieniem głowy – uprzejmie, a nawet przyjaźnie – lecz oni już się od niego odwracają, być może urażeni tym brakiem solidarności, hulaszczego ducha.

Przytrzymując pod szyją kołnierz płaszcza, przechodzi na drugą stronę ulicy. Unosząca się znad bruku mgła połknęła już sięgające do wysokości uda słupki, a także okna parterów, i niebawem zaczyna obcmokiwać sklepowe szyldy – drewniane i żelazne modele (olbrzymią rękawicę, pistolet wielkości armatki, gęsie pióro długości miecza), które zwisają jak z szubienic nad ulicą. Jest całkiem spokojny. Nieźle zna drogę, nauczył się już poruszać po dzielnicy, chociaż mógł zapomnieć, że miasto nocą trochę się zmienia w porównaniu z tym, jakie jest za dnia. Uwagę inżyniera częściowo zaprzęta pytanie, co właściwie sądzi o tej bieganinie ze słojami farby. Czy to była ciekawa przygoda? Po fackie gotów jest przyznać, że owszem, dosyć. Ciekawa, ale też męcząca, nedorzeczna i dziecinna, cóż bowiem może się zmienić dzięki temu, że paru ludzi pougania się po mieście, malując hasła na murach? A jakie z nich dziwolągi! Mają w sobie coś wynaturzonego – coś, od czego powinien chyba trzymać się z daleka, coś z desperatów. Zdumiewające, że Armand zawraca sobie głowę takimi osobnikami, chociaż jest to dla niego zapewne tylko pretekst, żeby spędzić noc na pijaństwie. Za to kobieta była interesująca, mimo swojej szorstkości dała się lubić. Dzieci też miłe. Dobrze mu było z nimi, gdy z uroczym skupieniem patrzyły, jak rysuje na tabliczce powściągliwe kształty.

Przystaje i wpatruje się w mgłę, marszcząc brwi. Powinien był już wyjść na rue Saint-Denis, nieco powyżej rue aux Fers. A tymczasem znalazł się... gdzie? Na zupełnie nieznaną ulicę. Czyżby zapędził się zbyt daleko na północ? Rozgląda się za skrzyżowaniem w lewo, lecz dopiero jakieś pół kilometra dalej znajduje uliczkę, która sprawia wrażenie, że może go doprowadzić do celu. Zapuszcza się w nią, ale z każdym krokiem coraz mniej wie, dokąd trafił, i już prawie mu się zdaje, że idzie nie przez serce Paryża, tylko wyjeżdżonymi koleinami zaułków Bellême, gdy nagle dostrzega wznoszące się nad nim przypory kościoła, i to dużego. Saint-Eustache? Mgła jest już gęsta jak drzewny dym. Jean-Baptiste idzie wolno, ostrożnie. Jeśli rzeczywiście dotarł pod kościół Saint-Eustache, to teoretycznie wie z całą dokładnością, gdzie się znalazł, ale boi się, że znów da się omamić i przez resztę nocy będzie błądził nieodgadnionymi uliczkami, wśród budynków podobnych zacumowanym statkom.

Wtem przed nim stukot czyichś kroków. Ktoś tam jest, ktoś, kto – sądząc po szybkim, lekkim tupocie – doskonale wie, dokąd zmierza. Jean-Baptiste nie czuje w tych odgłosach żadnej groźby, żadnego wyraźnego niebezpieczeństwa, lecz raptem ogarnia go strach. Cóż to za człowiek krąży po mieście o tej porze, w taką noc? Czyżby go śledzono? Przez całą drogę od Porte Saint-Antoine? Grzebie w kieszeniach, szukając czegoś, czym mógłby się obronić, ale zamiast groźnego oręża znajduje tylko klucz do jednej z cmentarnych furt. I tak już zresztą za późno. Zastłona mgły się rozwiewa. Jakaś postać, cień, cień w opończy... Kobieta! Widocznie głęboko się zadumała, skoro

zatrzymuje się zaledwie metr przed nim. Na trzy, może cztery sekundy oboje zastygają w jakiejś pierwotnej czujności, lecz po chwili lekko się rozluźniają. Jean-Baptiste zna tę kobietę. Nie ma mowy o pomyłce. Ta sama opończa, wzrost, nieruchome spojrzenie, rozjaśnione przedziwną świetlistością samej mgły – delikatnym, niebieskawym poblaskiem, bijącym zewsząd i znikąd. Czy ona go pamięta? Niby czemu miałyby pamiętać?

– Szedłem do domu – mówi cicho, prawie szeptem.

Kobieta kiwa głową, czeka. Czyli jednak go pamięta! Tak mu się zdaje.

– Zabłądziłem.

– Na której ulicy pan mieszka? – równie cichym głosem pyta ona.

– Rue de la Lingerie.

– Przy cmentarzu.

– Tak.

– To niedaleko – mówi kobieta. – Można przejść przez targ.

Spogląda obok jego ramienia, wskazując wzrokiem miejsce, gdzie będzie musiał skręcić.

– Już panią widziałem.

– Tak.

– Pamięta pani?

– Był pan z tym muzykiem.

– Pani jest Héloïse – mówi Jean-Baptiste.

– Nie powiedziano mi, jak pan się nazywa.

– Bêche.

– Bêche?

– Jean-Baptiste.

Zbliża się do niej o krok. I jeszcze o jeden, po pauzie równej uderzeniu serca. Stoją, odgradzeni mgłą od reszty świata. Jean-Baptiste podnosi rękę i dotyka policzka kobiety. Ta ani drgnie.

– Nie boi się mnie pani? – pyta mężczyzna.

– Nie. A powinnam?

– Nie. Nie ma powodu.

Jego palce spoczywają na jej skórze. Nie umiałby powiedzieć, co właściwie robi i z jakich pobudek. Tak mało miał przecież do czynienia z kobietami. Czy pozwala sobie na ten gest, bo ona jest kurwą? W tej nieproszonej godzinie takie słowa jak kurwa czy inżynier, Héloïse czy Jean-Baptiste są wszak puste niczym wydmuszki.

– Czyli tam mam skręcić? – pyta, nagle się ocknąwszy, a ręka sama mu opada, zwisając wzdłuż boku.

– Na tamtym rogu – przytakuje kobieta.

On mamrocze kilka słów podziękowania i odchodzi. Bez trudu trafia na targowisko. Jest to już o tej porze miasto w mieście, gwarne, upstrzone światłem latarni i świec o knotach z sitowia, chociaż pierwsi klienci przybędą dopiero za dwie godziny. A za

targowiskiem na rogu rue aux Fers czarny mur cmentarza i wilgotne od mgły kocie łby rue de la Lingerie...

Gdy Jean-Baptiste wchodzi do domu Monnardów, jakieś stworzenie wpada przed nim do środka, błyskawicznie wślizgując się przez uchylone drzwi. Inżynier po omacku szuka zapalek na stole w sieni i w końcu udaje mu się zapalić świecę. Ragoût siedzi przy drzwiach piwnicy, przyciskając tępo zakończony pyszczek do szpary pod nimi. Spogląda ku mężczyźnie, jakby liczył na jego pomoc. Jean-Baptiste sięga ręką w dół, czując chłód napływającego przez szparę powietrza, zimnego jak oddech człowieka w ostatnich stadiach febry. Stawia świecę na desce przy samych drzwiach. Płomień natychmiast mdleje i gaśnie, zanim inżynier zdąży podnieść lichtarz.

Przez resztę nocy leży, nie mogąc zmrużyć oka, a głowę rozświetla mu bezsenna jasność myślenia i trunek o niewiadomym składzie. Wciąż od nowa wspomina spotkanie z kobietą, z Héloïse, aż w końcu całe to zdarzenie zamyka się przed nim i ogarnia go jakiś odmienny stan, z lekka hipnagogiczny, w którym patrzy, jak drzwi piwnicy wolno się otwierają, a on sam jakby pod przymusem idzie w stronę piwnicznych schodów, nigdy dotąd niewidzianych...

Ubiera się o pierwszym brzasku. Dwukrotnie przetrze dłonią lustro, zanim zrozumie, że to nie szkło upstrzone jest czarnymi plamami, lecz jego własna twarz – w nagrodę za to, że trzymał monsieur Renardowi słój z farbą. Nie ma wody do mycia. Klnie, a potem wykrada się z domu.

Do dyliżansu przy rue aux Ours wsiada ostatni. Wdrapuje się po schodkach i zajmuje miejsce naprzeciw srebrnowłosego księdza. Obok kapłana, który pod czarną peleryną delikatnie obmacuje jakąś brzusznią nieomogę, siedzi dwoje cudzoziemców – jak się okazuje, Anglików: kobieta (schludna, ubrana w poważnym stylu) zdążyła już się zagnieździć w dyliżansie jak kura; mężczyzna ma czerwoną twarz i potężne ciało starego boksera. Ostatnią pasażerką jest jedna z tych tajemniczo smutnych elegantek w pewnym wieku, które samotnie jeżdżą publicznymi powozami i natychmiast stają się celem najrozmaitszych domysłów reszty podróżnych. Patrzy w okno, jakby łudziła się resztką nadziei, że ktoś podobny do Louisa Horatia Boyer-Duboissona wyjedzie spośród ostatnich strzępów nocnej mgły i zacznie błagać, żeby została. Nikt jednak nie przyjeżdża.

W drzwiach poczthalterii woźnica wychyla poranną szklaneczkę. Anglicy zjadają po pół jajka na twardo. Ksiądz czyta jakąś książeczkę, prawie dotykając jej kartek czubkiem nosa. Elegantka wzdycha. Jean-Baptiste, który ostatnio jadł kurę na kolację, a potem już nic, zamyka oczy i zasypia tak głęboko, jakby umarł dla świata, gdy zaś po trzech godzinach raptem się budzi, za ubłoconymi oknami sunie zimowy wiejski krajobraz, a Paryż jest już hen, daleko. Angielka uśmiecha się do niego, kiwając głową. Jej mąż i ksiądz siedzą obok siebie, chrapiąc każdy w swoim rytmie.

Napotykać wzgórze. Konie ledwo dają radę. Woźnica zagląda przez klapę w dachu i pyta, czy panowie nie zechcieliby wejść pieszo na szczyt. Panowie spełniają prośbę, starając się omijać najbardziej grząskie miejsca i dzieląc się spostrzeżeniami na temat krainy koloru błota, przez którą biegnie droga. Na grzbiecie wzgórza wsiadają do dyliżansu, rozdeptując blocko po podłodze, a potem kurczowo chwytają się skórzanych pętelek, bo konie wraz z pojazdem zaczynają długi ześlizg do najbliższej wioski, gdzie ku ogólnej uldze woźnica ogłasza przerwę na obiad.

Do posiłku wszyscy wypili sporo białego wina, więc po godzinie nieszkodliwej rozmowy ucinają sobie godzinną drzemkę, kołysząc się w dyliżansie jak w łodzi, podczas

gdy za oknami sunie świat bez świadków i nazw.

Dwie godziny po zmroku jedną ze starych bram miejskich wjeżdżają do Amiens, wykręcając szyje, żeby choć w przelocie dostrzec cień katedry. W zajeździe nocuje grupa pielgrzymów. Nowo przybyli muszą się zadowolić nielicznymi wolnymi miejscami. Jean-Baptiste śpi na strychu w jednym łóżku z księdzem, który przed zgaszeniem świecy zaprasza go do wspólnej modlitwy. Inżynier wcale się do niej nie kwapi, wolałby oświadczyć, że jest filozofem, racjonalistą, wolnomyślicielem, ale uprzejmie wtóruje każdemu „amen” księdza i tak jak niegdyś dodaje mu to otuchy. Podają sobie ręce i gaszą światło. Ksiądz przeprasza, że burczy mu w brzuchu. Jean-Baptiste zapewnia go, że to nic nie szkodzi.

Rano budzi się z głową na ramieniu księdza. Obaj siadają w łóżku i znów podają sobie ręce. Tak to w życiu bywa. Tak to bywa w podróży.

Nowy dylizans, nowy woźnica, świeże konie. Wczesnym popołudniem stają w Douai. Tam towarzystwo się rozdziela. Starego księdza witają młodzi księża z seminarium, Anglicy przechodzą na drugą stronę dziedzińca, gdzie czeka dylizans do Calais, a smutna elegantka półgłosem dopytuje o najbliższe połączenie z Brukselą. Jean-Baptiste’a z walizką w ręku pospiesznie usadzają w zatłoczonym dylizansie do Valenciennes. Po dwóch godzinach inżynier wysiada na rue de Paris, zeszywniały z zimna. Między miastem a kopalniami raz po raz coś jeździ. Za dziesięć sous zabiera go wóz z ładunkiem beczek woniącego masła, który dojeżdża na skraj górniczej kolonii, akurat gdy z tyłu światło dnia dogasa jak pryskająca woskiem świeca.

Nawet po ciemku widać, że Lecoeur napisał prawdę: od wyjazdu Jean-Baptiste’a nie zaszły żadne ważne zmiany. Kopalnię otacza ten sam szeroki krąg bud i szałasów niczym obóz armii, która bez odrobiny wiary w zwycięstwo trwa w okopach, oblegając miasto. Płonie mnóstwo niewielkich ognisk, a każde otacza zgraja męskich i kobiecych sylwetek. Na poboczach pracowicie bawią się dzieci; niektóre przerywają zabawę i spoglądają na przejeżdżający wóz, blade i obojętne. Drogi zbudowało przedsiębiorstwo górnicze. Pierwszym ponadawano nazwy, takie jak avenue de Charbon, avenue de l’Avenir, a nawet avenue de Richesse. Późniejsze już tylko numerowano: rue 1, rue 2. Pośrodku są kopalnie, wyróżniające się jako ciemniejsza, gęściejsza strefa dymu i głuchego łoskotu.

Zarządcy mieszkają na uboczu, nieco na wschód od kopalń. Wiatr zwykle wieje właśnie w tamtą stronę, niosąc z sobą równomierny napływ sadzy i skalnego pyłu. Budynki utrzymane są w stylu prowincjonalnych koszar, każdy podzielony na sześć kwater, z których każdą zajmuje jeden zarządca. Są to w większości ludzie samotni. W takie miejsce nie można sprowadzić żony, a już na pewno nie należy się łądzić, że się ją tam znajdzie. Starsi rangą przełożeni mieszkają w Valenciennes, a właściciele i udziałowcy w Paryżu. Ci ostatni sądzą zapewne, że kopalnie to cudowne dziury w ziemi, z których można po prostu wygarnąć pieniądze.

Od wielu godzin zanosi się na to, że spadnie śnieg. I oto zaczyna padać, akurat gdy inżynier wchodzi między domy zarządców. Pamięta kwaterę Lecoeura. Przez blisko rok byli sąsiadami, zajmując drugie i trzecie mieszkanie w drugim bloku. Lecoeur miał pod



oknem od frontu ogródek – kawałek uprawnej ziemi, na którym latem hodował cebulę, sałatę i trochę nagietków. Nie ma po nim ani śladu.

Puka do drzwi, odczekuje chwilę i znowu stuka. Śnieg osiada mu na ramionach i na rondzie kapelusza. Ma już zapukać po raz trzeci, gdy drzwi otwierają się do środka, jakby je ktoś z trudem ciągnął, i staje w nich Lecoeur, trzymając w dłoni migoczącą, ociekającą woskiem świecę.

– Towarzyszu! – woła. – Och, drogi towarzyszu! Już wariuję od czekania!

Świeca gaśnie. Po ciemku idą korytarzykiem do salonu. Przez chwilę szukają niezbędnych przyborów, zanim uda im się znowu zapalić świecę. Lecoeur w oparach trunku z triumfalną miną stoi pośrodku pokoju, trochę niepewnie trzymając się na nogach.

– Pamiętasz? – pyta. – Hmm? Nie widzisz dawnego siebie w tym fotelu?

– Owszem, widzę – przytakuje Jean-Baptiste.

Omiata spojrzeniem pokój: fotel z wykwitami ludzkiego tłuszczu, wredny ogieniaszek, sylwetkowe portreciki matki i siostry... Jest w tym wszystkim stałość, niezmiennosc równie zgubna jak ta, którą dostrzegł przedtem w górniczej kolonii.

Na stole czeka posiłek: kilka plasterów cielęcej głowy, kartofle w łupinach, chleb cienko posmarowany woniejącym masłem z poprzedniej dostawy. Pośrodku stołu stoi butelka z przeźroczystym płynem, którego Lecoeur nalewa do dwóch kieliszków i jeden natychmiast wychyla, a drugi podaje Jean-Baptiste'owi. Siadają naprzeciw siebie. Jean-Baptiste piłuje nożem plaster cielęcej głowy, który ma na talerzu (mięso smakuje, jakby łeb nieszczęsnego cielaka zamarynowano w jego własnych łzach). Upija łyżeczkę przeźroczystego płynu, patrząc, jak czarne płatki śniegu bezszelestnie uderzają w okienną szybę.

Ostatnio widzieli się przed trzema laty (pospieszny uścisk wśród mżawki na przystanku dyliżansów w Valenciennes). Jakież trudy musiał w ciągu owych lat znieść ten człowiek, że tak opustoszał wewnątrz? Skończył najwyżej trzydziesty piąty rok życia, a może i to nie, lecz wygląda jak schorowany pięćdziesięciolatek. Stracił większość zębów. Nos ma opuchnięty, wągrowaty, opleciony nabrzmiałymi żyłkami. Jest żałośnie wychudzony i nerwowy. Gdy już zaczął mówić, nie umie zamilknąć, a zrazu lekki ton stopniowo ustępuje miejsca lamentowi, gorzkiej skardze, której głównym przedmiotem jest kopalnia, ten lewiatan, młynarz ludzkich kości.

Czy tak właśnie spędza wieczory? Sam na sam z butelką, oskarżając powietrze? Ma na sobie kamizelkę z gruzłowatej brązowej wełny, zapewne zrobioną na drutach przez krąg niezamężnych krewniaczek, dla których młody Lecoeur, jeszcze z kompletem zębów, ucieleśniał niegdyś ostatnią wielką nadzieję rodziny. Zanim w końcu umilknie i z westchnieniem kochanka znów sięgnie po butelkę, Jean-Baptiste postanowi zabrać go do Paryża, jeżeli tylko okoliczności pozwolą. Tutaj Lecoeur nie przeżyje kolejnej zimy. Czyżby naprawdę stracił wszystkie dawne zdolności? Całą sprawność umysłową, jaką posiadał? Dzięki pieniądзом i władzy ministra wydobyć go z kopalni nie powinno być niemożliwe. Wiąże się z tym oczywiście pewne ryzyko. Jak dalece Lecoeur postradał

zmysły? Tak czy owak, sumienie nie pozwala zostawić go w Valenciennes.

Jean-Baptiste próbuje przemyśleć sprawę, stworzyć w wyobraźni wiarygodną wizję pierwszego dnia wykopów na cmentarzu Niewiniątek: widzi siebie na czymś w rodzaju podium czy też rusztowania, a niżej stoją w równych rzędach ludzie z narzędziami, gdy wtem Lecoeur pyta:

– Jesteś żonaty?

– Nie – odpowiada Jean-Baptiste, któremu przez głowę (co za niedorzeczność!) przemyka cień Héloïse, tej kurwy Héloïse.

– Tak też myślałem – mówi Lecoeur. – Żonaci inaczej się ubierają.

– A ty? – pyta Jean-Baptiste. – Jesteś z kimś... związany?

Lecoeur uśmiecha się, kręci głową i spogląda w ogień.

– Dawno nie miałem do czynienia z kobietami – przyznaje.

Pół do czwartej rano rozlega się dźwięk dzwonu. Pierwsza zmiana, pierwszy zjazd zaczyna się punkt czwarta. Jean-Baptiste budzi się w sypialni na piętrze. Patrzy w stronę okna, ale nic nie wskazuje na to, żeby miało się niebawem rozwidnić. Zsuwa nogi z łóżka. W pokoju taki ziąb, że śmiechu warte. Doskonale to wszystko pamięta.

W salonie zastaje Lecoeura, który zdążył już się ubrać i z kamiennym wyrazem skupienia napełnia kieliszek, trzymając oburącz prawie już pustą butelkę. Odstawia ją, przykładając usta do brzegu kieliszka i nie podnosząc go ze stołu, pociąga pierwszy łyk.

– Nalać i tobie? – pyta.

– Może później – wymawia się Jean-Baptiste.

Wieczorem z grubsza omówili plan likwidacji Niewiniątek, ustalając to i owo w sprawie wykonawców. Lecoeur wyrażał się rzeczowo, co natchnęło inżyniera pewną otuchą. Miał przygotowaną listę nazwisk i czytając je po kolei (Everbout, Slabbart, Block, Gvalt, Cent, Wyntère), pokrótce scharakteryzował każdego górnika, podając jego przybliżony wiek, staż pracy i właściwości moralne (te ostatnie na tyle dokładnie, na ile cokolwiek sam o nich wiedział czy mógł wiedzieć). Nie mówiło się o dopisaniu do listy jego własnego nazwiska, teraz jednak Jean-Baptiste pyta, stojąc w zimnym jak śnieg salonie, czy Lecoeur gotów byłby rozważyć tę propozycję.

– Rozważyć!?

Rzucając się, żeby uścisnąć przyjacielowi obie dłonie, Lecoeur zawadza udem o róg stołu i o mało nie przewraca cennej butelki.

– Naszymi imionami ponazywają place! – woła. – Imionami ludzi, którzy oczyścili Paryż!

Zrywa się do tańca, bo nie umie się pohamować. Jean-Baptiste śmieje się, klaszcząc do taktu. Uratował dziś komuś życie, i to jeszcze przed śniadaniem.

Odkrywszy na nowo dawną intensywność dialogu, słowną szermierkę z czasów Valencianny, przez blisko godzinę omawiają niezbędne przygotowania. Przewóz pracowników i ich zakwaterowanie w Paryżu. Kwestie higieny, dyscypliny, płacy. Wszelkie wyobrażalne trudności, począwszy od niesprzyjającej pogody, a na strachu przed duchami skończywszy.

- A tam – pyta Lecoeur – gdzie przewiezie się szczątki...?
- Trafiają do starego kamieniołomu.
- Dopięto wszystkie szczegóły?
- Niebawem je się dopnie.
- A czy tam aby jest sucho? Używamy tu nowej pompy, wzorowanej na angielskim modelu. Jest o wiele szybsza niż wszystkie poprzednie.
- Ja odpowiadam tylko za cmentarz. Kiedy furgony wyjadą z Niewiniątek...
- Jak głęboko musimy się wkopać?
- Niektóre ze zbiorowych mogił mają ponoć trzydzieści metrów głębokości.
- Aż tyle?
- Miejmy nadzieję, że większość jest płytsza, ale dla kopaczy nie będzie to miłe zadanie.
- Nie może – odpowiada Lecoeur – być gorsze niż wpełzanie pod ziemię z kilofem, w niepewności, czy nie wlezie się prosto w metan i czy tunel z tyłu się nie zawali. W zeszłym tygodniu straciliśmy trzech ludzi. Przysypało ich żywcem. Nie podstemplowują tuneli, jak należy, bo wiedzą, że nikt im za to nie zapłaci. Wynagrodzenie dostają tylko za węgiel.
- Nie widać, żeby za oknem się rozwidniało. Porywisty wiatr znów miota o szybę rzadkim śniegiem. Jean-Baptiste zbiera się do drogi. Nie zamierza utknąć w Valenciennes.
- Zostawię ci pieniądze – oświadcza. – Wydaj, ile będzie trzeba. W razie potrzeby możesz powoływać się na ministra. Ale wszystko musi być załatwione bez zwłoki. Jeżeli będziemy się guzdrać, pokażą nam, że nie jesteśmy niezastąpieni. Nie pozostawili co do tego cienia wątpliwości.
- Amicus certus in re incerta cernitur – mówi Lecoeur, uśmiechając się szeroko i zacierając ręce. – Przekąsisz coś? Może parę plastrów główizny?
- Wyjmuje cielecy łeb z wiszącej na ścianie wentylowanej szafki na mięso i tuli go jak swoje ukochanie. Tę biedną pokiereszowaną głowę.

## 13

W Paryżu też jest już śnieg. Wymieszany z popiołem, sadzą, błotem, łajnem. Na lepszych ulicach, przed lepszymi domami zmieciono go w szare piramidy. Gdzie indziej koła wozów, kopyta i saboty same utorowały sobie drogę. Na cmentarzu śnieg pokrywa ramiona kazalniczego krzyża, dyskretnie przycupnął na kamiennych szczytach lanternes des morts, wieńczy mury, leży na spadzistych dachach kostnic.

Pożyczoną z domu grabarza łopatą Jean-Baptiste szturcha ziemię, czując jej opór i słysząc głuchy dźwięk, jakby uderzył w żelazo. Ale przynajmniej odór trochę zelżał. Inżynier nie miewa mdłości. Nie wzdyga się z obrzydzenia.

Armand wychodzi z kościoła, schylając głowę w niskich drzwiach, a gdy idzie przez cmentarz, jego włosy wyglądają jak ostatnia na świecie jaskrawa plama.

– Widzę – mówi, wskazując skinieniem głowy łopatę – że dochowuje pan wierności swemu mianu, monsieur Bêche.

– Z taką ziemią – odpowiada Jean-Baptiste – łatwiej bym sobie poradził siekierą.

– Wiesz, że mróz może trzymać miesiącami – radośnie przypomina mu Armand.

– Nie będzie tak długo trzymał.

– Bo minister mu nie pozwoli? No dobrze. Ale nie sądzę, żebyś miał jeszcze przed Gwiazdką wykopać jakieś kości. Jedź do domu. Przypomnij sobie, kim jesteś.

Jean-Baptiste kiwa głową, stukając kantem łopaty w ziemię wokół czubków własnych butów. Dom. O niczym innym nie marzy. Tęskni za domem aż do bólu.

– A ty? – pyta.

– W święta? Mam zamiar nie trzeźwieć przez trzy dni. Lisa zbeszta mnie, zem taki łajdak. Potem wytrzeźwieję, będę się z nią kochał godzinami, pójdę z nią i z dziećmi na mszę do Saint-Eustache. Najdą mnie bezbożne myśli o młodej żonce w ławce przede mną. Może uda mi się do niej przycisnąć przy balaskach w czasie komunii.

– A twoi przyjaciele? Renard? Fleur, de Bergerac?

– A, niezbyt ich polubiłeś, prawda? Bo też nie bardzo jest za co. Nawiasem mówiąc, farbę z policzka w końcu się zmyje. Na razie możesz udawać, że przykleiłeś sobie pieprzyki dla urody. Aha, w samą porę wspomniałem o urodzie...

Od strony domu grabarza nadchodzi dziewczyna imieniem Jeanne z narzuconą na ramiona grubą chustą. Unosi w powitalnym geście różową dłoń.

– Wrócił pan – mówi.

– Tak – odpowiada Jean-Baptiste.

– Zastanawiałam się, gdzie się pan podział.

– Miałem sprawy do załatwienia – wyjaśnia inżynier – w innym mieście. Podróżowałem.

– To miłe – stwierdza dziewczyna. – Było miło?

– Osiągnąłem cel – mówi Jean-Baptiste.

- A czy ona wie – wtrąca Armand – jaki to cel? Czy wie, co nam szykujesz?  
Jeanne spogląda na Armanda, a potem na Jean-Baptiste’a.
- Coś nam pan szykuje? – pyta.
- Inni ludzie coś szykują – odpowiada Jean-Baptiste. – Ważne osoby.
- O! – dziwi się dziewczyna.
- No właśnie, o – mówi Armand.
- Pewnie się zastanawiasz, Jeanne, co ja tu właściwie robię. Musiałaś się nad tym zastanawiać, kiedy mi pomagałaś.
- Zrobiłam to z przyjemnością – mówi dziewczyna. – Dziś też panu pomogę, jeżeli pan chce.
- Dziś nie potrzebuję pomocy.
- Cmentarz – zaczyna Armand. – Powiem jej, skoro ty nie chcesz. Cmentarz ma zostać usunięty, Jeanne. Cmentarz i kościół.
- Sprawę już dawno rozstrzygnięto – dodaje Jean-Baptiste. – To miejsce ma być jak nowe. Czyste. Sam król tak sobie życzy.
- Król?
- Nie masz się czego obawiać. Wszystkie szczątki, kości przewiezie się w poświęcone, bezpieczne miejsce.
- Wszystkie? – upewnia się dziewczyna.
- Tak.
- I pan temu podoła? – Jeanne spogląda na łopatę.
- Będę miał pomocników – wyjaśnia inżynier.
- Dziewczyna parę razy kiwa głową.
- Skoro tak pan chce – mówi cicho.
- Ty i twój dziadek będziecie mieli zapewniony byt. Masz na to moje słowo.
- Uważaj, co obiecujesz – wtrąca Armand.
- Cmentarza – ciągnie Jean-Baptiste, puszczając tę radę mimo uszu – nie można ot tak po prostu zostawić na pastwę zapomnienia, prawda?
- Ależ nie – przytakuje dziewczyna. – Niepodobna.
- Zresztą wiesz przecież, jak ludzie skarżą się na jego sąsiedztwo.  
Jeanne marszczy brwi.
- Dziadek powiada, że dawniej byli dumni z sąsiedztwa tak sławnego miejsca. Wręcz się nim szczycili.
- Od tamtej pory – mówi Armand – wydelikatniały im nosy.
- Dziewczyna znów kiwa głową, tym razem energiczniej, jakby rzecz została niezbicie dowiedziona.
- A dom? – pyta.
- Dostaniecie nowy. Może nawet tutaj, po oczyszczeniu terenu.
- Tutaj?
- Tak.
- Dziadek będzie miał się dobrze, jeżeli z nim zostanę – oświadcza Jeanne.

– Oczywiście. Musisz przy nim zostać.

Przez ćwierć minuty stoją w milczeniu, rozglądając się po cmentarzu. Wszystko wygląda tak, jakby nic nigdy nie miało tam się zmienić.

Po upływie godziny rozgrzewają się koniakiem i gorącą wodą w lustrzanej łoży w Cafê de Foy.

– Ona zgadza się tylko dlatego, że to ty, a nie kto inny – mówi Armand. – Rzuciłeś na nią jakieś normandzkie zaklęcie. Ale czy jej nie wprowadziłeś w błąd? Kiedy ci twoi górnicy wezmą się do roboty, będą ciskać kośćmi jak drewnem na opał. No i ten dom, który jej obiecałeś. Nie zmyśliłeś go na poczekaniu? Nie jesteś bardziej władny dać jej dom niż mnie organy w Saint-Eustache.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewnia Jean-Baptiste.

– Zrobisz, co ci każą – odpowiada Armand. – Czy to nie bliższe prawdy?

– Minister...

– Twój wielki przyjaciel minister.

– Nie wierzę, że jest... nieczuły.

– I sądzisz, że Jeanne wzbudzi w nim uczucie? A może sam coś do niej czujesz? Rozumiem, że mogłoby być miło przytulić się do takiej dziewczyny w zimną noc.

– Przecież ona ledwie wyrosła z dzieciństwa.

– Grunt, że wyrosła. Naszą ukochaną królową wydano za mąż w wieku lat czternastu. A ona by z tobą poszła. Mógłbyś ją przemycić do swojego pokoju u Monnardów. Chociaż Ziguette z pewnością kręciłaby nosem.

– Chyba raczej ciebie interesuje Ziguette.

– Jeżeli spytasz, czy bym się z nią sparzył, gdyby nadarzyła się sposobność, nie zaprzeczę. Sam pewnie byłbyś nie od tego. I to mi nasuwa myśl, że powinniśmy iść się pogapić na naszą perską księżniczkę. Co powiesz?

– Nie dzisiaj.

– Nie? Straszny z pana dziś nudziarz, monsieur Bêche. Strzeż się nudziarstwa. Jest nienowoczesne. Ale jak sobie chcesz. Kiedy już zapłacisz za koniak, zrobię ci ten zaszczyt, że odprowadzę cię do domu.

Na skraju targowiska, w górnym odcinku rue des Prêcheurs, spotykają Austriaczkę, która niesie kilka książek, zawiniętych w papier i starannie przewiązanych czarnym szpagatem. Wygląda, jakby ledwie zauważała ziąb, rzadką breję na bruku i porywisty wiatr, choć inni zmagają się z nimi, łypiąc spode łba. Armand pozdrawia ją, a potem zauważa coś jakby króciuteńką wymianę spojrzeń, przelotną iskrę między kurwą a inżynierem.

– O, nie. Czyżby i z nią? – pyta. I wybucha śmiechem.

## *Druga*

„Pewnego dnia zacznę opłakiwać ludzi mi drogich lub oni mnie opłaczą... Na myśl o śmierci uciśniona dusza pragnie zupełnie się otworzyć i spowić sobą tych, których darzy uczuciem”.

J. Girard, *Des tombeaux, ou de l'influence des institutions funèbres sur les mœurs*

# 1

Widziane z okna dylizansu, który się w nich nie zatrzymuje, ubóstwo wiosek wydaje się prawie malownicze. Ile się zmieniło przez dwieście lat? Czy ludzie nie żyli z grubsza tak samo w czasach Henryka IV? Może nawet żyło im się lepiej, bo było ich mniej na nie tak jeszcze wyjałowionej ziemi, a i panowie w ówczesnych ledwie widocznych chateaux byli mniej liczni.

Jedzie do domu! Pierwszy raz od jedenastu tygodni, chociaż gotów byłby uwierzyć, że minęło już jednaście lat, a on, posiwiały Ulisses, wypatruje oczy za błękitnym cieniem Itaki.

Drogi są, dzięki Bogu, przejezdne. Zeszłotygodniowy śnieg stopniał, a przy obecnej pogodzie (lodowate słońce chodzi nisko, w nocy zaś powietrze aż trzaska) błoto stwardniało na kamień.

Dwa razy się przesiadał. Teraz jedzie dylizansem, którego woźnica jest niepokojąco pijany, ale konie znają drogę. Patrzy przez okno na ścianę lasu i niecierpliwi się, gdy drogę tarasuje stado gęsi, które pogania rozmarzona dziewczynka z patykiem w ręku. I wreszcie ostatnie wzgórze, w popołudniowym świetle fioletowieje kościelna wieża i rozlega się ryk woźnicy:

– Bellême! Bellême!

Wysiada na rynku. Woźnica odpina jego sakwę od reszty bagażu i rzuca mu ją prosto w ramiona. Grupka mieszkańców miasteczka jak zawsze stoi nieopodal z założonymi rękami i patrzy. W Bellême ciekawość nigdy nie wyjdzie z mody. Wśród gapiów jest wdowa, która sprzedaje lekarstwa na ból zębów, na porażenie, na ciekące ropnie. Poznaje Jean-Baptiste'a, a on do niej zagaduje, dowiadując się dzięki temu o śmierci kilku osób znanych mu z nazwiska, o ślubie miejscowej dziewczyny z postrzygaczem sukna z Mamers, o mężczyźnie, którego we włościach kardynała przyłapano na kłusownictwie i odstawiono do sądu w Nogent. Wychodzi na to, że nikt nie zarabia pieniędzy. Ziemia rodzi wyłącznie kamienie. A jednak wszyscy jakoś sobie radzą, trwa naprawa zegara na kościelnej wieży, a w przyszłym roku Bóg da im lepszy rok, bo nie są wszak źli i popełniają tylko drobne grzeszki.

– A ty? – pyta wdowa, zacerpnąwszy wreszcie tchu. – Byłeś gdzieś?

Ma jeszcze do przejścia kawałek drogi. Zarzuca sakwę na ramię i schodzi ze wzgórza, przeprawia się przez strumień, skacząc po kamieniach, a potem przecina narożnik cudzego pola, mając się na bacności, bo kiedyś pogonił go tam biały byk. Z lasu, obok którego przechodzi, dobiega woń dymu z ognisk wypalaczy węgla drzewnego, tych tajemniczych ludzi, co sami są sobie panami. Mija dorodny ostrokrzew, w tym roku gęsto pokryty owocami, przecina Varaville, słysząc, że psy zaczynają ujadać, i oto widzi dom, podwórko, połatane przybudówki, każdy domowy kamień i całe błoto dokładnie na swoim, koniecznym miejscu, a jednak wszystko to nie wiedzieć czemu zarazem go



zaskakuje. Przyspiesza kroku. W drzwiach staje kobieca postać. Gdy Jean-Baptiste podnosi rękę, ona powtarza ten gest. Przez kilka ostatnich minut marszu wpatruje się w niego i jest tak, jakby szedł ścieżką jej spojrzenia, aby w końcu wejść prosto w te szare oczy.

Wita się z nią, po czym siada przy ogniu, zbliżając dłonie do żaru. Przez kilka sekund jest zwyczajnie, namiętnie szczęśliwy i wszystko na świecie wydaje się proste jak obrazek w książeczce dla dzieci. Wrócił do domu! Nareszcie do domu! A potem ta chwila mija.

Matka przyrządza mu i podaje to i owo do zjedzenia, zasypując go pytaniami i dziękując za pieniądze, które przysłał. Wydaje mu się, że wokół jej oczu i ust pojawiły się zmarszczki. I czy spod płóciennych muszelek czepka nie wyziera więcej siwizny niż przedtem? Chciałby spytać, czy nic jej nie dolega, ale odpowiedziałyby tylko z uśmiechem, że miewa się nie najgorzej. Cierpienie to dar od Boga. Nie wolno się na nie uskarżać.

Wchodzi jego siostra Henriette, trzymając pod pachami zziębnięte dłonie. Przed chwilą była w mleczarni, więc pachnie jak mamka. Mówi, że chce wiedzieć wszystko. Jej ciekawość pochlebia bratu, ten słucha więc z niejakim zdumieniem własnej opowieści, w której bez zająknięcia poddaje obróbce niedaleką przeszłość. Gdyby mu wierzyć na słowo, można by sobie wyobrazić, że on i minister przez całe ranki przechadzają się we dwóch między fontannami w ogrodach Wersalu. Monnardowie stają się rodziną prostych mieszczan, życzliwych i nieposzlakowanie zacnych, natomiast Armand okazuje się właśnie takim przyjacielem, jakiego Jean-Baptiste'owi życzyłaby matka, która zawsze wyrzekała, że jej syn wyrośnie na samotnika: kimś, kogo nie sposób posądzić o to, że żyje ze swoją gospodynią albo gustuje w konserwowanych księżniczkach. O pracy na cmentarzu Niewiniątek inżynier mówi tylko to, co już pisał w listach: powierzono mu poprawę warunków zdrowotnych w ludnej dzielnicy i przebudowę tamtejszego prastarego kościoła. Nie ma powodu niczego zatajać przed bliskimi, nic nie broni mu wyznać im całej prawdy, bo ma przecież zupełnie przyzwoitą pracę, lecz w ostatniej chwili ogarnia go lęk, że z ich twarzy wyczyta coś przykrego, grymas nieudolnie tajonej odrazy.

Siostra jest ciekawa, czy widział królową.

– Tak – odpowiada, pozwalając sobie na najbezczelniejsze jak dotąd kłamstwo.

Henriette oczywiście domaga się szczegółowego rysopisu monarchini.

– Widziałem ją z pewnego oddalenia – mówi Jean-Baptiste. – No i damy dworu zasłaniały widok.

– Ale coś przecież musiałeś zobaczyć?

Jean-Baptiste opisuje zatem Héloïse. Matka i siostra są zachwycone – zwłaszcza siostra.

– Widocznie nie była tak znów bardzo daleko – stwierdza – skoro w końcu dokładnie ją nam sportretowałeś.

Po godzinie wśród łoskotu zatraskiwanych drzwi i nieokiełznanymi wybuchów psiej

radości do kuchni wpada brat inżyniera, Jean-Jacques – tak podobny do zmarłego ojca, jak Jean-Baptiste do jeszcze żywej matki. Opiera broń (stary ojcowski muszkiet Charleville'a) o komodę i wita się z bratem, bez najmniejszych zahamowań okazując mu męską czułość, która w tamtym natychmiast wzmaga wrażenie obcości, narastające w nim niemal od chwili, gdy usiadł.

– Trafiłem królika – oznajmia Jean-Jacques. – Małego, tam jak ten dołek. Rozerwało biedaka na strzępy. Zostawiłem go psom.

– Że też ci się udało w ogóle w coś trafić... – mówi Jean-Baptiste, skinieniem głowy wskazując muszkiet.

– Cały sekret w tym, żeby celować pół metra w lewo. Mógłbyś mi to dokładnie obliczyć, bracie. Rusz no Euklidesem.

– Łatwiej byłoby kupić nową strzelbę. Z gwintowaną lufą.

– Tęskniłbym za starą – wyznaje Jean-Jacques, po czym sadowi się po drugiej stronie paleniska i prostuje nogi. – Co nowego w Paryżu?

– To i owo.

– Scherlałeś.

– A tobie wyrósł brzuch. Trzeba ci będzie wypuścić kamizelkę.

– Do twarzy mu z brzuchem – wtrąca Henriette. – Nie sądzisz?

Ma rację. Nawet bardzo do twarzy. Jak doskonale Jean-Jacques wpasował się w swój normandzki świat! Od pracy na roli rozrósł się w barach. Policzki ma rumiane, a ciemne włosy związuje starą niebieską wstążką. Wsiowy piękniś. Przystosowany, na swoim miejscu. Nic dziwnego, że nigdy nie okazywał zbytnej zawiści na widok osiągnięć starszego brata, nie zazdrościł mu wykształcenia ani poparcia ludzi możnych. Sam zawsze miał inne ambicje: mniej wyszukane, bardziej uchwytnie. I który z nich cieszy się teraz większą swobodą? Który czerpie z życia więcej przyjemności? Którego jakiś obdarzony niezmaconym spojrzeniem sędzia takich spraw uznałby za człowieka sukcesu, wywyższonego kołem fortuny?

Bracia nocują w swoim dawnym pokoju, ukołysani do snu pohukiwaniem sów, i budzą się obaj naraz w blasku późno zachodzącego księżyca. W kuchni – tym wyszorowanym, uładowym świątku, w którym nawet światło zdaje się leżeć jak płachty wypłukanego muślinu – matka roznieca ogień, upuszczając drobne szczapki na równie drobne płomyczki. Potem podgrzewa jabłecznik. Piją taki gorący, że aż zęby bołą, chowają do kieszeni chleb i jabłka, po czym biorą klacz i idą piłować przewrócone drzewo – stary wiąz, powalony przez jesienne burze.

Jest to rozkoszna praca, zdrowa dla umysłu, chociaż Jean-Baptiste z trudem nadaża za bratem. Poca się, śmieją się z niczego, idą o lepsze w piłowaniu, a w historyjkach, które sobie nawzajem opowiadają, napomykają o seksie, zanim z zaschłymi gardłami wrócą do domu, prowadząc kobyłę objuczoną wonnym drewnem.

Po tygodniu takich prac trochę już zapomina Monnardów, Lecoeura, Niewiniątka. Odkrywa w sobie wielką chęć zapomnienia. Mówi z bardziej topornym akcentem, odnajduje na nowo ociężałość wiejskiego chodu, rozważną powolność ruchów i gestów,

jaka znamionowała mężczyzn, wśród których się wychował.

W Wigilię jadą do Bellême na mszę. Ubierają się, w co tylko mają najlepszego, i prawią sobie nawzajem komplementy, chociaż Jean-Baptiste nie występuje w pistacjowym stroju, bo w ostatniej chwili przed wyjazdem z Paryża zwątpił, czy ośmieli się pokazać rodzinie w kostiumie ucieleśniającym wizję przyszłości monsieur Charveta. Przemknęło mu przez myśl, żeby pójść na place des Victoires i sprawdzić, czy mają tam jeszcze jego stare ubranie (matka zdążyła już o nie spytać), ale stracił rezon, wyobraziwszy sobie wzgardliwą minę krawca i jego niemy werdykt, że młody inżynier jest jednym z tych lękliwych osobników, którzy tylko po to skaczą naprzód, aby nazajutrz czmychnąć z powrotem. Włożył więc ubranie pożyczone od monsieur Monnarda, gołębioszare i szacowne: w sam raz odpowiedni strój na doroczną kolację cechu nożowników. Leży na nim jak ulał – może nawet lepiej, niżby chciał.

W kościele zajmują tę co zawsze ławkę naprzeciw kaplicy Sainte-Anne. Stawili się wszyscy prócz umierających i tych, co już zdążyli upić się na umór. Ksiądz – père Bricarda – lubią w miasteczku za jego krótkie msze i bezgraniczną obojętność wobec tego, w jaki sposób jego owieczki zechcą ściągnąć na siebie wiekuiste potępienie. Po mszy sąsiedzi postoją trochę na zimnie przed drzwiami kościoła, gdy zaś dzieci nie znajdą już ani kawałka lodu do skruszenia obcasem, a okoliczne psy ochrypną od ujadania, rodzina Baratte wróci przez strumień i pola do domu. Bracia poświęcą nieco uwagi zwierzętom, zajrzą do stajni i obory, wysoko podnosząc lampę, popatrzą, jak krowy przestępują z nogi na nogę, a konie stoją bez ruchu, po czym obaj wejdą do kuchni i usiądą, żeby popić i razem z kobietami poplotkować. (Kim był ten jegomość, co przyszedł z Vadierami? Czy nie okazywał szczególnej uwagi Camille Vadier? A jaki dziwny kapelusik miała na głowie Lucile Robin! Chyba nie o taki efekt jej szło?)

W końcu gasi się ogień i sprząta ze stołu, po czym wszyscy udają się na spoczynek. Bracia leżą w swoim pokoju i mówią w ciemność nad swoimi głowami, opowiadają sobie o ojcu. Jest to ich wspólny rytuał, który za każdym razem muszą odprawić, wspominając życie i usposobienie zmarłego w tuzinie wyświechtanych anegdot, wybranych ze wspólnego skarbca: jak to pośrodku rynku wygarnął staremu Tissotowi, co o nim myśli, albo jak pewnej nocy wyciągnął tego samego przekupnia z rzeki, na wpeł utopionego, przerzucił go sobie przez ramię i zaniósł do domu i że gdy siedział przy warsztacie z tymi swoimi igłami, przelotkami i woskowaną nicią, wyglądał jak byk wijący wieniec ze stokrotek...

Takie opowieści dodają braciom otuchy. Pozwalają przemilczeć te inne, w których ojciec folguje sobie, bijąc pięściami, pasem albo jesionową lagą, kopiając buciorami, chłoszcząc paskami skóry lub parą świeżo uszytych rękawiczek synów, Henriette bądź żonę, dopóki nie cofnie się, wyczerpany i drżący. Nie wspominają też ostatniego roku jego życia, choć gdy w końcu obaj milkną i Jean-Jacques zaczyna chrapać, Jean-Baptiste myśli właśnie o tamtych miesiącach. Nie mówią o tym, jak ojciec zabłądził we własnej głowie i pozapominał nazwy narzędzi, a potem już nawet nie umiał ich używać. Do żony zwracał się jak do swojej matki, a Henriette wołał imieniem dawno zmarłej siostry. Kiedy

zbliżał się kres, Jean-Baptiste'a wezwano z Ecole des Ponts do domu. Przesiadywał godzinami na stołku przy łóżku chorego, opowiadając o maître Perronecie, o drogach i o szarych skrzydłach mostów, podczas gdy ojciec leżał nieruchomo z głową na wałku, z otwartymi oczami i uchylonymi ustami. Właśnie kwitł biały bez. Pszczoły i motyle wlatywały przez wąskie okno, zataczały koło w cieniście pokoju i odnajdowały drogę wiodącą z powrotem na wolność. Lekarz z Eperrais przyjeżdżał dwa razy w tygodniu i niepotrzebnie krzątał się przy pacjencie. Bliscy na zmianę zaspokajali potrzeby rękawicznika: lali mu łyżką zupę do ust, podpierali go na brzegu łóżka, żeby mógł się wysikać do urnału, zwilżali mu wargi i uspokajali go, kiedy się wiercił. Trwało to całe lato, całe lato oglądane przez zielone romby w oknie pokoju chorego, aż pewnego popołudnia, gdy powietrze gęstniało, szykując się do ostatniej potężnej burzy przed nadejściem jesieni, powalony niemocą mężczyzna usiadł nagle, oburącz ścisnął dłonie Jean-Baptiste'a, spojrzał mu w twarz i głosem wywleczonym z lodu, który miał w sobie, wyznał:

– Szczerze cię miłuję.

Miłuję? Nigdy wcześniej nie padło między nimi takie słowo. Żadne z dzieci nie spodziewało się usłyszeć takich słów od ojca. A skoro tak, to do kogo we własnym przekonaniu zwracał się podczas tego krótkiego zmartwychwstania? Czy wiedział, że mówi do najstarszego syna? A może myślał, że to Jean-Jacques? Albo jego własny brat Simon, z którego nieobecną osobą parę razy długo rozmawiał, mamrocząc pod nosem? Nie było żadnego dalszego ciągu – niczego, co mogłoby choć trochę wyjaśnić zagadkę. Dwa dni później rękawicznik zapadł w bezkresne, osobne milczenie. Po dalszych dwóch tygodniach umarł, zapewne od dawna już nie pamiętając własnego imienia.

W bożonarodzeniowy ranek – wcześniej nawet jak na wiejskie obyczaje – Jean-Baptiste idzie z matką do domu na wzgórzu, do protestanckiego zboru, gdzie ona i jej współwyznawcy będą się modlić w sposób, który wybrali. Nieliczni sąsiedzi, którzy widzą ich na drodze, udają, że nie wiedzą, dokąd zmierza tych dwoje. Madame Baratte to porządna kobieta, a wielu Normandczyków Ewangelię Jezusa Chrystusa ma za nic. Niech sobie wierzy w te swoje herezyjki.

Przechodzą przez wymieciony do czysta dziedziniec i ktoś ich wpuszcza do zboru, ledwie spojrzę na ich twarze. Na lewo od drzwi są szerokie kamienne schody, tak wydeptane, że przypominają odlew koryta jakiejś starożytnej rzeki. Na zakręcie schodów stoi kamienny filar z wykutym prostym krzyżem, a obok niego jest dość miejsca, żeby mogło razem stanąć sześć do ośmiu osób. Z okienka widać drogę, co dawniej musiało mieć bardziej praktyczne znaczenie niż dziś. Pastor jest Holendrem. Po francusku mówi z akcentem, który Jean-Baptiste'a zawsze troszkę śmieszył. Ma gładko wygoloną twarz i oczy dziecka. Otwiera Biblię. Ze zniszczonych kartek zostało tylko szare nic, ale on już nie musi z nich czytać. Recytuje:

– „Oto Pan spustoszy ziemię i na opak ją obróci, a rozproszy jej mieszkańce...”

Żadnych dzieciątek? Stajenek? Pasterzy ani wędrownych królów?

– „Ziemia usycha i więdnie, świat cały więdnie i chorzeje, chorzeją ziemskie

wywyższenia, a ziemię samą bezczeszczą stopy jej mieszkańców...”

Ezechiel? Izajasz? Tamci to będą wiedzieli.

– „W mieście ostało się jeno spustoszenie, a brama w gruzy rozbita... Kto umknie przed szczęką sieleń, do dołu się osunie; a jeśli zeń się wydobędzie, w potrzask wpadnie...”

Pastor nie oszczędza swoich wiernych. Uważałby, że wyrządza im zło, gdyby ich oszczędzał. Po długim, bardzo długim czasie zamyka księgę i podczas gdy jego nieliczne owieczki robią milczący rachunek sumienia, Jean-Baptiste z kapeluszem w ręce, lecz z podniesioną głową, spogląda w niebo, zatracając się na dłuższą chwilę w pięknie i tajemniczości najzwyczajniejszych rzeczy. Kiedy spotkanie dobiega końca, uczestnicy kolejno obejmują się nawzajem – sztywno, uroczyście – i dwójkami wychodzą ze zboru, wtapiając się w coraz bardziej jaśniejący dzień.

W domu kuchnia pełna jest już krewnych. Kiedy Jean-Baptiste siada, dwoje ledwie znajomych dzieci wchodzi mu na plecy. Obecny tam też oczywiście kuzyn André wygląda dostаточно, trochę z masońska, gdy zabawia kobiety opowiadaniem o małomiasteczkowych skandalach. Są tam również najubożsi krewni, stary Dudo z żoną, prawdziwi wieśniacy z rodu Baratte, a ich oczy mają identyczny wyraz jak ślepia zwierząt, które hodują na swoim skrawku normandzkiego błota. Władają wyłącznie staronormandzkim i nie rozumieją ani słowa po francusku, a gdy tak siedzą przy końcu stołu, podkradają plasterki białej kielbasy i chowają je pod bluzy. Specjalnie po to zawsze podstawia im się pełen talerz. Nawet dzieci mają dość rozumu, żeby nie zauważać, co oni robią.

Wśród przyjaznego harmidru Jean-Baptiste pracownicy popijają jabłecznik. Wizyta – jak wszystkie wizyty w domu już od dłuższego czasu – okazała się zagadkową porażką. Od którego momentu nie możemy już wrócić, naprawdę wrócić? Jakież to tajne drzwi zamykają się przed nami? W Paryżu nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie stamtąd się wyrwie, a teraz chciałby czym prędzej jechać z powrotem. Jakkolwiek ułoży mu się życie, z jakimkolwiek losem będzie musiał się zetrzeć, wszystko to rozegra się gdzie indziej niż tu, pośród wciąż tak samo ukochanych pól i lasów z jego chłopięcych lat. Wychyla kubek, międli w ustach resztki, które zostały na dnie, i sięga po dzban. Siostra siada obok niego na ławie. Kiedy byli młodszy, nieraz się kłócili i miewał wtedy wrażenie, że jest złośliwa, pyszna, ale teraz ta dwudziestotrzyletnia dziewczyna o pospolitej urodzie wydaje się wcieleniem dobroci, a do tego posiada nie wiedzieć skąd zaczerpniętą, godną pozazdroszczenia mądrość. Znowu wypytuje go o Paryż, o tamtejszą modę, o tych jakichś Monnardów, którzy wynajmują mu pokój. Jean-Baptiste wie, że ona wie, że nie zdradził jej ani połowy prawdy. Henriette ze szczególnym naciskiem pyta, czy jest zdrowy. Trochę zmęczony – odpowiada jej brat, wzruszając ramionami. Ostatnio gorzej sypia. I nagle świta mu, czego naprawdę dotyczy pytanie.

– Idzie ci o to, że nie pachną tak ładnie jak dawniej?

– Zastanawialiśmy się, czy to nie przez to paryskie powietrze, Jean. Bo może ono jest mniej zdrowe od tutejszego.

– Rzeczywiście jest mniej zdrowe – przyznaje Jean-Baptiste. – O wiele mniej.  
– No to dojdiesz do siebie, jak już tu wrócisz – mówi siostra. – Chyba już jest jakaś poprawa.

Brat półzartem jej dziękuje.

– Kiedy tam wracasz? – pyta ona.

Armand i jego kochanka najwidoczniej nie zasypiali gruszek w popiele, zresztą Jeanne może też. Kiedy Jean-Baptiste wraca do Paryża, ludzie na ulicy wytykają go palcami lub gapią się w milczeniu, jakby czekali, aż zza kołnierza płaszcza wychyli mu się brzeżek anielskiego skrzydła albo na czole wyrośnie załazek rogu. Na targu rankiem w przeddzień Trzech Króli jakiś starzec – jeden z tych obdartusów, którzy włóczą się po każdym placu miejskim, strojąc miny – wygraża mu uschłą ręką i każe zostawić w spokoju „owo pole ojców naszych, iżby gniew Wszechmogącego...”. Dwa dni później straganiarz z rue de la Fromagerie podarowuje mu plaster miodu, życząc szczęścia. Za jego plecami raz po raz rozlega się nowe słowo. „Inżynier”. Jean-Baptiste zastanawia się, ilu z tych, którzy go tak nazywają, ma w miarę jasne pojęcie, co ono znaczy.

Ale ze wszystkich reakcji, z którymi spotyka się w pierwszych zimnych dniach nowego roku, najbardziej zdumiewa go zachowanie Monnardów. Po powrocie niemal ucieszył się na ich widok, uprzejmie podziękował monsieur Monnardowi za pożyczenie ubrania, sumiennie wypytał, czy madame i mademoiselle miło spędziły święta, lecz już drugiego wieczoru przy kolacji stało się jasne, że gospodarzom coś doskwiera. W końcu madame Monnard, wypluwszy w pięść kawałek chrząstki, poruszyła kwestię, która najwyraźniej ich nurtowała.

– Monsieur – zaczęła – czy prawdą jest to, co powiadają o cmentarzu?

– Madame?

– Że ma... zniknąć?

Jean-Baptiste odłożył nóż i widelec.

– Poniekąd tak, madame. Ma zostać usunięty, a ziemia oczyszczona. Z czasem usunie się także kościół.

– Jesteśmy wstrząśnięci – oświadczył monsieur Monnard. – Nie podejrzewaliśmy czegoś takiego.

– Przykro mi, monsieur. Ale kościół i cmentarz są zamknięte od pięciu lat. Nie można ich zostawić na...

– Ledwie nam się to w głowach mieści – rzekła madame dziwnie piskliwym głosem.

– Mam nadzieję, że społeczeństwo na tym skorzysta – odparł Jean-Baptiste. – A sprzed okien tego domu zniknie publiczne miejsce pochówku. Nikt już nie będzie przez nie cierpiał.

– A niby kto teraz cierpi? – spytał monsieur Monnard.

Jean-Baptiste przelotnie spojrział na swój talerz, na którym zaczynało już krzepnąć jedzenie, bo w pokoju było chłodno.

– Przecież to chyba nie może być całkiem zdrowa okolica, monsieur?

– Ma pan wrażenie, że jesteśmy niezdrowi?

– Nie. Oczywiście, że nie. Nie o to mi szło...

– A o co?

I wtedy Ziguette się rozpląkała. Najpierw wydała z siebie piskliwe zawodzenie, potem chlipnęła i wreszcie z piersi wyrwał jej się szloch, a twarz tak raptownie zmieniała przy tym wyraz, że Jean-Baptiste czuł się, jakby widział tę dziewczynę pierwszy raz w życiu. W końcu uciekła z pokoju. Madame i monsieur spojrzeli po sobie.

– Jeśli to moja... – zaczął Jean-Baptiste, nieco podnosząc się z krzesła.

– Biedna Ziggi tak źle znosi wszelkie zamieszanie – rzekła madame, po czym dodała parę zrazu niezrozumiałych uwag, z których Jean-Baptiste zdołał jednak po chwili wywnioskować, że Ziguette od niedawna miesiączkuje i stała się przez to niezwykle wrażliwa.

Ciąg dalszy tej niezręcznej sceny nastąpił późniejszym wieczorem. Jean-Baptiste siedział u siebie w pokoju, okutany banianem z czerwonego adamaszku. Właśnie czytał u Buffona o tym, jak pewne nieszkodliwe stworzenia naśladują desenie swoich jadowitych kuzynów, gdy usłyszał znajome drapanie w drzwi, a kiedy je otworzył, zamiast muskularnego Ragoût ujrzał Ziguette w koszuli nocnej, bladą jak śmierć. Przy każdym westchnieniu było widać, że dziewczyna nie ma na sobie gorsetu.

Chciała wytłumaczyć swoje najście, przeprosić za nie, wytłumaczyć i przeprosić, a może nie tłumaczyć ani nie przeproszać. Chwilę poszeptali przy drzwiach, po czym Jean-Baptiste zaprosił ją do pokoju, a ponieważ miał tylko jedno krzesło, podsunął je dziewczynie, sam zaś usiadł na łóżku. Ziguette nie okazała zdziwienia na widok banianu i nie powiedziała o nim ani słowa. Inżynier dorzucił patyk do ognia. Próbował dodać otuchy córce gospodarzy.

– Proszę pomyśleć, jak tu się zrobi miło, kiedy już będzie po wszystkim. Zamiast tego, co jest teraz, powstanie ładny plac. Może nawet wyrosną ogrody.

Skinęła głową. Niby starała się podążać za jego rozumowaniem, ale oczy znowu wezbrały jej łzami.

– To tak – rzekła po chwili milczenia – jakby chciał pan wykopać z korzeniami moje dzieciństwo.

– Dzieciństwo?

– Niewinne dziewczęce dni.

– Przekopię tylko cmentarz. Ziemię i stare kości. Mnóstwo starych kości.

– Pan się tu nie wychował – cicho odparła dziewczyna. – W przeciwnym razie inaczej by pan to czuł.

Siedział trochę niżej niż ona, toteż jego spojrzenie spoczęło na jej podolku. Wyobraził sobie, że przez nocną koszulę z wolna przesiąka krew, krwawa róża rozkwita na bladej tkaninie, rozpełza się po udach i może nawet zaczyna z cichym stukotem skapywać na deski podłogi...

– Po zakończeniu robót – powiedział, podnosząc spojrzenie i spotykając się z nią wzrokiem – kiedy już będzie po wszystkim, sama pani poczuje się inaczej. Początkowa przykrość szybko minie. Będzie pani kontenta.

Nie sprzeciwiała mu się. Dyskretnie rozejrzała się po pokoju, omiatając spojrzeniem



łóżko, kufer, stół z książkami na blacie, mosiężny linał. Stłumiwszy ziewnięcie, przeprosiła, że zakłóciła inżynierowi spokój, i ze słodkim, wodnistym uśmiechem, jakim obdarza się kogoś, kto nic nie jest winien, że nie pojmuje czegoś, co powinno wszak być jasne jak słońce, pożegnała się.

Kiedy pociągała za klamkę, zamykając za sobą drzwi, Jean-Baptiste zerknął na sufit, a właściwie na dziurkę nad łóżkiem, bo podczas wizyty Ziguette słyszał parę razy, jak na górze skrzypią deski.

Wszedł na łóżko i stanął na nim. Z tej wysokości łatwo mógł dosięgnąć sufitu. Zajrzał w otworek, lecz niczego tam nie dostrzegł, żadnego światła, nic a nic. A potem wolno, ostrożnie wsunął w dziurkę lewy palec wskazujący; podobnym ruchem comte de Buffon mógłby badać gniazdo jakiegoś podejrzanego owada, nie wiedząc, czy naprawdę jest on z natury jadowity, czy tylko się podszywa... Nie przysięgłby, czy nie uległ złudzeniu, ale wydało mu się, że ktoś leciutko dmucha na jego palec, więc uważnie go obejrzał, stojąc na łóżku w chwiejnej równowadze.

Spotyka się z Lafosse'em. Styczeń pali się niskim płomieniem; niczego jeszcze nie zaczęto; nie ruszono ani jednej kości. Jean-Baptiste tłumaczy się z tych opóźnień, składając je na karb okoliczności, co zresztą czyni zgodnie ze swoim najgłębszym przekonaniem. Nie może przecież zacząć bez górników, ci zaś nie dojechali. Już jadą i niebawem będą na miejscu, ale jeszcze ich nie ma. W połowie tego wywodu, tej mowy obrończej, przy której lekko mu płoną policzki, uświadamia sobie, że Lafosse nie dba o parę tygodni zwłoki, więc nie usunie go ze stanowiska ani nawet tym nie zagrozi. Bo i gdzie znaleźliby naprędce kogoś innego, kto podjąłby się tego rodzaju pracy? Inżynier przedstawia rachunki. Bez przykrości stwierdza, że Lafosse jest przeziębiony.

To, do czego nie potrzebuje pomocników, robi sam. Kupuje od Louisa Horatia Boyer-Duboissona płótno, drewniane drągi, liny i łańcuch kotwiczny. Umawia się z bezzębnym człowiekiem o nazwisku Dejour na dostawy drewna opałowego i pracuje ramię w ramię z nim i z jego synami, kiedy przybywa pierwszy transport. Ilekroć pojawia się na targowisku, handlarze zasypują go ofertami i obietnicami, dodając czasem szeptem przestrozę przed kolegą po fachu, pospolitym złodziejem. Słoma na legowiska pochodzi ze stajni za poczthalterią przy rue aux Ours. Jest sucha i w miarę czysta. Przyjeżdża trzydzieści łopat i tyleż oskardów, również od Louisa Horatia Boyer-Duboissona. W Valenciennes górnikom nie wolno mieć własnych narzędzi. Posiadacz łopaty mógłby się poczuć niezależny.

Piątego lutego nadchodzi wiadomość od Lecoeura, że wszystko nareszcie gotowe, a nadawca wyruszy niebawem z ludźmi do Paryża i ma nadzieję dotrzeć tam w ciągu tygodnia. List wędrował dwa dni, więc po dalszych dwóch Jean-Baptiste rozpoczyna czuwanie, wystając godzinami na skrzyżowaniu rue Saint-Denis z rue aux Fers, ale nie zbliża się zanadto do włoskiej fontanny, żeby się nie narazić na sprośne docinki praczek.

Jest zimno, lecz pogodnie, rano wszystko pokrywa gruba warstwa szronu, ale w południe robi się prawie ciepło. Jean-Baptiste widuje wciąż te same twarze i zauważa, że ulice mają własne prądy i przyływy. Przelotnie dostrzega Héloïse, gdy ta oddala się w stronę faubourg Saint-Denis. Widzi père Colberta, nieomylnie poznając go po niebieskich okularach i zielonkawoczarnej sutannie, opiętej na szerokich, przygarbionych plecach. Spotyka się z Armandem, który radzi mu nająć chłopca, ale Jean-Baptiste nie chce polegać na chłopcu i na chłopięcej zdolności koncentracji. Nie ma też ochoty przesiadywać beczynnie w domu Monnardów, czekając na coś, co – jak chwilami przypuszcza – nigdy nie nastąpi.

I oto koło drugiej po południu, równo tydzień od daty nadania listu z Valenciennes, jakby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zjawia się nagle Lecoeur, nadjeżdżając wozem od strony rzeki i zdejmując na widok Jean-Baptiste'a kapelusz w wytwornie powitalnym geście.

Wozy są trzy, bez bud, na wielkich kołach pokrytych skorupą błota. Kiedy się zatrzymują, grupki miejscowych (nawet praczki) gromadzą się, żeby przyjrzeć się obcym, którzy też na ich patrzą: jedni wytrzeszczonymi, przerażonymi oczami poganianego bydła, inni po prostu zacukani, z minami, jakie mogli mieć ludzie Hernána Corteza, wkraczając do złotego miasta Tenochtitlan. Na rue Saint-Denis ustaje wszelki ruch. Konie spuszczaają łby. Jeden hałaśliwie i zielonkawo wypróżnia się na bruk. Lecoeur złazi z kozła pierwszego wozu i wielkimi krokami podchodzi do Jean-Baptiste'a. Spotkanie sprawia im obu taką ulgę, że z radości mocno ściskają sobie ręce.

– Mieliśmy po drodze parę przygód – mówi Lecoeur. – Może nie tej miary co z Circe albo z Cyklopem, ale i tak było z czym się borykać. W końcu jednak dotarliśmy i jesteśmy na twoje rozkazy.

Jak na to, że w samym środku zimy bez względu na pogodę podróżował z trzydziestoma górnikami, Lecoeur wygląda niezwykle schludnie i świeżo. Na głowie ma brązową peruczkę, twarz starannie ogoloną, szyję owinął szykowną czerwoną chustą i tylko leciutko czuć mu z ust tęgim trunkiem, jakim mógłby profilaktycznie się uraczyć zimową porą każdy podróżny.

– Są wszyscy? – pyta Jean-Baptiste, skinieniem głowy wskazując wozy.

– Trzydziestu chłopów, doborowy zastęp. Nie sądzę, żebyś zdołał się u nich dopatrzeć jakichś wad.

– Jestem ci wdzięczny – mówi Jean-Baptiste – i to nawet bardzo, ale musimy przeprowadzić wozy w tę ulicę. – Wskazuje palcem rue aux Fers. – Inaczej na nas nakrzyczą. Tutejsi ludzie nie zwlekają z okazywaniem uczuć.

Już po czterech minutach wozy i konie stoją rzędem pod północną ścianą kościoła. Górnicy wysiadają i stają grupkami, spoglądając to na Lecoeura, to na Jean-Baptiste'a, jakby w milczeniu szacowali autorytet każdego z nich, bezgłośnie wyciągając wnioski.

Jean-Baptiste otwiera kluczem furtę w cmentarnym murze. Oto pierwszy sprawdzian. Górnicy muszą wejść na cmentarz, który nawet w świątym umyśle inżyniera wzbudza niepokój. Czy będą się wzdragać? A jeżeli tak, to co należy zrobić? Przymusić ich siłą? Jak? Przystawiając szpadę do gardeł? Jean-Baptiste nie ma szpady.

– Bądź łaskaw ich poprowadzić – cicho prosi Lecoeura. – Są z tobą obcy.

– Doskonale – zgadza się Lecoeur.

Bez wahania wchodzi na cmentarz. Górnicy podążają za nim, szurając butami. Kiedy ostatni jest już na cmentarzu, Jean-Baptiste idzie w ich ślady, zamyka za sobą furtę i dogania Lecoeura.

– Nic a nic nie przesadziłeś – mówi Lecoeur. – Wrażenie rzeczywiście jest dość potężne.

– Z czasem człowiek się przyzwyczaja – odpowiada Jean-Baptiste. – Przynajmniej trochę.

– Zachęci nas to do żwawszej pracy – oświadcza Lecoeur, siląc się na uśmiech.

Już od wielu dni między kościołem a krzyżem kazalniczym piętrzy się stos drewna na wielkie ognisko. Rozpalają je teraz żarem przyniesionym z kuchni grabarza. Dym wije

się w nieruchomym powietrzu. Z samego serca ognia dobiegają trzaski. Kłęby dymu gęstnieją. Spomiędzy polan wyskakuje kilkanaście płomieni. Górnicy stoją kręgiem, wyciągając ku ognisku ręce, żeby je ogrzać.

Jeanne wychodzi przed dom. Jean-Baptiste przedstawia ją Lecoeurowi. Czy ludzie są głodni? – pyta dziewczyna. O, tak, bez wątpienia. Wygłodniali. Jeanne oświadcza, że w takim razie pójdzie na targ po zupę i chleb dla nich. Na jednym straganie można kupić wiadro smacznej zupy. Zarutko się uwinie.

Jej propozycja – roztropna i praktyczna – szybko zostaje przyjęta. Lecoeur daje dziewczynie do pomocy trzech ludzi, których sam wybiera z kręgu. Jean-Baptiste odlicza jej na rękę pieniądze.

– Są nieszkodliwi – mówi Lecoeur, wskazując przydzielonych dziewczynie pomocników. – Proszę nimi kierować, a będą posłuszni.

Patrzą, jak Jeanne odchodzi, a górnicy idą za nią ciężkim krokiem.

– Będziemy z niej mieli wiele pożytku – stwierdza Lecoeur. – Przewiduję, że stanie się ich niepokalaną mateczką.

– Kiedy się najedzą – mówi Jean-Baptiste – muszą rozbić namioty. Najlepiej chyba tu, w dwóch rzędach po pięć. Ty dostaniesz kwatery w domu grabarza, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Powinno ci tam być wygodnie.

– Jestem tu tylko narzędziem – odpowiada Lecoeur. – Nie ma większego znaczenia, gdzie się mnie na noc odłoży.

Jean-Baptiste kiwa głową. Słucha zniżonych głosów mężczyzn i nagle uświadamia sobie coś, o czym dziwnym trafem zapomniał. Co najmniej połowa górników z Valenciennes mówi wyłącznie po flamandzku. Kiedy pracował w kopalniach, nauczył się może ze dwóch tuzinów słów w tym języku, ale dawno wyleciały mu z głowy.

– Władasz ich mową? – pyta Lecoeura.

– Nie aż tak, żeby ruszyć w konkury do Flamandki – pada odpowiedź. – Ale do naszych celów chyba wystarczająco.

Po półgodzinie wraca Jeanne z górnikami. Dwaj niosą parujące wiadra zupy. Dziewczyna i trzeci górnik taszcą naręcza chleba. Za nimi idzie Armand. Podchodzi wielkimi krokami do Jean-Baptiste'a i Lecoeura, wołając z daleka:

– Widziałem wasz dym! A już zaczynałem podejrzewać, że jesteś tylko sympatycznym marzycielem. Teraz już zawsze uwierzę ci na słowo.

– Pozwól, że ci przedstawię – mówi Jean Baptiste – monsieur Saint-Méarda.

– Czy jest pan jednym z nas? – pyta Lecoeur.

– Chyba mogę tak o sobie powiedzieć – mówi Armand, spoglądając na Jean-Baptiste'a.

– Monsieur Saint-Méard jest organistą w tutejszym kościele – wyjaśnia Jean-Baptiste.

– Będę już tylko niegdysiejszym organistą – uściśla Armand – kiedy ci jegomościę wezmą się do pracy. Ale zamierzam przyczynić się do własnego unicestwienia. Czy to prawo nie przysługuje każdemu z nas?

– Starożytni byli o tym przekonani, monsieur – przytakuje Lecoeur.

– A my jesteśmy neostarożytni, nieprawdaż?

– Jesteśmy ludźmi – oświadcza Lecoœur – którzy oczyszczą Paryż. Tak właśnie powiedziałem temu oto mojemu przyjacielowi przy ostatnim spotkaniu. Damy coś na kształt przykładu.

– Rozprawimy się z przeszłością – pół żartem, pół serio odgraża się Armand. – Historia nazbyt długo nas dławi.

– Bardzo pochwalam tego rodzaju sentymenty – półgłosem mówi Lecoœur.

– Pochwalmy je zatem przy butelce – proponuje Armand.

– Za dwie godziny się ściemni – mityguje go Jean-Baptiste. – Butelka musi poczekać.

– Już nas tyranizuje – stwierdza Armand.

Lecoœur robi nieszczęśliwą minę.

– Ale ma słuszność, monsieur – mówi. – Całkowitą słuszność. Wiele jest tu jeszcze do zrobienia. Musimy być w pełni władz umysłowych. Może później?

Zupa i chleb zostają spożyte bez ceremonii. Górniczy oblizują łyżki, wycierają brody do czysta kantem dłoni, plują, drapią się i ziewają.

Widząc, że już zjedli, Jean-Baptiste wchodzi po krętych schodkach na wąską, ogrodzoną ambonę na frontonie kazalniczego krzyża. Podąża za nim Lecoœur, a potem i Armand, chociaż nikt go nie zapraszał. We trzech mieszczą się na ambonie tylko dzięki temu, że stoją ramię przy ramieniu. Jean-Baptiste macha wolną ręką, wzywając górników. Ci wstają i niespiesznie podchodzą do krzyża. Zdążył tymczasem zapomnieć jeszcze jedną ich cechę: przez tyle lat garbili się w tunelach, że wielu nie może już się wyprostować. Stoją pod krzyżem i patrzą w górę, niezdarnie zadzierając głowy.

– Powiem do nich parę słów – zwraca się Jean-Baptiste do Lecoœura. – A potem ty, jeśli łaska, streść im to po flamandzku.

Odchrząkuje. Nie ma donośnego głosu mówcy, a chce, żeby go usłyszeli, ale wołałby nie krzyczeć.

– Witajcie – zaczyna. – Niektórych z was mogłem znać w Valenciennes. Nasza praca tutaj będzie zupełnie inna. Cały ten stary cmentarz razem z kościołem, który stoi za wami, trzeba zniszczyć. Cała powierzchnia cmentarza ma być przekopana. Wszystkie kości, które widzicie w kostnicach, oraz te spod ziemi i z krypt usunie się i wywiezie. Macie się z nimi obchodzić jak z kośćmi własnych przodków. Jutro otworzymy pierwszy wielki dół. Przez cały czas będziemy palić ogniska, żeby oczyścić powietrze i wprawić je w ruch. Lekarze zgodnie twierdzą, że ogień to najlepsza obrona przed wszelkimi waporami, jakie mogą się wydostać podczas kopania. Dostaniecie dwadzieścia pięć sous dniówki. Do tego jeden gorący posiłek dziennie i litr wina. Nie wolno wam opuszczać cmentarza bez zgody mojej albo monsieur Lecoœura. Przede wszystkim musicie rozbić namioty i wykopać latryny. Nie wolno plugawić ziemi. Pracować będziemy codziennie. Każdy ma sam dbać o swoje narzędzia, czyścić je i naprawiać. – Po namyśle dodaje: – Jestem Baratte. Inżynier.

– Znakomicie – szepcze Lecoœur.

– Rozsądnie – orzeka Armand.

Lecoœur zaczyna tłumaczyć. Mówi po flamandzku znacznie płynniej, niż twierdził.

Słuchając go, Jean-Baptiste przegląda nierówne szeregi górników. Jeden wyróżnia się spośród reszty: wyższy niż większość, z gołą głową, zdaje się wodzić beznamiętnym spojrzeniem po twarzach triumwiratu, który stoi na kazalnicy krzyżu. Można by nieomal przypuszczać, że jest rozbawiony, bo za często widywał takie sceny, zbyt wiele razy bywał świadkiem takich zdarzeń, aby nie dostrzegać w nich szczypty niedorzeczności. Na kilka sekund opiera rękę na ramieniu dużo starszego górnika, który stoi przed nim, a chociaż z odległości dwudziestu metrów nie widać szczegółów, dłoń jest wyraźnie zniekształcona, nie taka, jaka być powinna.

Lecoeur kończy tłumaczyć i wszyscy trzej schodzą po krętych stopniach, trochę przy tym ryzykując, że się z nich sturlają. Drogę i płótno od Boyer-Duboissona zanoszą na płaski plac pośrodku cmentarza. Po rozbiciu pierwszego namiotu górnicy pojmują zasadę jego konstrukcji, więc pozostałe stawiają już dość szybko.

Handlarz drewnem przywozi świeżą dostawę. Zagląda do namiotów i cmoka na widok górników, z aprobatą kiwając głową. Dostawy opału na cmentarz Niewiniątek to będzie najzyskowniejsze zamówienie w jego życiu: raz rozpalone ogniska nie zgasną przez wiele miesięcy. Górnicy kładą nowe drewno w pobliżu swojego obozowiska, bo jest to cenny towar, który nietrudno ukraść. Już spora ilość zdążyła wywędrować w nocy za mur.

Jean-Baptiste sprawdza, jak postępuje kopanie latryn, i stwierdza z zadowoleniem, że idzie ono nieźle. Sprawdza też wszystkie namioty po kolei, szarpiąc za sznury. Kilkakrotnie wzywają go do cmentarnej furty na rozmowy z dostawcami. W końcu powierza to zadanie Armandowi, który z wyraźną ochotą bierze je na siebie.

Już podczas kopania latryn i dołów pod ogniska wydobyto setkę albo i więcej dużych kości oraz niezliczone mnóstwo okruchów – jedne są kredowobiałe, inne szare lub czarne, a jeszcze inne żółte jak kapelusz kurki. Jeanne podnosi jedną z najmniejszych czaszek, strąca kciukiem przywartą do czoła grudkę ziemi i odkłada czaszkę w trawę, jakby sadzała pisklę z powrotem w gnieździe. Jest w tym coś z lekka odrażającego, lecz Jean-Baptiste nie wątpi, że przykład dziewczyny podziała na górników znacznie silniej niż wszelkie słowa, jakie on sam umiałby znaleźć.

Mijając ich w gęstniejącym mroku wczesnego wieczoru, stara się zapamiętać poszczególne twarze. Tylko nieliczni gotowi są spojrzeć mu w oczy. Tych zatrzymuje i pyta o nazwiska. Jacques Everbout, Joos Slabbart, Jan Biloo, Pieter Molendino, Jan Block. Nigdzie nie znajduje człowieka, którego zauważył, stojąc na kazalnicy krzyżu – tego, co tak beznamiętnie mu się przyglądał. Kimkolwiek on jest, najwyraźniej potrafi stawać się niewidzialny, ilekroć mu to dogadza.

Kiedy Jean-Baptiste budował most w majątku księcia de S., miał pod sobą około tuzina ludzi: domowych służących i ogrodników, a także dwóch czeladników murarskich i ich majstra z Troyes. Zwłaszcza majster nie próbował ukrywać, że brak mu cierpliwości do „chłopca”, który zawiadywał całym przedsięwzięciem. Czeladnicy byli niewiele uprzejmiejsi i nawet domowi słudzy chadzali własnymi drogami, poniżając go przy każdej sposobności, bo służący z wielkich dworów z czasem uczą się to robić. Źle jest

być ponizanym. Źle jest być przełożonym tylko z imienia. Tu, na cmentarzu Niewiniątek, musi jakoś narzucić swoją wolę, musi to uczynić, choćby w skrytości ducha był tak samo niepewny siebie jak podczas budowy mostu. A przy tym chciałby, żeby go lubili. Albo przynajmniej nim nie gardzili.

Gdy robi się za ciemno, żeby zdziałać cokolwiek pożytecznego, mężczyźni siadają u wejść do namiotów. Po raz drugi ich nakarmiono, dostali też napitek. Jean-Baptiste zjadł coś tylko dlatego, że uległ naleganiom Jeanne, która stała przy nim z chlebem i miską. Teraz inżynier robi z Lecoeurem ostatni obchód. Życzą górnikom dobrej nocy, a w odpowiedzi słyszą zaledwie kilka gardłowych dźwięków. Nie sposób odgadnąć, co ci ludzie naprawdę myślą i czy połowa z nich nie zamierza uciec, zanim noc minie. Można im zaufać? W kopalniach zdarzały się czasem incydenty, akty przemocy. Ciekawe, jaką minę zrobiłby minister na wieść, że górnicy czmychnęli i właśnie obracają Paryż w perzynę!

Gdy są już w pewnej odległości od namiotów, Lecoeur go uspokaja.

– U ciebie zarobią dużo więcej niż w Valenciennes. A zresztą to na swój sposób porządne chłopcy. Można by z nich uformować nader godną zaufania kompanię.

– Z tobą w randze kapitana – odpowiada Jean-Baptiste.

– To ty, mój drogi Baratte, jesteś naszym kapitanem. Uważam, że świetnie byś się prezentował na białym koniu.

– Musiałbym podszlifować flamandzki.

– Naprzód, do ataku. Dziesięć sous za każdą nieprzyjacielską głowę. Tyle chyba powinno wystarczyć.

Przecinają narożnik cmentarza, zmierzając ku domowi, w którym mieszka grabarz z wnuczką. Lecoeur niesie płonąca pochodnię, chociaż właściwie mogliby się bez niej obejść. Z okien domu pada światło lamp, a od ogniska bije rozległa czerwona łuna.

– Pierwszy raz zobaczyłem to miejsce – mówi Jean-Baptiste – z okna swojego pokoju. W nocy spojrziałem w dół i napotkałem wzrokiem nieprzenikniętą ciemność. A dziś tak tu widno, że prawie świątecznie.

– Świątecznie? Daruj, ale takie miejsce jak to raczej wyklucza świąteczny nastrój.

– Jak teraz znosisz smród?

– Do wytrzymania, albo prawie. Nie jestem zbyt czuły na smrody. To skutek przebywania w kopalniach. Mam czaszkę pełną węglowego miału.

– Podobno grasuje tu jakiś zwierz – mówi Jean-Baptiste. – Pół pies, pół wilk, który ma swoje leże w kostnicach po tej stronie. – Wskazuje ręką przed siebie, ku południowej części muru i łukowo sklepionym wejściom do podsieni.

– Nie można dopuścić, żeby taka bajeczka doszła do uszu górników – odpowiada Lecoeur.

– Masz słusność – przyznaje Jean-Baptiste.

– Ale na wypadek, gdyby to nie była bajeczka, też jestem przygotowany. – Lecoeur zatrzymuje się i wyciąga coś z kieszeni płaszcza. – Widzisz?

– Nabity? – pyta Jean-Baptiste.

– Mam w bagażu proch i kule. I ćwiczyłem strzelanie. Z trzydziestu kroków trafiam w kosz na węgiel.

– Lecoeur i jego grom na wilki – pokpiwa Jean-Baptiste.

Parskają cichym śmiechem. Lecoeur gasi pochodnię kantem buta, po czym wchodzi do domu grabarza.

Starzec śpi przy palenisku, przyciskając podbródkiem do piersi srebrzyste kędziory brody. Armand siedzi przy stole z Jeanne. Na widok wchodzących wnuczka grabarza natychmiast wstaje.

– Czekaliśmy na panów – mówi.

– Robiliśmy obchód obozu – wyjaśnia Lecoeur, wpatrzony w stojącą na stole przy łokciu Armanda butelkę koniaku.

– Jak się miewa dziadek? – pyta Jean-Baptiste.

– Zmęczony – odpowiada Jeanne, posyłając uśmiech w stronę czubka głowy starca. – Ale chyba się cieszy, że już się zaczęło. I widzi, że ja też jestem kontenta. Pana ludzie są bardzo mili – dodaje, zwracając się do Lecoeura.

Ten składa jej lekki ukłon.

– Stała się już pani ich ulubienicą, mademoiselle – mówi.

– No to – wtrąca Armand, ziewając – może nareszcie będzie nam wolno się napić. Brakuje dwóch kieliszków, Jeanne.

Skompletowane kieliszki napełnia się i wznosi. Nawet Jeanne pociąga łyceczek, od którego natychmiast płoną jej policzki. Armand znów nalewa do pełna. Jean-Baptiste odstawia na bok swój kieliszek.

– Jutro zaczynamy kopać – oznajmia. – Lepiej nie zasiadajmy się przy flaszy. Przyjdę bardzo wcześnie, Jeanne. Pani Saget też, zdaje się, ma przyjść?

– Lisa się stawi – obiecuje Armand. – Chyba już całkiem pogodziła się z twoją obecnością.

– Skoro świt pójdę na targ po chleb – mówi Jeanne. – Z dziadkiem, a może i z madame Saget.

– A ja załatwiłem piętnaście apetycznych starych kur, żeby dotrzymały nam towarzystwa przy kolacji – oświadcza Armand. – Do tego worek kartofli, worek marchwi i tyle zielonej soczewicy, ile waży dorosły chłop. Cebulę. Ośmieliłem się też zamówić sto dwadzieścia litrów burgunda. Chateau Bylejakie. Radzę zamknąć je na klucz w jednym z pokojów na zapleczu kościoła. Père Colbert raczej go nie wypije.

– Dobrze – chwali Jean-Baptiste. – Dziękuję.

– Jesteśmy maszyną! – z zachwytem woła Lecoeur. – Nakręcono nas i oto ruszyliśmy!

– Tik-tak, tik-tak – mówi Armand.

Jeanne chichocze.

– Idziesz? – pyta inżynier Armanda.

– Chyba jeszcze trochę tu posiedzę – odpowiada muzyk.

Chwila milczenia.

– Jak sobie chcesz. W takim razie życzę wszystkim dobrej nocy.



Jean-Baptiste wychodzi, ze złością szarpiąc za kołnierz płaszcza. Czy Armand próbuje wystrychnąć go na dudka? Czyżby przymierzał się do Jeanne? Jedyne nadzieje w tym, że Lisa Saget trzyma go na krótkiej wodzy.

Przy furcie wychodzącej na rue aux Fers ogląda się za siebie, patrząc na tę dziwną, migotliwą scenę, którą stworzył. Z jednego namiotu słychać śpiew, stłumiony i monotonny: balladę, a może lament. Jean-Baptiste przez chwilę słucha, a potem wychodzi na opustoszałą ulicę i zamyka furtę na klucz. Jeżeli Armand w ogóle ma zamiar wrócić do domu, niech się przedostanie po omacku przez kościół.

W domu na rue de la Lingerie inżynier postanawia minąć się z Monnardami, więc przechodzi ze świecą w ręku obok drzwi salonu, starając się stąpać jak najciszej. Gospodarze tak jak wszyscy musieli zauważyć ogniska, które płoną przecież na wprost ich okien, a skoro są nie wiedzieć czemu przeciwni jego przedsięwzięciu, widok ten raczej nie skłonił ich do wiwatów. Gdyby Jean-Baptiste usiadł z nimi do stołu, milczeliby karcąco, bombardując go westchnieniami. Nie ma już pomysłu, co im powiedzieć.

W pokoju ściera buty. Koniak zaległ mu w piersi piekącą sadzawką. Jean-Baptiste beka, a potem nachyla się nad łóżkiem, żeby spojrzeć w okno. Zaczął tymczasem siąpić drobny deszczyk. Za oknem widać tylko punkciki ognia, szczelnie otoczone ciemnością.

Zamyka okiennice, siada przy stole i przysuwa sobie kajet. Od paru dni przychodzi mu do głowy, żeby zacząć prowadzić dziennik – kronikę zniszczenia cementarza, tekst techniczny, a przy tym nieco filozoficzny, a nawet dowcipny, który mógłby kiedyś przedstawić w szkole maître Perronetowi, urządzając z tej okazji skromną uroczystość. Bawi się piórem, obracając je w palcach. Powinien był zostać z tamtymi, napić się jeszcze koniaku, trochę pośmiać. Dobrze by mu to zrobiło, lepiej niż to samotne siedzenie i rozterka.

Odkorkowuje kałamarz, macza stalówkę i pisze u góry czystej kartki datę, a pod nią: „Dziś przyjechali: trzydziestu biedaków pod wodzą człowieka, którego obecności mogę jeszcze pożałować. Praca już teraz napawa mnie wstrętem, chociaż jeszcze jej nie rozpocząłem. Bóg świadkiem, że byłbym wolał nigdy nawet nie zasłyszeć o Niewiniątkach”.

Zamyka i odsuwa kajet, a potem siedzi bezmyślnie jak skazaniec. Po chwili znów zagląda do kajetu, czyta, co napisał, macza stalówkę i metodycznie sunąc nią po papierze, zadrapuje każdą literę lśniącem iksem, żeby tych parę zdań ukryć, zatrzeć, pogrzebać.

\*

Jeden mówi; reszta słucha. Wciąż pada, ale nie aż tak, żeby zgasły ogniska. Przez otwór pod podniesioną klapą namiotu przedziera się mętne czerwone światło. Wydobywa z mroku sylwetki górników aż po szyje, lecz twarze toną w cieniu. Mówca w jasnym ubraniu siedzi na tronie z kłód. Pozostali kucają lub klęczą w słomie. Kazanie? Opowieść? Nie znając tego języka, który nawet w ustach kogoś, kto nie podnosi głosu, brzmi jak tarcie i stukanie łupkiem o łupkę, można domniemywać, że mówca ustanawia prawa albo po cichu wydaje rozkazy. Niekiedy ze strony słuchaczy pada odpowiedź,

przytakujący pomruk. Mówca porusza dłońmi, składa je i rozkłada. Serdeczny palec lewej kończy się tuż powyżej środkowego stawu: został z niego tylko tępy kikut, kość owinięta skórą.

Mówca milknie, a potem schyla się po coś, co leży obok jego butów, podnosi ten przedmiot, jakby to było żywe stworzenie, zdolne zbudzić się i odfrunąć. Jest to przycięty kawałek drewna, a może pusta łodyga jakiejś rośliny – kopru albo barszczu kaukaskiego. Mężczyzna odchyła głowę do tyłu i lekko dmucha w jeden koniec trzymanego w ręku przedmiotu. U drugiego końca pojawia się delikatny żar, iskra i wreszcie płomyk, języczek ognia rzuca blask na zwróconą ku górze twarz mówcy i jego zmrużone oczy. Pozostali siedzą i patrzą. Coś zostaje wchłonięte. A potem znowu słowa, trzy lub cztery doniosłe wyrazy, które słuchacze powtarzają głosami cichymi jak deszcz. I to już wszystko. Koniec. Ludzie wstają ze słomy i wychodzą gęsiego. Jedni przelotnie spoglądają ku kościołowi, inni ku kostnicom. Bezszelestnie jak duchy rozchodzą się do namiotów. Nad nimi noc miękko przepływa niebieskimi kadłubami chmur. Cmentarz się uspokaja.

Kiedy rano otwiera oczy, wokół okiennic widać już obwódkę światła. Po omacku szuka zegarka, podnosi wieczko (to z wszechwidzącym okiem) i przysuwa zegarek do jednej z delikatnych kresk światła. Kwadrans po ósmej! Otwiera okiennice, pokonując ich opór, i spogląda w dół. Na cmentarzu wciąż stoją namioty, wesoło płonie wielkie ognisko, między latrynami a namiotami krążą ludzkie sylwetki. Ta barwna plama sunąca po trawie to Jeanne, a pleczysta kobieta obok niej to z pewnością Lisa Saget. Lecoeur coś mówi do jednego z górników. Jest i Armand! Przykłada się do pracy, podczas gdy inżynier, kapitan, nie wstał jeszcze z łóżka!

Szybko uwija się z ubieraniem, bo też niewiele z siebie zdjął wieczorem. Zapina kamizelkę, wciąga buty, wciska na głowę kapelusz i z głośnym tupotem zbiega ze schodów, skacząc po trzy stopnie, mija drzwi piwnicy, które zawsze zdaje się przesłaniać delikatna firanka cienia...

Na cmentarzu witają go uśmiechy. Uśmiecha się zwłaszcza Armand, ale nikt nie jest aż tak okrutny, żeby mu robić wymówki. Wszyscy się krzątają, spokojnie krzątają. Jean-Baptiste cieszy się i oddycha z ulgą, bardziej wdzięczny, niż śmie im to okazać. Jeanne wkłada mu w dłonie kubek kawy. Nawet nie zdążył podziękować, a dziewczyna już wychodzi z domu, żeby pomóc dziadkowi i Lisie Saget urządzić prowizoryczną kuchnię: palenisko, ruszt, trochę żelastwa do wieszania garnków i płócienny daszek dla ochrony przed deszczem. Sam powinien był przewidzieć, że coś takiego będzie potrzebne: w kuchence u grabarza nie da się przecież gotować dla trzydziestu pięciu dusz. Czego jeszcze nie dopatrzył? Pije kawę, nie zważając na to, że gorący napój parzy go w język i gardło.

Sąsiadujący z kuchnią gabinet oddano Lecoeurowi na mieszkanie. Jean-Baptiste wsadza tam głowę i widzi, że ktoś już schludnie zaścił łóżko: sam Lecoeur albo Jeanne. U wezłowania wisi niewielka torba, a w niej kilka książek. W powietrzu prócz woni cmentarnego archiwum, przywodzącej na myśl wilgotny tynk, unosi się niewątpliwy aromat wypoconego koniaku.

Szuka Lecoeura i w końcu zastaje go przy jednym ze starych grobowców – bloku zmurszałego muru, który skosem zapadł się w ziemię i przypomina skamieniały wrak jakiejś łodzi.

– Pod spodem możemy znaleźć całą szlachecką rodzinę – mówi Lecoeur, klepiąc wilgotny kamień – ale napisy tak się już zatarły, że nie umiem odczytać nazwiska. A ty potrafisz?

Jean-Baptiste próbuje. Rohan. Rohring. Roche.

– Nie – przyznaje. A potem przechodzi do rzeczy: – Pora zaczynać.

– Kopanie?

– Tak.

– Nasz Aleksander przemówił – stwierdza Lecoeur, który chyba jeszcze nie całkiem wytrzeźwiał.

– Bądź łaskaw zaprowadzić ludzi w oznaczone miejsce – poleca mu Jean-Baptiste – a ja niedługo do was dojdę.

O ile mu wiadomo na podstawie tego, co zdołała sobie przypomnieć Jeanne i jej dziadek, właśnie tam, w północno-zachodnim narożniku nieopodal miejsca, gdzie za murem rue aux Fers spotyka się z rue de la Lingerie, jest najstarsza ze zbiorowych mogił, mająca kształt kwadratu o boku mniej więcej siedmiu metrów, który własnoręcznie wytyczył za pomocą sznurów i kołków. Porośnięta kępami bladej trawy powierzchnia niczego nie zdradza. Jeżeli rzeczywiście jest tam grób, jego lokatorów w żaden trwały sposób nie upamiętniono.

Staje tuż przy jednym ze sznurów, patrząc na nadchodzących mężczyzn. Wita ich, wyrażając nadzieję, że noc minęła im spokojnie, a potem przy pomocy Lecoeura dzieli ich na trzy grupy. Pierwsza będzie kopać, druga zbierać kości, a trzecia je układać. Kiedy to już zostało ustalone, wyznaczeni do kopania wchodzą między sznury.

– Ziemię – mówi inżynier – zsypujcie tu, po tej stronie. Kiedy opróżnicie grób, zmieszacie ją z niegaszonym wapnem i zgarniecie z powrotem do dołu. Kości w stosownej porze przejadą przez całe miasto na nowe miejsce spoczynku.

Milknie. Kilku mężczyzn kręci głowami. Reszta patrzy na niego bez słowa.

Dzień jest bezwietrzny, zastygły w zimowym bezruchu. Jeanne i jej dziadek stoją razem w pewnej odległości od sznura, oboje cisi. Jean-Baptiste spogląda w ich stronę. Uśmiecha się do nich, a przynajmniej próbuje się uśmiechnąć, ale twarz ma skostniałą z zimna, a zresztą cóż by znaczył taki uśmiech? Odwraca się do górnik, który stoi obok. Joos Slabbart lub Jan Biloo. A może Jan Block. Inżynier skinieniem głowy daje znak. Górnik także kiwa głową i podnosi łopatę. Ziemia się otwiera.

Kopią trzy godziny, zanim Jean-Baptiste każe Lecoeurowi ogłosić przerwę. W ciągu tych pierwszych godzin niewiele jest do oglądania. Zmarli rozpadli się na czerepy i okruchy, jakby grób zmełł ich niczym starzec suchy chleb w ustach. Czy aby kopią we właściwym miejscu? Czy grabarz się nie pomylił? On i Jeanne wrócili do domu, lecz po przerwie grób zaczyna wydawać swoje skarby, a co drugie wbicie łopaty wydobywa jakąś rozpoznawalną formę. Żuchwę z rzędem zębów, które wciąż jeszcze wyglądają kąśliwie. Cały delikatny aparat stopy, żebra podobne klepkom starej beczki. Kości już nie tworzą sterty, ale niski murek. W grobie nie ma drewna, ani jednej drzazgi – niczego, co by mogło świadczyć, że ludzi, których w nim pochowano, chroniło coś oprócz całunów.

Lisa Saget oznajmia południowy posiłek, waląc chochlą w dno rondla. Nawet jeżeli praca budzi w górnikach wstręt, nie odbija się to na ich apetycie. Jean-Baptiste i Lecoeur zostają jeszcze chwilę przy wykopie. Nadzorca marnie wygląda. Chustą, którą ma na szyi, zasłonił też usta i nos.

– Po obiedzie rozpalimy ognisko – obiecuje Jean-Baptiste. – Może to trochę pomoże.

Lecoeur kiwa głową.

– Zjesz coś? – pyta Jean-Baptiste.

– Najpierw powinienem zażyć coś na uspokojenie żołądka – mówi Lecoeur dziwnie stłumionym głosem.

– Racja – przytakuje Jean-Baptiste. – Powiem Armandowi, żeby przyniósł jeszcze koniaku. Wszyscy możemy się napić po łyku, zanim znowu zaczniemy.

Na popołudniową zmianę trzech kopaczy przechodzi do brygady zbieraczy kości. Prawie wszyscy, którzy pracują w obrębie kwadratu wytyczonego przez sznury, czasem depczą ludzkie szczątki. Prócz nich w ziemi pojawiają się inne przedmioty. Znalazcy podają je na górę. Pogięty krzyż z metalu, zielonkawy. Prawie zupełnie zniszczoną broszkę w kształcie róży. Kawałek blaszanej zabawki w kształcie konika. Guziki. Sprzączkę o prastarym wyglądzie. Jak dotąd nic, co by miało jakąkolwiek wartość. A gdyby pojawiło się coś cennego? Kto byłby pełnoprawnym właścicielem? Znalazca? Grabarz? Inżynier? Może minister.

Chwilami mężczyzn – wszystkich co do jednego – zdają się zalewać fale odrazy. Zamykają oczy, drżą, wahają się, aż w końcu któryś spluwa w pięść i buciorem albo chodakiem energiczniej nadeptuje krawędź łopaty, przywracając zgubiony rytm.

Miejskie dzwony jeszcze nie wybiły czwartej, ale dzień już gaśnie, a mężczyźni, których pochylone głowy znalazły się tymczasem poniżej powierzchni ziemi, z góry wyglądają, jakby wykopywali cienie. W ściany dołu wbija się pochodnie. Teraz jest to rzeczywiście godne uwagi widowisko: brygada mężczyzn w czerwonej dziurze wyważa kości spod własnych stóp. Kostny mur dorównuje już długością bokowi dołu i wznosi się na wysokość barków mężczyzny. Ostatnia godzina wlecze się, jakby trwała cały dzień. Jean-Baptiste trzyma na podorędziu butelkę koniaku, postawioną w trawie. Co pewien czas – coraz częściej – podaje ją na dół, patrzy, jak flaszka przechodzi z rąk do rąk, a potem odbiera nieco lżejszą. Za kwadrans szósta ogłasza koniec pracy. Wie, że później będzie musiał żądać, żeby pracowali w nocy, ale nie dziś. Sam nie dałby rady, więc nie może im kazać.

Odnajduje Lecoeura i w milczeniu idą razem do domu grabarza. Stają przy ogniu, na którym przyrządza się jedzenie.

Po kilku minutach Lecoeur mówi cicho, jakby zwracał się do ognia:

– Słodki Jezu.

– Jutro pójdzie łatwiej – pociesza go Jean-Baptiste.

Lecoeur odwraca się ku niemu i nagle szczerzy zęby w uśmiechu.

– Jutro pękną nam serca – mówi.

Dzień drugi: harują od godziny, gdy wtem skupienie inżyniera rozprasza przenikliwy gwizd. Jean-Baptiste odwraca się i widzi, że Armand skinieniem ręki wzywa go do kościoła. Idzie tam. Organista oznajmia mu, że chcą się z nim widzieć trzech ludzie.

– W kościele?

– W kościele.

– Znasz ich? – pyta Jean-Baptiste.

– Ani jednego – mówi Armand, ruszając z nim w nogę.

Przybysze stoją w nawie obok filaru, na którym szczątki kardynalskiego kapelusza z szerokim rondem wiszą jak uwznioślony talerz do zupy. Jednym z tej trójki jest Lafosse. Pozostałych dwóch Jean-Baptiste nie zna.

– Monsieur – wita inżynier Lafosse'a.

Tamci dwaj stoją w milczeniu, lekko uśmiechnięci. Jean-Baptiste przedstawia Armanda.

– Organista? – upewnia się jeden z nieznajomych. – Oczywiście gra pan Couperina?

– Gram ich wszystkich – oświadcza Armand.

– Chętnie bym posłuchał – mówi nieznajomy – przed rozbiórką organów. Może zagrałby pan *Parnas*.

– Tylko muzyka jest nieśmiertelna – odpowiada Armand.

– Ci ludzie – odzywa się Lafosse, wpatrując się w Jean-Baptiste'a – są lekarzami. Przeprowadzą pewne badania. Macie im służyć wszelką pomocą.

– Ekshumacja na taką skalę – mówi miłośnik Couperina, zażywny jegomość koło pięćdziesiątki, o dostatnim wyglądzie – to niespotykane zjawisko. Widoczne będą wszystkie stadia rozkładu, aż po ostatnią garść pyłu.

– Podróż człowieka – zaczyna jego kolega, człowiek o bardziej kanciastej, drobniejszej budowie – na przestrzeni dziejów mierzono od narodzin do śmierci. Od pierwszego do ostatniego tchnienia. Ale dzięki ostrym klingom naszych anatomów wiemy dziś sporo o miesiącach, które spędzamy ukryci w łonach matek. Pańska praca tutaj, monsieur, pozwoli nam wyrobić sobie nader dokładne wyobrażenie o losie, jaki czeka nas po wydarzeniu zwanym śmiercią.

– O naszym fizycznym losie – z rozbawieniem uściśla jego kolega, wskazując ręką przycupnięty w półmroku ołtarz.

– Zaiste, zaiste – przytakuje tamten. – Resztę musimy pozostawić mądrości Kościoła, naszej matki.

– Urządźcie im miejsce do pracy – mówi Lafosse – żeby mieli tam spokój.

Z wysoka nad ich głowami dobiegają ciche, lecz wyraźne szmery, może po prostu odgłosy poruszeń przysiadających tam ptaków, ale Jean-Baptiste podchwytuje spojrzenie Armanda i szybko zobowiązuje się służyć doktorom wszelką niezbędną pomocą. Nie

chce, żeby znów smagnął go z góry głos père Colberta, stałoby się wtedy bowiem jasne, jak niewielką ma władzę.

– Czyli sprawa załatwiona – stwierdza Lafosse. Odwraca się niepewnie, jakby szukał drogi do wyjścia.

– Jestem doktor Thouret – mówi szczuplejszy lekarz, przyjąwszy wreszcie do wiadomości, że wysłannik ministra nie zamierza go przedstawić. – A mój towarzysz to doktor Guillotin – dodaje, na co jego kolega po fachu łaskawie się uśmiecha.

Po południowym posiłku mężczyźni pod kierunkiem Jean-Baptiste’a konstruują dźwig z trzech związanych razem tęgich drągów, koła i łańcucha, na którym zawieszają coś w rodzaju płóciennego hamaka własnej roboty. Sporządzają też dwie drabiny o szerokich, solidnie umocowanych szczeblach. Podsycają ogień i znów ruszają do pracy.

Jean-Baptiste mierzy za pomocą pionu głębokość dołu i otrzymuje wynik trzynastu metrów z okładem. Mur z kości wkrótce będzie tak wysoki, że mężczyźni nie dosięgną rękami jego szczytu. Obfitość ta byłaby mniej niepokojąca, gdyby nie to, że poprzedniego wieczoru z Porte d’Enfer nadeszła wiadomość o zalaniu kamieniołomu przez wodę z nieoznaczonego na mapie źródła. Minie zatem jeszcze trochę czasu, zanim kamieniołom będzie gotów na przyjęcie pierwszego transportu z Niewiniątek. Nie wspomniano, czy zwłoka potrwa kilka dni, tygodni, może nawet miesięcy. Jeżeli utrzyma się dotychczasowe tempo prac, cmentarz już po paru tygodniach zamieni się w labirynt, a robotnicy będą tracić się nawzajem z oczu, błędząc w kościanych korytarzach.

Brygady kopaczy, zbieraczy i układaczy co godzina zamieniają się rolami. Wiadomo już, że na dnie dołu można spędzić najwyżej dwie godziny. U schyłku popołudnia (a jest to jeden z tych dni, kiedy światło z trudem narzuca się światu i ledwie przekonuje) pod koniec zmiany któryś górnik, wchodząc po drabinie, nagle nieruchomieje, puszcza szczebel i leci do tyłu. Szczęściem nie ląduje na głowach towarzyszy. Wywożą go na górę w płóciennym hamaku.

– To Block – stwierdza Lecoeur, klękając przy nim. – Jan Block.

Odetchnąwszy na górze świeższym powietrzem, Block porusza się, rozgląda wokół siebie i z wciąż jeszcze spopielałą twarzą dźwiga się na nogi.

– Jak chce, to niech idzie do swojego namiotu – mówi Jean-Baptiste.

Zdążył już usłyszeć wymamrotane przez kogoś słowo „metan”. Zna je każdy górnik, a w Valenciennes wszyscy widywali, jak człowiek tonie w niewidzialnym żywiole, albo przynajmniej opowiadano im o takich wypadkach. Oczywiście niedorzecznością jest wyobrazić sobie, że ten żywioł mógłby pojawić się na dnie grobu, ale inżynier ogłasza przerwę i pozwala puścić w koło butelkę. Patrzą na niego. W ich spojrzeniach nie widzi niczego, co umiałby nazwać. Po kwadransie posyła na dół kolejną brygadę.

Wśród znalezionych tego dnia w dole drobiazgów jest zielona moneta z czasów Karola IX; pancerna osłona szyi (wprawdzie zardzewiała, ale jeszcze do rozpoznania); pierścień z wrytym krzyżem, niewiele wart; znowu guziki; ostrze noża – po co? Do użytku na tamtym świecie? Osobliwy kawałek kolorowego szkła w kształcie serca, dość ładny.

Myjąc wieczorem ręce, inżynier opłukuje to ostatnie znalezisko i pod wpływem

kaprysu lub z braku innego pomysłu wręcza je Jeanne, która z dziwnie uroczystym uśmiechem przyjmuje podarunek.



## 6

Jeden z ludzi ucieka w środku nocy, zabierając swoje rzeczy. Nikt nie widział jego odejścia; nikt go nie słyszał. Nawet mieszkańcy tego samego namiotu sprawiają wrażenie zaskoczonych, zaniepokojonych, jakby podejrzewali, że coś go porwało, może jakaś siła drzemiąca na dnie dołu, której zakłócili spoczynek. Lecoeur gotów jest poprowadzić pościg. Zbieg nie mógł przecież uciec daleko, a w nieznanym mieście z pewnością nie tak łatwo się ukryje.

– Nie są więźniami – zaznacza Jean-Baptiste. – Nie przyjechali tu na roboty przymusowe.

– Oczekują rządów twardej ręki – odpowiada Lecoeur, który tego ranka przy goleniu zaciał się w szyję. – Czy nie wyratowaliśmy ich z kopalń?

– Nie wiem – mówi Jean-Baptiste raczej do siebie niż do Lecoeura – kogośmy wyratowali.

Poza uciekinierem nikogo nie brakuje, chociaż ten, który spadł z drabiny – Jan Block – jest niezdolny do pracy, więc Jean-Baptiste odwiedza go w namiocie. Chory leży na posłaniu ze słomy niczym Chrystus Holbeina. Wodzi oczami za ciemną sylwetką inżyniera, gdy ten wchodzi do namiotu i staje nad jego legowiskiem.

– Boli cię? Cierpisz?

Block oblizuje usta koniuszkiem bladego języka i coś mówi, ale musi powtórzyć jeszcze dwa razy, zanim Jean-Baptiste go zrozumie.

– Marzniesz?

– Tak.

– Przyniesiemy ci więcej koców. I coś gorącego do picia.

Block mruga oczami. Inżynier wychodzi. Kiedy spotyka Jeanne, pyta ją, czy mogłaby odwiedzić chorego i zanieść mu trochę kawy albo rosółu. I czy znajdzie się jakiś koc? Chory narzeka na zimno.

W wykopie ludzie już pracują pod kierunkiem Lecoeura. Ogień, dźwig, drabiny. Głuchy stukot kości kładzionych na kościach. Prosty okrzyk z dołu zawiadamia tych na powierzchni, że hamak pełen i można go wyciągnąć. Wkopali się już tak głęboko, że nawet rano potrzebują dodatkowego światła, więc w ścianach tkwią cztery pochodnie, paląc się kapryśnym płomieniem. Jean-Baptiste kuca, usiłując dostrzec, w jakim stanie są ściany. Czy ziemia się kruszy? Grozi zawaleniem? Czy gdyby któraś ściana runęła, dałoby się szybko wydobyć ludzi?

Dochodzi do wniosku, że musi zejść na dół i naocznie się przekonać (i tak zresztą już pora, żeby tam zszedł), więc bez uprzedzenia zeskakuje na najbliższą drabinę i zaczyna schodzić. Czuje, że nad nim i pod nim ustala wszelka praca, bo wszyscy go obserwują. Stopami po omacku szuka szczebli. Niebo się oddala. Powietrze gęstnieje.

Schodząc z dolnego szczebla, na chwilę traci równowagę, więc musi złapać się łokcia

mężczyzny, który stoi najbliżej. Skoro już zszedł, powinien kazać im brać się znów do roboty, ale jest na to za ciasno. Patrzy na górników, na ich pociągłe twarze, oświetlone od góry pochodniami i wątlm blaskiem poranka. Patrzy na czarne ściany i na to, co ma pod stopami, a potem spogląda w górę i widzi głowę oraz ramiona Lecoeura, który wychylił się za krawędź dołu. Wyjmuje łopatę z rąk mężczyźnie, na którego przed chwilą się zatoczył, wbija ostrze w ścianę i obraca je, patrząc, jak od ściany odrywa się wilgotna pajda. W ten sam sposób i z identycznym skutkiem sprawdza przeciwległą ścianę. Oddaje górnikowi łopatę, stawia but na dolnym szczeblu drabiny i nagle dopadają go mdłości, które, dzięki Bogu, udaje mu się pohamować, przeczekać. Wspina się na samą górę, a gdy staje na trawie, jeszcze przez chwilę łapie równowagę.

Mówi ochryplym głosem do Lecoeura, który tymczasem podszedł całkiem blisko:

– Szalujemy. Postawimy kaszt, żeby umocnić ściany. Wołaj ludzi na górę.

Materiału w odpowiednim gatunku jest w bród: widocznie monsieur Dejour zawładnął połową zdatnego na sprzedaż drewna w Paryżu. Górnicy robią z niego słupy i zastrzały, sporządzają naprędce podpory i listwy. Miło jest pracować w drewnie, więc po południowym posiłku schodzą na dół chyba w nieco lepszych nastrojach. Gdy mija połowa popołudnia, spuszczone na dno wykopu pion odmierza prawie siedemnaście metrów. W hamaku jest już więcej ziemi niż kości. Z zapadnięciem nocy robota będzie skończona! Jeden ze zbiorowych grobów na cmentarzu Niewiniątek – opróżniony!

Ostatnia zmiana kopaczy wraca na powierzchnię o pół do siódmej. Zimowa poświata księżycy lśni na ich twarzach, lśni na kościanym murze, który już nie wydaje się tym, czym w istocie jest – makabrycznym i żalonym osadem niezliczonych żywotów – lecz raczej obfitym plonem, wypracowanym w pocie czoła. Jean-Baptiste zdejmuje kapelusz i przeczesuje palcami włosy, swoje własne włosy, które za namową Charveta zdążył już zapuścić do prawie szacownej długości. Górnicy oddalają się gęsiego, niektórzy niosą łopaty na ramionach, jakby to były muszkiety. Udany dzień. Drobnym triumfem wytrwałego mozołu, zimnej krwi. Nad krawędzią dołu Jean-Baptiste i Lecoeur w milczeniu wieszają sobie uściskiem dłoni.

Nazajutrz rano jest mniej zadowolony ze świata. Znowu źle spał: w jakiejś jałowej kwadrze nocy zbudził się z walącym sercem, a potem godzinami leżał, kopiąc w wyobraźni dół za dołem, zanim go to tak zbrzydziło, że wygramolił się z łóżka i ubrał po ciemku.

Na cmentarzu Jan Block w świetle lampy wygląda zdecydowanie gorzej. Skóra mu błyszczy jak zgniły ser. Górnik oddycha z trudem, bezowocnie. Niewykluczone, że umiera, bardzo możliwe, aż nazbyt możliwe, że umiera na jakąś chorobę, którą pozostali też mogli się zarazić, wtedy zaś w ciągu tygodnia trzeba będzie zamknąć cmentarz, a ostatni żywy stoczy ostatniego umarłego do opróżnionego dołu...

Po upływie godziny Jean-Baptiste'owi udaje się odnaleźć jednego z lekarzy, doktora Guillotina, który uważnie ogląda mur z kości. Inżynier widzi, że lekarz wydłubuje z muru jakiś okruch i chowa go do kieszeni płaszczka.

– Chyba nie ma pan nic przeciw temu? – mówi doktor, spostrzegłszy nadchodzącego

inżyniera. – Intrygująco zniekształcony krąg. Pomyślałem, że trzeba go wziąć, zanim Thouret mnie ubiegnie.

Jean-Baptiste mówi lekarzowi o chorym, opowiada o wypadku i pyta, czy doktor byłby łaskaw zbadać Blocka.

– Jeśli to jakaś infekcja... Coś, co mogłoby...

Lekarz nie stawia przeszkód. Chory leży niedaleko? Owszem. Idą razem do namiotu i pochylają się, żeby wejść. W środku jest jeszcze ktoś oprócz chorego. Ten z kaleką dłonią. Spokojne spojrzenie, którym mierzy przybyszów, przez chwilę nie pozwala im podejść bliżej. Potem górnik wychodzi w milczeniu, bez pośpiechu.

– Dziwny osobnik – stwierdza lekarz. – Ma fiołkowe oczy. Zauważył pan? Bardzo niezwykle. – Odwraca się w stronę chorego, który wciąż leży na słomie. – Jak on się nazywa? – pyta.

– Jan Block – mówi Jean-Baptiste.

– Block? Dzień dobry, Block. Spadłeś z drabiny? Niedomagasz?

Jan Block ma spłoszoną minę.

Lekarz uśmiecha się.

– Nie musisz się mnie obawiać – uspokaja chorego, po czym prosi Jean-Baptiste'a: – Mógłby go pan odwrócić? Łatwiej obejrzyć plecy, kiedy pacjent na nich nie leży.

Jean-Baptiste chwytając górnika za ramiona i zaczyna go przewracać na bok. Chory nie protestuje, chociaż drży na całym ciele. Niełatwo go odwrócić. Kiedy wreszcie się udaje, lekarz mówi:

– Proszę mu zadrzeć koszulę.

Na skórze w górnej części pleców Jana Blocka widać dwa nakłucia po bokach kręgosłupa, a choć są one niewielkie, otaczają je gniewne aureole stanu zapalnego.

Guillotin podchodzi nieco bliżej. Patrzy, lecz tak jak większość przedstawicieli tego zawodu nie kwapi się dotknąć. Kiwa głową.

– Może pan już spuścić mu koszulę. Dziękuję, monsieur Block. Znajdziemy sposób, żeby ci pomóc, czyż nie tak?

Kiedy są już o kilka kroków od namiotu, lekarz mówi:

– Zatręło go coś, co wniknęło do jego organizmu wskutek upadku. Rany trzeba natychmiast przemyć roztworem siarki. Co się tyczy gorączki, powinien zażywać proszek z kory peruwiańskiej rozpuszczony w odrobinie koniaku. Nie jestem jednak zwolennikiem całkowitego tłumienia gorączki. Ona nie jest wrogiem, lecz ogniem, który spala chorobę.

Lekarz milknie, a potem uważnie przygląda się Jean-Baptiste'owi.

– Nawet w pełni zdrowia – mówi – nieustannie przemienia nas żar, który sami wytwarzamy. Zna pan teorię flogistonu?

– Owszem, co nieco.

– „Flogiston” znaczy po grecku „podpalać”. Jest to obecny we wszystkim element palny. Utajony ogień. Załączek ognia. Bierny, dopóki się go nie wznieci.

– Za pomocą iskry?

– Albo wstrząsu czy tarcia. Lub po prostu przez stopniowe podgrzewanie.  
– Czy to możliwe – pyta Jean-Baptiste – że Block zaraził się chorobą, która nadal toczy kości? Że wciąż tkwi w nich osad chorób, które je niegdyś nękały? A raczej ich dawnych właścicieli?

– Jak subtelnie pan to ujął – mówi Guillotin. – Wyraża się pan, jakby nasze kości były zwykłymi przedmiotami, które posiadamy nie inaczej niż konia albo zegarek. Ale co do pańskiego pytania, nie wydaje mi się, żeby jakakolwiek choroba mogła przeżyć swoją ofiarę o tyle lat. Nie radzę jednak panu ani pańskim ludziom dopuszczać do kontaktu kości z otwartym wrzodem czy raną. Jako środek odkażający ogólnego zastosowania polecam ocet. I oczyszczony alkohol. Etanol. Bardzo skuteczny. Chociaż należy starannie wybrać miejsce składowania, bo to substancja silnie odurzająca. I ogromnie łatwopalna. Nawet jej opary. Zwłaszcza opary.

– A gdzie znajdę ten etanol?

– Mam go dla pana sprowadzić?

– Byłbym zobowiązany. A siarkę? I korę?

– Spiszę je panu na kartce, którą pokaże pan w aptecce – obiecuje Guillotin, klepiąc młodszego mężczyznę po ramieniu. – A teraz chodźmy razem do domu i sprawdźmy, czy ta miła dziewczyna zaparzy nam kawy, dobrze?

Przy kuchennym stole Jeanne, Lisa Saget i dzieci tej ostatniej obierają warzywa. Doktorowi podają krzesło, on jednak woli postać przy ogniu. Jest pełen werwy i humor mu dopisuje. Kobietom i dzieciom prawi komplementy. Jean-Baptiste wspomina o wizycie o chorego górnika, który dziś wprawdzie ma się wyraźnie gorzej, ale doktor przepisał parę lekarstw

– Natalie po nie skoczy – mówi Lisa Saget, skinieniem głowy wskazując dziewczynkę.  
– Wytrzyj ręce, Natalie, i włóż płaszcz.

– Możemy go przenieść do domu – oświadcza Jeanne. – Pościelę mu na podeście schodów na piętrze. Tam mu będzie lepiej.

– Masz na głowie gotowanie – zwraca jej uwagę Jean-Baptiste – i wiele innych obowiązków.

– Staranna pielęgnacja – wtrąca Guillotin – nieraz przesądza o życiu lub śmierci pacjenta.

– Skoro tak, musimy się nim zająć – mówi Jeanne, patrząc wielkimi oczami na Jean-Baptiste'a.

– A nie mógłby pójść do szpitala? – pyta inżynier.

Doktor rozdyma nozdrza.

– Szpital to bardzo niebezpieczne miejsce. Zwłaszcza dla człowieka osłabionego chorobą.

Natalie zapięła już płaszcz i gotowa jest pójść do apteki. W gabinecie, w którym sypia Lecoeur, leżą przybory do pisania. Lekarz sporządza krótką listę, czyta ją, mrużąc oczy, podpisuje, składa i podaje dziecku.

– Dodałem jeszcze coś dla pana – mówi do Jean-Baptiste'a. – Lachryma papaveris.

Makowe łyż. Pomogą panu wypocząć. Trafiłem w sedno?

– Masz iść prosto do monsieur Boustanquoui. A od niego prosto do domu – napomina Lisa dziewczynkę.

Mała kiwa głową, kokieteryjnie uśmiecha się do lekarza i wychodzi.

– Dzieci – rozkosznie mruczy doktor. Puka palcem w wieczko imbryka do kawy. – Czy możemy nadużyć pani uprzejmości, mademoiselle?

Opróżniony dół zasypuje się czarną ziemią, zaprawioną całymi workami niegaszonego wapna. Zerwał się wiatr: wiruje w raptownych porywach między murami cmentarza. Ubrania, dłonie i twarze górników pokrywa drobnutki wapienny pył. Oczy pieką, z nosów cieknie, ale napełnianie dołu to lepsza praca niż opróżnianie. No i szybsza. Wczesnym popołudniem Jean-Baptiste może już w swoim kajecie przekreślić równiutką kreską pierwszy dół. Ognisko już prawie się dopaliło. Dźwig i hamak, drewno szalunkowe, narzędzia i ludzi przenosi się o piętnaście kroków na południe. Lecoeur i Jean-Baptiste wytyczają kołkami i sznurem miejsce kolejnego wykopu. Sprowadzają Jeanne i grabarza, żeby potwierdzili trafność lokalizacji. Grabarz przez chwilę krąży – trochę jak pies szukający, gdzie by tu się ułożyć do snu – i w końcu stwierdza, żeznaczony sznurami kwadrat należy zbliżyć jeszcze o pięć kroków do południowego muru. Kołki wyrywa się z ziemi i ponownie wbija. Grabarz z aprobatą kiwa głową. Układa się drwa i podpala nowe ognisko. Brygada wyznaczona do kopania przekracza sznur; układacze stoją w pogotowiu. I znów rozbrzmiewa ta monotonna muzyka, gdy ostrze łopaty uderza w ziemię i z dźwiękiem glinianych garnków kość stuka o kość.

To, jak trudny jest dzień, można mierzyć ilością mocnego trunku, który należy wypić, żeby wytrzymać. Dziś potrzeba trzech butelek. Po jednej na każdy wykopany metr. Jedna dziesiąta butelki na człowieka i na metr wykopu. Czy tak wyglądałoby to równanie? W Ecole des Ponts uczono całkiem innych. Po skończonej robocie jedni górnicy rozchodzą się do namiotów, drudzy idą się ogrzać przy wielkim ognisku pod kazalniczym krzyżem, a Jean-Baptiste i Lecoeur myją ręce w wiadrze przed drzwiami domu grabarza.

– Co oni tam będą robili? – pyta Lecoeur, otrząsając wodę z palców i wskazując skinieniem głowy pracownię lekarzy, którą niedawno urządzono w bezokiennej budce z płóciennych płacht, rozpiętych na rusztowaniu opartym o ścianę kościoła.

– Bóg ich wie – mówi Jean-Baptiste. Widział za dnia, jak do budki wnoszono dwa stoły na krzyżakach i ciężką skórzaną torbę, w której coś pobrzękiwało.

W kuchni zastają tylko starego grabarza, który śpi w fotelu, ale po paru chwilach u podnóża schodów pojawia się Jeanne, łagodnie promienna, jakby dopiero co obmyła twarz świeżą zimną wodą.

– Odpoczywa – mówi – i zażył wszystkie lekarstwa.

– Block? – upewnia się Jean-Baptiste.

Dziewczyna potakująco kiwa głową.

– Doktor obiecał, że jutro znów do niego zajrzy, jeżeli tylko zdoła.

– To dobrze. Dziękuję, Jeanne. Jestem ci wdzięczny.

– A pana lekarstwo stoi na gzymsie nad kominkiem – dodaje wnuczka grabarza. –

Tam.

– Twoje? – dziwi się Lecoeur.

– Doktor Guillotin najwidoczniej uznał, że trzeba zatroszczyć się o mój sen.

– Ach, sen – wzdycha Lecoeur. – Tak. Morfeusz ostatnio jest dla mnie niełaskaw. Sypiam jak zając pod miedzą.

– No to dostaniesz połowę – oznajmia Jean-Baptiste, oglądając zakorkowaną butelkę z grubego brązowego szkła, bez etykiетки. – Tyle powinno wystarczyć dla nas obu.

Zostawiwszy Lecoeura z Jeanne i jej dziadkiem, wraca na rue de la Lingerie, niosąc w kieszeni płaszcz na wpół opróżnioną butelkę. Przed spaniem powinien sprawdzić rachunki, a jutro znów musi podjąć pieniądze u złotnika na rue Saint-Honoré, żeby zapłacić kupcom i oczywiście górnikom, kupić coś ładnego dla Lecoeura, dla Jeanne i jej dziadka, dla Armanda i Lisy Saget. Monsieur Monnardowi winien jest czynsz za ostatni miesiąc. Stara się z nim nie zalegać, żeby nie dawać gospodarzowi kolejnego powodu do niezadowolenia. Na schodach spotyka Marie. Służąca właśnie znosi do kuchni tacę z talerzami. Rozsypane są na nich drobniutkie kosteczki. Na widok inżyniera dziewczyna lekko się krzywi. Taki grymas w faubourg Saint-Antoine może coś konkretnego znaczyć. Jean-Baptiste pyta ściszone głosem, jak się miewa Zigulette.

– Och, biedna Ziggi! – wzdycha Marie, dość udatnie przedrzeźniając madame Monnard, po czym w przejściu ociera się o niego ramieniem i udem.

Inżynier idzie na górę do swojego pokoju, siada przy zapalanej świecy, stawia na stole butelkę z lekiem i wpatruje się w nią, założywszy ręce na piersi. Ile kropel powinien zażyć? Czy Guillotin mu to powiedział? Pamięta, że ojciec pod koniec życia brał takie lekarstwo. Ile wlewali mu łyżeczką do ust? Dziesięć kropli? Dwadzieścia? Postanawia, że po prostu zażyje trochę, nie zwracając sobie głowy liczeniem. Ma już dość liczenia. Zażyje trochę, przekona się, jaki będzie skutek, i wedle tego dostosuje dawkę do swoich potrzeb.

\*

Jest późno, późno albo wcześnie. Jeanne usłyszała coś przez sen i zbudziła się, więc wychodzi z pokoju, w którym sypia z dziadkiem, i patrzy z góry na Jana Blocka. Na jego twarz pada światło księżycy, sunącego po niebie za wąskim, łukowo sklepionym oknem na końcu podestu. Wyrwana z głębokiego snu dziewczyna dopiero po paru chwilach spostrzega, że chory ma otwarte oczy. Uśmiecha się do niego, a potem klęka przy nim, żeby ją lepiej widział. Block wyciąga do niej rękę, a ona chwyta ją, nie dając jej opaść, przez moment trzyma i w końcu odkłada na jego pierś, poruszaną płytkim, zdyszonym oddechem. Chory powoli zamyka oczy i jest w tym tyle rezygnacji, taka ostateczność, jakby już nigdy nie miał ich otworzyć. Jego oddech zamiera na chwilę, na długo, i kto wie, czy ta chwila nie przeciągnie się w wieczność. I wreszcie z lekkim, spazmatycznym westchnieniem, które przypomina czkawkę, Block znowu zaczyna oddychać, już trochę swobodniej.

Skrzypią drewniane schody. Z ich mroku w rozjaśniającą korytarz srebrzystą poświatę wynurza się czyjaś głowa. Goła, ogolona, z błyszczącymi oczami.

- Nie bój się – mówi cichutko. – To tylko Lecoeur.
- Obudził się – odpowiada Jeanne. – Ale teraz śpi.
- Dobra z ciebie dziewczyna – chwali ją Lecoeur. – Chyba mi się śniłaś.
- Czy to już rano? – pyta Jeanne.
- Nie – mówi Lecoeur niepewnym tonem. – Chyba jeszcze nie.

Héloïse Godard, czytelniczka, kobieta sprzedajna, córka właścicieli oberży przy drodze z Orleanu do Paryża, młoda kobieta, która zaczęła niedawno dwudziesty piąty rok życia, ale jeszcze nie całkiem doprowadziła do końca zakrojone na długie lata dzieło samoponiżenia, wstaje, kiedy dzwon z Saint-Eustache wybija szóstą, ubiera się po omacku (poczynając od białych pończoch, a kończąc na zielonej wstążce, owijającej gardło), zapala świecę, żeby dokonać ostatnich krótkich oględzin własnej osoby, zdmuchuje płomyk i schodzi po krętych drewnianych schodach w publiczny świat rue du Jour.

Za każdym razem ten lekki szok, że znowu wyszła z domu, lekkie stwardnienie tego czegoś, co zmiękło i otworzyło się, gdy przez kilka nocnych godzin leżała sama w łóżku... Szczelniej owija się opończą, naciąga kaptur na głowę i wdycha zimne powietrze.

Jest umówiona z Boubonem, wyplataczem koszyków, w jego warsztacie po drugiej stronie targu. Wdowiec Boubon, podobnie jak bukinista Ysbeau oraz krawiec Thibault (i jak ona sama), odstaje od reszty sąsiadów. Będzie to jej ósma wizyta u niego. Héloïse swoich nielicznych klientów odwiedza regularnie, w ustalonych dniach i godzinach. Nie obsługuje przypadkowych gości. Całe to gadanie, jakoby gotowa była pójść z każdym, kto machnie jej monetą przed nosem, to zwykle kłamstwa. Przeważnie sama musi zaczepiać panów i nawet wtedy niczego nie mówi się wprost. Nauczyła się załatwiać interesy bardzo pragmatycznie, nigdy nie nazywając rzeczy po imieniu. Przypuszcza, że dla mężczyzn właśnie to jest jedną z jej największych zalet: nigdy nie stawia im przed oczy tego, co robią, za co płacą, czego potrzebują. A ich potrzeby nieco odbiegają od wyobrażeń, którymi podniecają się wulgarni mieszkańcy dzielnicy. Na przykład Boubon wśród pęków i prętów wikliny sadza ją sobie na kolanie. Opowiada o swoim rzemiośle, narzeka na ból w plecach i udach. Ona słucha, tkliwie zaciekawiona, a potem udziela paru żoninych rad i po żoninemu dodaje otuchy. Nieco później Boubon popatrzy na górną krawędź jej pończoch i przesunie zrogowaciałą opuszką tępo zakończonego palca po ich wełnianym rąbku, a ona znów zapyta, czym właściwie różni się wiklina od rogożyny i jak ma się warkocz do trzyplotki. Nie ma w tym nic szczególnie przykrego. Jest to niewątpliwie do wytrzymania, przynajmniej na ogół. Gdy zaś Héloïse opuści z powrotem i przyglądzi sukienkę, halki oraz koszulę, napiją się kawy zaparzonej na ogniu w warsztacie, a potem kobieta weźmie pieniądze, które koszykarz zostawia dla niej w niszy przy drzwiach, zawinięte w papierek (nie jest taka jak te dziewczki z Palais Royal, co to nic nie zrobią ani nie powiedzą, dopóki im się z góry nie zapłaci), wyjdzie szybko, po cichu, i oboje odetchną z ulgą, że na tydzień mają to z głowy.

Lecz przed pójściem do Boubona musi coś zjeść. Nie sposób przejść rano przez targ i nie zatrzymać się, żeby złamać post. Samo powietrze – chociaż niezbyt wonne – zmusza



do tego. Héloïse przystaje więc przy straganie madame Forges (tej, co farbuje włosy na kolor rzeźnickiej ścierki), kupuje nieduży chlebek, ciepły jak krew, i rusza dalej, oskubując skórkę. Tak wczesnym rankiem prawie nikt jej nie zauważa i mało kto ubliża. Nawet pijak Merda, który siedzi z podkrążonymi oczami na schodku i je cebulę, tylko przelotnie zerka na Héloïse, bez odrobiny złości. Chcąc sobie oszczędzić paru minut marszu, kobieta przechodzi przez jeden z rybnych straganów i widzi, jak stary ksiądz w niebieskich okularach targuje się z młodą przekupką o łeb dorsza. Matka przekupki może dałaby go ubogiemu księdzu za darmo, a już na pewno zrobiłaby tak jej babka, ale czasy się zmieniły. Księża przestali budzić w kimkolwiek nabożny lęk. Niebo i piekło, aniołowie i diabły – dziś wiele osób drwi z takich rzeczy. I to nie tylko sawanci z Café de Foy albo z Procopé. Wtórąje im sporo prostych ludzi. Może i takich jak ta sprzedawczyni ryb. I jak sama Héloïse.

Wychodzi ze straganu w ślad za księdzem, traci go z oczu w pomąlu gęstniejącym tłumie, rusza w stronę rue de la Fromagerie, przecina południowy skraj targowiska i dociera do rogu rue aux Fers. Nad murami cmentarza (jak zawsze w ostatnich dniach, a raczej w dniach i nocach) kłębią się pióropusze dymu z ognisk. Ale dziś jest coś więcej do oglądania, coś nowego. Czarny napis na cmentarnym murze. Wysokie, nierówne, bijące po oczach litery biegną od cmentarnej furty niemal do rue de la Lingerie: „KRÓLU GRUBASIE DZIWKO KRÓLOWO STRZEŻCIE SIĘ! BECHE KOPIE TAKI WIELKI DÓŁ ŻE ZMIEŚCI SIĘ W NIM CAŁY WERSAL!”.

Na środku ulicy stoi pół tuzina mężczyzn i kobiet, patrząc, dyskutując, próbując wspólnie ustalić, co tam jest napisane. Odczytali już „króla”, „królową”, „dziwkę” i „Wersal”. Reszty są mniej pewni. Héloïse mogłaby im oczywiście wszystko wyjaśnić, ale nie chcieliby wyjaśnień od niej, od kobiety, tej kobiety.

Odchodzą, nie przestając się spierać, i ona też ma już zaraz stamtąd pójść (nie chce denerwować Boubona, bo i tak będzie zdenerwowany), lecz skręcając z rue de la Lingerie, spostrzega tego młodego inżyniera, co to we mgle przedstawił się nazwiskiem, które nabazgrano na murze. Tego, co dotknął jej twarzy. On także ją widzi, a sekundę później zauważa czarne litery, czyta je, wyraźnie sztywnieje i rumieni się, po czym podchodzi do niej i mówi:

– Ja nic o tym nie wiem.

Héloïse kiwa głową, a potem ułamuje i podaje mu kawałek chleba. Inżynier prawie wyrywa go jej z ręki, szybko wpycha do kieszeni płaszcza i spiesznie odchodzi.

Kiedy udaje mu się spotkać z Armandem w cztery oczy, stają naprzeciw siebie pod łukiem jednego z wejść do południowej kostnicy, pod dachem z kości, i organista rozcapierza palce, pokazując, że nie ma na nich ani plamki.

– Fleur albo Renard – mówi. – W ostateczności de Bergerac. Nadmiar zapału. Pogadam z nimi. Ale moim zdaniem powinieneś to uznać za komplement.

– Komplement?

– Widocznie zrobiłeś na nich spore wrażenie. Zapewniam cię, że o mnie nigdy nie napisali ani słowa, chociaż znam ich jeszcze z sierocińca.

– Byli podrzutkami?

– Byli i są.

– Nie wiedziałem.

– Nie. Wolałeś ich po prostu znieubić. Gardzić nimi.

– Przecież ja tu muszę pracować! Czy to nie ma dla nich żadnego znaczenia?

– A kto cię posądzi? Zakładam, że nikomu nie zdradziłeś swojego nom de guerre?

– Nie. Jasne, że nie.

– Na pewno?

– Na pewno!

– Więc?

– Nie będę... Nie zamierzam...

Inżynier zająknął się, a teraz rozgląda się wokół siebie, jakby spodziewał się dostrzec wśród nagrobków i kamiennych ozdóbek to coś, czego „nie będzie” albo „nie zamierza”. Najwidoczniej powinien był zażyć więcej syropu od Guillotina. Po kolejnej bezsennej nocy jest ogłupiały, a między jego myślami rozpościerają się łachy umysłowego pustkowiec. Rozsądek i logika sprawiają nagle wrażenie dóbr, które jeszcze dziś rano, wieczorem lub w przyszłym tygodniu mogą się raptem wyczerpać. A jeszcze to dziwne, niepokojące spotkanie z Austriaczką! Czekwała na niego? Czekwała, żeby mu dać kawałek chleba? Niby czemu miałyby to robić?

– Twoje poglądy polityczne – mówi Armand, ciągnąc być może rozpoczęty już chwilę temu wywód – biorą się głównie z niewyciągania wniosków. To niestety powszechne zjawisko.

– Co?

– Widzisz, jak jest. To i owo przeczytałeś, przemyślałeś, a jednak wzbranasz się przed wyciągnięciem oczywistych wniosków.

– Jakich mianowicie?

– Zdołali je doskonale pojąć ludzie o znacznie mierniejszych zdolnościach. Tacy jak Fleur, Renard i de Bergerac.

– Skoro tak, może dlatego jest to dla mnie takie trudne, że znam imiona swoich

rodziców.

– Uraża cię tylko to, że rozmazana na murze farba może zaszkodzić twojej pozycji zawodowej. Obchodzi cię wyłącznie twoja własna osoba. Uważasz się za człowieka o podniosłej umysłowości i liberalnych przekonaniach, ale twoim jedynym prawdziwym ideałem jest osobista ambicja.

– A ty swojej się wyrzekłeś? Już nie marzysz o organach w Saint-Eustache?

– Ambicja nie przesłania mi świata ani mnie nie więzi. Tym się różnimy.

Ze złością odwracają się od siebie. Jean-Baptiste skrzyżował na piersi ciasno splecione ręce i spomiędzy poczerniałych kamieni łuku prowadzącego do kostnicy patrzy na Lecoeura, który idzie ku niemu po trawie. Z widocznym wzburzeniem kroczy na sztywnych nogach, pochylony do przodu, z twarzą ocienioną kapeluszem...

– Bunt – oznajmia bez ogródek, wskakując pod łuk. – Ludzie się zbuntowali! – Spogląda na słuchaczy, ogromnie uradowany widokiem ich spłoszonych min, po czym dodaje: – Może jeszcze nie pora mówić o buncie, ale są niezadowoleni. Bardzo niezadowoleni. Nie chcą pracować.

– A to dlaczego?

– Żądają fajek.

– Fajek?

– Do tytoniu. Bez nich nie kiwną palcem. Doszli do przekonania, że tytoń to lek przeciw zarazie.

– A niby skąd miałyby się ona wziąć?

– Z dołów, oczywista.

– Chcą palić?

– Upierają się przy tym. Wszyscy. I nawet nie próbuj dociec, jak na to wpadli. Budzą się rano z takim pomysłem w głowie, i już. Tego rodzaju wizje mogą być wręcz samorodne.

Armand chichocze.

– To tylko wyjdzie na dobre – stwierdza. – Ich żądanie bardzo tanio da się spełnić. I będą ci wdzięczni. Podniesiesz ich na duchu.

Podczas tej rozmowy wszyscy trzej wyszli z kostnicy. Górnicy stoją przy wielkim ognisku, zbici w gromadę, i przyglądają się.

– Na rue aux Ours jest sklep – ciągnie Armand – naprzeciwko poczthalterii. Mają tam na składzie kilkaset fajek. I dosyć tytoniu dla całej marynarki wojennej. Polecam ten adres.

– Skoro tak – mówi Jean-Baptiste – może byś przyniósł stamtąd wszystko, co potrzeba?

– Mam załatwić kredyt? – pyta Armand, bez widocznego trudu wchodząc z powrotem w rolę Scaramuzza, Arlekina, Puka. – Ulgowe ceny? Miesięczne rozliczenia?

– Jeżeli monsieur Saint-Méard nie ma nic przeciwko temu – pospiesznie wtrąca Lecoeur – chętnie mu potowarzyszę.

Armand składa zachęcający ukłon. Lecoeur mu się odkłania.

– Jak się dziś czuje chory? – pyta Jean-Baptiste.  
– Block? Jest pod opieką anioła.  
– Umarł? – zgaduje Jean-Baptiste, wciąż zaprzątnięty myślą o górnikach i szalonych meandrach ich rozumowania.

– Chodziło mi o Jeanne – wyjaśnia Lecoeur. – To ona nim się opiekuje. Nie trapijmy się losem Blocka. On nas wszystkich przeżyje.

Według dzwonów z Saint-Eustache i niecierpliwych wskazówek zegarka Jean-Baptiste'a dopiero po prawie dwóch godzinach Armand i Lecoeur wracają na cmentarz. Inżynier już od dłuższego czasu pluje sobie w brodę, że pozwolił im pójść razem, chociaż nie jest pewien, czy zdołaliby ich powstrzymać, czy ma niezbędny do tego autorytet, prawo i siłę charakteru.

Widać z daleka, że obaj są pijani, ale idą, nie zataczając się, a sądząc po tym, że Lecoeur niesie oburącz paczkę, nie zapomnieli, po co ich posłano.

– Widziałeś mur? – syczy Lecoeur, tak bardzo zbliżając rozkołysane usta do policzka inżyniera, że wychodzi z tego prawie pocałunek. – Saint-Méard twierdzi, że go zna. Tego jakiegoś Bêche. Podobno to ktoś, kogo nie sposób posądzić o radykalizm. Na pozór skromny, a pod spodem, pod spodem zimny jak lód. Gotów zabić bez zmruczenia oka. Saint-Méard nazywa go mścicielem ludu. Prawda, że jest w tym swoiste piękno?

– To są te fajki? – pyta Jean-Baptiste.

– Wykupiłem wszystkie, jakie mieli w sklepie. Opróżniłem półki. Jest o parę sztuk więcej, niż potrzeba dla górników. Może chciałbyś którąś? Mam ci wybrać?

Lecoeur wybucha śmiechem, grzebiąc w paczce, i sprawia wrażenie szczęśliwego, zwyczajnie szczęśliwego po raz pierwszy od wielu dni.

Kiedy górnicy w końcu się gromadzą, żeby wrócić na dno dołu, każdemu sterczy spomiędzy zębów gliniany cybuch. Nie widać, żeby im to przeszkadzało w kopaniu, zbieraniu i układaniu kości. Lecoeur stoi niebezpiecznie blisko krawędzi wykopu. Wygląda, jakby na przemian zasypiał i się budził. Przychodzą lekarze. Guillotin staje obok Jean-Baptiste'a i przygląda się robotnikom, a potem pyta:

– Widział pan ten napis na murze?

Jean-Baptiste potakująco kiwa głową.

– Działają tu siły – mówi Guillotin – których nasi władcy na własną zgubę wolą nie dostrzegać.

Jean-Baptiste przelotnie spogląda na lekarza, na jego tęgą, rumianą twarz z piwnymi oczami o łagodnym wyrazie. Czyżby Guillotin należał do partii przyszłości? Czyżby potrafił wyciągać słuszne wnioski, tak jak potrafią to Renard i Fleur, de Bergerac i Armand? Na chwilę spotykają się wzrokiem, wnet jednak uwagę ich przykuwa dobiegający z wykopu stukot łopaty o drewno i trzask pękających desek.

Inżynier kuca.

– Trumna?! – woła.

Górnik zadziera głowę i wyjmuje fajkę z ust, co ma zapewne oznaczać przytaknięcie.

Odkopują trumnę, umieszczają ją w hamaku, windują na górę i kładą w trawie.

– Chyba musimy ją otworzyć – cicho mówi Jean-Baptiste, jakby do siebie.

Spogląda na najbliższej stojącego górnika. Jest to Guido Brun, a jeżeli nie Brun, to ten drugi, bardzo do Bruna podobny. Niejaki Agast. Englebert Agast? Górnik wpycha ostrze łopaty pod wieko trumny i podważa je z coraz większą siłą, aż w końcu drewno ustępuje z odgłosem jakby cichej eksplozji i spora część trumny natychmiast się rozpada. W środku leży szkielet, szczątki mężczyzny, kości połączone łąkami skórzastych ścięgien. Z boków czaszki pasma szorstkich kruczonych włosów sterczą jak czarna trawa. Widać kilka dużych zbrązowiałych zębów.

Lecoeur, nagle przebudzony i zupełnie trzeźwy, żegna się znakiem krzyża i to samo robi kilku górników.

– Żeby uzyskać osobne kości – mówi doktor Thouret – rozdzielić je i doprowadzić do pożądanego stanu, musicie je wygotować.

– Mamy gotować trupa? – wstrząsa się Jean-Baptiste.

– To jak najbardziej godziwy sposób – uspokaja go Guillotin. – Nic w nim nieprzyzwoitego. Porozmawiajcie z grabarzem. Ci panowie mają swoje metody.

W drugiej trumnie, którą wyciągają na powierzchnię, jest tylko kupka czystych kości, więc gdyby trumnę podnieść i nią potrząsnąć, zagrzechotałaby jak dziecięca zabawka. W trzeciej znajdują jedynie kurz.

– Przynajmniej jeden – mówi Guillotin, popatrując po twarzach mężczyzn – zdołał się wymknąć. Czyli jest jeszcze dla nas jakaś nadzieja.

Lekarz chciał zapewne rozproszyć ciężką atmosferę, ale mężczyźni wpatrują się w niego z kamiennymi twarzami i tylko Lecoeur, czerpiąc odwagę z dobrych manier, potrafi na jego uśmiech odpowiedzieć uśmiechem.

Powstaje nowy system, nowy cykl. Drewno z trumien trafia do ogniska, wznecając krótkie gejzery dziwnie zabarwionych płomieni. Szkielety, którym więzadła i ścięgna wciąż nie pozwalają rozsypać się na osobne kości, zostają w kostnicy, a późnym popołudniem Manetti przy pomocy jednego z górników zaczyna je przenosić na ręczną dwukółkę i odwozić tam, gdzie ustawił swój kocioł, a raczej mosiężną balię, w której przez sto lat dokańczano dzieło rozpoczęte w ziemi Niewiniątek, teraz zaś po długiej emeryturze wyciągnięto ją z rogu cementarza.

Ludzie pracujący na dnie dołu i ci, co na powierzchni otwierają trumny, początkowo robią to w wyraźnym napięciu, jakby spodziewali się zobaczyć jakąś okropność, która – gdy ją nagle odsłonią – spojrzy na nich ze swojej skrzyni. Razem z butelką koniaku podają sobie z rąk do rąk słoiki tytoniu. To im litościwie pozwala wytrwać. Kiedy pod koniec dnia przy świetle pochodni windują na górę ostatnią trumnę, wszystko wydaje się całkiem do zniesienia, jakby praca, niezależnie od tego, na czym dokładnie polega, była w sumie tylko pracą. Zadaniem, nad którym człowiek się pochyla dla spodziewanej nagrody. No i dlatego, że ludzki niepokój trzeba zaprząć do służby jakiemuś celowi, bo inaczej będzie sam siebie zżerał.

Je kolację z Monnardami. Nie może ich przecież bez końca unikać. Siedzi więc z nimi – z madame i z monsieur – przeżuwając kolejne kęsy mięsa z brązową fasolą. Ogieniek

płonie żywiej niż zazwyczaj: Jean-Baptiste załatwił dostawę drewna, którego na cmentarzu ma w bród. Płomienie pełgają po wypolerowanym biodrze fortepianu. Nikt nie komentuje nieobecności Ziguette, chociaż jej matka spogląda co pewien czas na wolne krzesło oraz nietknięty talerz i sztućce.

W rwącej się raz po raz rozmowie wyczerpali już takie tematy, jak pogoda, zalety mięsa i rosnąca cena fasoli, po czym każde pograżyło się we własnych myślach i w wytrwałym przeżuwanym pokarmu, gdy raptem madame Monnard pyta, odchrząknąwszy:

– Czy to prawda, monsieur, co Marie opowiedziała nam o tym skandalicznym napisie na murze cmentarza?

– Marie, madame? Nie wiedziałem, że umie czytać.

– Nie potrafiłaby przeczytać własnego imienia, monsieur – odpowiada monsieur Monnard – ale za to ma uszy. Słyszy lepiej niż sowa.

Inżynier natychmiast wyobraża sobie (mimo woli, lecz dokładnie) Marie z uszami, z których wyrastają pęczki piór, przycupniętą na gałęzi w blasku księżyca.

– Ktoś jej powtórzył treść napisu, monsieur – wyjaśnia madame. – Nauczyła się go na pamięć.

– A to nie jedyny taki napis – dodaje monsieur Monnard. – Po południu monsieur Gobel odwiedził mój sklep i uwiadomił mnie, że widział coś bardzo podobnego na ścianie naprzeciw La Bourse.

– Mogą ich być setki – mówi madame Monnard. – Sądzi pan, że mogą?

– Czy w tym drugim napisie – pyta Jean-Baptiste, zastygając z podniesionym widelcem – w tym przy La Bourse, wymieniono to samo nazwisko?

– Bêche – przytakuje monsieur Monnard, dźgając ostatni kwadracik wołowiny na talerzu. – A do tego stek grózb pod adresem króla i jego ministrów. Żonę bardzo to poruszyło, monsieur.

– Lękam się – wyznaje madame, która nagle rzeczywiście sprawia wrażenie mocno poruszonej – że zamordują nas w łózkach. Poderżną gardła.

– To na pewno tylko czcze słowa – uspokaja ją Jean-Baptiste. – Po prostu rodzaj... zabawy.

– Zabawy? Ma pan prawo tak twierdzić, monsieur. Owszem, chce mnie pan pocieszyć. Jest pan bardzo troskliwym młodzieńcem. Ale dziś w nocy przyśni mi się, że ten jakiś Bêche włazi przez okno do naszej sypialni. Czy przyszedłby nam pan z pomocą, monsieur, gdybyśmy zawołali? Ma pan szpadę, monsieur?

– Nie, madame.

– A ja myślałam, że pan ma.

– Jestem inżynierem, madame. Mam mosiężny liniał.

– Śmiem twierdzić, że i on mógłby się przydać – z zadumą rzecze madame – jeżeli jest duży.

Wchodzi Marie, żeby sprzątnąć ze stołu. Wszyscy milkną. Służąca zbiera talerze i ustawia je w stos. Ma mocne, czerwone dłonie, godne mężczyzny, robotnika. I te jej krucze włosy! Gładki damski wąsik bynajmniej nie szkodzi urodzie. Jean-Baptiste'owi

wydaje się, że Marie ma więcej wigoru niż ktokolwiek w tym pokoju, jakby czerpała soki z żyźniejszej, czarniejszej gleby, do której korzenie reszty obecnych nie sięgają.

Kiedy dziewczyna wychodzi, ciągnąc za sobą drzwi opieszalą stopą, żeby je zamknąć, madame i monsieur spoglądają po sobie, a potem na lokatora, jakby oczekiwali od niego wyjaśnień, żądali wytłumaczenia wszystkich nieszczęść i niepokojących wypadków, jakie zdarzyły się od chwili jego przybycia na rue de la Lingerie.

– Chciałem spytać – zaczyna Jean-Baptiste – to znaczy dowiedzieć się, jak miewa się pani córka, madame.

– Ziggi? Och, mieć dzieci to taka ciężka próba, monsieur. Ona zachowuje się, jakby się całkiem rozplynęła. Powinien ją pan odwiedzić, monsieur. Mąż i ja tracimy już rozum. Daruje pan, ale odkąd rozpoczął pan pracę, Ziguette jest niepokieszona. Jakby na własnej skórze czuła ciosy łopat.

– Przykro mi – zapewnia Jean-Baptiste. – Naprawdę. Ale ta praca jest konieczna. Staram się, madame... staramy się zrobić coś dobrego, coś...

Ogień strzela, plując iskrą. Jean-Baptiste szybko wstaje i gasi ją czubkiem buta.

– Drewno jest zielone – warczy monsieur Monnard i patrzy w ogień spode łba, jakby zielone drewno było zielonym sednem wszystkiego, co go irytuje.

Na piętrze, osłaniając świecę przed tuzinem przeciągów, które zawsze mrowią się w powietrzu górnej części domu niby tajne, niewidzialne strumienie, inżynier staje u drzwi pokoju Ziguette i patrzy na smużkę światła między nimi a progiem. Mimo późnej pory ciekaw jest, jak wygląda rozplynięta dziewczyna. Chciałby też, jeżeli tylko zdoła, dodać jej nieco otuchy. Jako gościowi, a przynajmniej komuś w rodzaju gościa w tym domu, niewątpliwie wypada mu okazać jej współczucie, podnosi więc rękę, żeby cicho zapukać w drzwi, gdy te otwierają się i staje w nich Marie z ledwie widocznym uśmiechem na twarzy. Przez kilka sekund bezczelnie się w siebie wpatrują, a potem służąca cofa się i go przepuszcza.

W pokoju płoną dwie świece prócz jego własnej: jedna na toaletce, a druga w lichtarzyku z malowanej porcelany na szafce przy łóżku. Pokój jest przestronny, co najmniej trzykrotnie większy od sypialni inżyniera, z dużym oknem wychodzącym na cichą ulicę, zasłoniętym okiennicami. Gdyby go uładzić, byłby miły, może nawet najładniejszy w całym domu, teraz jednak panuje w nim zupełny nieład, jak po przejściu czyjejś prywatnej burzy, która porwała każdą sukienkę i halkę, każdą płócienną sakiewkę, każdy haftowany fartuch i gorset, czepek i słomkowy kapelusz, każdą falbankę, pończochę i koronkę, jaką ojcowska miłość majstra od sztucców może obdarzyć jedyną córkę, porwała je w powietrze i nagle ustała, więc wszystko spadło pomieszanych deszczem. Pośrodku tego chaosu, częściowo nim przykryta, leży Ziguette, której ciało niewyraźnie rysuje się pod prześcieradłem, a twarz oblewa rumieńcem niewątpliwie wewnętrzny żar. (W pokoju pali się tylko skromny ogieniek). Dziewczyna zapuchniętymi oczami spogląda z dołu na inżyniera, a jej włosy – nieupięte, nieosłonięte, nieuczesane – rozsypały się po wałku ciężką złocistą płataniną. Usta wyglądają jak uderzone pięścią, a na wyprężonej białej szyi wyraźnie widać pulsowanie krwi.

– Nie za późno na wizytę, mam nadzieję?

Dziewczyna nie odpowiada. Jean-Baptiste ogląda się na Marie, która stoi tuż za nim z dłońmi splecionymi pod brzuchem i z miną bez wyrazu.

– Pani matka – ciągnie inżynier, zwracając się do Ziguette – była zdania, że nie pogniewa się pani, jeżeli ją odwiedzę. Przed chwilą zjadłem z nią kolację. I z pani ojcem, rzecz jasna. – Jean-Baptiste macha ręką w stronę korytarza i w dół, tam gdzie mieści się salon. – Przykro mi, że zastaję panią niezdrową. Żałuję, jeżeli to ja bezwiednie w jakikolwiek sposób...

Dziewczyna wyciąga rękę w geście rozpaczy. Marie wyciąga spod łóżka wielki nocnik. Ziguette rzyga. Co prawda niezbyt owocnie, bo ma już zapewne prawie pusty żołądek, ale hałas wzmocniony rezonansem nocnika robi wrażenie. Marie podtrzymuje jej głowę, wbijając czerwone palce w jasne włosy i ciągnąc za nie.

Inżynier wychodzi na podest, delikatnie zamyka drzwi i szybko udaje się do własnego pokoju. Siada w nogach łóżka, nasłuchując dźwięków dobiegających z pokoju chorej, ale słyszy tylko parę słabych eksplozji. Potem dom cichnie, na chwilę uwolniony nawet od swoich zwykłych trzasków i skrzypnięć.

Rozpalić ogień? Nie warto.

Narzuca sobie na kolana banian zamiast koca i wpatrując się w butelkę tynktury, stojącą na okładce *Histoire naturelle. Volume II* Buffona, zastanawia się, czy powinien ofiarować trochę (hojną łyżkę brązowego płynu) Ziguette, lecz nagle wstaje i podchodzi do płaszcza, do jeździeckiego płaszcza, który miał na sobie rano, sięga do jednej, a potem do drugiej kieszeni i wyciąga kawałek chleba, otrzymany od Héloïse pod murem cmentarza. Chleb wysechł, jest twardy prawie jak suchar, ale Jean-Baptiste ostrożnie odgryza kęs i pozwala mu zmięknąć na języku, uśmiechając się na wspomnienie tego jej gestu, tak wdzięcznego, spontanicznego, prostego, gdy wtem słyszy dobiegający zza okna, z dołu – niewątpliwie z cmentarza – dreszcz kobiecego śmiechu. Otwiera okno i wystawia przez nie głowę. Nic nie widać, przynajmniej nic nie rzuca się w oczy. Tyle tylko że ogień pod krzyżem kazalniczym płonie może jaśniej, niż powinien o tej porze, lecz poza tym... Jean-Baptiste wychyla się jeszcze bardziej, prawie po pas, i wyteża wzrok. Na tle czerwonych płomieni przemykają cienie. I znów rozlega się ten dziki śmiech, wznosząc się ponad mury, dźwięczny jak dzwonek przekupnia w nocnej ciszy, zimnej i cuchnącej.



Siódma rano. Szron na posadzkach kostnic, a między dwa domy na rue Saint-Denis wkliniwane białe słońce.

– Słyszałem kobiety – mówi Jean-Baptiste do Lecoeura. – Przynajmniej jedną.

– Mmm – odmrakuje Lecoeur, który ma tego dnia na sobie tę grubą, zrobioną na drutach kamizelkę. – No właśnie. Nie zapominajmy, że nasz pan ma nas na widoku i może do woli podglądać.

– Nie podglądałem – prostuje Jean-Baptiste. – Nie mam tego zwyczaju.

– Nie? A jakbyś wolał nazwać to, że patrzysz na nas ze swego orlego gniazda?

– Wolałbym, żebyś nie był od rana pijany.

– Pijany? O, świetnie. Tak. Teraz dla odmiany postanowiłeś niesłusznie mnie pomówić. A gdybym nawet... gdybym był taki, jak mówisz, to co? Czy nie miałbym nic na swoje usprawiedliwienie? Co noc stąd się wymykasz, a ja zostaję wśród grobów i kości. To nie do zniesienia!

– Wolałbyś Valenciennes?

– Spaliłem tam za sobą mosty, monsieur. I to wyłącznie dla twojej wygody. Tylko po to, żebyś mógł karmić łabędzie w Wersalu i zadawać się z wielmożami!

– Ja nie karmię łabędzi! I nigdy nie jeżdżę do Wersalu. Chodzę do tego oto domu. Tam i nigdzie dalej. A zadaję się z ludźmi, których ani w ząb nie rozumiem.

Podnoszą głosy niemal do krzyku. Mgliście zdają sobie przy tym sprawę, że ludzie patrzą i słuchają.

– Ale przykro mi – mówi Jean-Baptiste, z niepokojem stwierdzając, że cisną mu się do oczu dziecinne łzy. – Przykro mi, że czujesz się tu... nieznośnie. Od pierwszej chwili miałeś pełną swobodę ruchów. Wiesz, że w domu grabarza są klucze do wszystkich furt. Jeśli chcesz, możesz wyjść choćby teraz. Przespaceruj się po mieście. Poradzę tu sobie. No i... wpadnij kiedyś na kolację. Już dawno chciałem cię zaprosić. Mój gospodarz na pewno rad zawrze z tobą znajomość. Przyjdź choćby dziś wieczór, jeżeli masz ochotę.

– Dziś wieczór? – Lecoeur zbliża się o krok, mamrocząc coś o wybaczeniu i słodkim balsamie przyjaźni. Usiłuje objąć Jean-Baptiste'a, ten jednak nie ma ochoty znaleźć się w jego uścisku, cofa się więc i przez chwilę wykonują rodzaj tańca, gdy jeden daje krok do przodu, a drugi robi unik.

– Nie wyjaśniłeś jeszcze, skąd te kobiety – przypomina Jean-Baptiste i obaj zatrzymują się na skraju drugiego wykopu.

– Kobiety? Pół tuzina co śmielszych spośród tutejszych murw. Wlazły na mur po drabinie. Nasi ludzie pomogli im zejść na tę stronę. Ja umyłem ręce. Dzięki temu będziesz miał dziś sposobność stwierdzić wydatną poprawę ich morale. Oczywiście cmentarze sływały niegdyś z wizyt tego rodzaju kobiet.

– Widziałeś je?

- Tylko sylwetki. Z daleka.
- I żadna... żadna niczym się nie wyróżniała?
- Rzekłbym, że wszystkie były w jednym typie. Oddane swojej pracy. Odwieczne.
- Jeanne je widziała?
- Widzieliśmy je razem. To teatrum chyba ją mocno ożywiło.
- Może знаła te kobiety.
- Znała je z reputacji?
- Tak.
- Nie mam pojęcia.
- To się nie może powtarzać każdej nocy – oświadcza Jean-Baptiste. – Musi być jakaś... zasada. Kobiety mogłyby przychodzić w wyznaczoną noc. Na przykład w sobotę. Wpuszczalibyśmy je furtą. Nie potrzebowałyby drabin.
- Ale jak mamy to obwieścić? Ustami herolda?
- Monsieur Saint-Méard powinien znać przynajmniej jedną z nich. Jedna wystarczy.
- Będzie to dla nas nowa rola – stwierdza Lecoeur.
- Jak to: rola?
- Istnieje chyba specjalne określenie na ludzi trudniących się tym procederem?

Żegnają się szybkim uściskiem dłoni i rozchodzą – Lecoeur do latryn, a Jean-Baptiste do domu grabarza, gdzie Jeanne, Lisa Saget i mała Natalie krzątają się przy kuchennym stole. Musiały widzieć z okna niefortunne spotkanie inżyniera z Lecoeurem, ale nic nie mówią. Jean-Baptiste pragnąłby wypytać Jeanne o te kobiety, murwy: ile miały wzrostu i jakie fryzury, chociaż próbował już sobie wyobrazić Héloïse, wchodzącą po drabinie opartej o mur cmentarza, i wydało mu się to równie mało prawdopodobne jak możliwość, że kobieta rozpostarła oponczkę i przefrunęła nad murem.

Przy ogniu w kuchni stoją teraz dwa fotele. Ten, który zwykle zajmuje grabarz, jest wolny, a w drugim siedzi Jan Block z kocem na pochylonych barkach, z zapadniętymi, podkrążonymi oczami, lecz mimo tak nędznego wyglądu widać, że zaczyna zdrowieć. Jean-Baptiste mu wina. Block kiwa głową i zerka na Jeanne, a potem znowu wpatruje się w skaczące płomienie.

- Dobrze – mówi inżynier do siebie, do powietrza, do każdego, kto gotów jest słuchać.
- Czyli jedziemy dalej.

Wieczorem (choć w głębi duszy czuje, że jest to ostatnia rzecz, jakiej by pragnął) Jean-Baptiste wraca na rue de la Lingerie z Lecoeurem i przedstawia go Monnardom. Na stole pojawia się dodatkowe nakrycie. Lecoeur siada naprzeciw madame. Jean-Baptiste uprzedził go po drodze, że ma nie wspominać o pracy na cmentarzu, bo Monnardowie są szczególnie wrażliwi na zmiany i zamieszanie. Lecoeur obiecał się zastosować i dotrzymuje umowy, chociaż mówi o wszystkim innym, ze swadą, pospiesznie, jakby słowa gromadziły się w nim od wielu tygodni i potrzebowały tylko jakiegoś kulturalnego środowiska, obecności fortepianu, żeby wyfrunąć z krtani.

Ale monsieur Monnard zdaje się szczerze interesować kopalniami w Valenciennes, szczegółami dotyczącymi pomp tudzież innego sprzętu, natomiast madame wzruszyła

opowieść Lecoeura o tym, jak przed kilkoma laty matka umierała mu na puchlinę wodną, a on wraz z siostrą imieniem Violette opiekował się nią w ostatnich chwilach.

– Skoro tak, pan i monsieur Baratte doskonale się rozumiecie – mówi madame. – Inżynier miał wszak nieszczęście stracić ojca, będąc w wieku, gdy mógł liczyć na to, że jeszcze przez jakiś czas będzie go miał. A któż osądzi, która strata jest cięższa: śmierć ojca czy matki? Obaj zaś jesteście nader wrażliwymi młodzieńcami, nieprawdaż?

– Tak mniemam, madame – odpowiada Lecoeur. – Łączy nas przyjaźń oparta na bliźniaczych filarach wrażliwości i filozofii. Znamy nawzajem swoje myśli, madame.

– To tak jak ja i moja córka, monsieur. Świetnie pan to ujął.

– Ma pani córkę, madame? Sądziłem, że sama pani jest córką tego domu.

Lecoeur wykonuje ręką wykwinny gest, zawadzając podwójnym mankietem surduta o krawędź swojego kieliszka. Wezwana Marie klęka, żeby zebrać stłuczone szkło do fartucha.

Po kolacji przyjaciele idą do pokoju Jean-Baptiste'a. Inżynier rozpala ogień. Przysuwa gościowi krzesło, a sam siada na łóżku. Jest zadowolony, że Lecoeur widzi jego skromny pokój, wcale nie większy ani lepiej umeblowany niż sypialnia samego Lecoeura w domu grabarza. Napomyka o tym, ale gość nie odczytuje aluzji.

– Nie przyszedłem z pustymi rękami – mówi, wyciągając spod koszuli pomiętą paczkę.

Kładzie ją na stole, przy którym siedzą naprzeciw siebie, i wygladza papier. Paczka przewiązana jest czerwoną wstążką. Lecoeur rozsupłuje wstążkę i podnosi leżącą na wierzchu czystą kartkę, odsłaniając przykryty nią rysunek – zawily diagram, nakreślony atramentem i już wyblakły, z wieloma pisemnymi uwagami. Lecoeur uśmiecha się na jego widok i podaje go Jean-Baptiste'owi, ten zaś bierze arkusz do ręki i kiwa głową.

– Valenciana – mówi.

– W rzeczy samej, Valenciana – przytakuje Lecoeur.

– Nasze stare plany. Wszystkie przechowałeś.

– A myślałeś, że cisnę je w ogień? Skoro jesteśmy starsi i bardziej obyci ze światem, powinniśmy przyjrzeć się tym pomysłom świeżym okiem. Wydestylować je.

– Naprawdę powinniśmy?

– Patrzaj! – woła Lecoeur, biorąc ze stołu mosiężny liniał. Trzyma go poziomo, a potem unosi nad głową niczym ksiądz odprawiający eucharystię. – Oto Valenciana z popiołów powstaje!

Przez półtorej godziny, dopóki ze świecy nie zostanie ogarek, który w każdej chwili może zgasnąć, pogrążając ich w ciemnościach, podają sobie z ręki do ręki kartki, karteluszeki, i sam widok pisma – tutaj Jean-Baptiste'a, ówdzie Lecoeura – budzi echo podniecenia sprzed sześciu lat, z owych zimowych wieczorów nieopodal kopalni. Poszczególne punkty opatrzone są nagłówkami: „O kształceniu kobiet”, „Plany nowoczesnego systemu odprowadzania ścieków”, „Sparta a Valenciana”, „O spalaniu”, „Idealna żona”, „Wgląd w racjonalną religię”, „Kilka ubiorów kobiecych”, „Czystość form”, „Pojazd dla kobiet”, „Projekt mostu”.

– I popatrz – mówi Lecoeur. – Mieliśmy nawet krótką rozprawkę o usuwaniu zwłok.

- Zapomniałem – przyznaje Jean-Baptiste. – Wiele z tego zapomniałem.
- Właśnie dlatego przyniosłem te papiery – odpowiada Lecoœur. – Najwcześniejsze ambicje są najlepsze. Potem tracimy odwagę. Nie sądzisz?
- A może po prostu się zmieniamy?
- Chcesz powiedzieć: starzejemy?
- Przybywa nam lat. Stajemy się inni.
- Ale dziś wieczór wszystko jest jak dawniej. Umysł przemawia do umysłu, serce do serca. Źródło młodości w naszych piersiach... pieni się! Wiesz, czym różni się człowiek od człowieka? Jeden chce pozostać nieskalany, a drugi ze swoistej gnuśności pozwala, żeby usta zapchała mu ziemia. Grobowy piach.
- Jean-Baptiste skinieniem głowy wskazuje świecę.
- Odprowadzę cię na dół – mówi.
- A nie mógłbym tu zostać? – pyta Lecoœur.
- Obawiam się – odpowiada Jean-Baptiste, wstając z miejsca – że nie byłoby nam wygodnie.

Rozstają się przy drzwiach na ulicę. Podają sobie ręce. Lecoœur stoi przed domem jak cień samego siebie, widmo, któremu późna pora każe wrócić do świata podziemi, ono jednak zwleka i wzdycha, zanim odwróci się z takim ociąganiem, że serce boli patrzeć.

Jean-Baptiste zamyka drzwi, przekręca klucz i jeszcze przez chwilę stoi w sieni, w ciemnościach między drzwiami wejściowymi a tymi do kuchni. Spełnił obowiązek, nieprawdaż? Podał przyjazną dłoń, odwiedził przeszłość, wskrzesił na moment dawną pasję, która wydała mu się jeszcze bardziej odległa, niż się spodziewał. Czego jeszcze można od niego żądać? Lecz gdy po omacku idzie w stronę schodów, ciąży mu w piersi niewątpliwe poczucie własnej zdrady. Nie próbuje go analizować. Powierza się dookolnej ciemności i ostrożnie wchodzi na piętro.

Nazajutrz przed obiadem udaje się wykreślić z listy drugi wykop, opróżniony i ponownie zasypyany, a chociaż w takim miejscu jak cmentarz Niewiniątek niełatwo zmierzyć ludzkie morale, Jean-Baptiste ma wrażenie, że górnicy coś odzyskali, w towarzystwie roześmianych kobiet nabrali świeżego wigoru. Na zachód od drugiego dołu wytycza się trzeci i o pierwszej po południu wśród równomiernej mżawki, która przechodzi niebawem w ulewę, mężczyźni (ten i ów z nich umie palić fajkę, odwróciwszy główkę denkiem do góry) zaczynają kopać.

Znowu zjawiają się lekarze. Dla ochrony przed deszczem rozpinają solidne parasole. Stoją sobie całkiem miło, jak dwaj szlachetnie urodzeni wędkarze nad stawem, mający nadzieję złowić szczupaka na kolację, chociaż w gruncie rzeczy mało co na cmentarzu budzi ich zawodową ciekawość. Szperają wśród kości, czasem spędzą godzinę z grabarzem przy jego kipiącym kotle, szkicują, mierzą i ostrożnie zaglądną do kostnic, lecz wszystko to równie dobrze mogliby robić na którymkolwiek starym cmentarzu, choćby na Saint-Séverin albo Saint-Gervais. Ale tuż po trzeciej z grobu wyjeżdżają na górę i stają obok siebie na mokrej trawie dwie trumny. Na pozór niczym się nie różnią od czterdziestu innych, które wydobyto po obiedzie. Są może trochę mniej zbutwiałe, lecz

doprawdy, nie ma czasu na dokładniejsze oględziny. Dwaj górnicy podważają wieka łopatami. Prawie wszyscy nauczyli się już to robić, więc otwierają trumny jak ostrygi. I nagle zataczają się do tyłu. Jeden upuszcza łopatę, która bezszelestnie pada na wilgotną ziemię. W obu trumnach leżą młode kobiety. Skóra, włosy, usta, paznokcie, rzęsy. Wszystko łącznie z wełnianymi całunami wygląda, jakby wymagało tylko przepierki, lekkiego przetarcia i wycerowania, żeby było jak nowe.

Przez kilka sekund nikt się nie rusza. Na twarze zmarłych pada deszcz. A potem doktorzy klękają, osłaniając nieboszczki parasolami: wędkarze raptem w zalotników przemienieni. Robią wstępne badania. Thouret dotyka włosów jednej, zielonkawych jak siano. Guillotin delikatnie trąca usta drugiej czubkiem metalowego szpikulca, który może być srebrną wykałaczką. Naradzają się. Guillotin każe trumny zamknąć i natychmiast zanieść do pracowni.

– Rodzaj mumifikacji – wyjaśnia Jean-Baptiste’owi. – Godny uwagi przypadek. Niezwykły! Jak dwa zasuszone kwiaty...

Przydaje się wózek Manettiego. Lekarze eskortują go z obu stron, odprowadzając trumny w stronę kościoła i swojej pracowni. Ustają wszelkie roboty. Mężczyźni nabijają fajki. Popołudnie jest nieruchome, ucichłe od deszczu. Skoro ta śmierć tak bardzo przypomina wyglądem życie, czy nie należałoby dla przyzwoitości odprawić jakiejś ceremonii? Sprowadzić z kościoła père Colberta, żeby odmówił modlitwę, pokropił święconą wodą? Ale nawet gdyby go znaleźli, wtargnąłby między nich jak Jan Chrzciciel ze wściekle bolącym zębem. Bardzo możliwe, że wrzuciłby kogoś do dołu – na przykład młodego inżyniera.

Lecoeur patrzy na Jean-Baptiste’a spod ociekającego wodą runda kapelusza. Inżynier kiwa głową. Nadzorca każe ludziom brać się do pracy. Jego rozkaz brzmi prawie jak szczeknięcie. Górnicy spełniają go bez szemrania.

Po zmroku Guillotin zaprasza Armanda, Lecoeura i Jean-Baptiste’a na oględziny tych świetnie zakonserwowanych kobiet, a raczej jednej, bo drugą przebadali już lekarze, więc mniej nadaje się do pokazania. Lecoeur ma świecę, a doktor Guillotin lampę z bezdymnym tranem z wieloryba. Trumna stoi na stole na krzyżakach w pracowni z płóciennych płacht. Zdejmują z niej wieko i patrzą.

– Nazwałem ją Charlotte – oświadcza doktor Guillotin – po mojej bratanicy z Lyonu, do której za życia mogła chyba być podobna.

– Jest młoda – mówi Armand, podobnie jak lekarz zniżając głos niemal do szeptu.

– Młoda, a zarazem stara – prostuje doktor. – Wedle mej oceny umarła mniej więcej w dwudziestym roku życia, a złożono ją w ziemi jakieś pięćdziesiąt lat temu. Nasz poczciwy grabarz twierdzi, że pamięta, jak chował dwie młode kobiety wkrótce po rozpoczęciu pracy na tym cmentarzu. Dwie młode piękności, niezamężne. Żegnano je wśród powszechnego lamentu.

– Czyli umarły w dziewiczym stanie – z nutą uszanowania wtrąca Lecoeur.

– Mało która z miejscowych piękności umiera dziewicą – zauważa Armand.

– Może to i prawda – zgadza się lekarz. – Jeszcze nie zbadałem, czy Charlotte jest

intacta. Co się zaś tyczy tej drugiej, doktor Thouret i ja mamy powody sądzić, że poczęła.

– Było w niej dziecko? – pyta Jean-Baptiste.

– Nie mogę tego niezbitnie stwierdzić. Narządy wewnętrzne przybrały konsystencję drzewnej pulpy albo papier-mâché. Są jednak pewne poszlaki.

– Co z nią zrobicie? – pyta Armand. – Z tą pańską Charlotte? Pokroicie ją tak jak tamtą?

– Spróbowałbym raczej – mówi doktor Guillotin – zachować ją w obecnym stanie. Moglibyśmy zbudować dla niej gablotę. Pokazać ją w akademii.

– A czy aby ona nie zacznie się rozkładać – niepokoii się Jean-Baptiste – skoro wydobyliśmy ją na powietrze?

Lekarz wzrusza ramionami, a potem spogląda ponad ramieniem inżyniera i uśmiecha się.

– Też byłaś ciekawa jej widoku? – pyta.

Pozostali oglądają się za siebie. U wejścia do pracowni stoi Jeanne. Po wszystkich mężczyznach prócz doktora Guillotin natychmiast widać skrępowanie, jakby ich przyłapano, owładniętych przemożnym, a niestosownym zapałem.

– Chciałam spytać, czy panom czego nie trzeba – mówi dziewczyna.

Nie wchodzi do środka, nie zbliża się do trumny. Po paru chwilach Guillotin i Lecoeur starannie zamykają wieko.

W nowym wykopie nie znajdują już żadnych miejscowych piękności. Bliżej dna (jest to zaś najgłębsza z dotychczas rozkopanych mogił, bo ostatni pomiar pionem dał wynik dwudziestu dwóch metrów) trumny przeważnie są potrzaskane, a ich lokatorzy przemieszani, przetasowani z sąsiadami. Przez cały środek tygodnia górnicy pracują do ósmej lub dziewiątej wieczór, wykopując, windując na powierzchnię i układając kości przy świetle pochodni wbitych w ściany wykopu, w blasku lamp i ognisk. I wreszcie w sobotę, gdy jakaś planeta spokojnie lśni wśród gasnącej poświaty zachodniego nieba, dokopują się do samego dna. Zadzierają głowy i patrzą wzwyż, a ci z góry zagląдают w głąb dołu. Inżynier rozkazuje przerwać pracę. Każe Lecoeurowi zwołać ludzi pod kazalnicy krzyż, a potem wchodzi razem z nim po krętych schodkach i obwieszcza, że ilekroć opróżnią i zamkną kolejny wykop, każdy dostanie trzydzieści sous premii. Poprzedniego wieczoru dokładnie to skalkulował, zonglując cyframi w starannie osuszanych bibułą rubrykach, dopóki nie wygospodarował potrzebnych pieniędzy.

– I jeszcze jedno – dodaje, starając się utrafić w odpowiedni ton, łączący ojcowską pobłażliwość z rubaszną, światową nutą. – Jutro furty cementarne staną otworem, a wy dostaniecie wychodne aż do zachodu słońca, kiedy to znów je zamkniemy. Dziś może je otworzymy na godzinę, bo a nuż zechce nas odwiedzić jakaś przyjaciółka.

Lecoeur bije brawo. Chciałby zapewne, żeby górnicy na dowód wdzięczności przyłączyli się do tych oklasków, lecz oni tylko mamrocą między sobą, a niektórzy przestępują z nogi na nogę. Czy zrozumieli, co powiedział inżynier? Ten spogląda na Lecoeura, zanim jednak zdąży poprosić go o radę i być może o przetłumaczenie całej mówki na warkotliwą flamandczyznę, Lisa Saget zaczyna walić w dno rondla, więc mężczyźni rozchodzą się do namiotów po noże i menażki.

Schodzą po schodkach, a kiedy już są na dole, Lecoeur stwierdza:

– Bardzo dobrze, że będą mogli wyjść. Serca w nich urosły.

– Tak uważasz?

– Wyraźnie widziałem.

Jean-Baptiste potakująco kiwa głową. On z kolei wyraźnie widział, że w poniedziałek rano może zostać bez ani jednego górnika albo z pół tuzinem obszarpańców, oślepych z przepicia i oskubanych do samych koszul. Mogą być twardzi jak janczarzy, ale nie poradzą sobie z wygadanyymi tubylcami o zwinnych palcach. Gdyby jednak spróbował nadal trzymać ich w zamknięciu, wybuchłby bunt i tym razem już nie pomogłyby gliniane fajki i tytoń. W Valenciennes opowiadano (choć on sam nigdy takich scen nie oglądał) o ludziach, którzy w napadzie amoku niszczyli maszyny, podpalali budynki kopalni, a nawet oblegali siedzibę zarządców, dopóki nie nadciągnęła ochotnicza straż. Większość z nich pochodzi z północy, tak jak i on. Nierychło się wzburzają, lecz gdy opęta ich duch...

Godzinę po kolacji przychodzą kobiety, zrazu ostrożne: najodważniejsza zerka przez uchyloną furtę na rue aux Fers, którą zaraz potem otwierają na oścież i wmaszerowują, nawołując, gruchając, machając rękami.

Lecoeur, Armand, Jeanne, Lisa Saget i Jean-Baptiste przyglądają im się z fosy nocnego cienia pod zachodnią ścianą kościoła. Niełatwo je porachować. Lecoeur doliczył się dwunastu. Armand twierdzi, że jest o jedną więcej, potem zaś wymienia imiona kilku: Simone, Marie-Anne, a tę chudą, co zamyka korowód, zowie La Pouce. Najmłodsza wygląda jak rówieśniczka Jeanne, podczas gdy najstarsza – postawna tupeciara z głosem sierżanta sztabowego – mogłaby prawie być babcią, a po nierównym gruncie kuśtyka z ponurą zaciętością.

Górnicy czekają niby załoga zaklętego statku. Kobiety zalewają ich falą i przemykają między nimi. Przy świetle ogniska zaczyna się hulanka. Mężczyźni puszczają w koło butelki i napełnione koniakiem blaszane kubki. Kobiety piją, wpadają w rutynowe rozhukanie, wybierają partnerów i podają swoją cenę. Pierwsze pary odchodzą w ciemność, idąc pod rękę, tak jak kochankowie na całym świecie. Widzowie spod kościoła, którzy dotychczas stali w milczeniu (trochę jak badacze obserwujący rytuały prymitywnych tubylców na plaży pod Krzyżem Południa), wycofują się do domu grabarza. Block i Manetti siedzą naprzeciw siebie przy ogniu w kuchni. Grabarz śpi z głową wtuloną w narożnik oparcia fotela, a Jan Block też jest wprawdzie senny, ale czuwa i na widok wchodzących lekko się wzdryga, gdy zaś inżynier kiwa mu głową, górnik odwzajemnia ukłon z uszanowaniem, acz nie bez skrępowania.

Siadają przy kuchennym stole. Na nim też stoi butelka koniaku. (Wszędzie koniak – myśli Jean-Baptiste. – Jak tak dalej pójdzie, spławię kości do Porte d'Enfer rzeką trunku). Rozmawiają, lecz w tę rozmowę raz po raz wdzierają się pohukiwania i śmiechy – odgłosy trwających na zewnątrz bachanaliów. Myśli zmieniają swój tor. Cieleśny magnetyzm skrada się zza węgła domu niby pasma błękitnej mgły.

– Trzeba nam muzyki – oświadcza Lisa Saget i natychmiast zaczyna śpiewać pospolitym, lecz miłym głosem, lekkim, dziewczęcym, zupełnie innym niż ten, którym zazwyczaj mówi.

Wtóruje jej Armand. Lecoeur z zapałem, acz nie do taktu, wybija rytm na blacie stołu. Grabarz budzi się i rozgląda, przez chwilę zagubiony we własnym domu. Jeanne uspokaja go, głaszcząc pomarszczone, upstrzone brązowymi plamami grzbiety jego dłoni.

Armand sięga po płaszcz.

– No to jednak posłuchamy muzyki – oznajmia. – Włamiemy się do składu świec starego Colbert'a. Wy dwaj – dodaje, wskazując palcem Jean-Baptiste'a i Lecoeura – będziecie kalikować. Panie ślicznie zasięda, a ja, kierownik muzyczny, zagram ku waszej uciechu.

Podczas gdy Jean-Baptiste zastanawia się, jak sprzeciwić się temu pomysłowi (no bo żeby iść teraz do kościoła? grać muzykę?), pozostali już zapinają płaszcze. Patrzą na niego: trudno się oprzeć takim spojrzoniom. Wzrusza ramionami i wstaje. Skoro nie



zdola tamtych powstrzymać, przynajmniej zapobiegnie wybrykom, choć ich nagła perspektywa – ach, stracić umiar! – budzi w nim coś na kształt żywego łaknienia, wychodzi więc w ślad za wszystkimi dość chętnie, może nawet ochoczo.

Wchodzą drzwiami do południowego transeptu. Armand kroczy na czele z wysoko uniesioną latarnią, rzucającą pierzaste światło na ściany, na których aż gęsto od łacińskich kupletów, dat, dobrych uczynków i herbowych tarcz. Suną gęsiego, a wokół głów fruują im własne szepty. Z ciemności raz po raz coś się ku nim pochyła, mającąc przez chwilę. Złociście nakrapiane skrzydło archanioła faluje, gdy go mijają. Dziewica z wyrazem tajemniczego rozbawienia na żółtej twarzy nagabuje ich ze swego postumentu...

W jednej z kaplic Armand kradnie z żelaznego kufra świece i je podaje do tyłu. Zbijają się w gromadkę, żeby odpalić jedną od drugiej. Gdy światło przybiera na sile, Jean-Baptiste zauważa ustawione rzędem po przeciwnej stronie kaplicy pół tuzina wielkich słoików z grubego zielonkawego szkła – a właściwie gąsiorów w obcisłych wiklinowych koszach – wypełnionych przezroczystym płynem. Z szyjek zwisają na skręconych drutach metki. inżynier nachyla się ze świecą, żeby przeczytać jedną z nich.

Etanol.

Cofa się tak raptownie, że gaśnie mu świeca.

– Tyś je tu postawił? – syczy, zwracając się do Armanda.

– A, te? Przyjechały w zeszłym tygodniu. Dostawa dla naszych przyjaciół lekarzy.

– To etanol! Czysty spirytus. Gdyby zbliżyć do niego płomień, mógłby spłonąć cały kościół.

– Spokojnie – mówi Armand. – Są szczelnie zamknięte, widzisz? Zapieczętowane woskiem. Nie ma się czego obawiać. A zresztą co by się stało, jakby kościół spłonął? Czy nie oszczędziłoby nam to mnóstwa ambarasu?

Inżynier popędza wszystkich, żeby co rychlej wyszli z kaplicy, i uspokaja się dopiero wtedy, gdy po drugiej stronie nawy gromadzą się wokół organów. Wstawiają cztery świece w umocowane po bokach klawiatur mosiężne kółka w kształcie delikatnych wieńców. Armand sadowi się na ławce. Jean-Baptiste i Lecoeur podchodzą do pompy, z której priapicznie sterczy dębowy drąg długości metra, gruby jak wiosło.

– Chętnie się trochę rozruszam – szepcze Lecoeur, puszczając z ust srebrzysty obłok. – Zimno tu jak na Księżycu.

– A nawet zimniej – mówi Jean-Baptiste.

Kobiety siedzą udo przy udzie w najbliższej ławce, trzymając przed sobą świece, jakby były pokutnicami.

– Zaczynajcie! – woła Armand.

No i zaczynają. W dół, w górę. W dół, w górę. W dół, w górę. W czeluściach za drewnianym przepierzeniem instrument zaczyna klekotać i rzezić. Jean-Baptiste ma wrażenie, że on i Lecoeur po to kołyszają dębowym drągiem, żeby cała maszyna wzbiła się w powietrze, fizycznie się wzniosła. Albo że robią sztuczne oddychanie jakiemuś omdlałemu lewiatanowi, stworzeniu podobnemu do słonia, który według ministra

napędził tyle strachu psom w Wersalu. Aż w końcu z antresoli organów dobiega przeciągłe westchnienie, ostatnie tchnienie świata, a na nim delikatnie jak krople deszczu nabrzmiwa muzyka. Voix céleste, voix humaine, trompette, cromorne, tierce – dźwięki nawarstwiają się i załamują niczym fale. Lecoeur krzyczy coś do Jean-Baptiste'a. Ten odpowiada grymasem, ale nie rozumie Lecoeura, nie słyszy słów. Niskie dźwięki zapuszczają macki w architektoniczne zakamarki jego piersi; wysokie podobnie wnikają w duszę. Słodki Jezu! Zupełnie jakby grały w jej wnętrzu. A jeszcze to pompowanie! W górę, w dół. W górę, w dół. Wychodzi na to, że piękno wyrasta z ciężkiej pracy, więc Jean-Baptiste naprędce obmyśla urządzenie, automatyczny miech o napędzie parowym, całkiem wykonalny, i już prawie ma w głowie cały mechanizm, rozłożony na naoliwione części, gdy raptem w połowie gamy muzyka się urywa.

Jean-Baptiste zostawia pompę i wychodzi przed organy. W ławkach za Jeanne i Lisą Saget, w rozlewisku wątego blasku ich świec tu i owdzie siedzą widmowe postaci, a następnie po cichu zajmują obok nich miejsca. Górnicy ze swoimi kurwami. Kurwy ze swoimi górnikami. Mężczyźni i kobiety, zaczarowani.

– Masz nareszcie swoją publiczność – mówi Jean-Baptiste.

Armand obserwuje słuchaczy w lusterku umieszczonym nad pulpitem do nut. Przewraca kartkę, wygląda ją i odsyła inżyniera z powrotem do pompy.

I znów się to zaczyna: wstęp, równie delikatny jak poprzednio (nasuwa obraz szwaczek, sprężynek od zegarków), znienacka brawurowo ogromnieje (kojarząc się z dyliżansami, kanonadą) i wreszcie... wreszcie coś jakby burda, brewerie. Inżynier i Lecoeur porzucają swoje wiosło. Czyjś głos – ten sam, który już raz Jean-Baptiste'a napastował – huczy w ciemnościach wprost nad nimi i jakieś pociski, czarne książeczki – brewiarze? – lecą im na głowy, trafiając a to górnika, a to kurwę, a to – mistrzowski strzał! – klaskając w zarumieniony policzek samego organisty.

Wśród widzów w ławkach wybucha na chwilę zupełna panika, wnet jednak kobiety – młode pospołu ze starymi – przegrupowują się i odpowiadają ogniem, a skazujący je na potępienie bas księdza kontrują piskliwymi drwinami, przedrzeźnianiem, pogardą tak hojnie zasilaną wielowiekowym oburzeniem, że klecha powinien na dobrą sprawę zaraz wysrać własne bebechy. Jeżeli go dopadną, jeżeli ściągną go z tych jego wyżyn, noc zakończy się rozlewem krwi. A może nawet morderstwem.

Jean-Baptiste podchodzi z rozłożonymi rękami, próbując wygnać kobiety z kościoła, ale niektóre stoją niewzruszenie, zaryte w miejscu jak te przysadziste słupki, które dla ochrony przechodniów wbija się wzdłuż ruchliwych ulic. W końcu to Jeanne ratuje księdzu skórę. Bierze za rękę najroślejszą kurwę, przewodzącą reszcie, i łagodnie ją wyprowadza. Inne podążają za nią, a ich wrzaski pozostają bez odpowiedzi albo odpowiada im tylko własne echo. Kiedy całe towarzystwo wychodzi wreszcie pod gołe niebo, panuje już nastrój ogólnej wesołości. Kurwy tłoczą się wokół Armanda, pieszcząc go, dopóki Lisa Saget nie upomni ich w języku, który wszystkie rozumieją.

Znowu zaczyna się zabawa: przekomarzanki, wieszanie się mężczyznom na szyjach, odchodzenie parami. Inżynier przez pewien czas temu się przygląda, lecz nagle zaczyna

drżeć ze zmęczenia (a w dodatku nie daje mu spokoju pytanie, ile płonących świec zostało w kościele i jakie alarmy mogą się wszcząć w środku nocy), więc porozumiawszy się z Lecoeurem dyskretnym skinieniem głowy, porzuca swoje miejsce na obrzeżach gromady i cicho rusza w stronę furty wychodzącej na rue aux Fers. Jest sam, a przynajmniej tak mu się zdaje, ale przy furcie zauważa, że idzie z nim Jeanne. Zatrzymują się. Jean-Baptiste wymawia imię dziewczyny. Ta uśmiecha się. Serce w nim zamiera.

– Nie będą cię zaczepiać? – pyta inżynier, wskazując ręką zgromadzoną wokół ogniska, coraz hałaśliwszą kompanię.

– Na pewno mnie nie skrzywdzą – mówi Jeanne.

– Nie – przyznaje jej rację Jean-Baptiste. – Nie wierzę, że ktokolwiek mógłby cię skrzywdzić.

– Nie jestem święta.

– Święta? Oczywiście, że nie.

– Nikomu bym nie powiedziała, jakby mnie pan pocałował – mówi dziewczyna, leciutko opierając dłoń na rękawie jego płaszcza, dłoń lekka jak wróbel.

– Jestem dwa razy starszy od ciebie – zwraca jej uwagę mężczyzna. – Prawda?

– Nie – protestuje Jeanne. – Pan ma dwadzieścia osiem lat, a ja czternaście.

– Czyli jestem dokładnie dwa razy starszy.

– Ma pan narzeczoną? – pyta Jeanne, cofając dłoń. – Podoba się panu Ziguette Monnard?

– Ziguette?

– To bardzo ładna panna.

– Nie jestem... nie interesuje mnie Ziguette Monnard.

– Dobranoc – mówi Jeanne.

– Tak – odpowiada inżynier, a ona jeszcze chwilę czeka, niepewna, czy to „tak” kończy rozmowę, czy może będzie jednak miało jakiś dalszy ciąg.

Jean-Baptiste patrzy ponad czubkiem jej głowy. Noc jest zimniejsza niż jakiś czas temu, bardziej bezchmurna. Nad niebieskimi dachami świecą niebieskie gwiazdy. Na cmentarzu mury spiętrzonych kości połyskują jak pancerze pradawnej, pokonanej armii.

– Powiesz Lecoeurowi, żeby po wyjściu kobiet koniecznie zamknął furtę na klucz? Niedługo już powinny sobie pójść.

Jeanne odchodzi w milczeniu. Inżynier kiwa głową w stronę jej pleców, lecz jeszcze przez chwilę stoi jak skamieniały. Potem otwiera furtę i wychodzi na ulicę, wyciągając nogi, jakby chciał uciec przed własnym zażenowaniem. Dobry Boże, czy by go to zabiło, gdyby ją pocałował? Troszkę spuścił głowę, żeby ich usta się zetknęły? Armand zrobiłby to natychmiast i dziewczyna poszłaby do domu szczęśliwa, a nie zagniewana i urażona. I co go właściwie powstrzymało? Groteskowe przywiązanie do kobiety, której względy już dawno mógł kupić za cenę nowego kapelusza? Czy nie może wreszcie dać swojemu życiu stosownych, rozsądnych podstaw, raz na zawsze? Jutro – niechybnie jutro! – musi coś postanowić, nakreślić plan, i to na papierze, tak jak już nieraz to robił. Plan działania,

którym będzie się odtąd kierował, rozsądną strategię, wykrzesaną z tego, co w nim najlepsze, najwznioślejsze. Rób to, a tamtego poniechaj. To cię nagrodi powodzeniem, a tamto skaże na żywot idioty... Czy ma być już tylko ciałem? Chwilowo jeszcze żywym okazem tego, co jego ludzie dzień w dzień wykopują z Niewiniątek? Czy tak właśnie żył Wolter? Czy tak spędzał lata wielki Perronet, siedząc wśród modeli i maszyn w swoim gabinecie w Ecole des Ponts, w pokoju, który (przynajmniej we wspomnieniu Jean-Baptiste'a) wiecznie pełen był bujnego porannego światła?

Zanim otworzy drzwi domu Monnardów, zdąży się trochę uspokoić, pozbierać, wrócić do siebie takiego, jakiego potrafi znieść. W sieni maca po stole, szukając świecy oraz pudełka z hubką i krzesiwem, a potem krzesze iskry i podpala knot. Kocur przemyka gibkim zygzakiem obok drzwi kuchni i rusza za nim schodami na górę. Przez moment tak jakby się wahał, czy nie skrócić do pokoju Ziguette, lecz w końcu idzie za inżynierem do jego sypialni. Jean-Baptiste stawia świecę na stole, zdejmuje płaszcz i buty, owija się banianem. Czy to już północ? A może jeszcze później? Zegarek ma w którejś kieszeni, ale nie chce mu się go szukać. Przygotowuje sobie lekarstwo (około trzydziestu kropli w łyku cierpkiego wina, zimnego jak jego pokój) i rozbiera się pod banianem, po czym zdmuchuje świecę, otwiera okno i spogląda w dół.

Czy kobiety już sobie poszły? Nie widzi ich ani nie słyszy. Może skryły się w namiotach, żeby dokończyć sprawę. Grunt, że kościół nie płonie, a na cmentarzu chyba wszystko w porządku, chociaż w kuchni u grabarza wciąż się świeci. Gdyby miał marynarską lunetę, mógłby troszkę tam zajrzeć, zobaczyć, jak Jeanne siedzi przy stole. Ujrzyć jej łzy? Zamyka okno i zabezpiecza je okiennicą, a później wczołguje się do łóżka, przytulając stopy do ciepłego kota. Ciemność, ciemność i nie ma czego słuchać prócz ryku własnej krwi. Narkotyk szybko działa. Za parę minut naszkicuje mu na dnie oczu pierwsze nocne groteski, lecz zanim to się stanie, zanim inżynier zstąpi w otchłań, a sen i sok z maku zetrą go na proch, posyła wraz z wydechem słabnący szept:

– Kto ty jesteś? Jean-Baptiste Baratte. Skąd pochodzisz? Z Bellême w Normandii. Kim jesteś z zawodu? Inżynierem wykształconym w Ecole des Ponts. W co wierzysz? W co wie...? W co...? Co... ty... Co... Ja... Ja... Ja...

Kiedy doszło do napaści, kiedy dokładnie, tego nikt choćby z jaką taką pewnością nie zdołał ustalić. Gdzieś między bardzo późną a bardzo wczesną porą, w jakimś głębokim, wyłożonym aksamitem zakamarku zimowej nocy. Najpierw śnił, przytłoczony narkotykiem, a potem już miał otwarte oczy i w pokoju było światło, rozchybotane i srebrzyste. Za tym światłem stała przy stoliku do pisania kobieca postać ze świecą w jednej ręce i z jeszcze czymś w drugiej, zupełnie naga. Światło niespokojnie pełgało po jej skórze, połyskując we włosach, migocząc w gęstych jasnych kędziorkach na podbrzuszu. Milczała. Jego własny głos wędrował ku niemu, lecz o wiele za wolno. Kobieta podeszła do boku łóżka i spojrzała na leżącego. Jej pochylona nad płonąca świecą twarz miała wyraz spokoju, nieomal tkliwości, niczym oblicze anioła, kłoniącego się wśród światłocieni nad posłaniem chorego pustelnika. Niewykluczone, że nawet przelotnie się do siebie uśmiechnęli. Jej ręka poderwała się nagle do góry, runęła w dół i cały świat roztrzaskał się o jego czaszkę raptownym przybojem unicestwiającego bólu. Przez ułamek sekundy słyszał coś jakby z trudem chwytny oddech, może jej, a może swój własny. A potem litościwie już nic.

Gdyby nie Marie i jej podglądactwo, byłby się na śmierć wykrwawił. Służąca popatrzyła, jak on gasi świecę, wlała do łóżka, odklepała zdrowaśkę, trochę się pomiedliła między nogami i zdrzemnęła na minutę, a może na godzinę albo dwie, zanim otworzyła oczy i zobaczyła na podłodze świetlny punkcik. Natychmiast się obudziła i zlała na podłogę, poczołgała po zimnych deskach i przytknęła oko do otworu. Co go napadło, żeby w środku nocy znów palić świecę? Była pewna, że jeszcze nigdy tak nie robił. A potem (i to było jeszcze dziwniejsze, podniecająco dziwne) połapała się, że on śpi, najwyraźniej śpi, a światło pada od świecy, którą trzyma ktoś inny, jeszcze niewidoczny. Miała wrażenie, że upłynął już cały wiek i wciąż nic a nic się nie dzieje, chociaż w rzeczywistości nie minęło może ani pół minuty, więc wychodziła z siebie, taka była zawiedziona. No bo jeżeli ten ktoś drugi zwyczajnie sobie poszedł, a ona, Marie, nie zdążyła zobaczyć ich razem? Nie zdążyła zobaczyć tamtej, bo głowę by dała, że ukryty obserwator – drugi ukryty obserwator – to kobieta. Ale Jezusie, Mario, Józefie Święty, aż nią trząchnęło, bo nie była ani trochę przygotowana na to, że w jej pole widzenia bezszelestnie wejdzie Ziguette, rozebrana do goła! Gdyby miała w pęcherzu ciut więcej niż parę łyków podkradzionego wina, mogłaby zmoczyć podłogę. Ziguette z tymi swoimi różowymi cycami! I różowym, wypukłym dupskiem! W jednej ręce trzymała świecę, a drugą wzięła ze stołu lokatora jakiś przedmiot, który błysnął w blasku świecy i cichutko brzęknął, zawadziwszy o coś na stole, a śpiący chyba usłyszał ten brzęk, bo zaczął się wiercić. To był ten jego przyrząd, ta sztaba do mierzenia. Czyżby Ziguette chciała zmierzyć inżyniera? Ale co by mu mierzyła? Szyję, stopy, patafiana?

W ostatniej, króciutkiej scenie lokator (Marie gotowa była przysiąc, że tak było) obudził się i spojrzał na Ziguette, chociaż żadne nie odezwało się ani słowem. Służąca w wyobraźni już prawie widziała nieuchronny ciąg dalszy: oto odrzucona kołdra, mocno do siebie przytuleni kochankowie, pocałunki i pieszczoty, achy i ochy, a nad tym wszystkim ją samą aż skręca na podłodze. Ale nic z tych rzeczy. Ta metalowa sztaba, ta jakaś miara przecięła powietrze, spadła na głowę lokatora i go zabiła. Marie musiała wtedy widać pisnąć albo co, bo Ziguette nagle spojrzała na sufit, a twarz miała pociemniałą, ciemną maskę, i dopiero na ten widok służąca w końcu jednak popuściła parę kropel wina monsieur Monnarda.

Odeszła ukradkiem od dziury w podłodze, cicha jak kot, i kucnęła przy łóżku, nasłuchując kroków na schodach. A ponieważ ich się nie doczekała, nie skrzypnęły drzwi i nie stanęła w nich goła chlebobawczyni z zakrwawioną sztabą w ręce, Marie zapragnęła wślizgnąć się do łóżka i zasnąć, łudząc się, że kiedy rano się obudzi, cała ta nocna afera okaże się przywidzeniem. I może tak by zrobiła, gdyby nie usłyszała, że lokator wydaje takie odgłosy, jakby chrapał, coś okropnego, jak człowiek dręczony koszmarem, z którego nie potrafi się zbudzić. Wsłuchiwała się, coraz mniej zalękniona. Gdyby ta głupia

Ziguette weszła wtedy do jej izdebki, Marie po prostu by ją zdzieliła chodakiem po głowie. To by pannę usadziło. Dziewczyny wychowane w norach Saint-Antoine nie miały powodu drżeć przed panienkami z les Halles o cerze białej jak lilia.

Wciągnęła na siebie ubranie. Było ciemno choć oko wykol, ale przywykła ubierać się po ciemku. Zeszła na podest, wymacując stopami w samych pończochach stopnie wąskich schodków. Spod drzwi pokoju Ziguette wymykała się smużka światła, lecz nie było słyhać, żeby panna chodziła, płakała czy co tam jeszcze może robić dziewczyna, która przed chwilą próbowała rozłupać chłopu głowę. Uważniej się przyjrząwszy, Marie stwierdziła, że drzwi są niedomknięte i leciutkim pchnięciem można je otworzyć dość szeroko, aby zerknąć zza futryny. Jej pani leżała przykryta pod samą brodę, jagnięco niewinna, z metalową miarą w nogach łóżka, z płonąca świecą na szafce nocnej. Marie nachyliła się, wzięła świecę i przeszła przez podest do pokoju lokatora. Kiedy otworzyła drzwi, Ragoût dał drapaką, czmychając tuż obok jej stóp, i pognał w dół po schodach. Świeca zadrżała jej w dłoni, ale Marie w ostatniej chwili zdołała ją utrzymać. Wrócił jej oddech i ruszyła w głąb pokoju, aż doszła do samego łóżka i stanęła nad lokatorem tak jak przedtem Ziguette. Ależ on wyglądał! Przypomniała jej się scena z dzieciństwa: jeden jej wujek, trochę może przyszywany, w którąś upalną niedzielę po południu wpakował sobie w skroń ołowianą kulę. Krew, krew i jeszcze raz krew. Całe kałuże krwi. Ale lokator w przeciwieństwie do wujka jeszcze oddychał, i to nie tak głośno jak przedtem, tylko płytko posapywał, chwytając drobne hausty powietrza niby dziecko po długim płaczu. Żeby zatamować krwotok, trzeba opatrzyć ranę pajęczyną. Marie zasłyszała gdzieś tę radę. Ale skąd wziąć pajęczynę? Przecież jako dobra służąca sama wszystkie starannie wymiotła. Podeszła do kufra i go otworzyła. Na wierzchu leżało to ubranie z zielonego jedwabiu, które wydało jej się takie dziwne i piękne, kiedy je pierwszy raz zobaczyła. Wsunęła pod nie rękę, wyciągnęła jakiś kawał płótna i znów stanęła przy łóżku. Trzymając świecę nad głową lokatora, dotknęła rany, jej zmiażdżonych warg. Mężczyzna jęknął, wzdrygając się jak w początkach paroksyzmu.

– Ja tylko dotknęłam – szepnęła Marie, a potem szybko i starannie przyłożyła do rany złożone w kwadrat płótno (jakąś szmatę, którą lokator wycierał się po myciu) i umocowała je, przewiązując fularem.

Dla pewności zdjęła pończochę, ciepłą jak krew, i podwiązała rannemu podbródek, motając supeł nad ciemniejącym już opatrunkiem. Usiadła na łóżku i przyjrzała się lokatorowi. Co pewien czas drgały mu powieki, ale nie otwierał oczu. Poklepała go po dłoni, nie mając ochoty wyrzec się roli właścicielki tej cudownej katastrofy, nazbyt jednak kusiła ją myśl, że może oznajmić ledwie obudzonym Monnardom, co przed chwilą zmalowała ich córka, wzięła więc świecę, zeszła do sypialni państwa (z jedną nogą gołą, a drugą w pończosze) i wszystko im opowiedziała w najprostszych słowach, jakie można sobie wyobrazić, dodając na koniec (bo naprawdę nie umiała się powstrzymać):

– Oj, madame, chyba mogą ją nawet powiesić.

O ósmej rano na cmentarzu Niewiniątek w perłowym świetle poranka górnicy zgromadzili się przy furcie wychodzącej na rue aux Fers. Większość – zapewne pod wpływem kurw – postarała się nieco wyelegantować, żeby wyglądać jak zwykli poddani Ludwika XVI, a nie jak ludzie, którzy wydobywają z ziemi kości, trumny i cudem zakonserwowane dziewczęta. Wyszczotkowali kurtki, a z butów ostukali błoto. Niektórzy nawet się trochę umyli i rozplątali brody. Trzej spośród młodszych, stojący razem najbliżej furty, upletli wianki z trawy gwoli przybrania kapeluszy. Inni (widać to tylko z bliska) przywdziali odziedziczone po umarłych ozdoby, wydłubane z lepkiej ziemi lub kupione drogą wymiany wieczorami w zaciszu namiotów. Jeden – o jasnym, spokojnym wejrzeniu, bardziej wyprostowany niż reszta – obnosi się z dwoma pamiątkowymi pierścieniami: na jednej dłoni ma „Respice finem”, a na drugiej „Mens videt astra” okala zielonkawym metalem nasadę palca uciętego tuż nad środkowym stawem.

Chleb już dawno zjedzony, kawa wypita. Ułożyli w pobliżu kazalniczego krzyża stos drewna przy ognisku, które pod ich nieobecność będą podsycać inni. Są gotowi. I zniecierpliwieni.

Przed domem grabarza Lecoeur wpatruje się w swój zegarek, stroi miny, mamrocze pod nosem. Że też Baratte postanowił zasnąć akurat tego ranka, najbardziej nie w porę. Oczywiście w swojej wygodnej kwaterze pewnie aż nazbyt łatwo zapomina o nich, mieszkańcach nizin. Ale górnicy będą mu mieli bardzo za złe, jeżeli każe im czekać. Sam Lecoeur też zresztą będzie miał za złe. Wieczorem zażył pięćdziesiąt kropli tynktury! Co najmniej pięćdziesiąt, a do tego Bóg wie ile trunku na popitkę, lecz zamiast zmorzyć go na całą noc posilnym snem, wprawiło go to w taki stan, że przestał sam siebie poznawać. Czuł się (trudno to wyrazić), jakby był tylko ciałem Lecoeura, pulsującym ciałem, w którym jakaś najeżdźcza inteligencja zagnieździła się i teraz je ożywia, powodując nim. Czy to prawdziwy Lecoeur postanowił w środku nocy wyjść z domu? Czyżby to był on? Nie mógł w to uwierzyć, a jednak poszedł w samej koszuli nocnej do pracowni lekarzy, podniósł wieko trumny i spojrzał na nią, na Charlotte, przyświecając sobie rozżarzoną patyką z ogniska, który jakby za sprawą czarów znalazł się w jego dłoni. Okropne podniecenie! Wielki wysiłek dla serca. No i dla siekaczy, bo sądząc po bólu w szczękach, musiał chyba przez długie godziny wściekle zgrzytać zębami...

Wtem za nim ciche kroki. Odwraca się i widzi, że od strony domu nadchodzi Jeanne z chustą narzuconą na ramiona. Uśmiecha się ślicznie jak zawsze, lecz ma mniej rumianą cerę i nie tak sprężysty chód.

- Dziwne, że nie przyszedł – mówi.
- Może wczoraj wieczorem przebrał miarę – zgaduje Lecoeur.
- To chyba nie może być prawda – bystro zauważa dziewczyna.
- Nie, nie – przyznaje Lecoeur. – Pewnie załatwia jakąś nagłą sprawę. Może musiał się



spotkać z tym całym Lafosse'em. Człowiekiem ministra.

Jeanne przytakuje skinieniem głowy.

– Pan też dzisiaj wyjdzie? – pyta.

– Chyba tak – mówi Lecoeur. – Monsieur Saint-Méard zaprosił mnie, żebym razem z nim i paroma jego przyjaciółmi wybrał się na coś w rodzaju wycieczki. Nie wyjaśnił dokładnie, co zamierzają robić.

– Na pewno będzie miło – odpowiada Jeanne. – Ma pan klucz?

Lecoeur pokazuje jej, że istotnie ma ten stary klucz, trzyma go w ręku.

– Monsieur Baratte zapewne życzyłby sobie, żeby ich pan wypuścił.

– Tak pani sądzi?

– A pan nie?

– Pewnie ma pani słuszość. – Lecoeur spogląda na górników, przez chwilę szczyrzy zęby i znów patrzy na dziewczynę. – Zrobimy to razem? – pyta.

## Trzecia

„Niebawem sąsiedzi budzą się i pędzą na miejsce, w którym nie gości już śmierć, lecz miłość”.

Cadet de Vaux, *Mémoire historique et physique sur le cimetière des Innocents*  
*Jakieś schody, długi ciąg schodów prowadzących stromo w dół. Piwnica. Świadomość, co jest na samym dole, co musi tam być.*

*Zrazu ciemność nie pozwala mu zobaczyć ani zrozumieć niczego z tego, co go otacza. Jest tylko schodzenie, czucie stopni pod stopami. Potem delikatne różowawe światło, wąska sala, stół, a na nim puszka i dzwoneczek. Za stołem siedzi kobieta. Twarz ma odwróconą, ale wie, że on tam jest. Dzwoni dzwoneczkiem, a chociaż dźwięku nie słyszą, ktoś natychmiast odsuwa kotarę w końcu sali. Jakiś mężczyzna uśmiecha się do niego i zaprasza lekkim skinieniem głowy...*

*Są w korytarzu. Po obu stronach draperie z lambrekinami zasłaniają, jak należy przypuszczać, wejścia do pokojów. Przystaje przed jednym z nich, niedokładnie zasłoniętym, i zagląda do wnętrza, które niekoniecznie jest prawdziwym pokojem, bo ściany ma chyba z ubitej czarnej ziemi, a wymiary nieokreślone, podobnie jak nieokreślona jest liczba zgromadzonych tam ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci siedzących, kucających, leżących. Ludzie ci patrzą na niego. W ich spojrzeniach jest jakaś żarliwość. Żarliwość, wielkookie zdumienie, a jednocześnie brak wyrazu. Odwraca się od nich. Boi się, że któreś przemówi, zwracając się do niego, że będzie znało jego imię...*

*Przewodnik czeka w końcu korytarza. Znowu kotary. Wdzięczne zapraszające gesty. Wchodzi, a przewodnik tuż za nim. Cokolwiek ma się zdarzyć, zdarzy się teraz i tu. Są chyba w jego pokoju u Monnardów lub w jakimś pomieszczeniu, które tylko przypomina tamten pokój, bo nie ma okna, a ściany są gołe. Jedyne źródłem światła jest wielka świeca na stole. Na łóżku leży mężczyzna w samej koszuli, sięgającej kolan. Oczy ma otwarte, lecz usta niezdarnie zaszyto mu czarną nicią.*

*Przewodnik bierze ze stołu świecę i podchodzi do łóżka. To zajmie tylko chwilę – mówi. Musimy uwolnić flogiston, sprawcę przemian. Niszczyciela nieczystości.*

*Pochyla się i – jak gdyby lał do ucha leżącemu mężczyźnie jakiś cenny płyn – dotyka knotem jego włosów. Te natychmiast zajmują się ogniem, płoną jak zeschnięta trawa. Płomienie liżą twarz, spowijają gardło, mkną po skórze piersi i brzucha. Jak ludzkie ciało może tak płonąć? Przecież człowiek nie powinien się palić niby zwój papieru! Co tu zrobiono? Cóż to za metoda?*

*Omotane płomieniami ciało zaczyna się ruszać. Ręka, noga. Tułów unosi się – wzbija! – z płonącej pościeli. Nic między wargami pęka. Usta raptownie się otwierają i ryczą, ryczą...*

# 1

– Trzymaj, niech się nie rusza – mówi Guillotin.

Pochyliła się nad łóżkiem. Leżąca na twarzy pacjenta czarna nić wygląda jak cieniutka rysa. Marie przyciska wierzgające nogi. To silna dziewczyna, dobra do trzymania. Lekarz bierze się do pracy.

Przez pierwsze dwie doby zagraża niebezpieczeństwo, i to bardzo poważne. Jeżeli zacznie się krwawienie z mózgu, może da się mu zaradzić: pewien chirurg z rue Saint-Honoré ma eleganckie wiertło, ale czy zdołają w porę go ściągnąć? Przy rannym stale ktoś czuwa. Zmieniają się przy nim Marie, Jeanne, Lisa Saget, Armand i Lecoeur. Guillotin odwiedza go co rano i jeszcze raz pod wieczór. Staje nad pacjentem, szacując jego szanse, a potem spogląda przez okno na kościół Niewiniątek, oddając się wzniosłym myślom o ludziach, ich głowach i sercach, o tym, jak toczy się świat. Ten stary i ten, który być może nadchodzi.

Kiedy inżynier otwiera wreszcie oczy, to mimo sztafety czuwających gotów byłby przysiąc, że jest w pokoju sam. Jego głowa na wałku to martwy ciężar, przyszyta do kikuta szyi pięść z żywej chrząstki. Ból nie daje o sobie znać na powierzchni, lecz w białej głębi mózgu. Jego rytm jest rytmem krwi. Przy każdym uderzeniu serca twarz inżyniera wykrzywia grymas. Poruszają się drzwi. Madame Monnard zerka do pokoju. Widząc, że pacjent ma otwarte oczy i zapewne na nią patrzy, kobieta ucieka.

– Kim jestem?

– Pan? Jest pan lekarzem

– A moje nazwisko?

– Guillotin.

– Dobrze. A pańskie?

– Baratte.

– A imię naszego króla?

– Ludwik.

– Pamięta pan, co się panu przydarzyło?

– Po części.

– Po części?

– Wystarczająco dużo.

– Odwiedził nas monsieur Lafosse – mówi Lecoeur. (Ile godzin minęło? Ile dni?) – Zdaje się, że doktor Guillotin zawiadomił go o twoim... nieszczęściu. Lafosse kazał mi nie ustawać w pracy. Powiedział, że nie można pozwolić ludziom trwać w bezczynności. I że czas to pieniądz.

– Ziguette? – szepcze Jean-Baptiste, ale za cicho.

– I popatrz – ciągnie Lecoeur. – Jeanne przysyła ci lekarstwo. Pewnie jakieś zioła. – Pokazuje butelkę. Dłonie upstrzone ma upartymi czarnymi plamkami, czarną farbą.

– To zapewne eliksir miłosny – zgaduje Armand, również obecny w pokoju, chociaż poza polem widzenia inżyniera.

– Jaki dziś dzień? – pyta pacjent.

– Dzień? – powtarza Lecoœur. – Mamy środę. Jest środa rano.

Marie siedzi na krześle przy łóżku i grzebie w ogniu. Inżynier boi się spojrzeć w jej stronę. Przy każdym szybkim ruchu głowy świat drży, dygocze.

– Ziguette? – pyta Jean-Baptiste.

– A bo co? – odpowiada Marie. – Boi się pan, że znowu przyjdzie z wizytą?

Gdy inżynier nie odpowiada, służąca dodaje:

– To ja pana uratowałam.

Światło jest białą płachtą w oknie, matowobiałą płachtą, którą co wieczór zwijają, aby o świetle znów zawiesić. Przy rannym już nie przez cały czas ktoś czuwa. Pozostawiony bez dozoru, Jean-Baptiste wykrada się z łóżka i spędza dziesięć minut na krześle, ściskając oburącz krawędzie siedziska. Nazajutrz wytrzymuje w tej pozycji pół godziny. Odtąd codziennie ćwiczy w ten sposób. Ilekroć zalewają go szkwały żalu (nad sobą, nad brutalnym ojcem, nad znękanymi żywotami nieznanymi i zimnymi kośćmi z cementarza), dziwnie wykrzywia usta, jakby płakał bez łez. Kiedy indziej bywa obojętny, spokojny i doskonale obojętny, dopóki go znów nie poruszy ból obdartego ze skóry świata, własny oddech i ostre kandy powietrza. Wpatruje się w swoje dłonie, w ogień, spogląda pytająco na obrazek z mostem. Podnosi spojrzenie na okno: chmury mają kolor morza w Dieppe. Kim pan jest? – spytał lekarz. Adamem, samotnym w rajskim ogrodzie. Wygnanym z grobu Łazarzem, życiem, które od drugiego życia oddziela luźne pasmo ciemności.

Guillotin przychodzi puścić mu krew. Flebotomia to w takich razach najczęstszy środek zaradczy. Lekarz najpierw jak zwykle ogląda ranę.

– Wy, Normanowie, macie ładne grube czaszki – mówi. – Nie zechciałby mi pan zostawić swojej?

– Skąd pan wie, że mnie pan przeżyje?

– Pański gust do kobiet pozwala mi tak sądzić – odpowiada lekarz, skupiając uwagę na prawej ręce inżyniera i nacinając ją blisko łokcia. Krew spływa do cynowej miski. – Proszę się nie obawiać – uspokaja doktor. – Upuszczę tylko trochę.

– Gdzie ona jest?

– Sprawczyni napadu?

– Nikt nie chce mi powiedzieć, gdzie ona jest.

– Jeszcze dwa dni temu była tu, w domu. Ale wysłano ją do Dauphiné, do podstarzałych krewnych. Ludzi rygorystycznie religijnych. Przyklasnałem temu pomysłowi i mam nadzieję, że pan też się przeciw niemu nie burzy. Nic tak skutecznie nie leczy zapałów młodej kobiety jak kilka lat mamrotania nowenn w zimnym domu na dalekiej prowincji. Zakładałem, że nie zechce jej pan oddać pod sąd. Mężczyzna tylko by się ośmieszył, jeżeliby w takich okolicznościach włóczył kobietę po sądach. Oczywiście gdyby wyzionął pan ducha, żadna osoba prywatna nie miałaby już w tej sprawie nic do

powiedzenia. Byliście kochankami?

– Nie.

– Wierzę panu – mówi lekarz, po czym ugniata w kulkę strzępek szarpi, przyciska go do ranki i ostrożnie zgina rękę pacjenta. – Ale jeżeli nie powodowała nią miłość, zazdrość ani żądza, to czemu według pana weszła do pańskiego pokoju i próbowała rozłupać panu głowę?

– Z powodu Niewiniątek.

– Z powodu cmentarza? Żeby go pan do reszty nie zniszczył? Może być bardziej szalona, niż myślałem. Oby nie wyrznęła tych swoich krewnych w Dauphiné. Człowiek czułby się za to poniekąd odpowiedzialny.

– Ile czasu minęło?

– Od napaści? Dwa tygodnie. Z niewielkim okładem.

– Muszę wracać do pracy.

– Zalecałbym raczej miesiąc w zdrowym powietrzu Normandii.

– Jestem dość zdrów.

– Zadano panu potężny cios w głowę. Skutki takiego uderzenia są nieprzewidywalne i długofalowe. Zauważył pan jakieś niezwykle objawy? Urojenia? Luki w pamięci?

– Nic z tych rzeczy – łże Jean-Baptiste.

Lekarz wyciera ostrze lancetu.

– W takim razie – mówi – może byśmy jutro spróbowali sprowadzić pana do salonu? Monnardowie z pewnością postarają się zapewnić panu wszelkie wygody. – Doktor szczyrzy zęby w uśmiechu. – A tymczasem niech panu dotrzyma towarzystwa comte de Buffon.

Guillotin bierze ze stołu książkę i upuszcza ją na koldrę.

– Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że jest tego jeszcze trzydzieści tomów? – pyta.

Po wyjściu doktora Jean-Baptiste spogląda na książkę i po chwili ją otwiera. Nie jest to pierwsza taka próba od czasu napaści. Zamyka oczy i znów je otwiera, wzywając do działania samego siebie, maszynę swojej koncentracji, która dawniej tak dobrze mu służyła. Kładzie palec w lewym górnym rogu lewej stronicy. Pierwsze trzy słowa nie sprawiają mu żadnych trudności. „A teraz rozważmy...” Czwartego nie potrafi odczytać. Następne to chyba „przypadek”. Zamiast kolejnego widzi plamę, znaczącą tyle co kleks. Podobnie ma się sprawa z dwoma następnymi. Co gorsza, słowa pouciekały mu nie tylko z książek, lecz i z głowy. Nazwy przedmiotów, zwyczajnych rzeczy, które umiałoby ponazywać choćby dziecko. Takich jak i .

A jeżeli to jego upośledzenie, ta ślepotą, wyjdzie na jaw? Jeżeli dowie się o niej Lafosse, a potem minister, to co wtedy? Któż na świecie zatrudni takiego człowieka choćby przy niszczeniu cmentarza?

Zamyka książkę i spycha ją na podłogę, wytacza się z łóżka i eksperymentalnie wstaje, czekając, aż krew się dostroi, po czym człapie do lustra. Na głowie ma szlafmycę, a pod nią opatrunek. Wygląda – jak by to nazwać? – głupio, świątobliwie i odrobinę przerażająco. Maca zarost na podbródku i dotyka czaszki, jakby to było obrane jajko,

które nieco raptowniejszym ruchem można by przekłuć, przedziurawić, wypuszczając żółtko mózgu.

Dwadzieścia minut zajmuje mu zdjęcie szlafmicy, a potem bandaża z wilgotnym, różowym opatrunkiem. Przycięto mu włosy, wystrzygając w nich niezgrabną tonsurę, lecz choćby nie wiedzieć jak wykręcał szyję, nie może dokładnie obejrzeć rany. Widzi tylko wstrętną łatę przebarwionej skóry, z której czarna nić sterczy ohydnie niby pojedynczy włos.

Rozgląda się za roboczym strojem, który miał na sobie w dniu poprzedzającym tę noc, gdy Ziguette Monnard przyszła go zamordować. Nigdzie jednak nie widzi tego ubrania. Złożono je w kostkę i schowano albo gdzieś wyniesiono. Zniszczone? Zbroczone jego krwią – z rany i z narzędzia zbrodni, z tego czegoś, z tej metalowej sztaby, której nazwa (stwierdza to z iskrą paniki w piersi) także umknęła mu z pamięci. Jak tu w ogóle myśleć, gdy brak niezbędnych do tego słów? Co ma człowieka prowadzić, jeżeli nie słowa?

Podchodzi do kufra i podnosi wieko. Uderzony jaskrawym kolorem i odbitym od niego światłem, aż się wzdryga, lecz z ulgą słyszy w głowie słowo „zielony”, a potem „jedwab” i nawet „pistacjowy”. Znosi ubranie na łóżko i przez chwilę mu się przygląda, zanim ze znużeniem w nie wpełźnie. Niech to zatem będzie rozwiązaniem. Postanawia biernie podążać za światem. Świat i jego sprawy będą mu suflerem. Zrobi, co podpowiedzą. Nieważne, czy zdoła to nazwać. Będzie jak dziecko biegnące za piłką, która zeskakuje po schodach. Może zresztą zawsze tak postępował. Nie bardzo pamięta.

Już ubrany, znajduje banian, tarbusz, wypożyczoną perukę i papier, w który wszystko to było zawinięte. Znów robi z nich paczkę – duży, nieporęczny pakunek. Wciąga buty i jeździecki płaszcz. Wkłada kapelusz, zaciskając zęby, jakby ranę mógł urazić nawet cień. Schodzi na parter. Nikt go nie widzi. Drzwi kuchni są otwarte, ale nikogo w niej nie ma. Zerka na drzwi do piwnicy, tłumi chęć, żeby je uchylić, otwiera wyjściowe, mruży oczy przed światłem i przez bitą minutę stoi oparty plecami o ścianę, zbierając energię, odwagę – wszystko, czego mu potrzeba, żeby pójść dalej. Boi się, że ktoś go pozna, zatrzyma, zagadnie. Domyśla się, że jakaś wersja jego przygody krąży z ust do ust, a on sam nie jest już inżynierem, lecz człowiekiem, którego napadła córka Monnardów, więc widać jakoś ją sprowokował. Patrzy, jak dwaj chłopcy nadbiegają ulicą, dla zabawy pędząc przed sobą patykami drewniane kółko. Przepuszcza ich, a potem odpycha się od ściany i wyrusza.

U Gaudeta każe się ogolić. Jest jedynym klientem. Kiedy wchodzi, cyrulik siedzi na krześle, czytając „Mercure de France” i obgryzając paznokcie. Golenie jest prostą zmysłową przyjemnością. O ranie oczywiście się nie wspomina, chociaż Gaudet ma aż nazbyt wiele czasu, żeby jej się przyjrzeć. Mówi jednak tylko o tym, co słychać w mieście, w dzielnicy, o cenach różnych towarów, o niedawnych strajkach. Żaden z tych tematów nie domaga się komentarza od Jean-Baptiste’a. Ten z wdzięcznością pozwala więc cyrulikowi gadać i golić.

– Trochę chorowałem – mówi w końcu.

– Ale już pan wyzdrowiał – stwierdza Gaudet, szczesując mu szczotką z ramion brązowe

i siwe włoski. – Tylko patrzeć, jak znów pan będzie sobą.

– Tak pan sądzi?

Cyrulik wyszczerza się do niego w lustrze, wytwornie wzrusza ramionami, a potem składa to ostre, błyszczące, chowając klingę w zakrzywionej ręczce.

Zimne powietrze kłuje w brodę i policzki, gdy Jean-Baptiste z paczką w objęciach mija Kompanię Indyjską i rue des Bons-Enfants, zanim dojdzie do place des Victoires. Po dwóch tygodniach leżenia taki marsz powinien go wykończyć, tymczasem jednak raczej go troszkę ożywia. Inżynier bez trudu przypomina sobie adres, pod który zmierza. Otwiera drzwi, popychając je barkiem. Dźwięczy dzwonek. Po wyfroterowanym parkiecie nadchodzi Charvet w aksamitnych płudrach. Przystaje, unosi brewki i sztywno zgina się w pasie.

– Monsieur l'ingenieur, czyż nie tak?

Przy drzwiach stoi krzesło. Jean-Baptiste upuszcza na nie paczkę. Papier sam się rozwija, jakby w środku było żywe stworzenie.

– Chciałbym odebrać swoje stare ubranie – oświadcza inżynier. – To, w którym przyszedłem do pana z Saint-Méardem.

Charvet spogląda na czeladnika i znów na inżyniera.

– Pańskie stare ubranie? Ależ sprzedano je, monsieur. Zdaje się, że jakiemuś przedsiębiorcy. Czy nie tak, Cedric?

Czeladnik potwierdza.

Jean-Baptiste kiwa głową, niespiesznie wodząc wzrokiem po sklepie. Na jednym z drewnianych manekinów (korpusie o zmiennych wymiarach, tkwiącym na drewnianym słupku) wisi starannie skrojone ubranie z czarnej wełny. Inżynier podchodzi do manekina, maca tkaninę, na oko ocenia rozmiar.

– Skoro tak, niech będzie to. W sam raz na mnie.

– W tym – mówi Charvet tonem, jakim tłumaczy się coś dziecku, i to nie takiemu, które grzecznie słucha, tylko głupiemu – będzie pan wyglądał jak pastor z Genewy. Ono tu wisi wyłącznie dlatego, że musimy pokazać całą gamę fasonów. Szeroką gamę, sam pan rozumie. Ale dla pana, monsieur, to nie będzie...

– A tego – ciągnie Jean-Baptiste, rozpinając płaszcz, tak że między rozchylonymi połami błyska pasmo zieleni – już nie potrzebuję.

Charvet jakby się zachnął: dziwnie wyciąga szyję i szybko mruga oczami.

– Ale przecież pamiętam, monsieur, jak się panu to ubranie podobało, kiedy je pan kupił.

– Pamięta pan? – z całą powagą pyta Jean-Baptiste.

– Chciał pan być bardziej à la mode.

– Nowocześniejszy?

– No właśnie. Pan... sobie tego nie przypomina?

– Pamiętam, że byłem pijany. I że mi schlebiano.

– To wciąż jest doskonałe ubranie.

– To jest ubranie, którego już nie chcę. Odniosłem też banian – mówi Jean-Baptiste. – I

resztę. Tam. Na krześle.

Charvet i czeladnik spoglądają na krzesło, na paczkę, na wywieszony z niej jeżor czerwonego adamaszku.

Dopasowują na nim czarne ubranie. Po zrobieniu kilku zakładek zaskakująco dobrze leży, a jego kolor natychmiast działa kojąco na Jean-Baptiste'a, choć ten rzeczywiście trochę teraz przypomina genewskiego pastora. Charvet pozostawia wykonanie poprawek czeladnikowi. Sam stoi obok z założonymi rękami. Co pewien czas zerka z lekką odrazą na rozbitą głowę inżyniera.

– To ubranie – mówi w końcu – może i jest proste, lecz bynajmniej nie tanie. A tamto już mocno znoszone, na rękawie widzę plamy. Z tłuszczu, jeżeli mnie wzrok nie myli. Albo i z czegoś gorszego. Będę zmuszony sprzedać je po niższej cenie. Znacznie...

– Moje stare, które panu zostawiłem – przerywa mu Jean-Baptiste, precyzyjnym wzruszeniem ramion wbijając się z powrotem w jeździecki płaszcz i zapinając go – a które pan sprzedał przedsiębiorcy, było więcej warte niż cały pański sklep. To akurat doskonale pamiętam.

Spogląda na Charveta i przygważdża go wzrokiem, dopóki krawiec się nie odwróci. Jean-Baptiste rusza ku drzwiom. Czeladnik spieszy mu je otworzyć. Z czystego przyzwyczajenia.

Jean-Baptiste ma w kieszeni płaszcza klucz do cmentarnej furty, tej na rue aux Fers. Z rękami w kieszeniach, z kluczem w garści przecina targowisko. Sam nie wie, czy jest głodny: na śniadanie zjadł tylko trochę zupy, leczniczego bulionu, a było wtedy jeszcze prawie ciemno. Zatrzymuje się przy wejściu do jednego z rybnych straganów. Targowisko wydaje mu się jakieś odmienione, inne niż dawniej, chociaż nie umiałby dokładnie określić różnicy. Wszystko wygląda niby tak samo: te same stragany, ci sami przekupnie o czerwonych gębach i obtartych palcach, te same ochryple krzyki, to samo błocko. Jean-Baptiste wchodzi do budy, w której sprzedają ryby, staje wśród kapiących cieni między kałużami, mieniącymi się blaskiem rybich łusek, i głęboko oddycha. Czuje nabłonkiem nosa chłód i wilgoć, lecz niczego, co można by nazwać zapachem, smrodem. A więc i tę zdolność postradał! Do tego akurat symptomu może się przyznać doktorowi Guillotin bez obaw o skutki...

Dociera wreszcie na rue aux Fers, gdzie nad murem cmentarza wije się brunatny dym, a na samym murze czarne litery wciąż wyglądają jak świeżo malowane: „KRÓLU GRUBASIE DZIWKO KRÓLOWO STRZEŻCIE SIĘ! BECHE KOPIE TAKI WIELKI DÓŁ ŻE ZMIEŚCI SIĘ W NIM CAŁY WERSAL!”

Naprawdę je czyta czy tylko sobie przypomina? Nie jest pewien. Wie natomiast ponad wszelką wątpliwość, że gdy je zobaczył po raz pierwszy, ona też tam była, stała prawie dokładnie w tym miejscu, co on teraz, z bochenkiem chleba, i podała mu kęs, a on wyrwał go jej, jakby był jakimś wielkim, niezdarnym ptaszyskiem, wielką żółtooką mewą. Potem zaś w kostnicy z Armandem, którego zamierzał zbesztać, oskarżyć o lekkomyślność i o podważanie swojego autorytetu, a tymczasem sam stał się celem zarzutów i usłyszał, że obchodzi go wyłącznie pozycja zawodowa, a jego poglądy



polityczne „biorą się głównie z niewyciągania wniosków”.

Czy pojał wtedy, co Armand przez to rozumie? Nie bardzo miał sposobność nad tym się zastanowić. Najpierw wynikła sprawa fajek dla górników, a potem Lecoeur i Armand wrócili pijani. I jeszcze sto innych trosk. Ale owszem, pojał wystarczająco dobrze. Poczuł, że to sprawiedliwy zarzut. I bardzo źle go zniósł...

Furta cmentarna sama się przed nim otwiera. Jakiś człowiek – żyłasty, z długą żółtą brodą, na oko sądząc, młodszą, pełniejszą życia niż twarz, z której owa broda zwisa – wychodzi na ulicę. Ujrzawszy inżyniera, przystaje, nagle spięty, i się gapi.

– Block? – pyta Jean-Baptiste, podchodząc bliżej. – Block?

Tamten kiwa głową. Pod pachą trzyma dwa zwinięte worki, całe w mącznym pyłe, więc zapewne przeznaczone do noszenia chleba.

– Wysłano cię po sprawunki?

Block znów potakuje skinieniem głowy.

– Jeanne cię wysłała?

– Tak.

– Wróciły ci siły.

– Tak.

Przez chwilę patrzą na siebie, a po twarzach przemyka im jakby cień porozumienia, wspólnoty doświadczeń rozpadu i niepewnego zrastania się z powrotem w całość. A potem mijają się w przejściu, lekko ocierając się o siebie barkami.

Na cmentarzu górnicy stoją wokół wykopu nieopodal północnego muru. Ósmy wykop? Dziewiąty? Najpierw zauważa inżyniera mężczyzna, który właśnie kładzie na kościanym murze brązową jak grzyb, oblepioną ziemią miednicę. Nieruchomieje i prostuje się (na tyle, na ile górnik może się wyprostować). Lecoeur podąża za jego spojrzeniem i z radosnym okrzykiem podbiega, mówiąc tak szybko i bezładnie, że poszczególne słowa zdają się zachodzić na siebie. Czyżby miał w oczach łzy? Pewnie od dymu. Tylko od dymu.

Mężczyźni pracujący na powierzchni wytrzeszczają oczy. Jeden rzuca kopaczom z dna dołu słowo jak kamyk. Inżynier wita górników. Bez trudu przypomina sobie nazwiska. Agast, Everbout, Cloët, Pondt, Jan Biloo, Jacques Hooft, Louis Cent, Elay Wyntère... Cieszy się na ich widok i sam się dziwi, jak szczerą jest to radość. Mówi, żeby sobie nie przerywali, więc znów biorą się do pracy.

– Nie udało nam się – mówi Lecoeur tonem poufnego wyznania – posunąć się z robotą aż tak, jak bym chciał. W zeszłym tygodniu skończyliśmy dwa – dodaje, wskazując miejsca po zasypanych dołach – i ten też bylibyśmy zamknęli, gdyby ściana się nie zawałiła. Na szczęście ludzie akurat mieli przerwę. Bałem się nawet, czy nie runie cmentarny mur.

– Wstawiłeś... to drewniane... z belek... to z belek do podpierania ścian?

– Kaszt? Miałem nadzieję, że obejdzie się bez niego. Dni były w miarę suche. Oczywiście popełniłem błąd. Przepraszam.

– Mniejsza o to. Mur możemy podsypać ziemią. Usypać rampę. A potem wstawić

kaszt.

– Racja – przytakuje Lecoeur. – Tak będzie najlepiej.

– Ludzie zjedli obiad?

– Parę godzin temu. Już chyba minęła trzecia.

– Nie zdawałem sobie sprawy.

– Tempus fugit – radośnie stwierdza Lecoeur. W kącikach ust zasechł mu biały osad. Usta ma popękane, spierzchnięte od wiatru. – Już całkiem wyzdrowiałeś? – pyta.

– Mam ponoć grubą czaszkę – odpowiada Jean-Baptiste. – A ty?

– Czy wyzdrowiałem?

– Dobrze się czujesz?

– O, niech cię o to głowa nie boli. My, Lecoeurowie, mamy twardą skórę. – Lecoeur parska śmiechem. – Nie chwaląc się, mógłbym wziąć się za bary z niedźwiedziem. Gdyby zaszła potrzeba.

– A ze słoniem?

– Ze słoniem?

– Tak mi przyszło do głowy. Ze słoniem. Sam nie wiem dlaczego. Rozmawialiśmy już kiedyś o słoniach?

– Nie umiem...

– Nieważne.

Jean-Baptiste przez blisko godzinę kieruje pracą, stojąc na czymś w rodzaju pokładzie rufowego, porośniętego zeszłoroczną trawą. Potem zaczynają mu lekko drżeć ręce i nogi, więc przeprasza i idzie do domu grabarza.

Jeanne stoi przy stole i kraje w plasterki suchą kiełbasę, pochylając się nad deską i całym swoim ciężarem napierając na nóż. Armand siedzi w fotelu Manettiego z nutami na kolanach, wpatrzony w duże kremowe stronice, czarną pięciolinię i tysiące roztańczonych kropek. W skupieniu marszczy brwi, wygrywając palcami muzykę na kościach kolan. Podnosi głowę i spogląda na Jean-Baptiste'a.

– No, no – mówi z uśmiechem. – No, no, no.

– Musi pan usiąść – oświadcza Jeanne, odkładając nóż i wyciągając spod stołu taboret.

Jean-Baptiste ociężale siada i na chwilę zamyka oczy, po czym wolno zdejmuje kapelusz.

– Wciąż pan bardzo blady – stwierdza dziewczyna.

– Zawsze taki był – wtrąca Armand.

– Powinien pan siedzieć w domu – mówi Jeanne, szybko podchodząc do paleniska, gdzie na kaflu tuż przy ogniu stoi imbryk z kawą.

– Właśnie w domu – zwraca jej uwagę Armand – rozłupano mu głowę. Z pewnością bezpieczniej czuje się na cmentarzu.

Kawa jest ledwo letnia, a ponieważ Jean-Baptiste nie czuje aromatu, smakiem też nie może się delektować, ale wypija ją jednym haustem i nadstawia kubek, prosząc o dolewkę.

– A dziadek? – pyta.

– Odpoczywa – mówi Jeanne, a jej piwne oczy nieśmiało migoczą, gdy szuka nimi szarych oczu inżyniera.

Ten próbuje odgadnąć jej myśli. Jego ostatnie wspomnienie o niej i o pozostałych to wspólna wyprawa do kościoła na organowy koncert Armanda. Czy to w tamtą noc go napadnięto? A może w następną? Albo po tygodniu?

– Staruszek tak się napracował przy gotowaniu naszych ekshumowanych przyjaciół – wyjaśnia Armand – że jest na ostatnich nogach. Ja padam z nóg na samą myśl o tej robocie.

– Jadalna ta kielbasa? – pyta Jean-Baptiste. Bierze plasterk i wkłada go sobie do ust. Wieprzowe mięso i tłuszcz, twarde jak pieniądz.

Armand zamyka nuty. Odwraca się w fotelu i patrzy na inżyniera, który żuje i w końcu przełyka plasterk kielbasy.

– Takiś mnie ciekaw? – pyta Jean-Baptiste.

– Ciekaw? Wiesz doskonale, że ciekawisz mnie, odkąd wszedłeś do mojego kościoła. Przyznaję, że intryguje mnie widok osiągnięć twojego chirurga.

– Masz na myśli Guillotina?

– Mam na myśli Ziguette Monnard. Przypuszczam, że cię wykończyła.

Szew biegnący wzdłuż rany Jean-Baptiste'a na moment się napina.

– Taki miała zamiar – mówi inżynier.

– Ach, ale tobie wszak czegoś brakowało, przyjacielu. Byłeś nie całkiem wykluty.... A to twoje ubranie, czy nie jest nowe? Widziałas je, Jeanne? Czarne jak północ! Brawo! Nareszcie ujawnił się jako porządny kalwin, którym zawsze podejrzewałem, że w głębi duszy jest. Wiesz, że jego matka wyznaje tę religię?

– Moja matka ... – zaczyna Jean-Baptiste ze wzrokiem utkwionym w kamiennej posadzce między swoimi stopami. – Moja matka... – Milknie. Nie ma nastroju ani siły, żeby wdawać się w igraszki z Armandem.

Dopija drugą kawę, dźwiga się z miejsca i idzie na górę zajrzeć do Manettiego. Siedzi chwilę przy śpiącym grabarzu, a gdy potem wraca na dół, dostaje przelotnego zawrotu głowy i tylko dzięki temu, że chwyta się poręczy, nie spada ze schodów.

– Dosyć już na dziś działałeś – mówi Armand, biorąc go mocno pod rękę i wyprowadzając przed dom. – Cmentarz wciąż jest twój. Biedny Lecoeur bez ciebie był bliski paniki.

– Powinienem z nim porozmawiać... – mówi Jean-Baptiste.

– Możesz to odłożyć do jutra.

– Przyjdę rano.

– Nie wątpię – mówi Armand.

– W roboczym ubraniu, jeżeli je znajdę.

– Będziemy na ciebie czekali. Postaram się nawet przez kilka dni powstrzymać od docinków – z uśmiechem obiecuje organista.

– Kiedy to się stało – cicho mówi Jean-Baptiste, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa i patrząc ponad ramieniem Armanda na łuki południowej kostnicy. – Kiedy mnie

uderzyła... a raczej potem, minęło jeszcze parę chwil, zanim straciłem przytomność. Trwało to chyba króciutko, ale wystarczająco długo, żebym zapragnął... czegoś się uchwycić. Jakiejś idei. Bo widzisz, myślałem, że umieram. Pragnąłem czegoś, co by pozwoliło tej chwili zaistnieć.

– I co znalazłeś?

– Nic. Nic a nic.

Na rue aux Fers szare światło, szary kamień; na stromych dachach czarne sylwetki ptaków. Jean-Baptiste ma po lewej ręce narożnik rue de la Lingerie, a po prawej rue Saint-Denis. Koło fontanny pies chudy jak szkielet chłopce z kałuży. Czując na sobie ludzkie spojrzenie, podnosi ociekający wodą pysk i rozgląda się, a potem odwraca i utykając, rusza w głąb rue Saint-Denis, przystaje na chwilę, jakby sprawdzał, która połowa świata go przyzywa, po czym idzie na północ, w stronę faubourg.

Inżynier podąża za psem, wkracza w ludzką rzekę, niezgrabnie w niej staje i natychmiast zaczyna wszystkim zawadzać. Stracił psa z oczu, ale mniejsza o to. Wie, co teraz zrobi, choć u kogoś, kto tak jak on do niedawna chlubił się swoim świetnie wyszkolonym, niezmaćniętym jasnym umysłem, tego rodzaju zamiar niepokojąco trąci zniżaniem się do magicznych rytuałów. Pójdzie w górę rue Saint-Denis i zatoczy koło w stronę kościoła Saint-Eustache. Powtórzy najdokładniej, jak zdoła, trasę z owej nocy, gdy poszedł malować hasła z Armandem i jego przyjaciółmi sierotami, a potem znalazł się we mgle sam na sam z Héloïse. Przejdzie jeszcze raz ten szlak, znów ją odnajdzie i przekaże jej komunikat – jaki, to się dopiero okaże. Jeszcze nie ubrał go w słowa, niewątpliwie jednak wypłyną mu one z ust niczym objawienie Ducha Świętego, gdy tylko stanie przed nim ta kobieta.

Rusza, przedzierając się przez chmarę szwaczek – hałaśliwych, rumianych dziewczuch, które po dwunastu godzinach siedzenia na ławie i wślipiania się w igłę idą nad rzekę. Na rue Saint-Denis trwa właśnie ta tłusta godzina, gdy praca chwilowo ustaje i każdy może oderwać się od niej, żeby z resztek zimowego wieczoru wydusić dla siebie trochę przyjemności. W winiarni Djeco jest już pełno. Przed wejściem stoją oparci o ścianę dwaj tragarze, niby hiszpańscy eleganci ze złotego wieku. Odlewnicy, kwiaciarki, pucybuci, sprzedawcy lasek, żebracy, skrzypkowicze, pisarczykowie do wynajęcia... nawet jeżeli ktoś z nich zauważy inżyniera, jego pobladłą, napiętą twarz i zboląłą minę, spostrzeżenie to rozbawia go lub wyprowadza z równowagi tylko na czas, jakiego potrzeba, żeby przejść kilka kroków, a zaraz potem każdego zaprzętają nowe atrakcje. Jean-Baptiste mało kogo dostrzega, a i to wyłącznie dlatego, że raz po raz jakiś mężczyzna lub kobieta potrąca go ramieniem, spiesząc z przeciwka. Inżynier wybiega wzrokiem przed siebie, jak najdalej potrafi, starając się stłumić narastające w nim podejrzenie, że wszystko, co robi, jest po prostu jednym z nieobliczalnych i długofalowych skutków urazu głowy, przed którymi przestrzegał go doktor Guillotin. Zdążył oddalić się o nie więcej niż trzysta metrów od fontanny, gdy nagle staje jak wryty, a potem przyspiesza kroku na widok ruchomej plamy czerwieni, która w tym świetle wydaje się prawie fioletowa.

To, że tak łatwo ją znalazł, wytrąca go z równowagi! Nie zdążył nawet rozchodząc resztek otumanienia, pozbierać się. Niepokojąca jest myśl, że może magia naprawdę działa...

Kobieta jest za daleko, żeby mógł ją zawołać, a w dodatku tak jak i on idzie w stronę północy. Na całą minutę znika mu z oczu, zasłonięta przez dwa juczne konie człapiące ulicą, potem jednak Jean-Baptiste znów ją dostrzega: stanęła przed wystawą sklepu, z twarzą tuż przy szybie. On zna ten sklep, mijał go dziesiątki razy. Sprzedają tam te... no te... na miłość boską, przecież sam ma taki na głowie!... tylko że dla kobiet, dla kobiet i dziewcząt. Z wstążkami i różnymi różnościami, z wkłęsłościami, kolorowymi piórami...

– Héloïse!

Zbyt wcześnie zawołał. Jego głos nie sięga na tę odległość, chociaż idąca z tyłu kobieta (jedna z przedwcześnie postarzałych bazarowych bab o figurze jak beczka śledzi) usłyszała go dość wyraźnie i zaczyna przedrzeźniać, z zaskakującą wiernością powtarzając żaloszny, ochryply okrzyk:

– Och, HEL-OÏSE!

Jean-Baptiste spogląda na nią przez ramię, raczej zbity z tropu niż rozgniewany. Co to za jedna? Czy on ją zna?

– Laluniu! – woła inna baba, wyglądająca jak siostra tej pierwszej. – Nie widzisz, że monsieur ma do ciebie interes?

Ale Héloïse nie słyszy, wpatrzona w wystawę, nieświadoma sceny, która rozgrywa się za nią, coraz bliżej.

– Ona nie chce, żeby ten jej koszykarz był zazdrosny – stwierdza trzecia baba. – Albo stary bukinista. Albo twój chłop.

– Jakby stary ino na nią spojrział, dałabym mu na kolację jego własne jaja.

Héloïse dopiero teraz odwraca głowę i patrzy na nadchodzących, nie ustępując placu. Cokolwiek czuje – gniew, strach, zaskoczenie – starannie to ukrywa, więc z jej twarzy nie sposób nic wyczytać. Inżynier staje o dwa, trzy kroki od niej.

– Zapomniał języka w gębie – mówi pierwsza baba.

– Nie język będzie mu potrzebny, tylko co insze – dogaduje druga, śmiejąc się z własnego żartu.

– To on! – woła jakiś mężczyzna, wychylając z ciemnego okna pokoju w domu obok sklepu kudłatą głowę. – Ten, co rozkopuje Niewiniątka.

– Jesteś pewien?

– Jak jasna cholera! Przyjrzyjcie mu się aby.

– Chciałby pewnie skosztować tego, czym raczą się jego robotnicy – wtrąca kobiecy głos, młodszy od tamtych.

– Szukałem pani – mówi Jean-Baptiste do Héloïse. – Chciałem... porozmawiać.

Na samą wzmiankę o rozmowie publiczność wybucha radosnym śmiechem.

– Musisz jej pokazać, jakiego koloru masz pieniądze, kochany. Bóg z nim. Widać takie podchody to dla niego nowość.

– A Monnardówna? – pyta ten młodszy głos. – Już się do niej zniechęcił?

Héloïse, która ani na chwilę nie oderwała wzroku od inżyniera, daje mu kilka sekund na naprawienie sytuacji. Jean-Baptiste bierze wdech, marszczy brwi, otwiera usta.

– Kapelusze – mówi. – Jak mogłem zapomnieć kapelusze?

Héloïse odpowiada ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, a potem bardzo spokojnie, jakby cała ta scena nie miała z nią nic wspólnego i była tylko jakimś przypadkowo napotkanym głupstwem, które już zupełnie przestało ją interesować, odwraca się i rusza dalej ulicą.

Rozczochrany mężczyzna jeszcze mocniej wychyla się z okna.

– Kapelusze! – wrzeszczy. – Słyszeliście? Powiedział „kapelusze”! Kapelusze!

Jean-Baptiste stoi zaledwie kilka kroków od tego okna. Podchodzi do niego tak szybko, że wychylony przez nie człowiek nie ma czasu zareagować. Inżynier łapie go za włosy i z całej siły uderza jego głową o wąski parapet. W drugiej ręce trzyma klucz do cmentarnej furty. Przyciska jego koniec tamtemu do gardła, celując w miękkie miejsce tuż pod żuchwą.

– Za kogo mnie masz? – pyta cicho, niemal tonem pogawędki. – No, za kogo mnie masz?

W przyszłości – kiedy będą powody, żeby mówić o takich rzeczach – mężczyzna z okna powie, że w tych szarych oczach widział krwawy mord. Będzie się przy tym upierał i znajdzie posłuch. Cokolwiek jednak widzi, wystarcza, żeby go uciszyć. Nawet babom robi się nieswojo. Przedstawienie skończone. Rozchodzą się, każda do swoich drobnych spraw. Po niecałej minucie inżynier zostaje zupełnie sam.

Podczas kolejnego spotkania z monsieur Lafosse'em (trzy dni po wydarzeniach na rue Saint-Denis) Jean-Baptiste składa rezygnację. Mówi bez ogródek, że już nie chce kierować pracą na cmentarzu Niewiniątek. Nie życzy sobie mieć cokolwiek wspólnego z Niewiniątkami. Pragnie się stamtąd wynieść i zająć czym innym. Jest wszak inżynierem. Przynajmniej tyle o sobie wie. Powinien się postarać o bardziej stosowne zatrudnienie.

Lafosse, który podczas tych spotkań w salonie Monnardów nigdy nie siada, pozwala młodemu człowiekowi się wygadać, po czym wyjaśnia mu, że rezygnacja jest rozwiązaniem zastrzeżonym dla ludzi mających w świecie niejakię znaczenie, a on sam – inżynier – do nich się nie zalicza. Jest w istocie kimś w rodzaju sługi, i to niezbyt wysokiej rangi. Sługę tego najęto na życzenie ministra. Zostanie zwolniony dopiero wtedy, gdy przestanie być ministrowi potrzebny. Takie są warunki. Jeżeli je złamie, pozbawi się wszelkiej nadziei dalszego awansu. Fakt, że sam tego należycie nie zrozumiał, jest raczej żałosny niż zabawny.

– Muszę więc tu zostać? Nie mam wyboru?

– Brawo, monsieur. Pojął pan istotę sprawy. Czy pozwoli pan zatem, że przejdę do tematu, z powodu którego pofatygowałem się tutaj, żeby go z panem przedyskutować?

Tematem dyskusji (choć między inżynierem a Lafosse'em nigdy nie dochodzi do wymiany zdań, którą można by błędnie nazwać dyskusją) jest wiadomość, że kamieniołom w Porte d'Enfer wreszcie przygotowano na przyjęcie pierwszego transportu z cmentarza. Jego Wielbność biskup pokropił święconą wodą komory i korytarze, w których spoczną kości. Wozy będą jeździć nocą w asyście księży z seminarium Saint-Louis. Przez całą drogę księża mają się głośno modlić. Będą kadzidła, smoliste pochodnie, czarny aksamit. Cała ta oprawa ma być dowodem troski, katolickiej przyzwoitości ministra...

– Czy mogę przekazać ministrowi – pyta Lafosse – że już całkiem wrócił pan do zdrowia? I że taka przygoda już się nie powtórzy?

Nie wspomina ani słowem o nowym czarnym surducie inżyniera, tak jakby czarniejszym o jeden lub dwa odcienie niż jego własny.

### 3

Kolacja u Monnardów. Kapusta faszerowana kaparami. Cielęce cynadry duszone w winie. Placek z dyni.

Monsieur i madame jedzą w subtelnej udreće. Inżynier, który w każdej potrawie zauważa już tylko objętość, masę, elastyczność, fakturę powierzchni i stopień wysuszenia, po prostu się posila. Marie rozkwita.



Nocą dziewiątego marca (tuż po jedenastej według zegarka inżyniera) konwój wozów – solidnych, pojemnych furgonów przeznaczonych do transportu kamieni – gotów jest wyruszyć w stronę Pont Neuf i kamieniołomu. Choć załadunek trwał ponad trzy godziny, na cmentarzu mury usypane z kości wyglądają mniej więcej tak samo jak przedtem. Krypt i poddaszy nad podsieniami nawet nie tknięto.

Zaprężone konie cierpliwie czekają. Niekiedy ten czy ów zaszura kopytem po bruku. Księża – bladzi, przeskoleni, młodzi – prześcigają się w pobożności. Ściskają w dłoniach pochodnie, zerkając na sąsiadów i na wozy, których ładunek przykryto aksamitem.

– Miejmy nadzieję, że tym jegomościom dano solidne buty – mówi Armand. – Zanim będzie po wszystkim, zajdą na Księżyc i z powrotem.

Po drugiej stronie rue de la Ferronnerie zebrało się dwadzieścioro, może trzydzieścioro gapiów. Jak dotąd nie bardzo było co podziwiać. Dym z ognisk, cotygodniowe wypadki górników, którzy chodzą do miasta jak marynarze na przepustkę w zagranicznym porcie, mając oczy pełne niewygodnej wiedzy. Za to teraz ta procesja wozów w blasku pochodni i księża w długich płaszczach z mosiężnymi guzikami. Pierwszy bezsprzeczny dowód rychłego końca Niewiniątek! Pierwsza wywózka. Nie było i nie ma żadnych protestów ani lamentów. Nawet jeżeli ludzie wciąż darzą ten splugawiony kawał ziemi pewnym przywiązaniem, nikomu prócz Zigquette Monnard nie chciało się podnieść ręki w jego obronie.

W ostatniej chwili, gdy wszystko jest gotowe i lada moment ma się zacząć przedstawienie, zjawia się père Colbert. Przechodzi niezgrabnym krokiem przez cmentarną furtę i wpycha się potężnym cielskiem między Armanda a Jean-Baptiste'a, wściekle łypiąc przez niebieskie okulary najpierw na nich, a potem na młodych księży. Jednemu wrywa pochodnię i głośno tupiąc, wychodzi na czoło procesji.

Inżynier daje znak furmanowi. Ten gwizdże na konie. Brzęczy uprzęż, żelazne obręcze kół przeraźliwie turkoczą po kamieniach, a z tylnych części wozów słychać stłumiony stukot i zgrzyt, gdy przykryte aksamitem kości osiadają pod własnym ciężarem.

Księża intonują psalm *Miserere mei, Deus*, lecz rytm ich marszu i śpiewu zakłócają buciorzy Colberta, który idzie we własnym tempie. Prowadzi pochód ku rzece, wysunawszy do przodu czerwoną, ponuro zaciętą twarz, jakby wybierał się uciemnić piekło.

Opróżnia się i zasypuje wykop pod murem cmentarza. Napoczyna się dwa następne. Inżynier doskonali metodę. Ostrzej goni ludzi do pracy, przedłużając dzień roboczy, w miarę jak noc ustępuje pod naporem wiosny. Już drugi górnik ucieka, ale po trzech dniach wraca, milczący i głodny. Cóż można wiedzieć o pozostałych? Wyglądają na pogodzonych z pracą, z jej charakterem, zahartowanych. Jean-Baptiste bardzo jest ciekaw, o czym rozmawiają we własnym gronie. Podziwia ich za odwagę i za tę aurę niezależności, którą są owiani. Czy nie wydaje się, że mniej niż on są cudzą własnością? Nie sprawiają wrażenia swobodniejszych? Zwłaszcza jeden rzuca mu się w oczy i działa na wyobraźnię: ten z uciętym palcem i fiołkowymi oczami, który pojawia się i znika niczym widmo. Pozostali tak jakby dyskretnie dawali mu pierwszeństwo, krążąc wokół niego pełną szacunku konstelacją. Lecoeur potrafił o każdym z nich coś pewnego powiedzieć, a o tym jednym wie tylko tyle, że dołączył do wyprawy krótko przed wyruszeniem z Valenciennes, zastępując górnik, który oświadczył, że nie podoła trudom podróży. Nazywa się Hoornweder. Prawdopodobnie Hoornweder. Hoornweder albo Tant, a może Moemus. Często sami wymyślają sobie nazwiska. Czy inżynier ma jakikolwiek powód do niezadowolenia z tego człowieka? Nie, nie – zapewnia Jean-Baptiste. Nie ma żadnego powodu. Pytał z czystej ciekawości.

W połowie miesiąca wysyłają do Porte d'Enfer co tydzień pięć transportów, które (monotonnie zawodzący księża, świece, wozy z żałobnym ładunkiem) stają się na pewien czas jedną z miejskich atrakcji. „Mercure de France” zamieszcza krótki przewodnik, podając w nim godziny wymarszu procesji i wskazując najkorzystniejsze punkty obserwacyjne (warto w tym celu przeprowić się na drugi brzeg rzeki). Młode pary – zwłaszcza z klas próżniaczych – dają się uwieść podnietom tego widowiska. Moraliści przyglądają mu się z ponurym rozbawieniem, założywszy ręce na piersi. Przybysze z zagranicy piszą do rodaków listy, w których silą się na metaforę, próbując dostrzec w tej sunącej zygzakami karawanie kości całą Francję. A potem miasto jak jeden mąż wzrusza ramionami i szuka innych rozrywek. Niech to będą kawiarnie. Polityka. A może kolejne zamieszki.

Armand wprasza się do Monnardów, żeby pograć na fortepianie Ziguette. Sprowadza na koszt gospodarzy niepokalanie ślepego stroiciela z narzędziami przypominającymi cęgi wyrwiżęba. Niewidomy cmoka, robi miny i włazi do pasa w pudło instrumentu, ale w końcu udaje mu się go nastroić.

Kiedy Armand zasiada do klawiatury, wygląda, jakby z koniuszków palców strzelał w nią dźwiękami. Przy pierwszych grzmiących akordach Ragoût chowa się pod ławą, a po chwili wyłazi z ukrycia i wściekle wbija pazury w splot dywanu.

– Zabijasz moje organy! – woła Armand, przekrzykując własną muzykę. – Ale za to dałeś mi ten instrument, więc ci wybaczam!

– Wcale ci go nie dałem – prostuje Jean-Baptiste.

– Własność – mówi Armand – stanie się wkrótce znacznie giętszym pojęciem.

Jean-Baptiste miewa migreny. Będą mu dokuczały przez resztę życia. Podczas tych najcięższych świat pokrywa sinofioletowa błona, jakby inżynier wyglądał przez szparę we własnej pękniętej głowie. Musi wtedy siedzieć, nieruchomy jak posąg. Ból narasta, dopóki nie rozładuje się w obfitych wymiotach. Lżejsze ataki udaje się opanować, wypijając za radą Guillotina trzy lub cztery filiżanki mocnej kawy.

Niektóre zagubione słowa wracają same, jak gołębie na znajomy strych. Jean-Baptiste zapisuje je czarnym atramentem na ostatnich kartkach swojego dziennika:

Brzytwa

Obręcz

Liniał

Kaszt

Kapelusz...

Jeszcze nie może przeczytać całej strony Buffona i nie pamięta, kiedy i czemu go kupił. Zastanawia się, jak dalece życie człowieka jest fabułą, którą on sam sobie opowiada, obsadzając siebie w roli głównej. Nasuwa mu się pytanie, ile z własnej fabuły utracił. I czy ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Po stronie zysków może zapisać to, że już go nie nękają sny. Sypia smacznie. Butelka z lekarstwem, z lepkiem lachryma papaveris, stoi na kominku w jego pokoju, ale nie tknął jej od czasu napaści, nawet w te noce, gdy leży, rozmyślając o stu rzeczach, które mógł być powiedzieć tej kobiecie, Austriaczce, wtedy o zmierzchu na rue Saint-Denis.

Na dnie dziesiątego wykopu leżą szczątki ponad trzydzieściorga dzieci. Naprawdę nie ma czasu dokładniej ich policzyć. Według Guillotina i Thoureta w chwili śmierci mogły mieć od czterech do dziesięciu lat. Zapytany o zdanie, Manetti potakująco kiwa głową. Epidemia w sierocińcu w Plessy – rok 1740? A może 1741. Nie przysięgłby. Dzieci ułożono w dole na przemian głowami do stóp, tak jak zapewne sypiały po dwoje w jednym łóżku w ochronce. Górnicy są poruszeni: pykają fajki, macają swoje amulety.

Lekarze zbierają trochę czaszek, układają je niby główki kapusty albo rzepę w jednym z wiklinowych koszy Jeanne i zanoszą do swojej pracowni.

W ostatnich dniach marca spada śnieg. Do czarnych murów kościoła przywiera jak stopiony wosk, a na stosach kości leży chrupki i połyskliwy. Potem chwyta mróz. Górnicy nie tyle kopią, ile wyskrobują ziemię z dołów, dzwoniąc o nią narzędziami. Aby otworzyć jedenasty dół, muszą całą noc palić nad nim ogień. Jest to ostatni zryw zimy.

Przez cały następny tydzień ziemia rozmarza, zamienia się w błoto, w melasę. Przy wyciąganiu trumny lub czaszki słychać ziemnowodny, osobliwie seksualny odgłos. Ludzie rozpinają kurtki, zsuwają kapelusze na tył głowy. Nawet na Niewiniątkach (i nawet dla kogoś, komu węch osłabł tak jak inżynierowi) powietrze jest inne niż dotąd, a czasem zniecka pojawia się w nim niepokojąca czystość, dzięki której wszyscy – mężczyźni i kobiety, górnicy i ich panowie – wyobrażają sobie, że są gdzie indziej, może wyruszają na długą przechadzkę po wiejskich polach, idą spacerem nad obramowaną wierzbami rzekę.

Pewnego ranka inżynier przychodzi na cmentarz i zaraz wzywa go Jeanne, zarumieniona z podniecenia. Prowadzi go do północno-zachodniego narożnika, w pobliżu pierwszego z opróżnionych wykopów.

– Widzi pan? – mówi, wskazując palcem grządkę żółtych kwiatków o nakrapianych liściach w kształcie zielonych łopatek i rosnącą nieopodal kępę wyższych roślin, kwitnących karmazynowo.

– Nasiona były pogrzebane – ciągnie Jeanne. – A dzięki waszemu kopaniu wróciły do życia.

Jean-Baptiste patrzy na żółte i karmazynowe kwiaty. Nic nie mówi. Jest zupełnie zbity z tropu.

Nie widzi jej ani nie słyszy, dopóki kobieta nie stanie obok niego. Jest zmierzch, a on zamierza wejść do domu Monnardów. Wielki furgon – M. Hulot et Fils, Déménageurs à la Noblesse – turkocze, jadąc w stronę rue Saint-Honoré. A on patrzy na kobietę, kompletnie zaskoczony, i myśli, że musi chyba mieć dość śmieszna minę.

- Chciał pan ze mną rozmawiać? – pyta ona.
- To było parę tygodni temu – pada odpowiedź.
- Czyli już pan nie chce?
- Chcę. Tak.
- Tak?
- Tak. Chcę.
- A zatem słucham.

Kobieta czeka, patrząc mu prosto w oczy. Nie włożyła tego dnia czerwonej opończy, ale narzuciła na włosy cienką chustę czy szal. Ma kamienną twarz i mocno zaciska wargi.

– Myślałem o pani – mówi on, otwierając usta i pozwalając słowom swobodnie ulatywać. Za późno na krążenie opłótkami, ostrożną kalkulację skutków. – Myślę o pani. Często.

Kobieta kiwa głową. Nie ułatwia mu to zadania.

- Moglibyśmy wejść do środka – mówi. – Porozmawiać w domu.
- U Monnardów?
- Nie ważyliby się sprzeciwić. Nie mogą sobie pozwolić na sprzeciw wobec moich życzeń.
- Z powodu córki?
- Tak.
- Z powodu tego, co zrobiła?
- Tak.
- Była pańską przyjaciółką?
- Nie tak, jak pani sądzi.
- A co ja sądzę?
- Sama pani wie.
- To by mi nie wadziło.
- Nie?
- Niby czemu miałyby mi wadzić?
- No, rzeczywiście – on na to. – Zresztą nie wiem.

Milkną, jakby ich na chwilę oszołomiła dziwność tej rozmowy, zdumienie, że ją w ogóle prowadzą. Pierwsza przytomnieje Héloïse.

- Czy właśnie to chciał mi pan powiedzieć? – pyta. – Że pan o mnie myślał?
- To jeszcze nie wszystko.

- A reszta?
- Zastanawiałem się, czy mogłaby pani... tu przyjść.
- Odwiedzić pana?
- Czy nie zostałaby pani tu. Czy by nie zechciała.
- W tym domu?
- Tak.
- Wyrażajmy się jasno – mówi kobieta.
- Zdawało mi się, że właśnie tak się wyrażam – odpowiada Jean-Baptiste.
- Chce pan wziąć mnie sobie na kochankę?
- Chcę, żeby pani ze mną została.
- W jakim znaczeniu? Mam z panem zamieszkać?
- Tak.

Mężczyzna myśli, że ona teraz zadrze głowę i parsknie śmiechem. Zarzuci mu wzgardliwym tonem, że sam nie wie, co wygaduje. Bo rzeczywiście nie wie. Czy tak właśnie miał brzmieć komunikat? Zamieszkać ze mną? A może po prostu powiedział najdziwaczniejszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy? Obmyśla jakąś ostrą, lekceważącą ripostę, którą zatuszuje własne upokorzenie, lecz gdy Héloïse znów się odzywa, jej głos brzmi cicho i poważnie. Dość nawet życzliwie.

- Mieszkał pan już kiedyś z kobietą?
- Nie – przyznaje inżynier. A po chwili: – Pyta pani z powodów praktycznych? Z obawy, że nie będę umiał się zachować?
- Nie znamy się – zwraca mu uwagę Héloïse.
- Nie znamy się dobrze – prostuje on.
- Po bliższym zaznajomieniu się mogę wydać się panu niemiła. Albo pan mnie.
- Nie chce pani ze mną mieszkać?
- Tego nie powiedziałam. Tylko nie wierzę, że pomyślał pan... o wszystkim, o czym pomyśleć by należało. Albo nie przemysłał pan tego dość gruntownie.
- Myli się pani – mówi Jean-Baptiste.
- Albo to pan się myli.
- Ja się nie mylę.
- Ha! Nie znosi pan sprzeciwu.

Kobieta krzywi usta. Podobną minę mogłaby zrobić, targując się na bazarze z jakąś szcawaną, upartą przekupką. A potem spuszcza wzrok i wolno zatacza piętą koła, jakby wkłęcała czubek buta w bruk.

- Podobam się panu – mówi.
- Tak.
- Dlaczego?
- Dlaczego?
- Musi pan przecież znać powód – tłumaczy kobieta.
- Oczywiście – odpowiada Jean-Baptiste, chociaż nawet mu nie zaświtało, że potrzebuje jakiegoś szczególnego powodu, aby ją lubić. – Spojrzała pani na mnie –

mówi.

– Dostrzegłam pana?

– Tak.

– To prawda – przyznaje Héloïse. – Rzeczywiście pana dostrzegłam.

– Kupowała pani ser – przypomina jej inżynier.

Ona kiwa głową.

– Wyglądał pan na zagubionego – mówi.

– Pani też.

– Ja? Zagubiona?

– Nie na swoim miejscu.

– Gdybym na to przystała – mówi kobieta po jednej z tych pauz, podczas których zdaje się starannie rozważać każde jego słowo – musiałabym mieć pełną swobodę ruchów. Za stara jestem, żeby słuchać poleceń, pana lub kogokolwiek innego.

– Byłaby pani wolna.

– A gdyby mnie pan uderzył...

– Nie zrobię tego.

– Podobno przystawił pan człowiekowi nóż do gardła. Tamtego wieczoru na rue Saint-Denis.

– To był klucz, a nie nóż.

– Klucz?

– Tak.

– Bo mi ubliżył?

– Tak.

– Nie on ostatni.

– No to będę z nimi walczył.

– Kluczem?

– Mogłaby pani przyjść wkrótce – mówi on. – Dużo ma pani rzeczy?

– Trochę ubrań – ona na to. – I książek.

– Książek?

– Myślał pan, że nie umiem czytać?

– Nie – zapewnia ją Jean-Baptiste. – Wcale tak nie myślałem.

– Chciałabym mieć więcej książek. W porządnych wydaniach. Nie takich za piętnaście sous, co to zaraz po otwarciu rozlatują się w rękach.

– Nie – mówi inżynier. – Nie takich.

– I teatr – ciągnie kobieta. – Dawno w nim nie byłam.

– Teatr – powtarza Jean-Baptiste. – Też bym miał na to ochotę.

Przez chwilę razem milczą, spokojni. Nawet na ulicy nastąpiła jedna z rzadkich pór wyciszenia, gdy prawie nikt nią nie chodzi. Jean-Baptiste myśli, że z któregoś okna może ich śledzić ktoś, kto wie, kim oboje są. A niech sobie śledzi.

– Czy to pan? – pyta Héloïse, odwracając się, żeby spojrzeć skosem na drugą stronę ulicy, gdzie na okiennicach pasmanterii napis czarną farbą podaje do wiadomości ogółu

kolejną groźbę monsieur Bêche'a pod adresem możnych. Ta akurat pogróżka dotyczy losu, który czeka komendanta Bastylii. Pojawiła się przed tygodniem i jeszcze jej nie zamalowano.

– Zna pani moje nazwisko – mówi Jean-Baptiste.

– Znam je oba – odpowiada kobieta, po raz pierwszy jawnie się do niego uśmiechając.



Ona nie chce mu dać żadnych gwarancji. Przemyśli kwestię. Bo to rozległa kwestia. Przemyśli ją i przyśle wiadomość. Radzi mu, żeby też się zastanowił. Rozważył, czy powiedział to, co rzeczywiście powiedzieć miał zamiar. Szczery zamiar.

On prawie przez tydzień trwa w rozkosznej niepewności. Piątego dnia, a właściwie piątej nocy raptem stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że nic z tego nie będzie. Tak mówi mu instynkt, przebłysk intuicji. Nic z tego, wykluczone. Pewnie co tydzień pół tuzina mężczyzn prosi ją, żeby z nimi zamieszkała, bo własna chuć myli im się z tkliwszym uczuciem, na które w jej fachu nie ma miejsca. Jest twarda, inna wszak być nie może: rozsądek bezwzględnie każe wyciągnąć ten wniosek. Twarda i wydrażona. A może jest czuła, bezgranicznie czuła i nie przyjdzie do niego dla jego własnego dobra. Przecież taki człowiek jak on – wykształcony, posiadający zawód – musi naturalnie dążyć do tego, żeby wybić się w świecie, gdyby zaś związał swój los z losem kobiety jej pokroju, wystawiłby się na pośmiewisko i okrył niesławą. Mógłby sobie na to pozwolić taki arystokrata jak książę de S. lub ktoś maluczki, kto wspiął się już na najwyższy z osiągalnych szczebli, więc niewiele może utracić razem z dobrym imieniem. On sam nie zalicza się jednak ani do ludzi znamienitych, ani do całkiem maluczkich, cały ten pomysł jest zatem marzeniem ściętej głowy. A ona to dostrzegła, więc postanowiła kosztem swojej wygody uchronić go przed skutkami jego własnego szaleństwa.

Pragnąłby z kimś porozmawiać. Jeszcze nigdy nie czuł, że jest sam sobie tak obcy, jakby jego życie było pokojem, w którym każdy znajomy przedmiot zastąpiono żalną imitacją. Pomówić z Armandem? Nie, Armand jest zanadto porywczy, zbyt zapalczywie opowiedziałby się za lub przeciw, a przy tym setnie ubawił. A Guillotin? Wysłuchałby i opierając się na wieloletnim doświadczeniu, ocenił sprawę z szerszej perspektywy. Lekarskiej? Niewykluczone. Może byłaby to właśnie stosowna perspektywa. Jest niezdrów! Niezdrów i nieswój – nie taki, jaki być powinien.

W ten ciepły ranek zastaje doktora w pracowni. Guillotin siedzi na stołku i poleruje jedną z sierocych czaszek. Widząc w jego dłoni ten nieszczęsny, stopniowo jaśniejący przedmiot, Jean-Baptiste natychmiast żegna się z myślą o jakichkolwiek zwierzeniach. Wywiązuje się natomiast rozmowa o kościach głowy. Czołowych, ciemieniowych, potylicznych. I o tym, że u niemowląt i małych dzieci poszczególne kości są nie całkiem połączone, dzięki czemu czaszka wytrzymuje ogromny nacisk podczas przechodzenia przez kanał rodny.

– Są doskonale zbudowane – mówi lekarz, podając czaszkę Jean-Baptiste’owi. – Nie pękają jak melony. Nie rozpryskują się jak szklane kule.

Wstaje, żeby obejrzeć ranę inżyniera. Ostrożnie rozgarnia odrośnięte włosy i orzeka, że blizna wygląda całkiem dobrze.

– Wciąż nie ma pan żadnych objawów – pyta – prócz bólów głowy?

– Jestem... – zaczyna Jean-Baptiste, ale urywa, wzruszając ramionami. – Jestem taki, jak pan widzi. I byłbym rad, gdybyśmy wreszcie ustalili wysokość zapłaty. Za to, co pan dla mnie zrobił. Za troskliwą opiekę. Nawet nie podziękowałem, jak należy.

Lekarz zbywa go machnięciem ręki.

– Chyba że, drogi inżynierze, postanowił pan jednak nie zapisywać mi w spadku swojej słynnej głowy?

Gdy wraca z cmentarza o późnym zmierzchu, jakiś chłopak, który dotąd opierał się własnym cieniem o cień cmentarnego muru, zastępuje mu drogę. To ten niemowa, co w wieczór przyjazdu pomógł mu wtaszczyć kufer do domu Monnardów. Wyciąga przed siebie rękę, więc Jean-Baptiste myśli, że tamten o coś prosi, że nauczył się żebrać, ale chłopak coś mu podaje: kartkę złożoną w kwadrat. Inżynier wychodzi na środek ulicy, bo tylko tam jest jeszcze dość widno, żeby dało się z pewnym trudem odczytać wiadomość, bardzo zwięzłą: „Przyjdę, jeżeli wciąż pan tego chce”.

Jean-Baptiste nie ma przy sobie nic do pisania. Pyta więc chłopca:

– Umiesz się porozumieć na migi? Potrafisz przekazać odpowiedź?

Chłopak kiwa głową.

– No to idź do kobiety, która ci dała tę kartkę. Powiedz jej, niech przyjdzie jutro. O trzeciej po południu. A teraz pokaż mi, jak to zrobisz.

Niemowa spełnia polecenie. Jean-Baptiste ma wrażenie, że przekaz jest zupełnie jednoznaczny. Daje chłopakowi monetę.

– Idź – mówi. – Znajdź ją jeszcze dziś wieczór.

Przez czas, jaki zajmuje mu powrót do domu i wejście po schodach na piętro, wyobraża sobie, że jest najszczęśliwszym mężczyzną w całym Paryżu. Nie zapala świecy, lecz siada na łóżku w chłodnych, niemal zupełnych ciemnościach, jakby spowity fioletowym sercem jakiegoś kwiatu. Ależ to wszystko jest proste! I jacy z nas idioci, że zamieniamy własne życie w tak ciężką próbę! Jakbyśmy wręcz woleli być nieszczęśliwi albo bali się, że gdy spełnią się nasze pragnienia, rozerwie nas to na strzępy! Przez chwilę ma ochotę pójść za starym odruchem, rozebrać to uczucie na części i ponazywać je, żeby zrozumieć, jakiego rodzaju maszyną jest ta nowa radość. Potem jednak kładzie się do łóżka, z cicha się śmiejąc, i w tym to nastroju ma już zapaść w sen, gdy raptem siada, wyprostowany jak struna, i znowu we wszystko wątpi. Co właściwie znaczył jej komunikat? Czy była w nim jakaś dwuznaczność? Czyżby coś opacznie zrozumiał? Słowa tak mu przecież krnąbrnie służą ostatnimi czasy. A w dodatku przekazał odpowiedź za pośrednictwem niemowy, choć gdyby na chwilę otrzeźwiał i zdobył się na odrobinę cierpliwości, zaprowadziłby chłopca do siebie, żeby napisać parę jasnych, jednoznacznych słów!

Wstaje i zaczyna się przechadzać, zatrzymuje się na progu i zagląda do swojego pokoiku, w którym widać już tylko niewyraźne zarysy poszczególnych sprzętów. Nagle sobie uświadamia, że jeżeli ona jutro rzeczywiście przyjdzie (i dlaczego właśnie o trzeciej?), w żadnym razie nie mogą tam zostać, zamieszkać, nie mogą spędzić razem w tej izbie ani jednej nocy.

Skrada się na parter, mijając drzwi jadalni, ze stolika w sieni bierze świecę i ją zapala, po czym wraca na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Staje przed wejściem do pokoju Ziguette i łapie się na tym, że nasłuchuje pod drzwiami, szeptem beszta się za to, otwiera drzwi i wchodzi.

Nie był tam od owej nocy, gdy zapragnął zobaczyć, jak wygląda rozpląnięta dziewczyna, i zastał zarówno ją samą, jak i pokój w zupełnym nieładzie. Teraz jest tam dosyć porządnie, chociaż trochę wilgotno od niewietrzenia, temu jednak łatwo będzie zaradzić. Podnosi świecę i ogląda malowaną szafę na ubrania, kominek i toaletkę z owalnym lustrem, w którym migocze płomień świecy. Łóżko dość duże dla dwojga. Czy pokój jeszcze pachnie poprzednią lokatorką? Jean-Baptiste tego nie wie; nie umie poznać. Podchodzi do odsłoniętego okna i otwiera je, czując, jak wieczorne powietrze omywa mu palce. Minęła chwila zwątpienia, wraz z nim ustąpił jednak zawrót głowy, te rozkoszne minuty ślepej radości. Jest głodny. Nawet bardzo głodny. Schodzi na dół, żeby zasiać z Monnardami do kolacji. Już prawie zjedli zupę, ale waza stoi jeszcze na stole. Monsieur i madame powinni teraz poznać jego zamiary, usłyszeć, kto jutro (jeżeli chłopak niemowa przekaże wiadomość na migi w sposób zrozumiały) przyjedzie, aby zamieszkać w ich domu. Wlewając sobie łyżką zupę do ust, Jean-Baptiste szuka jakiegoś eleganckiego, stanowczego sformułowania, lecz parska śmiechem, nie zdoławszy nic

powiedzieć. Zupa wycieka mu brązową stróżką spomiędzy warg z powrotem na talerz. Inżynier ociera usta i odchrząkuje. Przeprasza.

Pierwszy brzask. Jean-Baptiste wkłada czarne ubranie i idzie szukać Marie. Zastaje ją w kuchni. Dziewczyna stoi zgięta w pół przy kuchennym stole. Trzyma w zębach kawałek gotowanego mięsa i dynda nim kotu nad głową, kusząc go, żeby sięgnął łapą po smaczny kąsek.

– To taka zabawa – wyjaśnia.

Jean-Baptiste kiwa głową, po czym prosi służącą, żeby wszystkie ubrania, porcelanowe pasterki, amatorskie akwarele, muszle morskie, malowane napastrki i wachlarze, każdziuteńki drobiazg przeniosła z pokoju Ziguette do jego własnego, gdzie można je będzie na razie wygodnie przechować.

– A czemu? – pyta Marie.

– Chcę go zająć.

– Jej pokój?

– Tak.

– Dla siebie?

– Tak. Dla siebie. I jeszcze... dla kogoś. Dla kobiety.

– Kobiety?

– Zamieszka ze mną.

– Kobieta?

– Owszem. Kobieta. Czy to takie niezwykle?

– To pana żona?

– Zawarliśmy... umowę. Między sobą. Czy mężczyźni i kobiety, którzy mieszkają razem w faubourg Saint-Antoine, zawsze są po ślubie?

– Nie.

– No to będziemy żyć tak jak oni.

– Będzie pan chciał, żebym wam usługiwała – stwierdza Marie. – Obojgu.

– Coś ci za to dopłacę. Połowę tego, co dostajesz od monsieur Monnarda.

– Kiedy ona przyjedzie?

– Chyba dzisiaj. Może po południu.

– Czyli dzisiaj mi pan zapłaci?

– Dam ci coś, kiedy przygotujesz pokój. Znajdziesz na to czas wśród... innych obowiązków?

Służąca kiwa głową z chytrym uśmieszkiem, wyraźnie podniecona. Kiedy rozmawiali, kot ani na chwilę nie odrywał wzroku od jej ust.

Kunштownie nakłamałszy Lecoeurowi, że musi podjąć pieniądze u złotnika z rue Saint-Honoré, Jean-Baptiste o drugiej wraca do domu. Otwiera drzwi pokoju Ziguette i z ulgą spogląda na otwartą, pustą szafę, na toaletkę, z której znikła ostatnia szpilka, na gołe ściany. Marie świetnie się spisała! Trzeba ją hojnie nagrodzić, żeby starczyło jej na nową sukienkę w dobrym gatunku, w której będzie mogła zadać szyku, kiedy odwiedzi rodzinny dom, jeżeli go w ogóle ma, jakieś miejsce godne tej nazwy.

Czy aby zmieniała pościel? Ściąga narzutę i sprawdza, czy na wałku nie zostały jasne włosy, a potem, idąc za nagłym impulsem, zagląda pod łóżko i znalazłszy tam jakiś wykwintny drobiażdżek, wyciąga go i obraca w dłoniach. Fioletowy atlas. Coś z fioletowego atlasu, z fioletową lamówką. Jakby bucik, rodzaj miękkiego... A zresztą czy to ważne, jak takie coś się nazywa? Nie ma czasu na te dociekania. Jean-Baptiste zwija znalezisko, chowa je do kieszeni i przysiada na rogu łóżka, lecz natychmiast wstaje i podchodzi do okna, wychyla się i spod zmarszczonych brwi wygląda na ulicę, mruczy pod nosem parę niby to dowcipnych słów o kobietach i punktualności, znowu podchodzi do łóżka, idzie do lustra, szczyrzy zęby i uważnie je ogląda, wyjmuje z kieszeni zegarek, stwierdza, że do umówionej godziny został jeszcze kwadrans, siada na łóżku, patrzy na swoje brudne buty, umazane cmentarnym błotem, może z domieszką prochów zmarłych mężczyzn i kobiet, i nagle łapie się na tym, że jego myśli zaprzęta Charlotte doktora Guillotina, ta zakonserwowana nieboszczka, której długie rzęsy sterczą z brzegów szarych, zapadniętych powiek, przypominających stare monety. Co każe mu akurat teraz o niej myśleć? Czy umarli nie mogą choć na parę godzin dać mu spokoju? Dawniej nie myślał o nich wcale, z wyjątkiem ojca...

Do diabła, a co to za stara gęba gapi się na niego z okna naprzeciwko? Lubisz podglądać, co? Doskonale. Jean-Baptiste wstaje i odpowiada zaczepnym spojrzeniem, krzyżuje ręce na piersi i z szyderczą miną wpatruje się w tego z przeciwka, lecz wkrótce nasuwa mu się podejrzenie, że to wcale nie ludzka twarz, tylko coś, co wisi na ścianie, a może po prostu łagodne światło odbite od lusterka, gdy raptem słyszy tętent dziarsko kłusujących koni i rytmiczny turkot kół na resorach. Dorożki mają własną muzykę, a zbliżający się pojazd niewątpliwie jest jedną z nich. Jean-Baptiste skacze do okna, wygląda na ulicę i widzi, że dorożka zatrzymuje się przed domem, a stary woźnica zsuwa się z kozła i podchodzi do drzwiczek, żeby je otworzyć. Po chwili ukazuje się czubek głowy Héloïse. Ciemię.

– A więc jednak – mówi głosem, który w niemal opróżnionym pokoju brzmi sztucznie i obco jak głos aktora.

Na łeb, na szyję zbiega ze schodów, tupocząc po drewnianych stopniach. Madame Monnard wychodzi z salonu i staje na podeście, załamując ręce.

– Czy to dom się pali?! – krzyczy, gdy inżynier mija ją pędem. – Monsieur! Monsieur!

W pierwszych wspólnie spędzonych godzinach czują bolesne skrępowanie, więc każde w duchu zmuszone jest uznać, że popełnili wielką omyłkę. On najpierw za dużo mówi, potem zaś prawie przez pół godziny nie odzywa się ani słowem. Ona siedzi na krześle przy toalecie, a światło spływa jej z ramion. Jean-Baptiste'a dręczy myśl, że nagle nie wie, czemu nie wydaje się aż tak ładna jak podczas wszystkich przypadkowych spotkań na ulicy. Włożyła białą suknię, haftowaną w czerwone i różowe kwiaty. Czy aby jej w tym stroju do twarzy? W górnej części mostka ma znamię, małą skazę, którą próbowała ukryć pod warstwą pudru. Mówi o tym i owym, lecz jej ton pozwala przypuszczać, że inżynier budzi w niej litość. Uprzejmie pyta o jego pracę. Jego praca! Jest przecież tylko odrobinę lepszy od złodzieja trupów. I czy powinien spytać ją z kolei, co tam u niej w pracy?

Światło w pokoju słabnie, przybierając odcień wody w balii praczki. Jean-Baptiste wpada nagle w wielki gniew. Chciałby wygłosić jakąś cierpką, idiotyczną uwagę o kobietach, kurtyzanach, prostytutkach. Powiedzieć coś niewybaczalnego. Ale mówi tylko:

- Pora jeść.
- Tu?
- A gdzieżby indziej?
- Jadasz z Monnardami?
- Oczywiście.
- Może dziś zjedlibyśmy w pokoju?
- I tak kiedyś musisz ich poznać. Równie dobrze może to być dziś.

Na dole w salonie madame Monnard siedzi sama przy kominku. Przez tych kilka tygodni, które minęły od wyjazdu Ziguette, uszło z niej sporo życia. Zdarzają jej się łzawe epizodziki, czasem pochlipuje w zmiętą chusteczkę, wzdycha, spogląda wilgotnymi oczami w dal, a niekiedy mimo woli wydaje coś w rodzaju kociego miauku. Mąż nie pociesza jej w żaden widoczny sposób, może zresztą nikt jej nie niesie pociechy. Madame chwilami zachowuje się wprawdzie, jakby ani trochę nie zdawała sobie sprawy, że świat wokół niej wciąż się kręci, lecz gdy do salonu wchodzi Héloïse Godard, gospodyni okazuje w pełni satysfakcjonujące zdumienie.

Marie mogła była ją oczywiście uprzedzić, ale wołała milczeć. Gość, który po południu zapukał do drzwi, był wedle jej wiedzy po prostu znajomym monsieur Baratte'a, zapewne kimś z cmentarza. Mógł to być ten cokolwiek przerażający jegomość, monsieur Lafosse. A teraz to. To! Nagle, niemal jak senna mara, zjawia się kobieta, której nie można by nawet wymienić z nazwiska (choćby się znało jej prawdziwe) w dobrze wychowanym towarzystwie.

- Madame Monnard, mademoiselle Godard. Mademoiselle Godard od dziś mieszka w

tym domu – oznajmia Jean-Baptiste.

– Mam nadzieję, madame – mówi Héloïse – że nie sprawi to pani zbytniego kłopotu.

– Uzgodnię z pani mężem – dodaje Jean-Baptiste – podwyżkę czynszu.

Madame Monnard kiwa głową. Spogląda to na jedno, to na drugie z rozmówców, miętosząc rożek poduszczeni z lawendą, którą trzyma na kolanach.

– Jaki ładny pokój – zachwycą się Héloïse. – Elegancki, a zarazem przytulny. Jedno z drugim rzadko idzie w parze.

– Co proszę? – szepcze madame.

– Nie jestem znawczynią – zaznacza Héloïse, oblewając starszą kobietę blaskiem swojego uśmiechu, tak hojnie i prosto z serca, że Jean-Baptiste musi spojrzeć gdzie indziej, żeby nie zaskowyczeć z zazdrości.

Bierze ze stołu karafkę i nalewa z niej do dwóch kieliszków. Jeden wręcza Héloïse, ona zaś podaje go madame Monnard, która ujmuje go takim gestem, jakby nigdy w życiu nie trzymała w palcach kieliszka ani nie widziała czerwonego wina.

– Haftuje pani, madame? – pyta Héloïse, wskazując byle jak uściboloną próbkę, która wisi na ścianie obok kominka.

– Czy haftuję?

– Ten ścieg, madame. W dzieciństwie zrobiłam raz taki sam, ale znacznie mniej równo.

– To robótka mojej córki, Ziguette.

Madame Monnard po raz pierwszy od napadu na inżyniera odważyła się wymienić imię córki w jego obecności.

– Widzę, że dobrze ją nauczono – chwali Héloïse.

Madame uśmiecha się z niekłamaną wdzięcznością i szczerą ulgą. I nagle wzbiera w niej bohaterski impuls, wznosząc się z brzucha do serca, a stamtąd do ust.

– Nie wydaje się pani, mademoiselle – mówi, mocniej ściskając poduszczkę – nie wydaje się pani, że dziś było troszkę cieplej? Odrobinę cieplej niż wczoraj?

Héloïse kiwa głową.

– Myślę, madame, że mogło się trochę ocieplić – przytakuje.

Minie pół godziny, unoszone strumyczkiem uprzejmej kobiecej pogawędki, zanim dołączy do nich monsieur Monnard, jak zwykle wnosząc ze sobą do salonu cierpką woń jakiegoś kwasu używanego w nożowniczym rzemiośle. Prezentacji dokonuje jego żona, robiąc to nieomal z zapałem.

– Przyjaciółka monsieur Baratte’a – mówi, pozostawiając inżynierowi dopowiedzenie, że mademoiselle Godard jest nową lokatorką. Że zamieszka u nich. Z nim.

– Zamieszka, monsieur?

– Tak.

– Tutaj?

– Tak.

– W tym domu?

– Owszem.

W tym momencie monsieur Monnard mógłby wszcząć bunt. Mógłby bez ogródek,

pełnym głosem oświadczyć, że nie zamierza ani minuty dłużej znosić obecności tych dwojga pod swoim dachem. Można sobie nawet wyobrazić, że wychodzi z siebie i rzuca się na inżyniera, mociuje się z nim... Lecz chwila mija, bo może monsieur Monnard przełknął oburzenie, przypomniał sobie, jak jego córka leżała w łóżku goluteńka, jagnięco niewinna, a u jej stóp spoczywała skrwawiona sztaba mosiądzu. Strzepuje z rękawa jakiś pyłek i spogląda w okno, przez które widać postrzępione płomienie ognisk, palących się w tę wiosenną noc na cmentarzu Niewiniątek.

– Rozumiem – mówi. – W rzeczy samej.

Siadają do stołu. Marie wnosi tacę i najpierw podchodzi z nią do Héloïse, bo chyba już ma do niej słabość. Zaczynają od zupy z rzodkwi. Głównym daniem są rurkowane kawałki szarego mięsa w sosie tegoż koloru z dodatkiem jakichś gotowanych jarzyn i również gotowanej cebuli.

– Czy to węgorz, madame? – pyta Héloïse, a gdy madame Monnard przytakuje, mademoiselle Godard udaje się wygłosić parę roztropnych, rzeczowych uwag o węgorzach. – To bardzo tajemnicze stworzenia, madame. Nikt ponoć nie wie, gdzie wychowują młode.

– W dzieciństwie – wspomina madame – lubiałam zaglądać do wiader, w których trzymano je na targu. Zachodziłam w głowę, co by było, gdybym włożyła rękę do wody. Czy by mi ją zjadły.

– Niech je diabli – warczy monsieur Monnard.

– Monsieur? – mówi Héloïse pytającym tonem.

– Nie wydaje mi się, żebym coś mówił, mademoiselle.

– Mąż – zaczyna madame Monnard – ma duży zakład na rue Trois Mores. Noże od zwykłych do wykwintnych. Père Poupart z Saint-Eustache kroi mięso jednym z noży mego męża.

– Widziałam go, madame. Ten zakład. Wszyscy mówią, jaki jest znakomity.

– Zna pani père Pouparta? – pyta madame, jakby zdołała tymczasem wykonać taką umysłową woltę, że już w ogóle nie pamięta, do kogo mówi.

– Minęliśmy się parę razy na ulicy, madame.

– Przemawia pięknym głosem. Zdaje się, że moja córka nim się rozkoszowała.

– W takim wielkim kościele potrzebny jest mocny głos.

– Ależ tak, mademoiselle. Tak, to nader słuszna uwaga.

– A to drań! – wrzeszczy monsieur Monnard, zrywając się z miejsca.

Zarażony panującą w pokoju atmosferą ledwie powściąganą anarchii, Ragoût wskoczył na stół i ściągnął monsieur Monnardowi z talerza kąsek węgorza. Ucieka z łupem pod fortepian. Monsieur Monnard korzysta z nadarzającej się wreszcie okazji, żeby uzewnętrznić targające nim uczucia, i rzuca talerzem w kota, lecz robi to ze zbyt wielką furią. Talerz trafia w bok instrumentu i spada deszczem porcelany oraz szarego sosu. W zapadłej nagle ciszy Jean-Baptiste wstaje od stołu. Po chwili Héloïse idzie za jego przykładem.

– Musi pani być zmęczona po podróży, mademoiselle – mówi lekkim tonem madame



Monnard.

– Miło, że pani o tym pomyślała – odpowiada Héloïse, chociaż przejechała zaledwie pół tuzina ulic. – Dobranoc, monsieur – dodaje.

Monsieur Monnard kiwa jej głową i coś tam stęka, ale nie odrywa wzroku (bo może to ponad jego siły) od tego miejsca na podłodze, gdzie Ragoût zdążył już połknąć kęs węgorza i teraz starannie zlizuje sos z co większych kawałków talerza.

Idą na górę do pokoju – do swojej wspólnej sypialni, jeżeli to określenie jest na miejscu. Wieczór ani sam pokój nie są szczególnie zimne (zaledwie kilka tygodni temu widać by było buchającą z ust parę), ale Jean-Baptiste klęka na dywaniku przed kominkiem i zaczyna układać polana. Kiedy te zajmują się ogniem, wstaje i patrząc w płomień, oznajmia Héloïse, że musi wrócić na cmentarz.

– Teraz?

– Będą ładować wozy.

– Długo tam zabawisz?

– Ile będzie trzeba.

– I nikt nie może cię wyręczyć?

– Nie w tym rzecz.

Wychodzi w pośpiechu. Ona patrzy na zamknięte drzwi i słucha jego kroków na schodach. Po chwili słyszy łoskot zamykanych drzwi na ulicę. Przez parę minut siedzi nieruchomo, z twarzą bez wyrazu. Podnosi rękę i ściera z oczu dwie łzy, bo nie chce ich uronić, a potem podchodzi do toaletki. Rozluźnia madrasową wstążkę we włosach i na nowo je związuje, zrzuca buty, masuje zewnętrzną krawędź prawej stopy, tam gdzie but ją uwiera, i zaczyna rozpinać haftki, rozsznurowywać gorset, majstruje przy oczkach i kokardach, wyjmuje szpilki, aż zostaje tylko w halce, koszuli i pończochach. Otwiera haftowaną torbę (jedną z trzech dużych toreb, w których przywiozła wszystkie swoje rzeczy), po czym wyjmuje z niej pikowany szlafrok, miękkie skórkowe pantofle, butelkę wody pomarańczowej i ściereczkę. Przeciera twarz, szyję, pachy i śródpiersie wodą pomarańczową. Sedes stoi w rogu pokoju, za parawanikiem z bawełnianej plecionki rozpiętej na drewnianej ramie. Héloïse siada na nim, a kiedy już się załatwi, przemywa wodą pomarańczową fałdki w górnej części ud. Za kilka dni zacznie jej się miesiączka: już czuje, jak wzbiera w niej ta lekka ociężałość, lekkie obrzmienie. Znała mężczyzn, którzy brzydzili się kobiecym krwawieniem, podczas gdy innych (i z nimi właśnie był większy kłopot) szczególnie ono pociągało. Przypuszcza, że inżynier tak jak większość postara się w ogóle o tej sprawie nie myśleć.

Zapina szlafrok, szturcha ogień pogrzebaczem i rozgląda się po pokoju. Widać, że inżynier dotychczas w nim nie mieszkał, bo nie ma tam żadnych jego rzeczy. Szafa jest pusta (Héloïse na razie jeszcze nie wiesza w niej sukienek). Ani śladu męskiego rozgardiaszu. Chętnie rzuciłaby okiem na to ubranie, w którym go raz widziała, to w kolorze dzikiej sałaty, ale w pokoju nie ma nawet jego koszuli. Czyj to zatem był dotąd pokój, skoro nie jego? Mogłaby zgadywać i zapewne zgadłaby trafnie, ale jutro weźmie na spytki tę dziwną pokojóweczkę. Ona wszystko będzie wiedziała.

Dobrze, że chociaż okno wychodzi na ulicę, a nie na cmentarz. No i nie miała na rue de la Lingerie żadnych klientów – nikogo, kogo głupio by jej było przypadkiem spotkać. Głupio i kłopotliwie. Nie żeby zamierzała z jakiegokolwiek powodu wpadać w zakłopotanie. Porzuciła dawne życie (dawne, czyli to sprzed zaledwie paru dni), ale nie zniży się do udawania, bo to dopiero byłaby hańba. Żyła publicznie, była kobietą publiczną prawie przez cztery lata, w pełnym świetle ludzkich spojrzeń poświęcała się karierze, do której rodzice jeżeli nie słowami, to na pewno uczynkami przysposobili ją w oberży przy drodze z Paryża do Orleanu. Ale cztery lata to wystarczająco długo. Nauka nie poszła w las. Żal i wściekłość przebyły swój szlak. Przeciągnęła je przez własne wnętrze niczym kolczasty krzew, aż ją wyszorowały, pozostawiając tysiąc maleńkich blizn, lecz nie zabiły. A teraz to. Nowe życie. Nowe życie z obcym szarookim niezgrabiaszem, z którym, o dziwo, czuje się jak z dobrym znajomym. Z obcym, który jej chce (ona sama nie ma co do tego poważniejszych wątpliwości), i to nie tylko w pierwszy wtorek miesiąca, tak jak stary Ysbeau...

Na myśl o bukiniście sięga do haftowanej torby, wyjmując z niej dwie książki, podchodzi z nimi do toaletki, siada i przysuwa sobie świecę. Którą by tu poczytać? *Le diable amoureux* Cazotte'a? Czy *Newtonizm dla dam* Algarottiego? Dziś wieczór może raczej pozostanie przy Algarottim i Newtonie. A gdy Jean-Baptiste wróci, będzie mogła go uspokoić, prosząc, żeby jej coś z tej lektury objaśnił (to mu sprawi przyjemność; oni wszyscy lubią takie pytania). Sadowi się wygodnie, odnajduje miejsce, do którego ostatnio doczytała, i ma już zacząć rozdział o optyce, gdy raptem słyszy drapanie w dolną część drzwi.

Nie idzie na cmentarz i wcale tam iść nie zamierzał. Rusza w przeciwną stronę, w kierunku Palais Royal. Musi się przejść, pomyśleć, żeby uwolnić się od myślenia. Czy znowu zaczyna go boleć głowa? O dziwo, nie.

Jakże ona musi gorzko żałować, że do niego przyjechała! Ta kolacja! Czysta groteska! A najgorsze było jego własne zachowanie: tępe, chamskie. Jakby jej nie cierpiał! Jej, za którą tęsknił przez całą zimę! Czemu nie można niczego po prostu chcieć, po prostu pragnąć bez żadnych sprzeczności, żadnego niewytłumaczalnego sprzeciwu w jakimś niezbadanym zakamarku serca? A teraz uciekł, zamiast zrobić to, co każdy prawdziwy mężczyzna czynić powinien w towarzystwie takiej kobiety jak Héloïse Godard. Armand chędożyłby ją już drugi raz, aż z okien leciałyby szyby. To oczywiście paskudna myśl, Armand z Héloïse... Jeżeli kiedyś tknie ją palcem...

W Palais Royal nocne powietrze drży od nadmiaru światła. Pochodnie, żyrandole, sznury chińskich lampionów. Gdyby dało się tak oświetlić cmentarz, mogliby kopać po całych nocach. Nając jeszcze trzydziestu ludzi, żeby spali i kopali na dwie zmiany: od świtu do zmierzchu i od zmierzchu do świtu. Na niektórych pokładach w Valenciennes tak właśnie pracowano: mężczyźni i kobiety, pompy i konie, na okrągło. Bóg świadkiem, że trzeba coś wymyślić, wprowadzić jakąś innowację, bo inaczej nadejdzie nowe stulecie, a oni wciąż będą wykopywać nieboszczyków.

Przedziera się przez tłum, ocierając się czarnym surdudem o zielone i czerwone, srebrne

i złote tkaniny. Spośród ciżby wypływają na chwilę pojedyncze twarze. Grubo upudrowany mężczyzna pokazuje inżynierowi czubek języka. Dwie kobiety, które są może kurtyzanami i mają mieszkania na parterze, teraz zaś dla zabawy drażnią się z małą przykutą srebrnym łańcuszkiem do spiczastego słupka, przerywają te igraszki i przelotnie na niego spoglądają...

Przed Café Corezza młodzieniec o włosach koloru zboża przemawia, stojąc w chwiejnej równowadze na krześle. Co mówi? To co zwykle. O ludzkich sercach, wymaganiach Natury, obietnicach filozofii, przeznaczeniu ludzkości, niezwykłej sprawiedliwości, cnocie... Czyżby wspomniał nazwisko Bêche'a? Bêche'a Mściciela? Nie sposób czegokolwiek wyraźnie usłyszeć w ogólnym harmidrze, wśród plotek, śmiechów, nierównych kroków ładacznic i szlachty, muzyki paru małych orkiestr, grających na dziedzińcu.

Wchodzi do l'Italien, znajduje miejsce przy porcelanowym piecu i zamawia koniak. Ostatnio chyba szybciej go obsługują. Czy zawdzięcza to czarnemu ubraniu? Tej czarnej surowości, która nadaje mu wygląd po trosze księdza, a po trosze funkcjonariusza – posiadacza tajemniczej władzy? A może przyczyną jest to coś, co wydobyła z niego Ziguette Monnard? Nowo odkryta gotowość, żeby przycisnąć człowiekowi klucz do gardła? Przemoc budzi szacunek. Tego już się nauczył o świecie. Może ona być nawet jedną z tych cnót, o których rozprawiał stojący na krześle młodzian. Jaśnie panowie aż po sprzączki butów brodzący we krwi kłaniają się sobie, czyniąc nawzajem pod swoim adresem un beau geste. Cnotliwa przemoc. Jej cnotliwa nieodzowność. Przemoc jako obowiązek. Jest zapewne właśnie tym, co nadchodzi.

Sięgając do kieszeni, żeby zapłacić za koniak, wyciąga atlasowy niby-bucik Ziguette. Kelner częstuje go ledwie dostrzegalnym uśmiechem w klasycznie kelnerskim stylu. Po wyjściu z kawiarni Jean-Baptiste przechodzi między kilkoma mandolinistkami, naznaczonymi rodzinnym podobieństwem, porzuca atlasowy drobiażdżek na parapecie salonu numer siedem i oto znów jest w ciemnościach, w raptownej ciszy uliczek na tyłach La Bourse. Łyk koniaku go otrzeźwił. Już wie, czego chce. Dociera do przypór kościoła Saint-Eustache i dalej rusza biegiem.

Kiedy wchodzi do pokoju, przez chwilę jest zawiedziony, że kobieta wydaje się mniej nieszczęśliwa, niż się spodziewał. Właściwie wcale nie sprawia wrażenia nieszczęśliwej. Uśmiecha się do niego z całym spokojem, pokazując mu książkę ponad głową Ragoût. Potężne kocisko leży zwinięte w zgrabny kłębek na jej kolanach, a ona wskazuje palcem jakieś słowo w połowie stronicy.

– Nie widzę go – mówi Jean-Baptiste.

– Bo nie patrzysz na nie – odpowiada kobieta.

– Nie możesz go przeczytać?

– Refrakcja.

– A! – śmieje się Jean-Baptiste. – Tak. Wiem. Refrakcja. Zmiana kąta padania światła za pomocą soczewki.

Wynosi kota na korytarz i stawia na podłodze. Ragoût wstrząsa się z obrzydzeniem, a

on wraca do pokoju, zdejmując buty, surdut, kamizelkę. Siadają obok siebie na łóżku. Ona ślini dwa palce i gasi świecę. Wystarczy blask z kominka. Kładą się. Całują. Cudze usta z początku wydają im się zimne, a po chwili ciepłe. Héloïse, jak łatwo zgadnąć, wprawnie odpina guziki. Jean-Baptiste mocuje się ze spodniami i w końcu je ściąga, wtula twarz w jej piersi i przywiera do niej. Ona delikatnie wyplątuje się z jego objęć i podciąga koszulę, zbierając ją w fałdy na wysokości bioder. Kiedy Jean-Baptiste ośmiela się tam spojrzeć, widzi na skórze jej ud odblask płomieni. Pod koszulą jest twardy jak butelka, aż za twardy. Pod jej dotknięciem prawie natychmiast spazmatycznie się skręca ze zdławionym okrzykiem, jaki mógłby mu się wyrwać, kiedy Ziguette Monnard uderzyła go liniałem w głowę.

Dopiero po tygodniu, podczas nieoczekiwanego zbliżenia po południu, kiedy oboje są tylko trochę rozebrani, wreszcie w nią wchodzi. A gdy już w niej tkwi, spuszcza głowę i lekko stykają się czołami. Ona wiedzie kciukiem po jego bliźnie, prędze odnerwionej skóry. Od tej chwili w głębi duszy będzie uważał tę kobietę za swoją żonę.

Na Niewiniątkach raptem przybyło szczurów. Raz po raz je się widuje. Guillotin twierdzi, że się wynoszą z cmentarza. Górnicy zaopatrują się w koty. W każdym namiocie jest co najmniej jeden, chociaż chyba nawet Lecoeur nie wie, skąd je wzięli. Może od swoich sobotnich kobiet, murw. Inżynierowi chwilami się wydaje, że Ragoût też o zmroku patroluje cmentarz, ale z daleka wszystkie koty są do siebie podobne. Nocami staczają homeryckie boje. Jeden ginie w walce, lecz podobny los spotyka wiele szczurów, a ich zwłoki, całe lub rozszarpane, poniewierają się w coraz dłuższej trawie albo leżą niczym trofea na schodach kostnic.

W sąsiedztwie południowej kostnicy otwiera się kolejny wykop, już czternasty. Inżynier postanawia też wtargnąć do pierwszej prywatnej krypty. Dobiera małą ekipę, w której skład wchodzi Slabbart, Biloo, Block i Everbout, po czym prowadzi ją do zachodniej kostnicy, pod okna domów rue de la Lingerie. Zaczynają od grobowca rodziny Flaselle, zamurowanego w 1610 roku. Dłutami i drewnianymi młotkami rozbijają zaprawę, obluźwiają wierzchnią płytę, a następnie podważają ją długim stalowym prętem z końcówką w kształcie klina i ciągną go w dół, dopóki płyta nie drgnie. Spuszczają drabinę, ta jednak ledwo sięga dna. Krypta ma widocznie arystokratyczne rozmiary. Pierwszy schodzi Jan Biloo. Po drodze jego pochodnia zaczyna migotać, a na dolnych szczeblach gaśnie. Wołają; nie odpowiada. Jean-Baptiste i Jan Block schodzą po niego. Wstrzymują oddechy jak poławiacze przegrzebków. Odnajdują go po omacku i wciągają jak martwe brzemie po drabinie, dopóki nie znajdzie się w zasięgu rąk Everbouta i Slabbarta. Prawie natychmiast przytomnieje, lecz jeszcze przez kilka minut on, inżynier i Jan Block siedzą w kucki na trawie przed kostnicą, plując i łapczywie chwytając powietrze.

Potem w kuchni grabarza Jean-Baptiste szkicuje projekt aparatu do oddychania – maski wyposażonej w filtry z oczyszczonej wełny jagniąt lub sproszkowanego węgla drzewnego. A może trzeba obmyślić bardziej rozbudowane urządzenie: zamknięty kaptur z rurą doprowadzającą powietrze i uchylnym zaworem, przez który będzie uchodziło zużyte. Próbuje zainteresować swoimi pomysłami Lecoeura, ten jednak przebywa myślami gdzie indziej.

– Pan Lecoeur jest bardzo zmęczony – mówi Jeanne, może trochę ostrzej, niż zamierzała. – Wszyscy są bardzo zmęczeni.

Inżynier przytakuje skinieniem głowy. Dziewczyna oczywiście wie o Héloïse Godard; wie o niej przecież cała dzielnica, choć tylko Armand gotów jest z nim o tym rozmawiać. Składa szkic i chowa go do kieszeni.

Lecoeur z rozmarzeniem uśmiecha się do nich obojga.

– My, Lecoeurowie – zaczyna. – My, Lecoeurowie...

A potem wzrusza ramionami, odwraca się i znowu patrzy w okno.

Co rano w płynnym półświecie wiosennego świtu budzi się z beztreściwego snu u boku Héloïse. Czasem po przebudzeniu napotyka jej uważne spojrzenie, uśmiech. Kiedy indziej to on budzi się pierwszy i leży nieruchomo, wpatrzony w urocze niedoskonałości jej twarzy, w niedostępną tajemnicę zamkniętych oczu. A gdy Héloïse je otwiera, jej wzrok, jeszcze głęboko tkwiący we śnie i w sennych marzeniach, często bywa zabarwiony smutkiem, choć ona się tego smutku wypiera, ilekroć Jean-Baptiste pyta o jego przyczynę. Leżą chwilę z suchością w ustach, rozmawiając o poufnych błahostkach. Suchymi ustami troszkę się całują. Dla Jean-Baptiste'a ten dar poranków, psie ciepło pod kołdrą, śpiew ptaków siedzących na dachach u sąsiadów, nowy rytm serca w wałku pod głową jest lekarstwem. Inżynier prawie nie zauważa, ile rzeczy przestał dostrzegać, ilu spraw tego świata, który rozciąga się poza czterema ścianami pokoju, przestał należycie doglądać.

Kiedy Marie pamięta przynieść im śniadanie, jedzą razem w pokoju. Gdy o tym zapomina, Héloïse zostaje w łóżku, a inżynier je na cmentarzu z Jeanne, Manettim i Lecoeurem. Nieustannie fascynuje go to, jak ona spędza czas pod jego nieobecność. Żaden szczegół nie jest zbyt trywialny. Nie wystarcza mu wiadomość, że madame Monnard oszukuje, grając w tryktraka. Chciałby dokładnie wiedzieć, jak ona to robi. Kostkami? Pionkami? A gdy kobiety przez całe popołudnie siedzą we dwie przy oknie i haftują, pyta, co mianowicie haftowały i w jakie wzory. Pączki róż? Zygzaki? Pawie ogony?

– O czym rozmawiacie?

– Oczywiście o tobie.

– O mnie?

– Nie. O tobie nigdy.

– O Ziguette?

– Czasami.

– I o monsieur Monnardzie?

– Czasem o nim też. I o cenie chleba, o szansach na deszcz, o tym, czy na zatwardzenie najlepszy jest senes, czy raczej szakłak.

– Dzięki tobie znów jest szczęśliwa.

– Nie, Jean. Nie jest. Sam wiesz, że nie.

Miesiąc po przybyciu do domu na rue de la Lingerie Héloïse siedzi w łóżku, popijając kawę z czarki malowanej w róże, i nagle oświadcza, że chciałaby pójść do teatru. Przecież jej to obiecał. Jean-Baptiste potakuje skinieniem głowy. Idzie z tym do Armanda, bo on powinien coś wiedzieć o teatrach.

– Odéon – mówi organista, gdy stoją we dwóch w zielonym rombie słońca przy kazalnicy krzyżu. – Grają tam sztukę Beaumarchais. On jest nasz.

- Należy do partii przyszłości?
- Oczywiście. Wybiorę się z wami. Lisa też pójdzie. Inaczej nie wiedziałbyś, jak się zachować.
- Nie mam nic przeciwko waszemu towarzystwu.
- Mademoiselle Godard za mało cię jeszcze zna. Nie przyjrzała ci się tak dokładnie jak ja.
- Powiedz, Armandzie, czy twoim zdaniem Héloïse też należy do partii przyszłości?
- Héloïse? Ona i Lisa znajdują się w gronie jej królowych.
- A moje członkostwo?
- O, dowiesz się, drogi dzikusie.
- Dowiem się? Od kogo?
- Dadzą ci to odczuć okoliczności. Sam poznasz po tym, co zrobisz, a czego zaniechasz. Z czasem każdy z nas odsłoni swoje prawdziwe oblicze.
- Mówisz teraz jak pastor. Ten, którego kazań słucha moja matka.
- A cóż on takiego mówi?
- W mieście ostało się jeno spustoszenie, a brama w gruzy rozbita... Kto umknie przed szczękiem sideł, do dołu się osunie; a jeśli zeń się wydobędzie, w potrzask wpadnie...

Po czterech dniach Jean-Baptiste i Héloïse stroją się na wieczór do teatru. On nie ma nic barwniejszego niż to czarne ubranie. Ona się z nim droczy. Gdzie podział ten surdut koloru zupy z groszku? Pistacji, prostuje Jean-Baptiste, obranej pistacji. Zwrócił go krawcowi. Dobrze – chwali kobieta. W zielonym nie było ci do twarzy.

Jadą dorożką przez most. Armand i Lisa siedzą tyłem do koni, a Jean-Baptiste i Héloïse – przodem. Kobiety po raz pierwszy spotkały się w sieni u Monnardów, uważnie się sobie przyjrzały w jej drewnianym półmroku i najwyraźniej postanowiły się polubić – ku wielkiej uldze Jean-Baptiste’a, który nabrał tymczasem głębokiej wiary w trafność sądów Lisy Saget.

Oba okna dorożki są spuszczone. Wieczne słońce kładzie się na rzece. Na Pont Neuf wolno przelewa się tłum. Ilekroć dorożka musi się zatrzymać, nieznajomi przelotnie zagląдают do jej okien. Jakaś dziewczyna w słomianym kapeluszu wskakuje na stopień i wsuwa przez okno rękę, w której trzyma bukietki kwiatów. Armand nalega, żeby Jean-Baptiste kupił dwa największe, najładniejsze. Od cmentarza dzieli ich tysiąc kilometrów, a tamtejsze wykopy i mury z kości są jak fantazmaty, jak dawne zmartwienie, od którego nareszcie się uwolnili. Czy nie mogliby dalej tak jechać? W tydzień zajechaliby do Prowansji, a tam już słońce wypaliłoby ich do czysta. A może by tak przez Alpy do Wenecji? Przepłynęliby we czwórkę gondolą pod mostem Rialto...

Dorożka staje przed schodami teatru, z rozpędu jeszcze przez chwilę kołysząc się na resorach. Obie pary mieszają się z tłumem, przepływającym między białymi kolumnami. Jean-Baptiste jeszcze nigdy nie był w Odéonie (ukończonym zaledwie przed czterema laty). Ani w Comédie-Française czy w innym znakomitym teatrze. Ostatnim spektaklem, jaki widział, było jedno z prostackich widowisk urządzanych dwa razy na rok w Bellême przez tę lub tamtą trupę wędrownych aktorów, którzy przybywają z hałasem (rycząc,

trąbiąc w rogi myśliwskie), a wyjeżdżają cichcem (zabierając ze sobą skradzione kury, zwęzione jabłka i dobre imię paru miejscowych dziewcząt).

Tutaj, hmm, jest bardziej jak w Wersalu, lecz oczywiście mniej teatralnie. Fagas w obcisłej lawendowej liberii prowadzi ich do łoży, a choć jest źle wychowany i ma obraźliwie niedbały sposób bycia, nie wyjdzie, póki nie dostanie napiwku. Łoża jest ciasna i słabo z niej widać scenę. Pod ścianą stoi nieopróżniony nocnik. Knotów świec nie przycięto, a jeden z foteli wygląda, jakby podczas niedawnego przedstawienia na chwilę zajął się ogniem. Ale wszystko to nie ma znaczenia. Nic nie zdoła zburzyć ich dobrego nastroju. Zadowolonemu z napiwku fagasowi każą przynieść wino i...

– Co tam jeszcze macie? – pyta Armand.

– A co by państwo chciało? Pomarańczy? Pieczonej kury? Ostryg?

– Tak – mówi Armand. – Wszystkiego po trochu.

Widownia się zapełnia. Z dołu dobiega harmider. Ludzie nawołują się, machając sobie kapeluszami i wachlarzami. Niektóre kobiety drą się jak pawie. Przy balustradzie przed sceną dochodzi do szamotaniny.

– Przyjaciele autora – mówi Armand tonem człowieka dobrze poinformowanego. – Szarpia się z jego wrogami.

Wkraczają do akcji lawendowe liberie. Wynoszą jakiegoś mężczyznę, który wywija rękami i nogami jak chrząszcz przewrócony na wznak.

– Przyszedł minister – cicho mówi Jean-Baptiste. – Siedzi w łoży naprzeciw sceny.

– To ten z twarzą jak topór? – pyta Armand.

– To on – przytakuje Jean-Baptiste. – Ale nie gap się. Nie chcę, żeby po mnie posłał.

– Masz takie samo prawo tu być jak on – wtrąca Héloïse.

– Tak czy owak – odpowiada Jean-Baptiste – nie chcę nim sobie dziś zawracać głowy.

Rozsiadają się wygodnie. Za kurtyną muzycy stroją instrumenty. Inżynier nie wspomina o mężczyźnie, który siedzi w łoży obok ministra, młodzieńcu w mieniącym się surducie. Nazwisko Louisa Horatia Boyer-Duboissona i tak nic by im nie powiedziało.

Najpierw oglądają krótką, gorączkową pantomimę, a po dłuższej przerwie zaczyna się wreszcie sztuka. Widzowie siedzą w blasku pięciuset świec, oczarowani, zniecierpliwieni, troszkę znudzeni. Inżynier, Armand, Héloïse i Lisa Saget wysysają sok z pomarańczy, ogryzają kości pikantnie przyprawionej kury i rzucają je pod fotele. Jean-Baptiste gubi się w zawłościach fabuły, a chwilami zupełnie ich nie rozumie. Kim właściwie jest Marcelina? Dlaczego Zuzanna nie może wyjść za Figara? A któż to chowa się w tej szafie? Héloïse cierpliwie mu wszystko objaśnia, szepecząc do ucha. Inżynier kiwa głową. Patrzy na widzów: na to, jak oni patrzą. Czy gdyby byli martwi, bez piór i wachlarzy, mieczów, lasek, wstęg i klejnotów, odarci do goła i zrzućeni na stos jak półcie boczk, nie zmieściliby ich wszystkich w jednym wykopie? Łapie się na tej myśli; czuje, że burzy mu ona spokój; pozwala jej odpłynąć.

Fagas przynosi drugą kurę i znowu wino, a do tego migdały o smaku aromatyzowanych trocin. Inżynier jest wstawiony. Klęka, żeby wysikać się do nocnika, który stoi pod tylną ścianą łoży; sika w cudzą zimną urynę, a wróciwszy na fotel, stwierdza, że Zuzanna



jednak wyjdzie za Figara.

– Czyli ich życzenie się spełni? – upewnia się, lecz to pytanie ginie w zgiełku braw i wznowionych bójek.

Ostrożnie się wychyla, żeby zobaczyć, jak ministrowi podobala się sztuka. Minister wstał. Stojący obok niego Boyer-Duboisson szepcze mu do ucha. Minister się śmieje. Boyer-Duboisson odsuwa się o krok, również się śmiejąc. Na parterze widzowie przepychają się przez drzwi. Z góry wyglądają jak pomyje spływające do otworu w zlewie. Nie przestając się śmiać, minister kładzie sobie dłoń na piersi, jakby chciał się pohamować, i mimochodem spogląda ku łożu, z której patrzy Jean-Baptiste. Czy dygnitarz widzi inżyniera? Swojego inżyniera? Czy w ogóle by go poznał? I wciąż nie może przestać się śmiać. Jakby tylko śmierć mogła położyć kres takiemu gejerowi rozbawienia.

Po wyjściu z teatru nie sposób złapać dorożki. Wędrują wąskimi zaułkami, prawie nie dbając o to, dokąd zjadą, i w końcu trafiają (akurat gdy kobietom zaczynają dokuczać przyciasne buty) na Ile de la Cité. Jedzą po misce flaków, kupionych w nocnym straganie pod murami Conciergerie, a potem wynajmują lekką łódź i każą wioślarzowi zawieźć się po czarnej wstędze rzeki do schodów pod Pont Neuf.

Wchodzą po zdradliwych stopniach, potykając się, i na rue Saint-Honoré wśród uścisków i obietnic rychłej powtórki – już wkrótce, wkrótce! – wreszcie się rozstają.

W domu Jean-Baptiste zapala świecę i rusza przodem, a za nim podąża Héloïse. Oboje rozdzierają ziewają, idąc po schodach do sypialni. Gdy mijają salon, jego drzwi otwierają się i staje w nich Marie.

– Jakaś dziewczyna o pana pytała – oznajmia.

– Dziewczyna? – dziwi się Jean-Baptiste. – Jaka znowu dziewczyna?

– No przecie nie Ziguette – odpowiada służąca, wybuchając piskliwym śmiechem. Wśród cieni padających od świecy jej twarz wygląda jak przywdziana w pośpiechu maska.

– Może lepiej – mówi Jean-Baptiste – żeby monsieur Monnard nie wiedział, że dobrałaś się do jego wina. Chociaż Bóg wie jakim cudem zdołałaś się nim upić.

– Pan to się udał – pada odpowiedź. – Zanim pani tu nastąpiła, po całych nocach gadał do siebie – dodaje Marie, zwracając się do Héloïse. – Mru, mru, mru. Bidulka Ziguette w końcu przez to zwariowała. – Służąca siąka nosem.

Héloïse podchodzi do niej i bierze ją za rękę.

– Ale co to była za dziewczyna? – pyta. – Ta, co tu dzisiaj przysłała?

– O, odprawiłam ją – mówi Marie. – On tera ma przecie panią, prawda?

– Tak – cicho potwierdza Héloïse. – Tak.

Miał zamiar – a nawet postanowił, kiedy sunęli po rzece – spędzić noc, a przynajmniej sporą jej część, pilnie buszując w swojej Héloïse, lecz gdy położył się do łóżka, już po kilku minutach (leży na boku, patrząc, jak ona się rozbiera, i słuchając jej snuty na głos domysłów co do tożsamości tajemniczej panny, która o niego pytała) zasnął i oto po raz pierwszy od czasu napadu coś mu się zaczyna śnić.

Jest z powrotem w teatrze i idzie korytarzem za lożami, stąpając po wystrzępionym czerwonym chodniku. Szuka łoży ministra. Niesie dla niego wiadomość, ważną wiadomość, i musi ją przekazać osobiście, ale na błyszczących drzewczkach łóż brak numerów i nie ma kogo spytać. I nagle, tak jak to bywa w snach, widzi kogoś, jakiegoś chudego drąga, opartego o ścianę pod płonącym kandelabrem... Czyżby Renard? Podrzutek? Trudno go z kimkolwiek pomylić. Chuderława szyja, owinięta kołnierzem z zatłuszczonego futra, i ten wąski uśmiezek... Renard kłania się Jean-Baptiste'owi, wskazując mu drzwi naprzeciwko, po czym odwraca się i spiesźnie odchodzi pustym korytarzem. Inżynier po cichu, bez pukania ani skrobania, otwiera drzwi łoży i wślizguje się do środka. Jest tam tylko jakieś mętne, pulsujące światło, jakby odbłask pożaru trawiącego parter, ale dość wyraźnie widać ministra i Boyer-Duboissona, którzy siedzą obok siebie w przedniej części łoży. Nie słyszeli, jak wszedł? Czyżby aż tak pochłonął ich spektakl? Jean-Baptiste wyjmuje z kieszeni wiadomość. Ma ona swoją wagę, ostrość i błysk. Inżynier podchodzi do ministra, staje za nim i delikatnym, lecz stanowczym gestem zasłania mu dłonią oczy, czując pod palcami trzepot powiek. Tylko bez nerwów. Dość już wahań. Jest wszak wiejskim chłopakiem i wielokrotnie widywał takie sceny. On i jego brat nieraz siedzieli i patrzyli, jak przez zimowe pola idzie rzeźnik na świniobicie, niosąc sznury i komplet noży w zrolowanym futerale z płótna. Gdy bierze się do roboty, minister wierzga nogami jak podekscytowane dziecko...

Budzi się, wynurzając się z siebie, jakby wrzucony w przestrzeń bardziej zwodniczą niż sen, i już próbuje się wytłumaczyć, usprawiedliwić. Wpatruje się we własne dłonie, w pościel, ale wszystko jest nieskalanie czyste, dziwacznie zwyczajne. Héloïse trzyma go za ramiona i przyciska do materaca. On patrzy na nią, mrugając oczami i nie przestając bełkotać, ale kobieta nie słucha, lecz sama usiłuje coś mu powiedzieć – może swój własny sen.

– Zamilcz – mówi. – Zamilcz i chodź, Jean. Chodź. Czekają na ciebie.

Inżynier siada na łóżku. Marie ze świecą stoi w drzwiach, chyba już całkiem ubrana. Ciągnie zza niej z podestu do pokoju zimne, gnuśne powietrze.

Héloïse podaje mu spodnie. On posłusznie je wkłada. Dziwne, że nie może się do reszty obudzić. Czyżby zachorował? Czy to dlatego? Zjadł w teatrze nieświeżą ostrygę? Kurę? Nie. Nie czuje się chory.

Kobieta klęka i zapina mu nogawki. Z guzikami kamizelki radzi sobie sam. Jego zegarek leży na podłodze przy łóżku. Jean-Baptiste schyla się po niego i pstryknięciem palca podnosi wieczko.

– Pół do piątej rano – stwierdza.

Na takie dictum należałoby przecież odpowiedzieć paroma słowami wyjaśnienia, ale wszyscy milczą.

– No dobrze – mówi inżynier, wstając.

Przeciera dłonią twarz, bierze od Héloïse kapelusz i wychodzi za Marie na podest. O nic jej nie pyta. Dość dobrze ją zna, żeby wiedzieć, że mogłaby po prostu coś zmyślić.

Piętro niżej monsieur Monnard w przekrzywionej szlafmocy stoi przed drzwiami

swojej sypialni.

– Nie możemy mieć chwili spokoju? – pyta ochryple, może nawet łzawo. – Moja żona, monsieur, moja żona jest bardzo...

– Wracaj pan do łóżka – rozkazuje Jean-Baptiste.

W ciemnej sieni niecierpliwie czeka jakaś wysoka, chuda postać. Inżynier bierze od Marie świecę i podnosi ją nieco wyżej.

– On nie mówi po francusku – oznajmia służąca.

– Ależ mówi – odpowiada Jean-Baptiste.

Gdy jednak Jan Block zaczyna z wielkim pośpiechem wyjaśniać, co go sprowadziło o pół do piątej rano, inżynier z najwyższym trudem go rozumie, korzystając z niewielkiego, choć stopniowo rosnącego zasobu flamandzkich słów, które zdołał już poznać. Na cmentarzu zdarzył się wypadek. Tak. Jakiś wypadek czy incydent. Jeanne jest ranna. Monsieur Lecoeur nią się opiekuje... albo nie. Monsieur Lecoeur wcale się nią nie opiekuje. Monsieur Lecoeur w rzeczy samej – co? Uciekł?

– Dosyć – przerywa Jean-Baptiste, odstawiając świecę na stół w sieni i ruszając w stronę drzwi na ulicę. – Sam zobaczę.

Nad ulicą, jak nieraz przed świtem, wisi mleczna mgła, jakby chmura zrzuciła skórę; mgła wilgotna, miazmatyczna, skrapla się im obu na twarzach. Block doszedł już do rogu ulicy. Ogląda się za siebie, milcząco ponaglając inżyniera.

– Nie będę biegł, niech mnie diabli – mówi Jean-Baptiste raczej do siebie niż do Blocka.

Usiłuje sobie wyobrazić, jakiego rodzaju wypadek mógł zdarzyć się Jeanne w środku nocy. I jeszcze ten Lecoeur. Dlaczego znikł, do diaska? A może Block chciał powiedzieć, że tamten pobiegł po pomoc? Może nawet po Guillotina albo Thoureta. To by nadawało całej tej historii pewien zrozumiały sens, ale chociaż inżynier jeszcze nie dokończył tej myśli, już wie, że prawda jest zupełnie inna.

Furta cmentarna stoi otworem, lecz po drugiej stronie wszystko wygląda dość zwyczajnie. Ognisko pod kazalniczym krzyżem płonie, tak jak płonęło przez wszystkie minione tygodnie. Kościół jest tym co zawsze obłąkanym cieniem. I nagle Jean-Baptiste dostrzega ruch pochodni przy południowej kostnicy i słyszy dobiegający stamtąd gromki pomruk męskich głosów.

Block biegnie tam. Jean-Baptiste rusza za nim truchtem, klnąc pod nosem. Górnicy zebrali się między kostnicą a domem grabarza. Kiedy Block woła coś do nich, milkną i spoglądają na niego, a potem przenoszą wzrok na inżyniera i znów zaczynają mówić, teraz już głośniejszym i bardziej nagłym głosem. Niektórzy wskazują kostnicę, machając w jej stronę rękami, wygrażając pięściami. Jean-Baptiste jeszcze ich takich nie widział. Blocka stracił tymczasem z oczu. Spozstrzega Jacques'a Everbouta i pyta go, gdzie jest Jeanne.

– W domu – odpowiada Everbout.

W domu. Oczywiście. Gdzieżby miała być? Inżynier kiwa głową Everboutowi, wydaje ludziom całkowicie zbędny rozkaz, żeby zostali na miejscu, i rusza ku domowi grabarza. Po zaledwie czterech czy pięciu krokach raptem pada w czarną trawę, wymachując

rękami. Wstaje, rozglądając się za tym czymś, co mu podcięło nogi, i wyciąga rękę, żeby pomacać. Worek wapna, który jakiś dureń przez niedbalstwo zostawił w trawie? A potem dotyka włosów, skóry szorstkiej jak pergamin. Błyskawicznie cofa dłoń. Trup! Tyle że nie świeży, Bogu dzięki. Jedna z tych dobrze zachowanych dziewcząt? Charlotte Guillotina? Skąd się tu wzięła?

Jeszcze dziesięć kroków i jest w domu grabarza. W kuchni pali się lampa, a wokół niej świeci niebieską aureolą odrobina tej samej mgły, która unosi się nad cmentarzem. Jeanne – chociaż nie od razu widać, że to ona – leży na kuchennym stole, przykryta kocem. Ma zamknięte oczy. Dziadek stoi przy niej, głaszcząc ją po czole. Wydaje cichy, lecz straszny dźwięk, lament, jaki mógłby wydobyć się z krtani zwierzęcia, którego potomstwo wieśniak przed chwilą uprowadził do cuchnącej komórki. Słyszając za sobą jakiś ruch, mruga zmętniałymi oczami i obnaża pieńki zębów.

– To ja – mówi Jean-Baptiste. – Inżynier.

Grabarz zaczyna gestykulować. Odgrywa pantomimę, niemy spektakl. Jest daleko poza zasięgiem słów. Jean-Baptiste podchodzi do stołu. Opuchlizna nad lewym okiem dziewczyny pochłania ćwierć twarzy i wciąż rośnie. Usta... wyglądają, jakby spadło na nie wiele ciosów. Pięścią? Butem? Jakimś narzędziem? Jeśli zadano jej jakieś inne rany – a inżynier nie wątpi, że tak – skrywa je koc. Jean-Baptiste jest rad, że nie musi ich oglądać.

Pochyla się nad nią i szeptem wymawia jej imię. Oko pod raną nie chce się otworzyć, ale prawe się otwiera. Otwiera się i patrzy na niego wzrokiem bez wyrazu. Jean-Baptiste dotyka ramienia dziewczyny; całe jej ciało się wzdryga. Inżynier cofa dłoń.

– Lecoeur? – pyta.

Oko potwierdza.

– To on cię... napadł?

Oko znów przytakuje.

– Sprowadzę lekarza – mówi Jean-Baptiste. – I kobiety. Poślę po Lisę.

Oko się zamyka. Inżynier wychodzi przed dom. Chyba trochę się rozwidniło, ale mgła pozostała, a jej grube pasma wiszą wplątane w kraty pod łukami u wejść do kostnic. Przy drzwiach domu stoi oparta o ścianę łopata z ostrzem w kształcie serca. Jean-Baptiste chwytą ją za gładki od dotyku ludzkich dłoni trzonek i podchodzi do mężczyzn. Najpierw spotyka tego wysokiego z kikutem palca. Pyta go, czy monsieur Lecoeur jest w kostnicy.

– Tak – cicho odpowiada górnik.

A gdy Jean-Baptiste oddala się o krok, tamten zatrzymuje go, dotykając jego ręki.

– Ma pistolet – ostrzega.

– Pamiętam – mówi Jean-Baptiste.

Przez chwilę ma ochotę poprosić górnika, żeby mu towarzyszył, bo chciałby czuć przy sobie jego spokój i siłę. Idzie jednak sam. Mija pracownię lekarzy i zbliża się do pierwszego otwartego łuku, prowadzącego w głąb kostnicy. Wchodzi do niej, zanurzając się w lodowatym, nieruchomym powietrzu, przystaje i kręci głową, nasłuchując. Mężczyźni przed kostnicą przestali hałasować. Oni też słuchają.

Rusza naprzód: bez żadnego światła prócz tego, któremu ustępuje pola rzednąca ciemność, nie sposób iść bezszelestnie po takim podłożu. Za dużo na nim wszelakiego śmiecia. Okruchów muru, kawałków kości. Kto wie, czego jeszcze. Nie ma szans zaskoczyć Lecoeura, niepostrzeżenie się do niego podkradając. Postanawia oznajmić swoją obecność.

– Lecoeur!

Odpowiada mu tylko echo.

– Lecoeur! To ja, Baratte!

Wciąż nic.

Idzie dalej, ufając tyleż pamięci (bo przecież zna to miejsce), ile oczom. Po prawej łuki odcinają się cokolwiek świetlistym błękitem od cętkowanego mroku podsieni. Tak czy owak właśnie światło położy kres tej aferze. Światło wystawi go na strzał. I również ono pozbawi Lecoeura kryjówki. I co wtedy? Co będzie, kiedy Lecoeur go zobaczy? Niby czemu nie miałby go zastrzelić? Chyba tylko dlatego, że nie zdążyłby ponownie nabić pistoletu, zanim dopadliby go górnicy.

Spogląda za siebie i liczy łuki. Wkrótce znajdzie się przy furcie prowadzącej na rue de la Ferronnerie, przez którą wywozi się kości podczas załadunku na furgony. Czy to dlatego Lecoeur tu przyszedł? Żeby chyłkiem dopaść furty? W domu grabarza musiał być klucz. Lecoeur mógł go zwędzić, zanim rzucił się na Jeanne, jeżeli przed popełnieniem zbrodni obmyślił ucieczkę.

W jednej ręce ściska łopatę, a drugą próbuje namacać ścianę. Sunie palcami po literach i po szorstkim kamieniu, aż natrafia na coś, co niewątpliwie jest krawędzią zawiasu. Po omacku znajduje żelazne kółko, obraca je i ciągnie, a potem szarpie. Furta jest zamknięta na klucz. Albo Lecoeur miał dość zimnej krwi, przytomności umysłu, żeby ją za sobą zamknąć, albo wciąż jest tu, na cmentarzu, w kostnicy.

Chce znowu zawołać, bo od tej zabawy w chowanego ma napięte nerwy, gdy wyczuwa za sobą w podsieniu jakiś ruch. Ktoś albo coś zbliża się, stąpając szybko i pewnie, nie licząc się z niebezpieczeństwem. Jean-Baptiste'owi pierwszy przychodzi na myśl wcale nie Lecoeur, lecz ten stwór, o którym wspomniał minister: wilkopies. Czy to bowiem nie wymarzona okazja? Samotny człowiek nocą w czeluściach nory bestii? Cokolwiek to jest, Jean-Baptiste nie ma nadziei uniknąć spotkania. Energia i zamiar nadchodzącego są tuż-tuż. Bierze zamach łopatą i na oślep zatacza nią łuk, tnąc czarne powietrze, a w tejże chwili jakiś głos ryczy na niego:

– Violator!

Impet zderzenia omal nie zwala go z nóg. Zatacza się do tyłu, aż uderza ramionami w ścianę. Opierając się o kamienie, zadaje trzy lub cztery wściekłe pchnięcia w ciemność, lecz drugi atak nie następuje. Chwilę czeka z sercem łomocącym między żebrami, a potem skrada się przed siebie, trzymając łopatę jak pikę. Pod lewym butem pęka mu szkło. Schyla się i trafia palcami na kawałek zawiniętego drutu, odłamek gładkiego szkła. Okulary! Robi jeszcze krok i obok jednego ze słupów podtrzymujących najbliższy łuk dostrzega zarys męskiej głowy. Podchodzi bliżej, zniża łopatę i opiera ją kantem o pierś

tamtego, czując jej wzbieranie i opadanie.

– Kto to był?

Inżynier obraca się na pięcie, z łopata w pogotowiu.

– Kogo uderzyłeś?

– Lecoeur?! Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

– Nie martw się. Za to ja ciebie widzę. Moje oczy już przywykły do ciemności.

– To był ksiądz.

– Colbert?

– Tak.

– Zabity?

– Nie.

– A czym go uderzyłeś? Co masz w rękach?

– Łopatę.

– Ha! Czyżby pomylił cię ze mną? A może i nie pomylił.

Sądząc po brzmieniu głosu, Lecoeur musi być oddalony najwyżej o cztery lub pięć metrów. Głos ten zdaje się jednak zarazem dobiegać z wnętrza ściany.

– Skrzywdziłeś Jeanne, Lecoeur.

– Naprawdę?

– Przecież wiesz.

– A ty?

– Cóż ja?

– Nie zrobiłeś jej krzywdy? Nie nadużyłeś jej ochoczej natury? Nie zniewoliłeś? Nie zmusiłeś do pomocy w niszczeniu jej małego rajcu?

Już wie: Lecoeur musi siedzieć albo kucać gdzieś na schodach, prowadzących na poddasze z kośćmi. Wybrał dobre miejsce. Łatwe do obrony. Ciemne nawet w środku dnia.

– Nie zadalem jej gwałtu – mówi Jean-Baptiste.

– Czyli jestem odrobinę gorszy niż ty. Brawo. To tylko kwestia stopniowania, Baratte. A zapewniam cię, że nie była święta. Mieszkałem z nią w jednym domu. Znałem ją.

– Jeżeli górnicy cię dopadną...

– Górnicy? A co ty o nich wiesz? Nic a nic.

– Nie sądzę, żeby cię skrzywdzili, jeżeli będę przy tobie.

– Uchronisz mnie? A co potem? Proces? A może wyślą mnie tam, gdzie tę szaloną dziewczynę, co ci rozbiła głowę? Dokąd ona właściwie trafiła?

– Do Dauphiné.

– Po coś mnie tu ściągnął, Baratte? Nie mogłeś dać mi zgnić w Valenciennes? Myślisz, że mi pomogłeś?

– No to pozwól, żebym ci teraz pomógł.

– Ty idioto! Nawet sobie nie możesz pomóc. Spójrz na siebie. Stoisz z tą swoją łopata na śmierdzącym cmentarzu i zastanawiasz się, czy uda ci się dość blisko podejść, żeby mnie nią walnąć. Kiedy przyjechałeś do kopalń, byłeś delikatny. Nieśmiały jak

dziewczyna. Kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz, pomyślałem... pomyślałem: nareszcie ktoś, przed kim będę mógł otworzyć serce.

– Nie ma na to czasu, Lecoeur.

– Byliśmy przyjaciółmi.

– Nie zapomniałem tego.

– Czy w takiej przyjaźni nie było nic, co warto by cenić?

– Przybywa światła. Nie możemy tego dłużej ciągnąć.

– Światło! Ach, tak. Światło. No to powiedz: ona przeżyje?

– Tak, chyba tak.

– Było we mnie dawniej jakieś dobro – stanowczym tonem stwierdza Lecoeur. – Nie daj im mówić, że nie.

Zapada milczenie – kilka sekund gęstej ciszy jak we wnętrzu konchy – a potem wyraźnie słycać mechaniczny klekot odwodzonego kurka. Inżynier trwa w bezruchu. Czeka, widoczny na tle stopniowo jaśniejącego dnia. W końcu pada strzał – donośny, a zarazem stłumiony, jakby w którejś krypcie uderzono w kamienne płyty kamiennym młotem. Echo, pogłos, cisza.

Inżynier robi krok naprzód.

– Lecoeur?! – woła. – Lecoeur!?

Nie spodziewa się usłyszeć odpowiedzi.

Między ósmą a dziewiątą rano nieubłagana ulewa zamienia ognisko pod kazalnicy krzyżem w dymiący stos czarnych belek, który wygląda jak ugaszone zgliszcza małego domku. Ludzie siedzą w namiotach. Do jedzenia mają chleb, ale nic poza tym, nic gorącego. Dopiero późnym rankiem Jean-Baptiste i Armand zagotowują dwie duże menażki kawy, hojnie ją zaprawiają koniakiem i zanoszą do namiotów, idąc po mokrej trawie.

Na cmentarzu osiadła dziwna senność. Nikt nawet sobie nie wyobraża, że można by pracować. Nie dziś i może nawet nie jutro. A pojutrze? I popojutrze?

Guillotin (który ku wielkiej ucieście kolegów po fachu przedstawia się jako „lekarz rejonowy cmentarza Niewiniątek”) bada Jeanne w pokoju na piętrze, gdzie ułożono ją najwygodniej, jak się dało, w łóżku dziadka. Kiedy doktor schodzi, ciężko i niespiesznie stąpając po gołych drewnianych stopniach, oznajmia, że pacjentce nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo prócz tego, co zdołała jej własny umysł – makabryczne wspomnienia, będące nieuchronnym skutkiem tak ciężkich przeżyć. Żalu, zgrozy. Utraty dziewictwa w pożalowania godnych okolicznościach. I tak dalej. Rany na ciele jej nie zabijają. Lewa kość policzkowa zapewne jest pęknięta, a miękkie tkanki ust – wargi, język, dziąsła et caetera – poszarpane. Rozległe posiniaczenia na obu rękach i znacznej części torsu...

– Jest młoda i odporna. Pan, drogi inżynierze, mógłby w przekonujący sposób okazać jej współczucie, choć raczej jeszcze nie teraz. Może minąć nieco czasu, zanim męskie towarzystwo znów wyda jej się miłe. Madame Saget może przy niej zostać?

– Chętnie to uczyni – oświadcza Armand.

– Dobrze. Co do tego, czy będą jakieś dalsze... jakieś... No cóż, miejmy nadzieję, że nie. – Lekarz dobrotliwie uśmiecha się do grabarza, który siedzi przy wygasłym palenisku i nie wiadomo, ile z tej rozmowy do niego dotarło. – Trzeba trochę czasu, monsieur. Czas wszystko uleczy. Nie straciliście swojej Jeanne.

Inżynier idzie z Guillotinem do pracowni lekarzy. Lecoeur leży na stole na krzyżakach, tym bliższym wejścia.

– Dawał się lubić – mówi doktor i nieco przykuca, bo chce zajrzeć w głąb czaszki Lecoeura. – I miał przynajmniej dosyć przyzwoitości, żeby samemu ze sobą skończyć.

– Pomyliłem się co do niego – stwierdza Jean-Baptiste.

– Pomylił się pan? Niewykluczone. Chociaż człowiek może być jakiś, a potem całkiem się zmienić. Nie był jak ci zaślinieni degeneraci z Salpêtrière. Sumienny, czytany. Uprzejmy.

– Gdyby mniej zaprzętały mnie inne sprawy. Albo gdybym spędzał z nim więcej czasu. Chcę powiedzieć: poza murami cmentarza.

– Ach, pańskim zdaniem to cmentarz zawinił? Lecoeur za dużo napatrzył się żalobnych



scen?

– To całkiem możliwe, prawda?

– Aż w końcu go zatruli?

– Tak.

– I przez to ujawniła się w nim jakaś występna słabość.

– Tak.

– Mówił mi, że wymyśliliście kiedyś razem miasto. Utopię.

– Gdyśmy pracowali w kopalniach.

– A jak się ono nazywało? To wasze miasto?

– Valenciana.

– Od Valenciennes?

– To była... taka zabawa – mówi Jean-Baptiste.

– Byliście idealistami. Marzycielami.

– Byliśmy młodzi.

– Oczywiście. A bystrzy młodzieńcy lubią takie zabawy. Zdążył się pan już pewnie wyleczyć z tego nałogu? – Lekarz odrywa spojrzenie od czaszki denata i uśmiecha się, po czym podchodzi do drugiego stołu na krzyżakach i podnosi wieko trumny. – Biedna Charlotte – wzdycha. – Nie posłużyły jej te pośmiertne przygody. Powiada pan, że sam pan ją tu odniósł?

– Tak.

– Pewnie rzucił się na Jeanne, kiedy zrozumiał, że Charlotte nie nada się do jego celów.

– Lekarz spuszcza wieko i z zadumą popukuje w nie palcami. – A ksiądz? Są o nim jakieś wiadomości?

– Żadnych.

– Znikł?

– Było jeszcze ciemno, no i wielkie zamieszanie. Zgaduję, że schował się w kościele.

– Zaszły się w swojej norze, co? A pan nie bardzo się kwapi go szukać? A jeżeli już, to z łopata od wszelkiego wypadku. Ma pan za sobą niezły poranek. Musiało to wszystko być trudne. Ale minister z pewnością wyczuł w panu człowieka, któremu można zaufać, że sobie poradzi w takich okolicznościach.

Przez kilka sekund wpatrują się w leżącego na stole trupa. Lekko uchylone oczy nadają roztrzaskanej twarzy wyraz, jaki może mieć człowiek, który usilnie stara się coś sobie przypomnieć. A potem obaj podnoszą wzrok i odwracają się, jakby nieboszczyk stracił dla nich wszelkie znaczenie.

Na cmentarz przychodzi Héloïse. Jean-Baptiste nie posyłał po nią. Przywiodły ją własne obawy. Puka do furty. Jeden z mężczyzn – Joos Slabbart – otwiera. Choć nieraz przyglądała się cmentarzowi z okien domu, po raz pierwszy znalazła się w jego murach. Przystaje na chwilę, żeby ogarnąć go spojrzeniem (krzyż, kamienne latarnie, kostnice, mury kości, namioty), a potem Slabbart prowadzi ją do domu grabarza. Na wieść o tym, co zaszło, Héloïse kładzie dłoń na ręce starca, po czym z kołka w ścianie przy schodach zdejmuje fartuch Jeanne. Przypomina Jean-Baptiste’owi, że wychowała się w oberży, a choć rodzicom zdarzyło się parę niedociągnięć (między innymi to, że niezbyt im na niej zależało), znali swój fach i dopilnowali, żeby ona też go poznała. Podkasuje spódnicę i kuca przy pustym palenisku.

– Najpierw to – oznajmia, szybko przebierając smukłymi palcami chrust na podpałkę.

Następnie zjawia się monsieur Lafosse, do którego biura w Saint-Germain inżynier pchnął gońca z pismem, skoro tylko zebrał myśli. Napisany przy kuchennym stole list miał być suchym, niemal technicznym raportem z nocnych wypadków, lecz gdy Jean-Baptiste przeczytał go przed zapieczętowaniem, własne dzieło wydało mu się podobne do tych burzliwych dramatów z udziałem oślepych śmiertelników i nieubłaganych bogów, które czasem kartkował w bibliotece comte de S., kiedy deszczowa pogoda uniemożliwiała pracę przy budowie „ozdóbki”.

Pokazuje Lafosse’owi trupa Lecoeura, ale oczywiście nie prowadzi go do Jeanne, której z pewnością źle by zrobił widok człowieka o wyglądzie sługi śmierci, stojącego nagle w nogach jej łóżka.

Kiedy wychodzą z pracowni lekarzy, Lafosse przytyka sobie chusteczkę do bezkrwistego czubka nosa.

– A dziewczyna przeżyje? – pyta.

– Jeanne? O to samo pytał Lecoeur.

– A wyście mu odpowiedzieli...?

– Tak. Będzie żyła.

– No to nie widzę trudności.

– Byłbym rad, gdyby mi pan powiedział, jak mam postąpić.

– Jesteśmy na cmentarzu, nieprawdaż?

– Owszem.

– A ilu już wydobyliście z ziemi?

– Nie umiem dokładnie powiedzieć. Chyba wiele tysięcy.

– No to złożenie w niej jednego nie powinno mieć poważniejszych skutków. Równowaga i tak będzie na waszą korzyść.

– Pochować go? Na Niewiniątkach?

– Pochować go razem z jego rzeczami. Usunąć nazwisko ze wszystkich dokumentów i

rejestrów. Nigdy więcej o nim nie wspominać.

– To są rozkazy ministra?

– To są wasze rozkazy.

Idą razem do cmentarnej furty. Po deszczu nastąpiło dziwnie wilgotne, febryczne ciepło.

– Jedna gęba mniej do wyżywienia – stwierdza Lafosse. – Jedna pensja mniej do płacenia. Powinno wam to pozwolić coś niecoś oszczędzić. Kraj zbankrutował, Baratte. Minister płaci za to wszystko z własnej kiesy. – Lafosse rozgląda się po cmentarzu, a na twarzy z wolna wykwita mu grymas obrzydzenia. – Jak wy tu wytrzymujecie? – pyta.

Inżynier otwiera przed nim furkę.

– Chyba nie miałem wyboru.

– I nadal go nie macie. Ale tak czy owak...

– Człowiek się przyzwyczaja – mówi Jean-Baptiste.

O zmierzchu wczesny księżyc skacze między chmurami, a on odprowadza Héloïse na rue de la Lingerie. Gotowała i sprzątała. Cały dzień ciężko pracowała. Dziękuje jej.

– Jutro zrobię to samo – obiecuje kobieta. – Przejmę wszystkie obowiązki Jeanne. Pójdę na targ.

Chciałby się sprzeciwić, bo przecież nie zamierzał jej zgotować losu cmentarnej gosposi, ale wie, że nie znajdzie nikogo, kto lepiej znałby się na rzeczy i byłby bardziej godny zaufania.

– Zapłacę ci – mówi.

– Owszem, zapłacisz – odpowiada Héloïse.

Uśmiechają się, patrząc przed siebie w mrok. Jest to ich pierwszy uśmiech tego dnia.

Wchodzą do pokoju, nie spotkawszy po drodze żadnego z Monnardów ani Marie. Ona zapala świecę; on roznieca ogień.

– Jeszcze tam wracasz – mówi Héloïse.

Jean-Baptiste potakuje skinieniem głowy.

– Została pewna... zaległość.

– Oczywiście. – Kobieta spogląda na świecę i głaszcze dłonią jej płomień. – Trochę się boję cię puścić.

– A ja – on na to – trochę się boję, że jeżeli natychmiast nie pójdę, moja noga już nigdy tam nie postanie.

Już postanowił, że ma to być dół czternasty. Niedawno opróżniony, wyskrobany, obok usypana przyzma ziemi, dość daleko od namiotów, więc jest nadzieja, że uda się dyskretnie załatwić sprawę: dół czternasty to idealne miejsce.

W kuchni u grabarza jest pusto. Widocznie starzec siedzi na górze przy Jeanne. Lisa wróciła pewnie na noc do domu, do swoich. Nikt nie będzie ciekaw, nie zacznie dopytywać. Jean-Baptiste staje w drzwiach gabinetu, ale przez chwilę nie może się zdobyć na to, żeby wejść, onieśmielony jakąś widmową poświatą życia, które jeszcze niedawno tam mieszkało. A potem wpada do środka, kładzie na łóżku torbę Lecoeura i w pośpiechu wrzuca do niej tych kilka rzeczy, które właścicielowi chciało się wypakować. Parę butów z kwadratowymi noskami. Peruczkę z końskiego włosia. Przewieszoną przez biurko koszulę. Zrobioną na drutach kamizelkę. Dwie książki: *Les rêveries du promeneur solitaire* Rousseau i *L'homme machine* La Mettriego. Pustą butelkę po tynkturze. Tani zegarek. Związany wstążką plik papierów poświęconych Valencianie.

Patrzy na własny zegarek. Jeszcze za wcześnie, żeby spełnić powzięty zamiar. Wyjmuje z torby *L'homme machine* i siada przy kuchennym stole. Nigdy nie czytał tej książki. La Mettrie nie pozostawił po sobie dobrych wspomnień. Prowincjusz jak i on sam, sprytny drań, który umarł z przejedzenia pasztetem. Po chwili Jean-Baptiste otwiera książkę i dopiero po przeczytaniu prawie połowy strony umyka mu pierwsze słowo. Spogląda w bok, a potem wraca do lektury, już z większym skupieniem. Nic ani trochę się nie wyjaśnia. Rumieni się: ogarnia go dawny szkolny wstyd, z którym w ostatnich miesiącach odnowił znajomość. A potem uczucie wstydu zmiata fala czegoś bardziej naglącego. Skurcz jelit w głębi dolnego lewego kwadrantu, tam gdzie te miękkie zwoje. Po chwili skurcz słabnie, lecz tylko po to, żeby odezwać się ostrzej, tak ostro, że inżynier stęka. Wpycha książkę do kieszeni, zrywa się z ławy, wychodzi przed dom i rusza biegiem, niezdarnym, koślawym biegiem rannego zwierzęcia, okrąża od tyłu kościół, dociera do szczeliny w płóciennej ścianie zasłaniającej latrynę. Nieroztropnie jest chodzić tam nocą bez światła! Chwyta się jednego z drągów i czubkiem buta po omacku szuka dołu, pierwszego lepszego. Ten? Niech będzie ten. Nie może dłużej czekać. Spuszcza spodnie (z pośpiechu tracąc guzik) i natychmiast strzela fontanną łajna, a zaraz potem słyszy jego plaśnięcie w chwili zderzenia z łajnem, które już jest w dole. Krótka przerwa: ciało tak jakby wsłuchiwało się w siebie; i oto drugi gejzer przelatuje przez nie, paląc jak ogień. Jean-Baptiste trzyma się drąga, przyciska czoło do okorowanego drewna, dyszy, czeka na kolejny skurcz. „Naszymi imionami ponazywają place” – powiedział Lecoeur tamtego ranka w Valenciennes, kiedy śnieg muskał okno. Imionami ludzi, którzy oczyścili Paryż!

Jeden leży martwy z kulą w głowie. A drugi zwisa z drąga nad bajorem własnych odchodów.

Kiedy jest już po wszystkim, wyrywa parę kartek z *L'homme machine*, podciera się najstaranniej, jak potrafi, i cisnąwszy brudne kartki, a w ślad za nimi całą książkę do dołu, podciąga spodnie.

W domu grabarza myje ręce octem. Ogień ledwo się tli. Jean-Baptiste szturcha go i dokłada drewna. Szuka koniaku, lecz akurat tym razem go nie znajduje. Nad głową skrzypią mu deski, ale nikt nie schodzi na dół. Inżynier wychodzi przed dom, patrzy w stronę namiotów, wytyczając wzrok, a potem wraca do kuchni, zapala latarnię i rusza z nią do pracowni lekarzy. Stawia latarnię na trumnie Charlotte, chwyta nieboszczyka za klapy surduta i usiłuje go dźwignąć do pozycji siedzącej, Lecoeur nie żyje już jednak od jakichś osiemnastu godzin, więc jest sztywny niczym gliniana rura. Jean-Baptiste cofa się i próbuje przemyśleć sprawę jak czysto techniczne zadanie, po czym zachodzi trupa od strony stóp (jedna pończocha opadła, odsłaniając zimną białą kostkę) i zsuwa je ze stołu. Manewr ten wieńczy częściowe powodzenie, bo ciało podąża za stopami, podnosi się (już nie jak gliniana rura, tylko jak zwinięty dywan, ciężki i nasiąknięty wilgocią) i staje ukośnie, oparte o kant blatu. Coś z głuchym łoskotem spada na ziemię między nim a inżynierem. Pistolet? Jean-Baptiste postanawia wrócić po niego później. Trzema ruchami odwraca trupa, bierze go pod pachy, poprawia chwyt i rusza tyłem w stronę wyjścia z pracowni, gdy wtem słyszy, że ktoś odsuwa zasłaniającą je płachtę płótna.

– Mogłeś okazać mi chociaż tyle zaufania, żeby poprosić o pomoc – mówi Armand. – A może myślałeś, że będę się brzydził?

– Weź latarnię – odpowiada Jean-Baptiste. – I pistolet. Leży na ziemi.

– Przy takim księżycu trafimy i bez latarni – stwierdza Armand, podchodząc do Lecoeura i chwytając go za stopy. – A ten tutaj nawet nie zauważy, że nie ma pistoletu.

Idą w milczeniu, niosąc ciało, zwrócone bokiem do krawędzi wykopu, a potem kładą je przy dźwigu. Inżynier wraca do domu po torbę Lecoeura. Manetti zszedł tymczasem do kuchni i siedzi w fotelu.

– Zabieram parę jego rzeczy – oznajmia Jean-Baptiste.

Grabarz uroczyście kiwa głową. Któż może wiedzieć, ile rozumie z tego, co się do niego mówi.

Za drzwiami Jean-Baptiste znów sięga po tę samą poręczną łopatę. Staje nad wykopem i wrzuca do niego torbę. Ta dość dyskretnie ląduje na dnie. Kładą Lecoeura w hamaku jak w kołysce. Armand owija się w pasie łańcuchem i napina go, odchylając się do tyłu, podczas gdy Jean-Baptiste wypycha hamak wraz z leżącym w nim ciałem nad wykop. Następnie obaj powoli luzują łańcuch, a bloczek skarży się niczym mechaniczna gęś.

– Ile metrów ma ten przeklęty dół? – syczy Armand.

– Szesnaście – mówi Jean-Baptiste, a po chwili dodaje: – Dotknął dna.

– Mam zejść? – pyta organista.

– Wolałbym wiedzieć, że na górze ktoś jest. Ktoś godny zaufania.

Rzuca łopatę na dno wykopu. Podchodzi do drabiny i zsuwa się na nią. Armand miał rację: odkąd chmury się rozwiały, jest w sam raz dość światła. I dosyć ciemności. Spoglądając w stronę rue de la Lingerie, Jean-Baptiste widzi tyły domów i ich okna, a w

jednym z wyżej położonych (które może zresztą być oknem jego dawnego pokoju) z lewa na prawo sunie światło, jakby ktoś dawał znak. Inżynier spuszcza się po drabinie na półkę wyrytą w ścianie wykopu, ostrożnie podchodzi do drugiej drabiny i złazi na dno. Zanim znajdzie łopatę, mija cała długa minuta i przez ten czas w jego głowie grożą wybuchem najrozmaitsze obłądy. Podchodzi do hamaka, wyciąga z niego Lecoeura i wlecze go w stronę kałuży księżycowego światła w samym rogu dołu. Zaczyna tam kopać. Łopata dość łatwo wbija się w wiosennie miękką ziemię. Dla górników byłoby to może pouczające, gdyby zobaczyli, jak się mozoli: inżynier, kierownik robót, z gołą głową, ciężko tyra i już nawet trochę się spocił.

Kopie wystarczająco długo, żeby księżycowa kałuża nieco się przesunęła. Potem cofa się i chociaż nie bardzo widzi, jak głęboko się wkopał, bo przecież poświata księżycyca to nie prawdziwe światło, nagle czuje, że dłużej nie wytrzyma. Opiera łopatę o ścianę wykopu, pochyla się nad Lecoeurem, kładzie go obok dołka i stacza na jego dno. Torbę układa w nogach. Torba i ciało leżą dość płytko, ale głębiej nie trzeba. Jutro każe zasypać cały wykop ziemią z wapnem. Szesnaście metrów każdemu wystarczy. Na chwilę klęka przy dołku, łapiąc oddech, po czym gestem, do którego nawet sam przed sobą ledwo się przyznaje, wyciąga rękę i dotyka ramienia nieboszczyka. Wstaje, bierze łopatę i szybko zasypuje trupa. Najpierw nogi, potem tułów i ręce. Na końcu twarz.

## *Czwarta*

„Nic nie ginie, nic nie zostaje stworzone,  
wszystko podlega przemianom”.  
Antoine Lavoisier

# 1

Kopią. Kopią i zasypują, jakby nie potrafili wymyślić innego zajęcia. Czternasty dół dostaje swoje szesnaście metrów wapnowanej ziemi. W kolejnym wykopie, dokładnie pośrodku cementarza, kości leżą tak gęsto, że można je podawać na górę niczym wiązki chrustu. Umarli już nie dziwią się na nasz widok – myśli inżynier, stojąc w wiosennej mżawce na brzegu dołu. Z początku nawet zupełnie gołe kości sprawiały wrażenie obrażonych, zalęknionych jak człowiek wypchnięty nago na ulicę, a teraz leżą biernie niby panny młode, czekające, aż dłonie górników wyniosą je na paryskie światło. Ostatnia trąba! Tych, co poszli w forpoczcie, co przeminęli, składają na powrót w całość brodaci aniołowie, pykający gliniane fajki. To wystarcza – prawie wystarcza – żeby inżynier się uśmiechnął. Biedne, łatwowierne czaszki łudzą się, że ich oczekiwanie w ciemnościach wreszcie się skończyło!

Pod koniec miesiąca mają już za sobą dziewiętnaście wykopów – prawie połowę tych, które jesienią wskazała Jeanne. W pierwszym tygodniu maja napoczynają dwudziesty i gdy w pewien ciepły ranek są na głębokości ośmiu metrów, a przy samym wykopie para kosów wydziobuje z ziemi robaki, Jeanne wychodzi z domu – po raz pierwszy, odkąd padła ofiarą napaści. Idzie pod rękę z Lisą Saget, na wpół oślepią słońcem. Kilka kroków za nimi podąża Héloïse: przepasana kuchennym fartuchem, z tasakiem w jednej dłoni, drugą ocienia oczy. Mężczyźni pracujący na powierzchni nieruchomieją. Jan Block na stanowisku przy kościanym murze ma minę lunatyka, a Jean-Baptiste dopiero teraz domyśla się, że górnik jest zakochany, po uszy zakochany. I czy wobec tego, co zaszło, byłby dla Jeanne najgorszą partią? Nie musiałaby nic mu wyjaśniać, bo on wie już wszystko, co wiedzieć powinien. Czy jej się podoba? A może myśli, że znów miałby jej dotknąć mężczyzna, budzi odrazę i wydaje się nieznośna? Inżynier podnosi rękę na powitanie. Jeanne odwzajemnia ten gest, acz z widocznym znużeniem.

Na ulicach i placykach, między straganami na targu, stłoczonymi jak plastry miodu w słomianym ulu, wciąż krążą plotki o tym, co zdarzyło się owej marcowej nocy, liczne i swobodnie podawane z ust do ust. Niektórzy górnicy wbrew wyraźnemu zakazowi musieli widocznie wygadać się swoim kurwom, bo niecały tydzień po śmierci Lecoeura powszechnie już o niej wiedzano. Wszyscy wiedzieli, że zginął od kuli, i nie wątpili, że za spust pociągnął szarooki inżynier, którego porywczy wybuch ten i ów miał sposobność oglądać tamtego wieczoru na rue Saint-Denis. Brzmiało to przekonująco. Nie byli jednak głupi. Trudniej było wyjaśnić, dlaczego to zrobił. Widocznie górnicy pilniej przemilczali imię Jeanne. Przyjęła się zatem wersja, jakoby inżynier zastrzelił nadzorcę podczas kłótni, w której poszło o kobietę inżyniera, Austriaczkę. Może nadzorca określił ją zasłużonym mianem i przyplacił tę szczerą życiem. Uznano to oczywiście za potworność, przejaw zdziczenia, ale kobiety z dzielnicy (a przecież to od nich zależał końcowy werdykt) nie były całkiem przeciwne temu, żeby jeden mężczyzna w takiej



sytuacji zabił drugiego. Kobietom bezkarnie ubliżano na każdym kroku, ubliżali im mężczyźni. Jeżeli niektórzy obrywali za tę butę tak, jak oberwał nadzorca, może im się to po prostu należało.

Jeśli idzie o Monnardów, to wprawdzie słyszeli oni plotki i nie mogli nie zauważyć nadzwyczajnego poruszenia na cmentarzu, lecz mieli może mniej pobudliwą, mniej soczystą wyobraźnię niż sąsiedzi, a zresztą zaprzętało ich jeszcze wspomnienie innej, wcześniejszej nocy i znacznie dla nich boleśniejszej katastrofy. Nie pytali więc, dlaczego wtedy nocą obudził ich jeden z cmentarnych robotników, dobijając się do drzwi, i co znaczył ten hałas tuż przed świtem – raptowny trzask, jakby wichura złamała drzewo. Niezręcznie zrobiło się tylko przy kolacji tydzień po Wielkanocy, kiedy madame Monnard (najwidoczniej z całą niewinnością i szczerością) spytała, czy ten uroczy monsieur Lecoeur zechciałby znów przyjść z wizytą. Jean-Baptiste wpatrzył się w resztki zupy na dnie swojego talerza, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Musiała go wyręczyć Héloïse, wyjaśniając, że monsieur Lecoeura wezwano do domu. Do domu? Tak, madame, całkiem zniecka. W sprawach rodzinnych? W pilnej sprawie rodzinnej, madame.

W pierwszych tygodniach maja, gdy rozwijają się świeże listki, pierwsze motyle wyfruwiają z zimowych kryjówek, a ze szczelin okopconych murów niepowstrzymanie wyrastają kwiatki, Jean-Baptiste czuje, że nieustannie czeka. Nie wie, czego tak wyczekuje. Może przyjazdu siostry Lecoeura, rozgniewanej, wystraszonej, zbitej z tropu. Albo nagłej wizyty jakiegoś nieubłaganego urzędnika państwowego, przed którym nie zdoła go osłonić nawet minister. Musi sobie przypominać, i to zdumiewająco często, że Lecoeur nie zginął z jego ręki, lecz z własnej. Taka jest prawda. Czy nie powinna mu się wydawać bardziej przekonująca, podnosząca na duchu?

Od dwudziestego drugiego do dwudziestego czwartego maja nęka go straszliwy ból głowy, najgorszy od czasu, gdy go w nią zraniono. Leży w dawnym pokoju Zigulette, w jej dawnym łóżku, ze złożoną w kilkoro szmatką na oczach, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. Pierś przygniata mu szesnaście metrów wapnowanej ziemi. Potem ból jak zwykle rozładowuje się w napadzie wymiotów. Jean-Baptiste płucze usta, wypija parę łyków, po krótkich poszukiwaniach znajduje kapelusz i zataczając się, wychodzi z pokoju.

W mieście zrobiło się gorąco. Z kamieni bucha żar jeszcze przez godzinę po zachodzie słońca albo i dłużej. Na cmentarzu ludzie żądają na popitkę po koniaku więcej wody, są jej spragnieni. Pracują rozebrani do koszul. Późnym rankiem płótno oblepia im plecy. Tempo robót spada. Wśród błękitu nad kostnicami igrają jerzyki i jaskółki. Wygląda na to, że przez całą zimę ekipa trzymała się czegoś, jakiegoś postanowienia, które upał wysysa z niej niczym pijawka. Inżynier czuje to tak samo jak wszyscy, a nawet bardziej. Najchętniej by sobie wszystko darował, cisnął w diabły. Aby ukryć to uczucie, pogania ludzi, niespokojnie przechadzając się wzdłuż krawędzi wykopu, więcej gada i krzyczy. Kiedy dźwigowy nie radzi sobie z pełnym kości hamakiem, inżynier pomaga ciągnąć łańcuch, zawisając na nim własnym ciężarem. Gdy trzeba postawić kaszt, złazi na dno

dołu, żeby pokierować budową. W nocy przygląda się ładowaniu każdego wozu, krąży między ulicą a cmentarzem, rozmawia z woźnicami, a nawet z młodymi księżmi, którzy wciąż nerwowo spoglądają w stronę furty, czekając, aż wyjdzie z niej Colbert, chociaż od tygodni go nie widziano.

Mówi sobie co prawda, że robi to pod wpływem impulsu, lecz w istocie powodować nim może chęć, żeby wyznać w końcu coś, cokolwiek, gdy zwierza się Héloïse ze swojej słownej ślepoty. Jest niedzielne popołudnie, oboje klęczą na łóżku, trochę poobcierani w okolicy lędźwi, na jej brzuchu lśni jego nasienie, a dzięki zamkniętym w dwóch trzecich okiennicom ich ciała pozostają w cieniu. W każdym razie trudno dalej tak to ukrywać przed nią, przed wszystkimi, trudno i męcząco, więc tłumaczy jej, że nie może przeczytać bez potknięcia ani stronicy druku i raz po raz traci mowę w obliczu najpospolitszych przedmiotów. Mówi jej o kajecie, w którym zapisuje odzyskane słowa.

Ona całuje go w czoło, podnosi ręce, wkładając koszulę przez głowę, nieco szerzej otwiera okiennice i sięga po książkę angielskiego pisarza o francuskim nazwisku: *Żywot i niezwykle przygody Robinsona Crusoe, żeglarza z Jorku*. Trzymając ją tak, żeby oboje widzieli, wolno czyta na głos całą stronę. Przeczytanie drugiej zostawia jemu, a potem znów przejmuje pałeczkę. Po godzinie Jean-Baptiste pyta:

– To wszystko prawda?

Ona wybucha śmiechem.

– Podoba ci się?

Mężczyzna kiwa głową. Owszem, podoba mu się. Ten rozbitek. Jego samotność i pomysłowość. To do niego przemawia.

– Tytułem zapłaty – mówi – zbuduję ci półkę na książki. Mogłaby stać pod tamtą ścianą.

Ona dziękuje mu, po czym dodaje:

– Byle nie za dużą, bo musi zmieścić się w drzwiach.

– Jak to: w drzwiach?

– Przecież nie zostaniemy tu na zawsze, prawda?

Dodatkowa racja grogu i każdemu kilka monet do ręki. (Ma do rozdania sumę, którą zapłaciliby Lecoeurowi). Ale to nie dość. Nie wystarczy. Nie może wystarczyć. A Guillotin ostrzega, że kopanie podczas upałów jest niezdrowe, stanowczo szkodliwe. Wapory, zarazki. Cierpkie wyziewy cmentarza, wzbudzone słonecznym żarem. Już czterech ludzi z jednego namiotu powaliła niewysoka gorączka, od której zubożeli, osłabli i w końcu legli jak ścięte kwiaty. Lekarz radzi pracować wyłącznie nocą, a najlepiej odłożyć wszelkie roboty do jesieni, dopóki się nie ochłodzi.

– Odłożyć!

– Czy tak nie byłoby najroztropniej?

– A jesienią – mówi Jean-Baptiste – pracowałbym w pojedynkę.

– Sądzi pan, że by nie wrócili?

– Nie zdumiewa to pana, że wytrwali aż do tej pory?

Późnym popołudniem spacerują razem, podczas gdy górnicy dostają jedzenie.

Dotarłszy do zachodniego końca cmentarza, inżynier i lekarz zawracają, idąc w pobliżu linii cienia, który pada od muru.

– A kościół? – pyta Jean-Baptiste.

– Mmm?

– Możemy tam pracować. Będzie chłodniej.

– Chce pan rozpocząć burzenie kościoła?

– Potrzebowałbym więcej ludzi. Fachowców. Niewielu.

– Sprawia – mówi Guillotin, przystając, żeby przyjrzeć się czarnemu, posmużonemu urwisku zachodniej fasady kościoła – straszliwie solidne wrażenie.

– Budynki składają się głównie z powietrza – poucza go inżynier, cytując wielkiego Perroneta. – Z powietrza i pustej przestrzeni. I nie ma na świecie takiej rzeczy, której nie dałoby się rozebrać na części. Mając wystarczająco dużo ludzi, można by przez tydzień obrócić pałac wersalski w kupę gruzu.

Im więcej o tym myśli, tym bardziej utwierdza się w przekonaniu, że ta myśl towarzyszy mu od dawna. Próbuje podzielić się nią z Armandem.

– Och, mój piękny kościół! – zawodzi organista, szeroko się uśmiechając.

– To dotyczy także organów – zwraca mu uwagę Jean-Baptiste.

– Oczywiście.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Przecież ci mówiłem. Tamtej nocy, kiedy poszliśmy malować. Nie można mieć żalu do przyszłości ani do jej sprawców.

– A przyszłość jest dobra, cokolwiek ze sobą przynosi?

– Tak – bez chwili wahania oświadcza Armand.

– Nie wierzę – odpowiada Jean-Baptiste.

– Pomyśl o świetle – mówi organista.

– O świetle?

– Kościół Niewiniątek od pięciuset lat skrzętnie gromadzi cienie. A ty je uwolnisz. Wpuścisz światło i powietrze. Wpuścisz niebo. I to właśnie jest przyszłość!

– To – ripostuje Jean-Baptiste – jest metafora.

– Metafora? Gdzieś ty chodził do szkoły?

– W Nogent-le-Rotrou.

Świt: leży w łóżku, wpatrując się spod zmarszczonych brwi w nieokreśloną przestrzeń nad własną głową, i obmyśla najlepszy sposób zburzenia kościoła. Co dokładnie mówił o tym maître Perronet? Czy burzenie przerabiano akurat wtedy, kiedy Jean-Baptiste pojechał do rodzinnego domu w Bellême pomóc w opiece nad ojcem? Gdyby kościół stał gdzieś w szczerym polu, można by go po prostu wysadzić w powietrze. Bóg świadkiem, że z całego potasu zawartego w cmentarnej glebie dałoby się sporządzić wystarczającą ilość czarnego prochu. Lecz jak tu wysadzić kościół, który stoi w połowie rue Saint-Denis? Teoretycznie można by oczywiście wywołać implozję: założyć ładunki, żeby zawalił się do wewnątrz w schludnej chmurze pyłu i koziółkujących kamieni. Ale w praktyce inżynier nigdy nie słyszał o ani jednej udanej próbie tego rodzaju. W Rzymie

przed pięcioma czy sześcioma laty chciano szybko się pozbyć starej bazyliki. Wypełniono krypty baryłkami prochu, a następnie założono i podpalono lonty, unicestwiając bazylikę i większość sąsiedniej kamienicy. Dwieście osób (mężczyzn, kobiet i dzieci) rozerwało na strzępy. W Watykanie zadrżały szyby w oknach. Jean-Baptiste nie pamięta, co się stało z tamtym inżynierem. Nadal pracuje? Czy zawisł na stryczku?

Do Niewiniątek trzeba podejść bardziej metodycznie, prozaicznie. Wymontować ołowiane rynny, zdjąć dachówki, pociąć krokwie oraz płatwie i zrzucić je na dół. Niech kościół zniknie jak z wolna odchodzące wspomnienie. Filary są wciąż solidne czy już zmurszały? A fundamenty? Gmach stoi tak blisko Sekwany, że może cały pływa na błocie.

Musi porozmawiać z Manettim. I z Jeanne. Jeżeli kościół ma runąć, to razem z nim runie ich dom. A skoro tak, trzeba zgodnie z daną obietnicą znaleźć im nowe mieszkanie. Jeżeli umiejętnie zakręci się wokół sprzedaży ołowiu i dachówek, otrzyma sumę, która powinna ze sporym zapasem wystarczyć na utrzymanie starca i jego wnuczki, i to przez długie lata.

A jak ona się miewa – ta dziewczyna, której dokwaterował gwałciciela? Wedle Guillotina trochę gorzej widzi lewym okiem, poza tym jednak pomyślnie zdrowieje. Choć minęły już prawie dwa miesiące, Jean-Baptiste wciąż pilnuje się, żeby nie zostać z nią sam na sam. Pamięta, jak się wzdrygnęła pod jego dotykiem tamtej nocy, leżąc na kuchennym stole. Chciałby odczekać tak długo, że gdy wreszcie zostaną tylko we dwoje, nie zasiądzie obok nich okrwawiony, lubieżnie uśmiechnięty Lecoeur. Ale jeżeli poczeka jeszcze trochę dłużej, może się pojawić nowy temat, równie trudny do zignorowania jak widmo Lecoeura. Lisa Saget twierdzi, że Jeanne jest przy nadziei: kochanka Armanda podzieliła się tą nowiną z Héloïse. To jeszcze nic pewnego. Należałoby to sprawdzić taką lub inną techniką, a sama Jeanne nikomu się nie zwierzała. Trudno sobie jednak wyobrazić, że taka kobieta jak Lisa Saget myli się w tego rodzaju kwestii. Czy dziecko choć trochę zdaje sobie sprawę z okoliczności swojego poczęcia? Wiele osób jest zdania, że tak.

Przechyla głowę, kierując spojrzenie ku Héloïse, ku jej puszystym włosom, spiętrzonym na wałku. Gdzieś w środku nocy wyrwały jej się z ust ciche dźwięki, parę słów wypowiedzianych z głębi sennego marzenia z urazą i wymówką, lecz teraz pogrążona jest w tym czystym, ostatnim śnie tuż przed obudzeniem i ledwie słysząc szmer oddechu, jakby ktoś wolno muskał płótno czubkiem palca.

Filary są wciąż solidne czy już zmurszały? A fundamenty? Czy cały gmach pływa na błocie?

Idzie z Armandem przez rue de la Verrerie, wieczorne słońce trafia ich obu między łopatki, a z przodu falują po kamieniach ich własne cienie. Z Verrerie w Roi de Sicile, potem przez Saint-Antoine i jeszcze pięć minut marszu w stronę Bastylli, gdzie na jednej z wieżyczek zwisała królewska flaga. Dalej wąską rue de Fourcy obok murów klasztoru i znowu w prawo, w rue de Jardin... Są w Saint-Paul, dzielnicy kamieniarzy: ślepy by

poznał, że to tu. Stają przed otwartymi drzwiami jednego z warsztatów. W ciepłym powietrzu u wejścia wrze kamienny pył. Wnętrze przez kontrast ze słonecznymi ulicami wydaje się czarne jak atrament. Armand wchodzi pierwszy, potyka się o paletę i głośno klnie. Huk młotów ustaje. Masywny mężczyzna w fartuchu i białej czapce wynurza się z atramentu, żeby spojrzeć na przybyszów. Każda fałdka i płaska powierzchnia jego twarzy pokryta jest kamiennym pyłem.

– Wy kto? – pyta.

– Baratte – odpowiada Jean-Baptiste. – Inżynier z Niewiniątek. Szukam majstra Sagnaca. Zapowiedziałem się przez posłańca.

– A ja jestem organistą – przedstawia się Armand, składając lekki ukłon.

– Z cmentarza, hę?

– Tak.

– To ja jestem Sagnac. W liście napisaliście, że burzycie kościół. I że potrzeba wam murarzy.

– Majstra. I czterech czy pięciu starszych czeladników.

– A ręce do pracy?

– Mam ich pod dostatkiem.

– Przywykli do wysokości?

– To górnicy. Przynajmniej kiedyś nimi byli.

Sagnac wybucha śmiechem.

– No to przyprowadzę własnych – oświadczą. – Przydadzą się choćby do czasu, aż tym waszym wyrosną skrzydła.

– Jak tam sobie chcecie.

– Podobnież sam król popiera to przedsięwzięcie.

– Mnie rozkazuje minister – mówi Jean-Baptiste.

Sagnac kiwa głową.

– Wszyscy dla nich w ten czy inny sposób pracujemy, nie? Chcecie, żebyśmy załatwił zielone drewno na rusztowania? Mam lepsze dojścia niż wy.

– Tylko niech cena nie będzie wygórowana – szybko wtrąca Armand. – Mój tu obecny przyjaciel może i ma wiejski akcent, ale ja jestem paryżanin i nauczyłem się różnych sztuczek w Hôpital des Enfants-Trouvés.

– Przekonacie się, że jestem uczciwy – zapewnia Sagnac. – Nie oszukam żadnego bidnego znajdy.

Jeden z młodych czeladników (chudy dryblas, zakurzony tak jak jego majster) wystawia za drzwi trzy taborety. Trzej mężczyźni siadają, żeby napić się białego wina i dobić targu.

– Prawie mu ufam – mówi Armand, kiedy on i inżynier wracają piechotą na cmentarz.

– Zna się na swoim fachu – odpowiada Jean-Baptiste. – A my zapłacimy mu tylko za wykonaną robotę.

– Rozwijasz się – chwali organista.

– Dziękuję.

– A słyszałeś najświeższą nowinę o Jeanne?

W poniedziałek dziesiątego czerwca pół do siódmej rano zjawia się Sagnac z czterema starszymi czeladnikami: Pouletem, Jullienem, Boillym i Barassem. Towarzyszy mu też tuzin robotników w kurtkach i kapelutkach z wąskim rondkiem. Niektórzy mają narzędzia u pasa. Inżynier oprowadza Sagnaca po placu robót. Opukują ściany, szturchają ziemię, naradzają się, a potem znowu szturchają i opukują. Spotykają się z grabarzem i z Jeanne. Jeden czeladnik starannie szkicuje różne partie kościoła. Pozostali spoglądają na kostnice i na mury z kości, kręcąc głowami. Patrzą też na górników, tę zgraję świętych obszarpańców, nawet nie próbując ukryć niesmaku.

– No i? – pyta Jean-Baptiste.

– Na początek ustawimy rusztowanie pod tą południową ścianą – oświadcza Sagnac. – A to co takiego?

– Pracownia lekarzy.

– Że co?

– Można ją przenieść.

– Dobra.

– Kiedy przyjedzie drewno?

– Pierwsza dostawa może przyjść jutro. A jeżeli wasi ludzie umieją wbijać gwoździe, znajdę dla nich zajęcie.

Belki zielonego drewna. Prosta, monotonna geometria kwadratów i trójkątów pnie się po ścianie kościoła. Szybko rośnie. Inżynier codziennie wspina się razem z nią i już niebawem jest ponad kostnicami, patrzy z góry na rue de la Ferronnerie, zagląda w rue des Lombards, do okien na pierwszych, drugich i wreszcie trzecich piętrach.

Górnicy nie są tak zwinni jak ludzie kamieniarza. Nie skaczą z belki na belkę ani beztrąsko nie odchylają się do tyłu, zawieszani w letnim powietrzu, jedną ręką od niechcenia trzymając się rozpórki, ale nie znać po nich lęku wysokości. Dźwigają, wiążą i walą młotkami, przewyższając tamtych siłą, zajadłą wytrzymałością, spokojem i wydajnością pracy. Przy posiłkach obie grupy zachowują wzajemny dystans. Ludzie kamieniarza jadają na rusztowaniach: zabierają tam ze sobą jedzenie, a potem machają nogami, patrząc na górników, którzy gromadzą się na dole w swoim stałym miejscu i rozmyślnie nie spoglądają w górę.

Po tygodniu pokrzykiwań i nieustannego stukotu młotków rusztowanie sięga dachu kościoła. Jean-Baptiste wspina się na nie i staje obok Sagnaca.

– Tu na górze trochę lepsze powietrze, hę? – zagaduje majster, siedząc szerokim zadem na parapecie przy samym skraju dachu.

– Skoro tak uważacie – odpowiada Jean-Baptiste. Widzi rzekę. Dach Luwru. Młyny na Montmartre.

– Byłbym za tym, żeby się przebić przez tamtą rynnę – mówi kamieniarz, wskazując palcem tę, o którą mu chodzi. – Zobaczylibyśmy, z czym mamy do czynienia.

– Zgoda.

– Chcecie zachować dachówki?

– Ile tylko się da.

– No to potrzebne będą dźwigi.

– Mamy liny, łańcuch, bloczki.

Sagnac kiwa głową.

– Wasi ludzie nieźle pracują jak na cudzoziemców.

– Nie wszyscy są cudzoziemcami – prostuje Jean-Baptiste. – Ale racja, że dobrze się spisują.

– Tak czy owak, diabelna robota – mówi Sagnac, przyglądając się młodemu inżynierowi, wpatrując się w niego tak, jakby w tym rozrzedzonym powietrzu ujrzał go po raz pierwszy.

Powietrze w kościele przypomina stojącą wodę: chłodne, zastale. Inżynier zszedł z rusztowania i właśnie wchodzi do środka z Armandem i czterema górnikami. Kamieniarz jest gdzieś nad południowym transeptem. Z posadzki w ogóle nie widać sklepienia; wszystko trzeba sobie wyobrazić. Wykręcają szyje, odczekują chwilę, rozmasowują karki i znów patrzą w górę. Wtem słychać głuchy łoskot, który każe sucho zatrzepotać niewidzialnym skrzydłom. Po pierwszym ciosie młotka następuje długa seria uderzeń w dwusekundowych odstępach.

– To powinno obudzić Colberta – mówi Armand.

– Jeżeli w ogóle tu jest – odpowiada Jean-Baptiste.

– O, nie może być nigdzie indziej.

– A czym się żywi?

– Woskiem. Liturgią. Własnymi kciukami.

Jeden z górników cofa się, ocierając dłonią twarz.

– Kurz się sypie – mówi Jean-Baptiste. – Odsuńcie się trochę.

Łoskot młotków nie brzmi już tak głucho. Na moment milknie, a potem znów się rozlega, raz, dwa, raz, dwa, lecz teraz już trudniej wyczuć, skąd dociera.

– Są akurat nad nami? – pyta Armand.

– Nie, nie. Przy tamtej krawędzi. Spróbują się przebić między krokwiami u dołu rynny.

Coś spada na posadzkę. Tym razem nie kurz. I jeszcze więcej, z każdym uderzeniem młotka. Płatki gipsu, gruz. Wtem leci wielka bryła, aby siedem czy osiem metrów przed patrzącymi roztrzaskać się na kawałki. Dwudzielny rytm ustępuje miejsca trójdzielnemu. Ba-ba bang, ba-ba bang, ba-ba bang. Pół minuty ciszy, a potem dwa uderzenia, starannie wymierzone, celowe, jakby robotnicy odkryli na łbie smoka nieopancerzoną strefę, bezbronny punkt. I znowu spada jakiś wielki fragment. Ci na dole cofają się. Wśród czerni, na tych czarnych wyżynach, w które się wpatrują, coś mruga. Białe oczko, małe i tak jasne, że ledwo da się w nie patrzeć.

– Przebili się! – woła Armand.

Po szybkiej serii uderzeń oko się powiększa. Promień wirującego światła pada skosem z dachu na posadzkę, załamując się nie na żadnym złoconym aniele ani gipsowym świętym, lecz na bucie górnika, który odskakuje do tyłu jak oparzony.

Nieśmiało wyciągają ręce ku promieniowi i obracają w nim dłonie. Z góry słychać

jeszcze kilkanaście uderzeń i oto mogą skąpać się w świetle aż po pierś, a wkrótce całym ciałem. Héloïse musi to zobaczyć – myśli inżynier. Héloïse, Jeanne... wszyscy muszą to zobaczyć.

– Hej, tam, na dole! – krzyczy ktoś.

To Sagnac. Jego głowa wydaje się mała jak pieniążek.

Inżynier wchodzi w krąg światła i spogląda w górę.

– Tu jesteśmy! – woła. Dziwna to rozmowa. Może właśnie tak rozmawiał Adam z Jehową. – Jakiś kłopot?

– Jakby muszle tłuć! – odkrzykuje Sagnac. („Uszle tłuć!” – śpiewa echo). – Krokwie przegniły na wskroś. Jeszcze dwadzieścia lat i wszystko by się samo zawaliło! – Głowa znika.

– Idę grać – oznajmia Armand, splatając palce i trzaskając stawami. – Dwaj z tych chłopców mogą mi pokalikować.

– Czy to pora na granie? – dziwi się Jean-Baptiste. Ale zaraz dodaje: – Masz rację. Nigdy nie powiedziałeś niczego mądrzejszego.

Po półgodzinie Armand wciąż improwizuje na organach, a inżynier oprowadza zwiedzających, pokazując im światło. Héloïse ściska go za łokieć. Grabarz spogląda w górę, mrugając oczami niby więzień przez pięćdziesiąt lat trzymany w lochu, w jednym z tych wilgotnych cachots, które są ponoć w Bastylii. Lisa oblizuje usta, a jej twarz otwiera się niczym kwiat.

– Ależ to jest filozofia – cicho mówi Guillotin.

Jeanne wybucha bezgłośnym płaczem. Początkowo wzbrania się dotknąć promienia. Jean-Baptiste bierze ją za rękę, korzystając z tego, że chwila pozwala na taki gest. Dziewczyna się nie wzdryga. On podnosi jej dłoń ku światłu, a gdy to w nią trafia, skórę obu dotykających się dłoni zdaje się otaczać delikatny niebieski ogień.

W ciągu następnych kilku dni wykuwają w południowej ścianie dwadzieścia otworów na jednej wysokości. Powietrze gęstnieje od pyłu, ten jednak przez noc osiada lub się rozwiewa. Światła przybywa, aż osobne promienie łączą się, tworząc wystrzępiony pas, który wolno sunie na północ, w stronę rue aux Fers. Pod koniec miesiąca światło liże już brzeg nawy, zachodzi smugami na chór, rozlewa się sadzawką u stóp ołtarza. Jakie obmierzłe wydaje się teraz wszystko tam w dole! Ileż wstydliwych detali skrywała ciemność! Ławki (w większości tak stoczone przez korniki, że strach byłoby na nich usiąść) spiętrzone w wielki stos na skrzyżowaniu nawy głównej z transeptem. Odkąd do kościoła wtargnęło światło, widać wyraźnie, że wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość pieniężną, już stamtąd wyniesiono, zgodnie z prawem lub nie. Inżynier przez godzinę szuka z Armandem najslawniejszej relikwii Niewiniątek, czyli kości z palca u stopy słupnika wraz z żelazną szkatułą, w której ją przechowywano, ale nie ma po niej ani śladu, a ponieważ organista rozgląda się za nią trochę tak, jakby odgrywał pantomimę, Jean-Baptiste pyta go bez ogródek, czy ukradł relikwię.

Armand przyznaje, że owszem, ukradł.

– Chciałem zdobyć pieniądze dla sierocińca – wyjaśnia.



– Czy to aby prawda? – upewnia się Jean-Baptiste.

Muzyk wzrusza ramionami.

Dobiegający z góry krzyk oznacza, że leci coś dużego: przypustnica, wiatrownica, a może dębowa belka wspornikowa spada jak oszczep w rumowisko szczątków. Albo kamień, jakiś odłupany element, za chwilę roztrzaska się o posadzkę niby armatni pocisk.

Połowa górników pracuje w kościele, burząc go. Mają dwuręczne młoty, kilofy i żelazne pręty, a swoje zadanie wykonują jakby z sekciarską satysfakcją. Pozostali pracują na dachu albo obsługują bloczki, za pomocą których spuszcza się na dół ocalone dachówki i zwinięte arkusze ołowiu. Jean-Baptiste znów zaczyna czuć się jak inżynier. Kamień, pył i zbutwiałe drewno są więcej niż znośne w porównaniu z czarną ziemią i kośćmi. I czy niszczenie nie wciąga człowieka jak nałóg? Nie zaspokaja jakiegoś szemranego apetytu, chłopięcego pragnienia, żeby zamachnąć się tępym narzędziem na coś, co w bezmyślnym milczeniu się temu poddaje?

Pisze do matki: „Burzę kościół!”. Jak zwykle załącza pieniądze, proponując pół żartem (ale i pół serio), żeby wydała je na podróż do Paryża, to zobaczy, jak jej syn z zakasаныmi rękawami i twarzą oblepioną pyłem rzuca na kolana kamiennego słonia. A może pastor zechce jej towarzyszyć?

Wykreśla tę ostatnią myśl. Wykreśla ją starannie.

W jednej z bocznych kaplic, odartych z niezwykłości i zeświecczonych przez światło, Jean-Baptiste kończy budować regał na książki – wolno stojący mebel o pięciu półkach. Za materiał posłużyło mu drewno z odzysku – głównie z oparc i siedzeń ławek (tych nielicznych, których nie odwiedziły korniki), ale w górną część wmontował płytę wyciętą z retabulum za ołtarzem: wyrzeźbione na niej figurki to zapewne apostołowie, a może przypadkowi gapie, jacy muszą stać na obrzeżach każdego cudownego lub strasznego zdarzenia. Goście z wesela w Kanie, wieśniacy obserwujący przybycie żołdaków Heroda. Héloïse zapełnia trzy półki posiadanymi już książkami. Popołudnie z Ysbeau nad rzeką (oboje delikatni, roztargnieni) pozwala jej wypełnić prawie całą czwartą półkę, i to nowymi tomami w porządnych wydaniach, a nie takimi za piętnaście sous, co zaraz po otwarciu rozlatują się w rękach.

Jest pełnia lata i w całym mieście mnożą się świeże napisy czarną farbą.

Przy kościele Sainte-Marie na rue Saint-Antoine: „BECHE ZEŻRE BISKUPA I WYPLUJE GNATY. A NA DESER KARDYNAŁA”.

Na quai de l’Horloge poniżej Conciergerie (czyżby ktoś pisał, stojąc w łodzi?): „M. BECHE POTOPI BOGACZY W POCIE BIEDAKÓW!”.

Na ścianie naprzeciw Kompanii Indyjskiej: „BECHE WIDZIAŁ WASZE ZBRODNIE! RACHUNEK W DRODZE”.

Na balustradzie Pont au Change, po lewej, gdy się idzie na południe: „PANOWIE KRWIOPIJCY! M. BECHE ZROBI Z WASZYCH DZIECI SIEROTY!”.

Wypatrywanie tego rodzaju napisów, zanim dostrzegą je władze, które teraz już znacznie skwapliwiej zacierają oznaki takich nastrojów, staje się formą sportu. Ludzie zawiadamiają się nawzajem o świeżo zauważonych napisach – ot tak, mimochodem, z

humorem, choć zarazem ze swoistą, pytającą powagą. No bo jeżeli ten jakiś Bêche naprawdę istnieje? Jeśli pewnego dnia spełni te wszystkie obietnice?

Ilekcio Jean-Baptiste dowiaduje się o tych hasłach od Armanda (który konsekwentnie się wypiera jakiegokolwiek osobistego udziału w ich pisaniu), od doktora Guillotina albo od Héloïse (która nie całkiem zarzuciła dawny zwyczaj swobodnego przemierzania miejskich szlaków), a raz od Marie, kiwa głową i wzrusza ramionami. Co go obchodzi jakieś tam bazgroły? Nie może jednak zaprzeczyć, że ten cały Bêche budzi w nim tajone zaciekawienie. Inżynier chwilami nawet daje się ponieść fantazji, jakoby w jednym z cuchnących bâtiments w faubourg Saint-Antoine rzeczywiście czaił się człowiek, którego myśli są ostre jak noże, skrytobójca o filozoficznym zacięciu, morderca w imię ludu. A czy sam Jean-Baptiste przeciwstawiłby się komuś takiemu? Zdradziłby go? Czy poszedłby w jego ślady? Stałby się równie jak on nieubłagany. Rządny krwi i nieubłagany... A potem otrząsa się z tych mrzonek i wraca do zadań. Do kamieni, potu i rzucania gromkich rozkazów przez powietrzny labirynt. Tym, co porabia świat i do czego się szykuje, zajmie się później. Historia musi jeszcze na małą chwilkę dać Niewiniątkom pierwszeństwo.

Dobrym punktem obserwacyjnym do śledzenia postępów prac przy rozbiórce kościoła jest jego dawny pokój na tyłach domu Monnardów. Chadza tam prawie codziennie, o ile czas pozwala, staje między łóżkiem a stołem i wygląda przez okno. W pokoju panuje straszliwa duchota. Bóg jeden wie, jakie jest powietrze w izdebce Marie na poddaszu. W poprzek łóżka leżą sukienki Ziguette, bezwładne jak wygrabione z rzeki wodorosty. Maleńkie złociste mole (z gatunku tych, co zostawiają na skórze złotą smużkę, gdy miażdży je się w palcach) podrygują i trzepoczą wśród tkanin. Ragoût widocznie pamięta dawne chwile intymności w tymże pokoju, kiedy to leżał w zimowe noce przy stopach inżyniera, bo czasem dotrzymuje mu towarzystwa: wygodnie układa się na sukienkach, a nawet do połowy w nie wpełza, tak że kot dziewczynieje, a dziewczyna kocieje.

W pewien niedzielny wieczór pod koniec lipca są razem w tym właśnie pokoju. Ragoût wetknął nos w muślinową falbanę, a Jean-Baptiste sennie opiera się o stół i patrzy na kościół, który sprawia miłe wrażenie wraku. Pozostała jeszcze do zburzenia jedna czwarta dachu, więc w przyszłym tygodniu trzeba zbudować rusztowanie na rue aux Fers, i wciąż nie wykopano dość głębokiego rowu, żeby sprawdzić stan fundamentów, ale dotychczasowe postępy są do przyjęcia, co najmniej do przyjęcia, i nawet monsieur Lafosse podczas ostatniej wizyty nie zdołał całkiem ukryć zadowolenia: przez bitą minutę stał przy oknie salonu, zanim odwrócił się, aby oświadczyć głosem naoliwionym podejrzliwością, że minister będzie wcale kontent, gdy się dowie, iż jego przedsięwzięcie nareszcie przebiega tak, jak powinno.

Żeby tylko górnicy dali się tu zatrzymać jeszcze na jakiś czas! Górnicy, Sagnac. No i on sam, rzecz jasna, zwłaszcza on sam. Udało mu się przynajmniej znaleźć mieszkanie dla Jeanne i jej dziadka. Cztery porządne, widne pokoje na parterze przy rue Aubri Boucher, naprzeciw kościoła Saint-Josse, parę minut piechotą od targowiska. Wygodny adres dla przyszłej matki, a po urodzeniu dziecka też będzie jej tam wygodnie, bo nie ma

już cienia wątpliwości, że Jeanne jest w ciąży. Wyraźnie zgrubiała w talii; nabrzmiewają jej piersi. Wygląda młodziej. Jest młoda, nieśmiała, rozmarzona. Nie widać, żeby była nieszczęśliwa. Uśmiecha się do ludzi, mówi mało, sprawia wrażenie zniszczonej, a zarazem zbawionej, jak być może niegdyś matka Chrystusa. I stale blisko niej, na końcu jej cienia, bo zawsze znajdzie sposób, żeby właśnie tam stanąć, ten brodacz w ciężkich buciorach, kołek z drewna wyrzezany, Jan Block...

Ziewnięcie rozdziera mu twarz. Trze napiętkami oczy, czując, jak ciało równomiernie, monotonicznie poucza go serdecznym biciem serca: to, to, to, to... Unosi powieki i widzi już nie okno, lecz wiszącą na ścianie rycinę z weneckim mostem Rialto, którego jedyny łuk jest dość wysoki, żeby nawet w porze przyływu mieściły się pod nim łodzie, a na samym moście stoją dwadzieścia cztery wąskie domy z ołowianymi dachami. Obrazek wisi na gwoździu, tak jak zawisł pierwszego wieczoru po przybyciu Jean-Baptiste'a do tego domu, lecz minęło już wiele miesięcy, odkąd inżynier ostatnio go kontemplował, a wraz z nim owe dawne ambicje, które rycina niegdyś symbolizowała. Mosty i drogi? Tak. Mosty i drogi przecinające Francję, przeskakujące jej rzeki, łączące miasta i wsie jak perły nanizane na sznurek, a potem całe to przedsięwzięcie – rzetelne, harmonijnie wysklepione – złożone niby dar pod murami jakiegoś jaśniejszego miasta. On sam konno, a za nim brygady robotników. Ludzie, konie, wozy, kamień. Chmury pyłu. I teraz by temu podolał. Nietrudno w to uwierzyć. Nie wątpi w siebie, już nie czuje, że musi w trwodze, siłą woli nieustannie budować jedną całość z tych osobnych części, z których się składa, bo inaczej przestanie istnieć. Ale czy jego ambicje są takie jak dawniej? Czy nie stały się, dajmy na to, mniej ambitne? A jeżeli tak, to co je zastąpiło? Najwidoczniej nic bohaterskiego. Nic, czym można by się chełpić. Pragnienie, żeby zacząć jeszcze raz, uczciwiej. Oglądać każdy pomysł przez pryzmat doświadczenia. Jak najmocniej stać na własnych nogach w osławionym brudzie świata. Życ wśród niepewności, chaosu, piękna. Życ mężnie, jeżeli się da. Męstwo będzie potrzebne, w to akurat nie wątpi. Odwaga działania. I odtrącania żądań.

Niewzruszenie spokojny kot patrzy na niego z łóżka, a zarazem z otchłani własnej tajemnicy. Jean-Baptiste uśmiecha się do niego.

– Myślisz, stary przyjacielu, że w domu w Bellême przygarnęliby mnie z powrotem?

I wtedy jego spojrzenie znowu przyciąga coś, co dzieje się za oknem, nad kościołem, z którego przez strzaskany dach bucha spiralą czarny dym. Wznosi się i opada, wijąc się wokół rusztowań, zniża się aż do cmentarnych murów, a potem znów pnie się w górę, kołuje w przejrzystym powietrzu, zatacza koło za kołem, zanim runie na wschód. Jean-Baptiste woła Héloïse. Kobieta biegnie do niego przez podest.

– Odlatują! – krzyczy inżynier. – Latające... Psiakrew! Coś jak skrzydlate myszy.

– Co? Nietoperze?

– Tak, tak. Są ich setki! Tysiące!

Héloïse patrzy we wskazanym kierunku, mruży oczy, ale nad kościołem wisi już tylko noc.

Środek sierpnia. Wschód słońca dwadzieścia po szóstej. Dni już wyraźnie krótsze. Jean-Baptiste otwiera okiennice, przygląda się domom z przeciwka, które jeszcze toną w cieniu, i zastanawia się, czy ktoś go stamtąd obserwuje: trudno wyczuć. W łóżku za jego plecami właśnie poruszyła się Héloïse. On pyta, czy zapalić świecę. Nie trzeba – odpowiada kobieta. Widzi i bez świecy. Jest woda? Mężczyzna znajduje resztkę i wkłada jej szklankę w dłonie, a potem słucha, jak ona pije.

Ma na sobie tylko koszulę, w której spał. Wciąga spodnie i upycha w nogawkach poły koszuli, po omacku znajduje pończochy i siada w nogach łóżka, żeby je włożyć. Héloïse ściąga peniuar z krawędzi parawanu, na którym zawsze go wieszka przed pójściem spać.

– Czyste niebo – mówi.

– Tak.

– Od tygodni nie pada.

– Ano nie.

– Ucieszyłabym się, jakby przyszła burza. Przynajmniej umyłaby ulice.

Mówią prawie szeptem. On zapina spodnie, a ona krząta się wokół swoich spraw za parawanem. Po drugiej stronie ulicy wierzchołki kominów złoci wąski pasek słońca. Żółtem różowym, pomarańczowym.

– A gdybyśmy tak wyjechali? – pyta mężczyzna.

– Z miasta?

– Na dwa tygodnie.

– Możesz sobie na to pozwolić?

– Mógłbym poprosić Sagnaca, żeby tu wszystkim pokierował. Teraz to i tak głównie jego robota.

– A dokąd byśmy pojechali?

– Do Normandii. Do Bellême. Tam będzie świeższe powietrze. Dużo świeższe. I czy nie pora, żebyś poznała moją matkę?

– Twoją matkę?

– Tak.

– A jeżeli tu się coś stanie? – pyta Héloïse, wychodząc zza parawanu i przecierając twarz wodą pomarańczową. – Albo jeżeli twoi ludzie nie zechcą słuchać Sagnaca?

– Niby dlaczego mieliby nie zechcieć?

– Może go nie lubią.

– Nie muszą go lubić. Nie wiem nawet, czy mnie lubią. A zresztą wyjechalibyśmy tylko na dwa tygodnie. Albo i na krócej, jeżeli wolisz. Nie chcesz poznać mojej matki?

– Chcę – odpowiada Héloïse. – Po prostu trochę się boję tego spotkania. Żyjemy przecież... swobodnie.

Jean-Baptiste podchodzi do niej. Uwielbia widok jej twarzy wczesnym rankiem.

– Ona jest wyrozumiała – mówi, ujmując zimne od wody palce kobiety.

– Wyrozumiała?

– Tak.

Héloïse zaczyna się śmiać. Jean-Baptiste też po chwili wybucha cichym, syczącym śmiechem, który nagle milknie, bo w pokoju piętro niżej ktoś nieprawdopodobnie głośno kicha, a po tym pierwszym wybuchu następują kolejne, jeden za drugim.

– Monsieur Monnard – mówi Héloïse – zaraził się od Marie przeziębieniem.

– Zastanawiałem się – odpowiada Jean-Baptiste – czy Monnard... Czy on i Marie... To możliwe?

– W zeszłą sobotę po południu – mówi Héloïse – słyszałam z poddasza przedziwne odgłosy, przysięgam.

– Odgłosy?

– Jakby ktoś chłostał dziecko.

– A teraz razem się zaziębili – stwierdza Jean-Baptiste.

– Biedna madame – wzdycha Héloïse.

– Powinna jechać do Dauphiné – orzeka inżynier. – Nie rozumiem, czemu tam nie jedzie.

– Albo tamta mogłaby wrócić.

– Co? Ziguette? Umiałabyś zasnąć z morderczynią pod jednym dachem?

– Ona nie jest morderczynią, Jean. Ale nie, nie mogłabym z nią mieszkać. Musielibyśmy znaleźć inne miejsce. Na przykład Lisa opowiadała mi o miłym mieszkaniu na rue des Ecouffes, niedaleko jej własnego. Wynajmują je jacyś notariuszostwo, ale we wrześniu mają się wyprowadzić.

– Czemu nie tam, co?

– Mielibyśmy własny kąpiel.

– I Armanda za sąsiada.

– Jakoś byśmy to przeżyli – mówi Héloïse. – Pomyślisz o tym, Jean?

– Pomyślę – obiecuje inżynier.

– Słowo?

– Słowo.

Rozchodzą się i kończą ubieranie. On przy oknie zapina kamizelkę, patrząc na rozkołysaną płócienną budę przejeżdżającego wozu, który zna już z widzenia: M. Hulot et Fils, Déménageurs à la Noblesse.

Cóż to tak nagle skłoniło go do rozmowy o wyjeździe? Światło na kominie? Czyżby właśnie ono? Człowiek często chyba sam nie wie, co myśli i czego chce. Ale pomysł nie jest tak znów nierealny. Sagnac pewnie by się zgodził, chociaż nie za darmo. A górnicy? Niby dlaczego mieliby stanąć okoniem, jeżeli dostaną, co im się należy? Próbuje sobie wyobrazić siebie z Héloïse wśród wiejskiej zieleni: beztrąsko spacerują po lesie, wylegają się w stogach siana, wypatrują pstrągi w strumieniu, matka ich błogosławi... Nie tak łatwo to sobie wyobraża, jak by chciał. Łatwiej mieści mu się w głowie, że przez cały czas będzie się martwił o cmentarz, a potem znajdzie pretekst do pospiesznego

powrotu.

– Kupię dziś wołowe ogony – oświadcza Héloïse. – Rzeźnik Sanson mi je obiecał. Będą ludziom smakowały. Ugotuję je z cebulą, czosnkiem, pomidorami i tymiankiem. Dodam sporo czerwonego wina i może parę świńskich ratek. Świńska ratka bardzo poprawia smak takiej potrawy. Sos robi się dużo zawiesistszy. Czy matka gotowała ci świńskie ratki, Jean? Prawda, że w Normandii często je się jada? Jean... co ty wyprawiasz?

Mężczyzna przeszedł spod okna do toaletki, usiadł przed lustrem i patrzy w jego tafle lśniącą błękitem.

– Znowu zaczyna cię boleć głowa? – pyta Héloïse, podchodząc do niego i delikatnie kładąc mu dłonie na skroniach.

– Nie – on na to. – Wcale nie.

– Niepotrzebnie wspomniałam o Ziguette.

– Mniejsza o to.

– Ale jednak się zmarszczyłeś.

– Właśnie zauważyłem – mówi Jean-Baptiste – że zaczynam się upodabniać do starego Dudo.

– Dudo? Kto to taki? – pyta Héloïse.

Mężczyzna szuka w lustrze jej spojrzenia i uśmiecha się do niej.

– Pewien wieśniak z rodziny Baratte – wyjaśnia. – Najczystszej krwi.

W słońcu jest już dość gorąco. Jego żar spływa po rue aux Fers i wlewa się inżynierowi w kości czaszki. Przy włoskiej fontannie na końcu ulicy widać ciemne sylwetki praczek, a wokół nich krople wody roją się jak pszczoły. Jean-Baptiste otwiera cmentarną furtę: nie jest zamknięta na klucz, stoi otwarta od tamtej nocy z Lecoeurem. To, że wtedy ją zamknięto, nie pomogło ani Lecoeurowi, ani nikomu innemu. A już na pewno nie pomogło Jeanne. A jeżeli ktoś chce podkraść trochę drewna, niech sobie podkrada. Inżynier podejrzewa zresztą, że tego pokroju osobnicy wchodzenie furtą i tak mają w pogardzie.

Na dachu kościoła kamieniarze i prości wyrobnicy zajęli już stanowiska, chociaż sądząc po dobiegających stamtąd odgłosach, raczej gadają, niż pracują. Inżynier wodzi spojrzeniem po rusztowaniach i gzymsach, ale nigdzie nie widzi Sagnaca. Może majster jeszcze nie przyszedł, więc czeladnicy korzystają ze swobody.

Kilkunastu górników siedzi kręgiem na występie podstawy kazalniczego krzyża. Ich buty toną w wysokiej trawie. Jedni palą fajki, inni dojadają chleb ze śniadania. Inżynier mówi im „dzień dobry” i idzie dalej, do domu grabarza. Kuchnię całkiem już opróżniono, zostawiając tylko to, co niezbędne do żywienia ludzi. W dawnym pokoju Lecoeura pleśniejące archiwum cmentarza złożono w skrzyniach, chociaż nie wiadomo, co należy z nim zrobić, dokąd wysłać i komu może być potrzebne. Jutro albo pojutrze rozbierze się stojące na piętrze łoże i w częściach zanieś na rue Aubri Boucher. Gotować będzie się już tylko pod pałatką, którą niedawno rozpięto w zachodnim końcu Niewiniątek. Przebywanie w domu stanie się wkrótce zbyt niebezpieczne. Spadający z kościoła

kamień przebije dach niby armatnia kula.

Przy dalszym końcu kuchennego stołu jakiś cień porusza się i raptem zestala. Siedzi tam grabarz. Srebrne włosy ma wprawdzie uczesane i schludnie związane, ale jest bez surduta i kamizelki, tylko w starej szarawej koszuli z niebielonego płótna, rozpiętej do połowy piersi. W palcach trzyma kurze jajko i starannie je obiera.

– Jużście się stąd prawie wyprowadzili – stwierdza inżynier.

Manetti kiwa głową, nie odrywając wzroku od jajka.

– Pewnie jeszcze zatęsknicie za tym domem? Czegoś wam będzie brakowało?

– Ogrodu – mówi grabarz. – Zostaniemy bez ogrodu.

– No tak. Nie będziecie go już mieli. – Z okna kuchni Jean-Baptiste widzi wąskie półkole maków obok grobowca rodziny Flaselle. Przy zachodniej kostnicy widać spiczaste liście wierzbówki i szczaw, który górnicy lubią żuć. – Czy to prawda – pyta – że dawniej robiono tu sianokosy? I wypasano inwentarz?

– Prawda.

– Jeanne mi o tym opowiadała. Jak tylko tu przyjechałem. Zapamiętała wszystkie pańskie stare historie, monsieur.

– Niektórych historii – mówi grabarz, wbijając w Jean-Baptiste'a nieruchome i nie całkiem życzliwe spojrzenie – nie można opowiedzieć dziecku.

Zapada milczenie, które po chwili przerywa lekarz, zaglądając w drzwi.

– Przepyszny ranek – oznajmia. – Serdecznie witam obu panów – dodaje, patrząc na nich promiennym wzrokiem. – Idzie pan do kościoła? – pyta Jean-Baptiste'a. – A gdzież się podziewa ta piękna niewiasta, którą nie wiedzieć jakim sposobem namówił pan, żeby z panem zamieszkała?

– Przyjdzie niebawem – odpowiada Jean-Baptiste.

Kiedy potem idą razem przez cmentarz, doktor mówi cicho:

– Obawiam się, że jego umysł zaczyna błędzić.

– Mówi pan o Manettim? Wydał mi się dość przytomny.

– Naprawdę? – powątpiewa Guillotin.

– A co z Jeanne?

– Pyta mnie pan jako lekarza?

– Tak.

– Dla niej – mówi doktor – jedyną rzeczywistością jest dziecko. Ono nade wszystko. Zaofiarowałem się, że kiedy przyjdzie jej pora, przyjmę poród. Za darmo. Zgłosiłem się na kogoś w rodzaju stryja.

– Ma pan w Lyonie bratanicę, prawda?

– Moją drogą Charlotte. Tak.

– A tamta?

– Co proszę?

– Tamta Charlotte. Co z nią zrobiliście?

– Ach. Musieliśmy spalić biedaczkę. Zaczynała się rozkładać.

Podeszli do zachodnich drzwi. Wchodzić przez południowy transept jest już

niebezpiecznie. Jean-Baptiste pyta lekarza, czy chciałby coś sobie wziąć z kościoła.

– Skoro już o tym mowa – odpowiada Guillotin – to w jednej z kaplic wiszą dwa małe obrazki. Zna pan ten styl. Mgliste pejzaże z dyskretnym akcentem religijnym w oddali. Po oczyszczeniu mogłyby nieźle wyglądać na ścianie mojego gabinetu. Nie ma pan chyba nic przeciwko temu?

– Dam je panu z wielką ochotą. Inaczej skończyłyby w ogniu.

– W ogniu! Drogi inżynierze, ma pan w sobie coś z Huna. Doprawdy, żeby palić dzieła sztuki!

W kościele idą gęsiego. Słońce wzniosło się tymczasem nad dach, a tam, gdzie dachu już nie ma, światło załamuje się pod ostrym kątem na przeciwległej ścianie, z przesadną dokładnością wyłuskując z mroku biegnące wzdłuż filaru żłobki, skośną krawędź łuku lub kamienną twarz, wpatrującą się wytrzeszczonymi oczami w zawisły w powietrzu cud. Czeladnicy i terminatorzy Sagnaca wciąż ćwierkają jak wróble. Coś spada, przemyka przez strefę światła i znów tonie w cieniu, trafiając z hukiem gromu w stos ławek.

Nawa północna wciąż jest pod dachem, osłonięta, ciemna jak skraj lasu. Z bliska widzą, że Armand i dwaj górnicy – Slabbart i Block – pochylają się przy organach, dobierając się do nich narzędziami. Kiedy Armand prostuje się i spogląda na Jean-Baptiste'a, policzki ma całe we łzach.

– Ten nędzny prowincjusz – mówi do lekarza, wytykając inżyniera palcem, który jednak zatrzymuje o grubość monety od jego kamizelki – każe mi zaszlachtować mój własny instrument.

– Och, monsieur – łagodzi Guillotin. – Monsieur, monsieur! Już mu nawymyślałem od Hunów. I nie wątpię, że znajdzie dla pana coś miłego tytułem zadośćuczynienia.

– Co wyprawiasz z tymi organami? – pyta Jean-Baptiste.

– Wyjmuję klawiatury. Jeżeli je zabiorę, będę mógł dalej ćwiczyć.

– Chcesz i registry?

– A dasz radę je wymontować?

– Oczywiście – mówi Jean-Baptiste, dotykając ręką rzeźbionej gałki najbliższego rejestru. Zdażył już się nauczyć ich nazw, przynajmniej niektórych. Cromorne, trompette, voix céleste, voix humaine. – Gdybym tylko mógł, zachowałbym całe organy.

– I co byś z nimi zrobił? – pyta Armand, któremu chyba już przechodzi przyływ żalu. – Stary grat miał swoje wielkie dni. Miał ich tysiące. Umiera razem z kościołem.

– No to przyjdź wieczorem zagrać u nas w domu – zaprasza Jean-Baptiste. – Zabierz Lisę. Może Jeanne i jej dziadek też dadzą się namówić. Pan także będzie mile widziany, doktorze.

– Koncercik? – pyta Armand.

– Jeżeli zechcemy. Monnardowie z pewnością się nie sprzeciwią.

– Monnardowie? – powtarza organista, oddając inżynierowi dłuto. – Nie, na pewno się nie sprzeciwią. Nigdy i niczemu, prawda? Nawiasem mówiąc, czy nie czas pomyśleć o tym, żebyś ich wreszcie zostawił samych? Spotkała ich wystarczająco surowa kara. Posłuchaj Héloïse.



Przez pół godziny w zakurzonej chłodzie północnej nawy Jean-Baptiste trzyma się ramię w ramię ze Slabbartem, wymontowując klawiatury, a potem zaczyna manipulować przy płycie wokół registratorów. Górnik ma dryg do narzędzi i miło z nim się pracuje, lecz gdy staje się oczywiste, że doskonale będzie umiał sam dokończyć zadanie, Jean-Baptiste rusza tuż pod ścianami w stronę zachodnich drzwi i wychodzi z kościoła. Przed nim nad kostnicami słońce świeci prosto w tylne ściany domów rue de la Lingerie, aż ślepną wszystkie okna. Czy rzeczywiście chciał ukarać Monnardów? Za to, że mają szaloną córkę? Nie myślał tak o tym w sposób świadomy. Wręcz przeciwnie: własne zachowanie wobec nich (to, że okazywał im zaledwie śladową uprzejmość, uniemożliwiał sprowadzenie Ziguette z wygnania, robił w ich domu, co mu się żywnie podobało, a nawet zamieszkał w nim z Héloïse) wydawało mu się zupełnie zasadne. Sprawiedliwe i zasadne. A teraz ma wrażenie, że postępował z nimi podobnie, jak Lafosse postępuje z nim samym, może trochę tak, jak Lafosse'a traktuje minister. Pokazał im, że są niczym. Upokorzył ich.

Z dachu znów słychać okrzyki i pohukiwania. Inżynier wychodzi z cienia kościoła i spod zmrużonych powiek spogląda na rusztowanie, postanawiając wejść na nie za chwilę i pomówić z Sagnacem. Przedtem jednak pośle ludzi do pracy przy przenoszeniu kości, które mają odjechać wieczornym transportem. Potem będą mogli zacząć wywierać żelazne kraty z frontów poddaszy, na których leżą szkielety. Większość tych krat już obejrzał, stojąc na drabinie, i przekonał się, jak zmurszały jest kamień wokół nich i jak bardzo one same zdążyły zardzewieć. Wystarczy je usunąć, a potem wygarnąć kości grabiami: będzie to bez porównania mniej pracochłonne niż wynoszenie kolejnych naręczy po wąskich, ciemnych schodkach, wiodących z poddaszy ku wejściom do podsieni. Trzeba je wygrabić na wielkie płachty, porobić toboły i zawlec je do furty. Przydałby się osioł. A jeszcze lepiej dwa. Czy Louis Horatio Boyer-Duboisson handluje tak skromnymi stworzeniami? Trudno uwierzyć, że nie.

Zwołuje ludzi. Schodzą się, idąc równym krokiem, w swoim tempie. Rękawy mają podwinięte, koszule rozchełstane. Szyje i ręce ogorzałe. Wyglądają raczej na wieśniaków niż na górników. Jean-Baptiste zaczyna wydawać im polecenia tą swoją sękatą mieszanką francuskiego z flamandzkim, tłumacząc, co wymyślił w sprawie poddaszy i krat. Widzi kątem oka, że Héloïse wraca z targu, dźwigając dwie duże słomiane torby. Jeden z mężczyzn – Elay Wyntère – spieszy jej z pomocą.

– Nasza kolacja – oznajmia inżynier.

Uśmiecha się do górników, a potem spogląda na kościół. Przez chwilę dobiegały stamtąd wzburzone krzyki, a potem zapadła dziwna cisza. Nikt nie stuka młotkiem ani nie piłuje. Widoczni z dołu robotnicy na dachu chyba stoją beczynn timer, patrząc w głąb kościoła. Mijają kolejne sekundy. Pada światło, godne podziwu i niezmiennie. Górnicy pierwsi uświadamiają sobie, co się stało. Czy jest bowiem coś, czego kopalnie w Valenciennes nie zdążyły ich w tej materii nauczyć? Czują przez podeszwy butów to delikatne drżenie zwiastujące katastrofę i dobrze znają następującą potem ciszę. Biegiem mijają inżyniera, potracając go po drodze do kościoła. On przez chwilę nie wie, co robić,

wnet jednak biegnie za nimi.

– Co się dzieje?! – woła Héloïse. A potem: – Nie wchodź tam, Jean!

– Czeka! – odkrzykuje inżynier.

– Jean-Baptiste!

– Czeka!

W kościele górnicy otoczyli już miejsce w połowie drogi między dwoma filarami w południowej części nawy. Jean-Baptiste musi mocno pociągnąć jednego za rękę, pchnąć drugiego w ramię, podnieść głos, zanim uda mu się przedrzeć. Na ziemi w kręgu mężczyzn leży człowiek z rozkrzyżowanymi rękami i nogami, a nieopodal na kamieniach upiłowany kawał belki. Wokół głowy widać już szczerbatą aureolę krwi, chociaż nie od razu wiadomo, skąd wypłynęła. Z ust? Z rany na twarzy? Jeden z górników kuca przy powalonym mężczyźnie. Naprzeciw niego klęka Jean-Baptiste.

– Slabbart – mówi górnik.

– Poszukaj Guillotina – rozkazuje inżynier. – Sprowadź go tu.

Górnicy wstają, a pozostali rozstępują się przed nim. W ich ruchach widać jeszcze pośpiech, ale bierze się on wyłącznie z ohydnych podniecenia, jakie wzbudza ta chwila. Slabbart oczywiście nie żyje, musiał zginąć na miejscu, w pół kroku, może gdy zaczynał podnosić głowę, bo usłyszał ostrzegawczy krzyk, i wtedy trafiła go belka, obracając nim jak wrzecionem.

– Kto to? – pyta Armand, przepychając się między górnymi.

– Slabbart – odpowiada Jean-Baptiste, a potem spogląda w stronę dachu i tych paru twarzy, które sponad jego krawędzi patrzą w dół.

Wstaje z klęczek. Spodnie na kolanach, poczerwiałe od krwi, przyklejają mu się do skóry. Wychodzi z kościoła. Trochę przygłuchł. Widzi Héloïse, ale nie bardzo słyszy, co ona do niego mówi. Wspina się na rusztowanie – po drabinach, tam gdzie akurat na nie trafia, albo po samym rusztowaniu, gdy nie znajduje drabin. Pnąc się coraz wyżej z brawurowym pośpiechem, kątem oka chwyta widoki ulic za murami cementarza, zawieszane w dziwnym przechyle: wielki furgon skręcający w rue Troufoevache, młodą kobietę w słomkowym kapeluszu, spacerującą pod rękę ze starszą, otwarte drzwi domu przy rue des Lombards... Kiedy dociera na górny pomost rusztowania, niebo staje dęba. Jakby z najgłębszego wykopu na Niewiniątkach wygramolił się na powierzchnię, ciężko dysząc. Widzi przed sobą kilka wstrząśniętych, przerażonych twarzy. Ciała sprężone w gotowości. A tam, na drabince przymocowanej do ściany nad nawą, dwie twarze skamieniałe ze zgrozy z powodu tego, co się stało, zastygłe w wyrazie trwogi i (jak mu się wydaje) skruchy. Podciąga się na parapet i biegnie w ich stronę. Tamci chyba nigdy nie widzieli, żeby ktoś tak biegł po szczycie wąskiego muru pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Uszy już mu się odetkały. Słyszy, że wszyscy krzyczą. Podnoszą zgiełk jak morskie ptaki. Ci dwaj na dachu z półobłąkanymi minami zsuwają się po dachówkach, coraz bliżej brzegu przepaści. I nagle głos Sagnaca wznosi się ponad inne:

– Baratte! Baratte! Zabijesz ich! Zabijesz ich, do diabła!

Majster zapewne ma rację. Tamci dwaj spadną. Ktoś w każdym razie spadnie. Albo

zostanie strącony. Czy tego właśnie chce inżynier? Przystaje i ogląda się za siebie. Sagnac niezdarnie gramoli się ku niemu głęboką rynną między dachem a parapetem. Wysuwa przed siebie dłonie zwrócone wnętrzem w stronę Jean-Baptiste'a, w błagalnym, obronnym geście, jakim próbuje się udobruchać całkowicie nieobliczalnego człowieka.

– To był tylko wypadek – mówi. – Nikt nie miał złych zamiarów. Ale dopilnuję, żeby spotkała ich kara. Za niedbalstwo. Daję ci na to słowo. Dostaną nauczki. – Patrzy na inżyniera, wpatruje się w niego z wyteżonym wzrokiem, a potem dodaje półgłosem: – Na litość, Baratte. Jeden z nich to mój zięć.

Wszystko trochę się uspokoiło, więc Jean-Baptiste nagle czuje, jak praży słońce. Na górze panuje wściekły skwar, żar dwakroć silniejszy, bo odbity od niezdjętych jeszcze dachówek. Inżynier nie widzi ze swojego miejsca, co się dzieje w kościele, tam gdzie zostali górnicy i Slabbart. Zięć majstra i jego kolega tulą się do siebie jak przerażone dzieci. Już go nie interesują. Na ziemi – dalekiej, rozstłonecznionej ziemi – Héloïse i Jeanne stoją w trawie pod kazalniczym krzyżem, widoczne jako dwie drobne sylwetki. Jean-Baptiste kiwa im głową, lekko poruszając ręką, jakby je pozdrawiał, po czym schodzi do rynny.

Czeka na niego u dołu rusztowania i na powitanie wymierza mu cios, dziwnie kobiece uderzenie napiętkiem w bark. Nic przy tym nie mówi. Zaraz potem odchodzi z rękami ciasno założonymi na piersiach. On wraca do kościoła. Przeszedł tam już Guillotin. Slabbarta przewrócono na plecy. Rana (cieknąca szpara długości męskiego palca serdecznego) jest prawie w tym samym miejscu, w które Ziguette trafiła Jean-Baptiste'a mosiężnym liniałem, ale drewno sięgnęło głębiej niż mosiądz, nie tylko do kości, lecz i do ukrytego pod nią miększu, przebijając go. Guillotin uważa, żeby nie wdepnąć w krew. Spogląda na inżyniera, ledwie dostrzegalnie wzruszając ramionami.

– Przynieś koc – mówi Jean-Baptiste do najbliższej stojącego górnika. – Owiń go i zanieś do ostatniej kaplicy.

Wskazuje północno-zachodni narożnik, ten za organami, a potem robi krok do przodu, jakby chciał ukucnąć albo znów uklęknąć przy zabitym, ale kilka par rąk zatrzymuje go, odwraca, naciska, wypycha z kręgu. Jako drugi podchodzi Guillotin i zderza się z tą samą, pełną uszanowania siłą. Potem to samo spotyka Armanda. Krąg się zamyka.

Przez kilka sekund wygnańcy – jeszcze przed chwilą panowie – stoją za górnikami, zakłopotani i milczący, a potem razem wychodzą z kościoła prosto w ostre światło poranka.

– Czy oni mają jakąś wiarę? – pyta Guillotin.

Jean-Baptiste kręci głową. W ustach całkiem mu zaschło, a serce po wspinaczce na rusztowanie wciąż jeszcze łomoce.

– Przy kopalniach był kościół, ale omijali go z daleka – mówi. – Wśród przełożonych panowało przekonanie, że górnicy w nic nie wierzą.

– Nie ma na świecie człowieka, który w nic by nie wierzył – oświadcza Guillotin.

– Muszę się napić – oznajmia Armand.

– Chętnie dotrzymam panu towarzystwa – zgłasza się Guillotin. – Pan też, drogi

inżynierze, koniecznie powinien wypić kieliszek. A jeszcze lepiej dwa lub trzy.

– Jeżeli powiem o tym Lafosse’owi – mówi Jean-Baptiste – każe mi pochować go tutaj.

– Tak jak naszego dawnego przyjaciela – cicho dorzuca Armand.

– A, ma pan na myśli monsieur Lecoeura? – zgaduje Guillotin, patrząc na nich obu sponad haczykowego nosa. – Zastanawiałem się, czy tu został. Jeanne o tym wie?

Inżynier kręci głową, po czym spogląda w stronę dachu kościoła. Co oni robią tam na górze? Siedzą? Gadają? Czekają?

– Nieboszczyka można by zawieźć na cmentarz w Clamart – podsuwa Guillotin. – Trafia tam większość zmarłych, których dawniej pochowano by na Niewiniątkach. To całkiem przyzwoite miejsce. Można też skorzystać z protestanckiego cmentarza w Charenton, jeżeli tak będzie stosowniej.

– Spytam ich – postanawia Jean-Baptiste. – Zrobię, co zechcę.

– Płakałem nad swoimi organami – mówi Armand. – A teraz mam suche oczy. Nie umiem nawet pomyśleć, jakie mi to wystawia świadectwo.

– Nie istnieje żałoba abstrakcyjna – oświadcza lekarz. – Kim on dla pana był? Albo dla kogokolwiek z nas? O, idą kobiety. – Doktor zaciera ręce, uśmiechając się do Jeanne, Héloïse i Lisy Saget, które właśnie nadchodzą. – Już one będą wiedziały, jak postąpić. Intuicja im podpowie.

Intuicja podpowiada kobietom (a przynajmniej Lisie Saget), że trzeba przyrządzić jedzenie. Potrawkę z wołowych ogonów. Dwadzieścia bochenków chleba, w sam raz dość szczerstwiających, żeby dobrze w nie wsiąkał sos. A do tego schłodzone w kostnicach wino.

Kiedy o pierwszej Lisa wali w rondel, ludzi Sagnaca nie ma już na cmentarzu: majster wyprowadził ich po cichu furtą na rue de la Ferronnerie. Górnicy wychodzą gęsiego z kościoła, zachowując się w miarę cywilizowanie. Nic w ich sposobie bycia ani w głosach, kiedy rozmawiają między sobą, nie pozwala sądzić, że coś jest wyraźnie nie w porządku. Biorą swoje miski, łyżki i noże, po czym ustawiają się w kolejce do prowizorycznej kuchni, a stamtąd idą pod kazalnicy krzyż, siadają i jedzą.

– Przepraszam, Jean – mówi Héloïse do Jean-Baptiste’a, stojąc z nim na uboczu, w cieniu domu grabarza. – Napędziłeś mi strachu. Chyba nawet Ragoût nie pobiegłby po takim murze.

– No to ja też cię przepraszam – odpowiada Jean-Baptiste. – Ale żeby w taki sposób stracić człowieka...

– To był wypadek?

– Nigdy nie zdołamy udowodnić, że nie.

– A co z nim zrobicie?

– Ze Slabbartem? Na dzisiejszą noc może zostać w kościele, ale do jutra coś trzeba będzie postanowić. Przy tym upale...

– Miał rodzinę? Żonę? Dzieci?

– Nie wiem. Popytam.

– Można by im dać trochę pieniędzy.

– Pieniędzy!

– Na pewno by im się przydały, Jean. Nie masz nic więcej do ofiarowania.

Długie letnie popołudnie. Cmentarzem i całą dzielnicą owładnął wielki bezruch. Niebo jest wysokie i blade, z kilkoma niewielkimi obłoczkami, a potem słońce osuwa się w stronę rue de la Lingerie i ledwie zanurkuje za szczyty dachów, ukradkiem nadciąga rzeźwiący chłód. Wschodzi tłusty pomarańczowy księżyc. Nadjeżdżają furgony z kamieniołomu. Górnicy, którzy większość popołudnia przesiedzieli u wejść do namiotów, biorą się do pracy bez wyczuwalnej urazy, bez utyskiwań, ale Jean-Baptiste wstrzymuje załadunek, gdy tylko uznaje, że na wozach jest dosyć kości, aby nadzorca z Porte d'Enfer nie robił kwaśnych uwag o obibokach z cmentarza. Księża w sutannach uszarganych u dołu białym pyłem wymaszerowują. Śpiewają nierównymi głosami, bez zapалу. Gdyby im pozostawić swobodę decyzji, mogliby cisnąć wszystkie kości co do jednej w nurt Sekwany. Sierpień w Paryżu nie jest miesiącem pobożności.

Dochodzi jedenasta, kiedy Héloïse, Armand, Lisa i Jean-Baptiste wreszcie opuszczają cmentarz. Guillotin dawno już sobie poszedł, a Jeanne i jej dziadka nie zaproszono: zrobiło się późno, a zresztą w tej sytuacji oczywiście nie ma mowy o żadnym koncercie ani innych uciechach. Armand proponuje, żeby pójść do Palais Royal, usiąść w kącie i upić się jak żołdacy. Sprzeciwia się temu Héloïse. Niezmordowana wesołość Palais byłaby w takiej chwili żenująca. Mogą przecież napić się w domu. Monnardowie zapewne udali się już na spoczynek, w kuchni jest koniak, a na górze butelka okowity. I oczywiście wino. Cienkusz monsieur Monnarda. Czy to nie wystarczy?

Idą zatem do domu. W sieni powietrze jest gęste jak filc, a cały dom ciemny i cichy. Monnardowie rzeczywiście poszli już spać. Marie też, ale chyba wzięła sobie koniak do łóżka, może jako lekarstwo na przeziębienie. Héloïse przynosi okowitę. W salonie Armand napełnia cztery kieliszki do połowy winem, a do wrębu okowitą.

– Teraz może zasmakuje trochę jak wino – mówi. – Za Slabbarta.

Podnoszą kieliszki i upijają po łyku.

– Jak on miał na imię? – pyta Héloïse.

– Joos – mówi Jean-Baptiste.

– Joos – cicho powtarza Héloïse.

– Zagraj nam coś, Armand – prosi Lisa.

Organista kręci głową.

– Muzyka wzbudzi tylko więcej emocji. Lepiej poprzestańmy na tych, które czujemy.

– Mimo to zagraj – nalega kobieta, dotykając jego dłoni i głaszcząc porośnięte rudymi włoskami palce.

Armand wzrusza ramionami, siada na taborecie i przegląda stojące na pulpicie nuty utworów, których signor Bancolari usiłował nauczyć Ziguette Monnard, a potem upuszcza je na podłogę i zaczyna grać z pamięci jakiś powolny motyw.

– Już się zdążył rozstroić – stwierdza. – Wszystko brzmi co najmniej o pół tonu za nisko.

– Brzmi doskonale – uspokaja go Héloïse. – Nie przerywaj, proszę.

Jean-Baptiste podszedł tymczasem do okna i wygląda przez nie, stojąc z założonymi rękami. W pokoju płoną tylko dwie świece, a ponieważ obie postawiono na fortepianie, dobrze widzi, co jest za oknem. Księżyc wzniósł się wysoko i wisi mu niemal wprost nad głową, zmalowały i już nie pomarańczowy. Armand przez kilka minut gra utwór, w którym piękno idzie o lepsze ze smutkiem, zyskując niewielką przewagę.

Kiedy muzyka milknie, Jean-Baptiste mówi:

– Weszli do kościoła.

– Górnicy? – pyta Héloïse.

– Tak.

– Poszli czuwać przy zwłokach – mówi Armand.

– Zapomnij o nich na chwilę – wtrąca Lisa. – Zostaw.

Jean-Baptiste kiwa głową i wraca do reszty towarzystwa, skupionego przy fortepianie.

Armand zaczyna drugi, żywszy utwór.

– Pamiętacie tę sztukę, którą widzieliśmy? – pyta. – O służących i panach? To jest wersja operowa.

Gra uwerturę i dwie lub trzy arie. Jak słusznie przestrzegają, budzą się nowe emocje. Zmienia się nastrój. Ten nowy jest prawie wesoły, choć zarazem znekany i melancholijny, a przy tym sporo zawdzięcza trunkowi. Kiedy Armand kończy grę, kobiety biją brawo. Muzyk dziękuje im ukłonem.

– Wciąż tam są – oznajmia Jean-Baptiste, którego w trakcie ostatniej arii znów zaniósł pod okno. – Pałą światła. Ogień.

Armand wstaje z taboretu i pochodzi do przyjaciela.

– Trudno, żeby stali po ciemku – mówi.

– A co ty o nich wiesz? – cicho pyta Jean-Baptiste.

– O górnikach?

– Tak.

– Ani mniej, ani więcej niż ty. Są tajemniczy jak węgorze.

– Chcę zobaczyć – oświadcza inżynier.

– Zobaczyć? Co zobaczyć?

– Chcę zobaczyć, co oni tam robią – tłumaczy Héloïse. – Niepokoisz się, Jean?

– A jaką mogą wyrządzić szkodę – pyta Lisa – w zrujnowanym kościele w środku nocy?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Jean-Baptiste, biorąc ze stołu kapelusz. – Nie zabawię tam długo.

– Idź z nim – mówi Lisa do Armanda.

– Jak sobie życzysz, moja ty gołąbko – zgadza się organista, przewracając oczami.

Nie ma kapelusza. Wychodzi z pokoju w ślad za inżynierem. Kobiety spoglądają po sobie.

– Kim teraz jesteśmy? – pyta Armand, gdy przystają w cieniu cmentarnej furty. – Szpiegami?

– Cicho – gasi go Jean-Baptiste. – Cicho.

Idą po trawie w stronę kościoła. Po szybach okna nad zachodnimi drzwiami faluje światło. Pod kazalniczym krzyżem znowu przystają, patrząc i nasłuchując. Czy te dźwięki, które słyszą, to ludzkie głosy, ulatujące górą między krokwiami?

– Skoro mamy wejść – szepcze Armand – to wchodźmy, na miłość boską.

Zachodnie drzwi przez cały dzień stały otworem, lecz teraz są zamknięte. Jean-Baptiste naciska klamkę i popycha nabijane ćwiekami deski. On i Armand czterema krokami przebywają przedsionek, dochodząc do drugich drzwi, których zawiasy osłonięte są wystrzępionymi paskami ze skóry. Otwierają je niemal bezszelestnie, ale natychmiast czują – mają pewność – że to, co jeszcze przed chwilą działo się w kościele, teraz ustało. Tuzin świetlnych punkcików wyznacza miejsce w nawie, gdzie górnicy stoją wokół stosu ławek. Inżynier najpierw rozpoznaje Jacques’a Everbouta. Za nim stoi – który to? – Gwahr? Na lewo od niego Dagua, Jorix, Agast. Żaden ani drgnie. Patrzą, z napięciem wpatrują się w nowo przybyłych.

– Czujesz ten zapach? – szepcze Armand.

– Jaki zapach?

– Alkoholu. Wszędzie nim tu cuchnie.

– To etanol – mówi Jean-Baptiste.

Wskazuje skinieniem głowy dwa gąsiory w wiklinowych koszach, które stoją obok siebie przy stosie ławek. Pieczęcie na ich szybkach są złamane.

Wtem ruch... Zza pleców pozostałych górników wychodzi bez mała leniwym krokiem jakiś mężczyzna. Postać w bieli. Biała koszula, białe spodnie, biała chusta na szyi. Podchodzi dość blisko, żeby zacząć rokowania. Stojący za nim górnik trzyma w ręku świecę, więc po kamiennej posadzce aż do stóp inżyniera rozlewa się cień człowieka w bieli. To ten górnik z uciętym palcem. I z fiołkowymi oczami. Tylko jego nie znał Lecoeur. Hoornweder? Lampsins? Jak się zwał, tak się zwał, ale niewątpliwie on tu rządzi.

– Nie chcieliśmy – zaczyna Jean-Baptiste, z trudem dobywając głosu – przeszkadzać. Zobaczyliśmy światło. Byłem...

– To Slabbart? – przerywa mu Armand, wskazując okutany kształt, leżący na szczycie stosu ławek.

Górnik w bieli kiwa głową.

– Zginął dziś nasz brat – oświadcza. – Tej nocy z nim się rozstaniemy.

– Rozstaniecie się? – dziwi się Jean-Baptiste. – Dokąd chcecie go wywieźć?

– Jest tam, gdzie być powinien – odpowiada górnik. – Rozstaniemy się z nim tutaj.

Patrzy na inżyniera, cierpliwie czekając, aż tamten zrozumie, skojarzy: noc, etanol, spowity całunem trup...

– Chcecie go spalić? Tu?

– To miejsce go zabiło – wyjaśnia górnik. – Naszego brata. Nie chcemy mieć z tym gmachem więcej do czynienia.

– Ale jeżeli go tutaj spalicie, spłonie też kościół! – przedkłada Jean-Baptiste. – Możecie spalić całą dzielnicę!

– Spali się tylko kościół – zapewnia górnik. – Reszty będziemy strzegli.  
– Kiedy kościół zapłonie, nikt już nie zapanuje nad ogniem...  
– My wiemy, co to ogień – mówi górnik. – Dobrze się na nim rozumiemy.  
– A Jeanne i jej dziadek?  
– Wyprowadzę ich – wtrąca trzeci głos, który inżynier natychmiast poznaje. To Jan Block.

– Słuchajcie – mówi Jean-Baptiste, rozpaczliwie próbując utrafić w nowy ton, lepszy od tonu niedowierzania. – Dziś zginął wasz brat. Przykro mi z tego powodu. Bardzo przykro. Kamieniarz obiecał ukarać tych, których niedbalstwo stało się przyczyną wypadku. Dał mi na to słowo. Może nawet znajdzie się... jakieś zadośćuczynienie.

– Co zrobi kamieniarz – odpowiada górnik – to już sprawa kamieniarza. Nam nic do tego.

– Ale po co wam to? Po co ryzykujecie, kładąc wszystko na szali?

– Pan też czasem ryzykuje. Zaryzykował pan tamtej nocy, wchodząc do kostnicy za monsieur Lecoeurem, prawda? Przychodząc tu teraz, podjął pan ryzyko.

– Daj im to zrobić – podnieconym szeptem podpowiada Armand. – Nie masz tu żadnej władzy. Nie posłuchają cię. Już nie te czasy.

Górnik odwrócił się od nich i wydaje rozkazy. Mówi teraz we własnym języku, nie podnosząc głosu. Z kaplicy, w której przechowywano etanol, górnicy taszczą kolejne gąsiory. Łamią pieczęcie i chlustają spirytusem na stos ławek. W końcu dwaj wspinają się na sam szczyt i wylewają ostatnie pół gąsiora na spowite całunem ciało. Kiedy są już z powrotem na dole, ten w bieli gestem każe wszystkim się cofnąć. Wygłasza parę zdań (może jest to modlitwa, a może uroczyste pożegnanie), po czym bierze świecę od górnika, który stoi obok niego, podchodzi do ławek, zatrzymuje się, spogląda na inżyniera, sięga po drugą świecę i zbliża się do Jean-Baptiste'a.

– Razem – mówi.

– Co?

– Razem.

– Spalić kościół? Mam przyłożyć do tego rękę?

– Weź tę przeklętą świecę – nagli Armand, sprężony i pochylony, jakby sam gotów był albo nawet chciał wyręczyć Jean-Baptiste'a. – Weź ją, zanim on nas położy na stosie obok tego nieszczęsnego Slabbarta.

W końcu okazuje się to nie takie znów trudne. Jean-Baptiste patrzy górnikowi w oczy, w ich chłodną fiołkową głębię, i nie dostrzega w nich żadnej groźby, niczego złowrogiego. Cóż więc tam widzi? Rozum? Filozofię? Obłąd? A może tylko siebie, własne oczy, ich odbite spojrzenie? Wyciąga rękę po świecę. I gdy już ją trzyma w dłoni, ściska palcami, wszystko nabiera cech rytuału, czegoś przećwiczonego, co samo nieubłaganie układa się w pewną sekwencję. Obaj podchodzą do stosu, wznoszącego się nad nimi na wysokość sześciu, może nawet siedmiu chłopa. Najpierw górnik bierze zamach i rzuca świecę, która ląduje w dwóch trzecich wysokości piramidy. Jean-Baptiste po ostatniej sekundzie wahania rzuca swoją, trafiając nieco niżej. Przez chwilę obie



świece spokojnie płoną i wydaje się, że wkrótce zgasną w kałużach własnego wosku, lecz wpadający przez dziurę w dachu wir nocnego powietrza podsyca ogień, więc niebieskie płomienie buchają z knotów i natychmiast mkną w górę, otaczając koc, którym owinięty jest Slabbart, a potem pędzą z powrotem w dół po śladach spirytusu, aż na kamienną posadzkę i do gąsiorów, te zaś momentalnie wypełnia rój niebieskich płomyków.

Co ja zrobiłem? – myśli Jean-Baptiste. – Co ja najlepszego zrobiłem! Ma jednak zarazem ochotę się roześmiać, bo czuje, że wraz ze zniechęconym kościołem podpalił wszystko, co go w życiu brutalnie lub subtelnie dręczyło: Lafosse’a, ministra, księcia de S., tego szydercę. Swojego ojca. Własną słabość i zagubienie...

Stoją i patrzą. Drewno, od wielu tygodni prażone letnim słońcem, zaczyna trzaskać, strzelając płomieniami. Niekiedy wygląda to, jakby paliło się nawet samo powietrze. Po chwili coś niezbyt głośno wybucha (któryś gąsior?) i górnicy szybko, po cichu wychodzą. Jeszcze nie czas podnosić wrzawę. Pożar trzeba utrzymać w sekrecie, póki kościół nie zajmie się ogniem nie do ugaszenia. To już niedługo.

Armand ściska ramię Jean-Baptiste’a, wyrywając go z rozmarzenia.

– Colbert – mówi.

– Colbert? Przecież nawet nie wiemy, czy tu jest!

– Są pokoje – wyjaśnia Armand – za ołtarzem.

Okrażają płonące ławki, przeskakują strumyki migoczącego spirytusu, przechodzą przez chór i mijają ołtarz. Po prawej jest dwoje drzwi. Pierwsze prowadzą do ciemnej izdebki, którą Armand i Jean-Baptiste szybko przeszukują. Drugie są zamknięte na klucz. Obaj zaczynają się do nich dobijać, wołając księdza po nazwisku. Próbuje wyważyć drzwi, na przemian uderzając w nie barkami i kopiąc.

– Tym! – krzyczy organista, przewracając jedną z drewnianych figur, których nikomu nie chciało się ukraść: topornie wyciosaną Joannę d’Arc, świętą w drewnianej zbroi, trzymającą przed sobą krzyż jak bukiet kwiatów. Biorą rozmach i za drugim razem staranowane posągami drzwi pękają, a za trzecim stają otworem.

– Jest tu, a jakże – mówi Armand, wzdygając się. – Śmierdzi jak w lisiej norze.

Wchodzą, trochę wiedzeni blaskiem ognia, a trochę po omacku. W głębi pokoju kolejne drzwi, także zamknięte na klucz, prowadzą na ulicę. Jean-Baptiste znajduje księdza, wypatrzywszy ledwie widoczny w mroku biały kłęb na łóżku pod boczną ścianą. Colbert skórę ma lepłą, jakby zrosiła ją gorączka lub przewlekły głód, ale nie jest to skóra nieboszczyka. Podnoszą go wspólnymi siłami i taszczą jak worek owsa. Po wyjściu z pokoju widzą, że jest zupełnie nagi. Powieki mu trzepoczą i raptem się otwierają. Ma minę człowieka, który po przebudzeniu stwierdził, że porwały go diabły i spieszenie niosą do pieca.

Kolejny wybuch. Ławki i belki tworzące stos pogrzebowy zaczynają skręcać się w żarze. Slabbarta zasłaniają ściany płomieni, skaczących coraz wyżej w odsłonięte niebo. Chór też częściowo zajął się ogniem, który przewija się teraz przez wąskie drewniane łuki. Armand i Jean-Baptiste dwukrotnie przeskakują szerokie zygzaki ognia, niosąc rozkołysanego księdza. Niechaj Bóg ma ich w opiece, jeżeli górnicy zaryglowali drzwi!

Ale nie, droga wolna. Wybiegają i zataczając się, dopadają namiotów. Nikogo tam nie ma. Upuszczają Colberta na trawę, wycierają w nią ręce i charczą, usiłując wykrztusić dym. Czy podniesiono już alarm? Płomienie wyraźnie widać przez zachodnie okno i z pewnością także przez okna wychodzące na rue Saint-Denis.

Jean-Baptiste rozgląda się za górnikiem ubranym na białą, najpierw jednak dostrzega Blocka. Jan Block w pośpiechu prowadzi Jeanne i Manettię jak najdalej od domu. Inżynier podbiega do nich, po drodze wyciągając z kieszeni klucz do domu Monnardów, po czym wciska go Blockowi w dłoń.

– Zabierz ich na rue de la Lingerie – rozkazuje. – Powiedz wszystkim, których tam zastaniesz, żeby czekali. Ty też tam zaczekaj. Gdyby ogień zanadto się zbliżył, zaprowadź ich nad rzekę. Rozumiesz?

Block kiwa głową.

– Pan też musi z nami pójść! – mówi Jeanne.

– Niedługo przyjdę – obiecuje Jean-Baptiste. – A teraz już idźcie.

Dziewczyna wyciąga ku niemu palec. Inżynier na sekundę ściska je w dłoni.

– Wybacz – mamrocze, chociaż nie jest pewien, czy ona go słyszy.

Patrzy, jak odchodzą: górnik, starzec, ciężarna dziewczyna. Wpatruje się w oddalające się plecy wszystkich trojga, widząc kruchość ich malejących sylwetek. Myśli, że ta scena przypomina początek i koniec każdej historii, jaką kiedykolwiek opowiedziano.

Jak dawno górnicy rzucili pochodnie? Dziesięć minut temu? Pół godziny? Ogień płonie z niesamowitym hukiem, w którym słychać jęk, werble i syk. Jakie odkrył w kościele paliwo? Jakież zastoiny łatwopalnych atmosfer nagromadziły się przez lata w kryptach, tylko czekając, aż spadnie w nie iskra? Flogiston! Utajony w każdej rzeczy płomień budzi się i wyzwala! W zachodnim oknie zaczynają pękać romby szyb: najpierw pojedyncze strzały, a potem kanonada.

I wreszcie dzwon! Nagłące, nierówne bicie dzwonu. Z Saint-Josse? Z Saint-Merri? Jean-Baptiste pędzi do furty wychodzącej na rue aux Fers i wybiega na ulicę. Napotyka tam mnóstwo ludzi, którzy nie potrzebowali ostrzeżenia dzwonu. Kłębą się, ubrani jak do snu. Jedni krzyczą, drudzy w milczeniu wykrzywają twarze, patrząc na kościół, a jeszcze inni sprawiają wrażenie uradowanych jak w karnawale. Inżynier przeciska się przez kołyszący nim tłum. Przydałoby się być trochę wyższym, ale i tak dostrzega górnika w białym ubraniu, który stoi na obrzeżu włoskiej fontanny i jedną ręką opiera się o głowę kamiennego trytona, a drugą gestykułuje, dyrygując swoimi towarzyszami, braćmi. Ci niekiedy spoglądają na niego jak muzycy na kapelmistrza, choć najwidoczniej sami wiedzą, co mają robić. Odpychają tłum, tworząc kordon między nim a cmentarnym murem. Niektórzy trzymają w dłoniach bosaki własnej roboty, gotowi ściągać nimi płonące szczątki. Nie ma w tych przygotowaniach nic przypadkowego. Panuje doskonała dyscyplina. „Wiemy, co to ogień – powiedział górnik. – Dobrze się na nim rozumiemy”. Czy to pierwszy, drugi, a może trzeci kościół, jaki palą? I co jeszcze spalili? Jakąś fabrykę? Pałac?

Podświetlony od dołu dym wylewa się przez dach kościoła brudnopomarańczową

rzeką. Jean-Baptiste podąża za nim wzrokiem w górę, widząc, że chmura dymu kłoni się ku zachodowi... Wschodni wiatr! Niezbyt silny, ale chyba wystarczający. Gdyby powiało od zachodu, płomienie z łatwością przeskoczyłyby rue Saint-Denis. Za to przy wietrze wschodnim (jeśli ten nie zmieni kierunku) ogień ma przed sobą jedynie cmentarz. Cmentarz i kostnice. No i oczywiście rue de la Lingerie, lecz tak daleko na pewno nie sięgnie. A jeżeli zapędzi się aż tam? Czy można zaufać Blockowi, że zrobi, co trzeba? Inżynier ma większe zaufanie do Héloïse i do Lisy. Nie wyobraża sobie katastrofy, której te dwie kobiety by nie sprostaly.

Rozgląda się za Armandem, lecz obok w tłumie nie Armand, tylko jakiś obcy mężczyzna wskazuje palcem niebo, na którym iskry wielkości gołębi wzlatają ponad dachówki. Nie, to naprawdę gołębie! Gołębie, turkawki czy inne oślepięone stworzenia, które do ostatniej chwili czepiały się swoich grzęd, a teraz, spłoszone i płonące, nieudolnie próbują uciec.

– Ludzkie dusze! – krzyczy nieznajomy. – Ludzkie dusze! – powtarza i jakby w przypiływie ekstazy ściska ramię Jean-Baptiste’a.

Ten wyrywa mu się i łokciami toruje sobie drogę do pierwszego szeregu, a potem przepycha się między dwoma górnikami (są to Gwahr i Gvalt – w ich oczach może jeszcze nie utracił resztek autorytetu, prestiżu). Wbiega w otwartą furkę, nawołując Armanda. Biegnie, krzycząc coraz ochryplej, i w końcu słyszy odpowiedź z okolic domu grabarza. Widocznie tam też podłożyli ogień. Z dachówek już się dymi, a w jednym z okien na piętrze drży odbłask płomieni. Armand nadbiega stamtąd truchtem. W rudych włosach ma światło. Pokazuje trzymany oburącz łup: połyskującą butelkę z zielonego szkła.

– Wiedziałem, że jeszcze jedna tam została – mówi, a potem urywa, żeby wykasłać dym z płuc. – Chociaż gdybym musiał dłużej jej szukać...

Z trudem wyciąga korek i miłośnie pociąga długi haust.

– Partia przeszłości – mówi. Ociera usta i podaje butelkę Jean-Baptiste’owi.

Ten bierze ją i upija łyk, po czym jej szyjką wskazuje coś ponad ramieniem Armanda.

– Trawa się pali – stwierdza.

To prawda. Między kościołem a kazalnicy widać setki płonących źdźbeł, a ich czubki wyglądają jak delikatne kwiatki, które rozkwitają ledwie na parę sekund. Jest to zaskakująco piękny widok. Trudno się od niego oderwać.

W strefie cienia za plecami inżyniera i organisty stary ksiądz, nagi jak robak, zanosi się wyciem.

Jakiś mężczyzna – ani młody, ani stary – siedzi w którymś z przedpokojów w jednym ze skrzydeł pałacu wersalskiego. Towarzyszą mu tylko własne czarne odbicia w kosmatej zieleni luster. Tym razem w wąskim fotelu naprzeciw niego nie siedzi żaden wytworny nieznajomy. Ale znów mamy październik i to już stwarza wystarczającą symetrię.

Drzwi gabinetu ministra w końcu przedpokoju są zamknięte (pod tym względem także zachowana jest symetria). Jeśli żaden żółtooki sługa nie wyjdzie z nich, żeby go wpuścić, petent za jakiś czas podejdzie i zapuka albo zaskrobie, po czym wręczy sprawozdanie, które trzyma na kolanach: trzydzieści starannie zapisanych, związanych wstążką kartek. Pomieścił na nich (z wieloma koniecznymi przemilczeniami) szczegółową historię zniszczenia kościoła i cmentarza les Saints-Innocents.

Wygląda kantem dłoni okładkę sprawozdania, ścierając z niej urojoną nieczystość – może popiół drobny jak kurz. Bardzo to pouczające, ile można zawrzeć w dokumencie, który sprawia nie mniej beznamienne, niewinne wrażenie niż złożona w kilkoro serwetka! Rok pełen kości, ziemi z grobów, niezmordowanej pracy. Zmumifikowanych trupów i śpiewających księży. Rok, jakiego nigdy wcześniej nie przeżył. Czy jeszcze kiedyś taki przeżyje? Rok pod znakiem gwałtu, samobójstwa, nagłej śmierci. A także przyjaźni. Pożądania. Miłości...

Pożarowi, który położył temu wszystkiemu kres, poświęcił pięć ostatnich stron sprawozdania i gdy przyszło co do czego, napisać je nie było aż tak trudno, jak się obawiał. Szczypta kłamstw na temat tego, jak i kiedy dowiedział się o pożarze, oraz jakieś pozorowane domysły co do jego przyczyny. Potem krótka relacja z samej pożogi, która trwała aż do świtu i najdokładniej, jak można sobie wyobrazić, zniszczyła kościół, a wraz z nim dom grabarza, strawiła też kostnice (z wyjątkiem zachodniej), uszkodziła dwa domy na rue Saint-Denis i jeden przy rue de la Ferronnerie, ale szkody te są do naprawienia. Nie było potrzeby (cóż to bowiem mogło obchodzić ministra?) napomykać, że źdźbła trawy przypominały nazajutrz łodyżki z czarnego szkła i pękały pod butami, że kazalnicy krzyż wyrastał z pogorzeliśka jak szerniała ręka, że dym wisiał nad całą dzielnicą przez dwa dni, dopóki nie rozproszyła go potężna ulewa, ani że doktor Guillotin uznał starego księdza za obłąkanego i sam zawiózł go dorożką do przytułku Salpêtrière.

O górnikach wystarczyło napisać, że dzięki swojej czujności i odwadze ocalili przed ogniem wiele posiadłości, a po pożarze z godnym podziwu oddaniem pracowali przy oczyszczaniu placu. Przez pięć tygodni burzyli to, co oparło się płomieniom, i w miarę możliwości wyplątywali każdą kość spośród spalonych szczątków innego pochodzenia, na pozór do niej podobnych... Do kamieniołomu wysłano jeszcze dziewiętnaście konwojów, zanim niżej podpisany kierownik robót obwieścił, że to, czego dotychczas nie wywieziono, może zostać na miejscu i wejść w skład podłoża gruzowego, które przykryje świeżym brukiem majster Sagnac, jemu to bowiem powierzono zadanie dokonania

ostatecznej przemiany dawnego cmentarza w nowe targowisko – Marché des Innocents...

Tak właśnie postanowiono i rozkazano. Nowy rynek na placu po niegdyś ludożerczej ziemi cmentarnej! Pospieszna krzątająca przekupniów i głośnie zachwalanie towarów tam, gdzie dawniej słychać było jedynie kościelny dzwon i głuchy stukot łopaty grabarza. Jeanne też będzie miała stragan. Takie wyraziła życzenie. Chce sprzedawać kwiaty, suszone kwiaty i zioła, chociaż najpierw musi się uwolnić od tego kształtnego brzemienia, które wypycha jej brzuch, aż spódnice przestały sięgać podłogi. Guillotin obstaje przy obietnicy, że odbierze poród. Często odwiedza Jeanne, a potem z sympatią opowiada dowcipne anegdoty o domowym życiu w mieszkaniu na rue Aubri Boucher – o rozmarzonej dziewczynie, starym kopaczu grobów i górniku. Z najnowszego odcinka Jean-Baptiste, Héloïse, Armand i Lisa dowiedzieli się, że Jan Block zbudował kołyskę: łóżeczko na biegunach w kształcie półksiężyca, zdaniem doktora wykonane z najwyższą finezją. W nogach górnik wyrzeźbił różę, a na wezglowiu ptaszka podobnego do wróbla.

Pozostali, czyli bracia Blocka, znikli mniej więcej przed dwoma tygodniami, chociaż nie wiadomo, dokąd odeszli. Jean-Baptiste po raz ostatni rozmawiał z tym, co ma fiołkowe oczy, w ogrodach za Saint-Sepulcre, w których górnicy po pożarze rozbili nowy obóz. Był zmierzch, ostatnie letnie kwiaty (dalej i pelargonie) osnuwała delikatna mgiełka. Inżynier przyniósł wypłatę. Przyjęto ją: górnik zważył sakiewkę w dłoni, zanim nieco mniej niż zazwyczaj oficjalnym tonem powiadomił inżyniera, że przed nadejściem poranka górnicy wyniosą się z ogrodów.

Do Valencienes?

Nie tam.

Ale zostaniecie razem?

Zostaniemy.

No to życzę... Jestem wam wdzięczny. Wam wszystkim.

Skinienie głową.

To wy jesteście Hoornweder?

Lampsins.

A zatem Lampsins.

Moemus.

Moemus?

Sack, Tant, Oste, Slabbart...

Nazajutrz rano w ogrodach nie było nikogo. Tylko zdeptana trawa świadczyła, że ktoś w nich się w ogóle zatrzymał. Inżyniera dziwnie niepokoi świadomość, że górników już tam nie ma, tam ani nigdzie w pobliżu. Héloïse wymawia mu, że zdążył już za nimi zatęsknić, a chociaż on sam śmieje się z niej, no bo jak można tęsknić za takimi ludźmi, w jej słowach jest nieco prawdy. Polegał na nich, byli dla niego mocnym oparciem. Łączyli w sobie rzetelność ze skłonnością do anarchii i gdyby nie ta szczególna mieszanka, kto wie, czy na rue Saint-Denis wciąż nie padałby cień Niewiniątek?

Któż zresztą nie był mu oparciem? Kto nie pomagał dźwigać brzemienia? Przecież nie zdołałby sporządzić nawet sprawozdania, gdyby Héloïse nie siedziała obok niego przy

stole w jego dawnym pokoju, pomagając mu pisać stronę za stroną. Ilekroć potrzebował jednego z tych słów, których jeszcze nie zdołał odzyskać, znajdowała mu je, a w razie konieczności pisała, żeby mógł skopiować litera po literze (ją nauczył liter lubieżny klecha, a jemu wbili alfabet różgą do głowy bracia oratorianie). Oboje byli tym zajęci przez trzy dni, podczas gdy w otwarte okno wlewał się upał schyłku września, a nad miastem przetaczały się suche grzmoty. Kiedy sprawozdanie było gotowe, rozeszli się i zaczęli pakować manatki. On zaledwie w godzinę ułożył swoje rzeczy w kufrze. Kobieta potrzebowała dwóch godzin, żeby pozbierać książki i kapelusze, szpilki, kapcie i wstążki, choć może uporałaby się z tym szybciej, gdyby na łóżku nie siedziała zapłakana Marie, którą Héloïse co kwadrans musiała pocieszać, że po powrocie Ziguette wcale nie będzie tak strasznie.

Nie zamierza spotykać się z Ziguette Monnard, chyba że zmuszą go do tego okoliczności. Oczywiście ona też raczej nie zapragnie go widzieć, bo i cóż mieliby sobie do powiedzenia? Zresztą w domu spodziewają jej się dopiero z końcem września, a on będzie już wtedy z Héloïse w Bellême, później zaś w ich nowym mieszkaniu na rue des Ecouffes.

A co potem? Co? Cmentarz coś mu odebrał, wysał z niego żywotne siły, które Jean-Baptiste będzie musiał odzyskać, zanim zrobi następny krok. Przez jakiś czas powinien naśladować umarłych; albo jeszcze lepiej te nasiona, które tak długo spały spokojnym snem w cmentarnej ziemi. Gdy zaś będzie gotów (i gdy rozejdą się uskładane liwry tudzież złote luidory od ministra), może odwiedzi Perroneta, swojego dawnego nauczyciela, i poprosi o jakąś przyzwoitą pracę, niewielkie zadanie – takie, żeby przy jego wykonywaniu nie musiał słuchać poleceń ludzi, których ani on sam nie szanuje, ani oni jego...

Spogląda ku drzwiom gabinetu ministra. Dziwne, że nie wszystkie zamknięte drzwi wyglądają tak samo; są na swój sposób równie wymowne jak ludzkie plecy. Te akurat mówią mu, że choćby siedział przed nimi do końca świata, nie staną otworem, dopóki sam ich nie otworzy. Wstaje, odgarnia za ucho kosmyk włosów, wkłada pod jedną pachę kapelusz, a pod drugą sprawozdanie, podchodzi do drzwi, dwa razy w nie puka, przez chwilę nasłuchuje, po czym ujmuje ręką zimny mosiądz zakrzywionej klamki. Gabinet jest pusty. Oczywiście, że jest pusty. Owszem, stoi w nim biurko, to samo wielkie biurko, lecz na blacie nie leżą żadne papiery ani okruszki ciastka, a w fotelu nie siedzi minister. Czy ktoś tam w ogóle zaglądał w ciągu ostatnich paru tygodni? Miesiący? Jean-Baptiste starannie układa sprawozdanie pośrodku blatu biurka, zamyka za sobą drzwi, wychodzi przez przedpokój na korytarz, skręca, schodzi po kilkunastu stopniach, przemierza drugi korytarz, znów rusza schodami w dół i wchodząc do jeszcze jednego szerokiego, słabo oświetlonego holu z wieloma drzwiami po bokach, uświadamia sobie, że podąża krok w krok trasą z zeszłej jesieni, powtórzył wszystkie zeszłoroczne omyłki, zdołał jakoś odnaleźć w pamięci wszystkie chybione decyzje, które pozwoliły mu dokładnie w ten sam sposób zabłądzić. Za tymi drzwiami polscy szlagoni rznąli w karcięta. Przez te zaś widział kobietę, którą niesiono jak łódź. A oto wąskie i kręte schodki dla służby, którymi

przed rokiem zszedł piętro niżej, aby zastać tam żołnierzy, praczki i chłopców w niebieskich liberiach. Dziś jest sam, tylko na ławie śpią dwa pieski.

Otwiera drzwi do oranżerii, z której wyniesiono już drzewka cytrynowe. Zostało tylko kilka pustych donic z terakoty (dość dużych, żeby w każdej mógł się schować mężczyzna) i trochę zwiniętej w belę otuliny, a na kołkach wbitych w ścianę wiszą rzędem grabie, motyki i szpadle... Podchodzi do okna, chwilę mocuje się ze spęczniałą od wilgoci ramą, wdrapuje się na parapet, staje na becze z deszczówką i zeskakuje.

W pałacu za jego plecami zegary dopiero za pewien czas wybiją godzinę, ale ścieżka ściele mu się pod stopy równie usłużnie jak przed rokiem, prowadząc do altany, ławki i pochylonego nad nią kupidyna. Siada. Czemu nie? Popołudnie jest w miarę ciepłe, a on nie spodziewa się często gościć w pałacu wersalskim. Cień posążku kładzie mu się na kolanach ciemną smugą. Inżynier zamyka oczy i oddycha, muśnięty przelotnym, lecz jak najbardziej przekonującym poczuciem wiekuistości tej chwili. Zasnął? Przylatują ptaszki, żeby go zbudzić. Gromadzą się wokół jego stóp, ale nie ma czym ich nakarmić. Coraz bardziej się zbliżają, jakby chciały wskoczyć mu na dłonie; wtem słychać tupot buciorów: ktoś nadbiega alejką, więc ptaszki się rozpierzchają. Jakiś mężczyzna zatrzymuje się przy altanie, spogląda na Jean-Baptiste'a znad krawędzi chusty, która zasłania mu nos i usta, wypowiada stłumionym głosem kilka niezrozumiałych słów i biegnie dalej. Po paru sekundach nadbiega drugi, także zamaskowany i w takim samym pośpiechu. A potem trzeci, dla odmiany w skórzanym kapturze, zakończonym czymś na kształt spiczastego ryja. Nosili takie dawniej przeszukiwacze domów podczas zarazy. Kiedy przebiega czwarty, Jean-Baptiste wstaje i rusza śladem ich wszystkich, jakby podążał za pszczołami do ula. Ilekroć ścieżka się rozwidła, a on nie wie, którądy dalej pójść, musi tylko chwilkę poczekać, bo zaraz mija go kolejny biegacz. Bawi się tak przez dwadzieścia minut, przemierzając z częstymi postojami labirynt wysokich żywopłotów, aż dociera do bramy w ceglany murze, za którą rozpościera się wysypany piaskiem dziedziniec. Widoczna po jego drugiej stronie kamienna budowla mogłaby służyć za wozownię dla co wykwinniejszych pojazdów, tych zaś w Wersalu jest mnóstwo.

Stoi tyłem do muru i patrzy. Zamaskowani mężczyźni znikają w otwartych wierzejach domniemanej wozowni. Co pewien czas któryś z niej wybiega, opiera się o ścianę i ciężko dyszy, zanim powlecze się z powrotem do środka. Jeden (chłopiec w niebieskiej liberii) podchodzi chwiejnym krokiem do koryta dla koni, zdiera z twarzy chustę i wymiotuje.

Niewątpliwie pora już sobie pójść. Równie niewątpliwie jest to, że nie sposób odejść, nie przekonawszy się, co skrywa kamienny budynek. Jean-Baptiste chyłkiem, po łuku zbliża się do wrót i wchodzi w panujący za nimi półmrok. Pośrodku wozowni kłębią się cienie: to mężczyźni o zasłoniętych twarzach ciągną za sznury. Cztery brygady, cztery grube liny. Uwiązane drugim końcem do jakiegoś szarego, samotnego ogromu. Przy każdym szarpnięciu za linę szary masyw kołysze się i słychać dźwięk jakby stu dzwoneczków. Tę pracę, to dźwiganie nadzoruje człowiek stojący na odwróconym do góry dnem wiadrze. Nie widzi Jean-Baptiste'a, dopóki inżynier nie podkradnie się dość

blisko, żeby wreszcie pojąć, co ci ludzie usiłują podnieść, czym jest to ciężkie, pośmiertnie opuchnięte brzemie, spoczywające w gnieździe z pustych butelek po winie: dostrzega mętne oko wielkości talerza do zupy, delikatnie żyłkowaną krawędź ucha, krzywiznę żółtego kła... I wtedy nadzorca zaczyna na niego wrzeszczeć, aż mu się przy każdym wydechu wzdyma zasłaniająca usta tkanina. Wskazuje zwisający koniec najbliższego powroza. Wymachuje rękami: rozpacz uzewnętrzniona jako furia. Jean-Baptiste patrzy na niego przez kilka sekund, czując okropną braterską litość, okropną braterską odrazę. A potem odwraca się, zgarnia muchy z twarzy i spieszy w stronę tej miękkiej linii na progu wozowni, gdzie zaczyna się światło.



## *Od autora*

Książka ta jest dziełem wyobraźni, łączącym autentyczne fakty ze zmyśleniami, chociaż kościół i cmentarz Niewiniątek niewątpliwie istniały i są w niej dość wiernie opisane. Dziś oczywiście po cmentarzu nie ma już ani śladu, pominąwszy placyk otoczony restauracjami i barami szybkiej obsługi, położony nieopodal podziemnego centrum handlowego les Halles. Starą włoską fontannę przeniesiono w XIX wieku na środek tego placu. Dziś służy ona za punkt spotkań, a także miejsce, gdzie znużeni zakupami klienci sklepów mogą usiąść i odpocząć. Kości z cmentarza Niewiniątek można oglądać w paryskich katakumbach. W późniejszych latach dołożono do nich szkielety pochodzące z innych cmentarzy: niezliczone szczątki ludzkie poukładano w długich na wiele tysięcy metrów, głęboko ukrytych pod ruchliwymi jezdniami tunelach, w których słychać kapanie wody. Gdy kilka lat po zniszczeniu cmentarza Niewiniątek zapanował terror, ciała jego ofiar też podobno ukryto w starych kamieniołomach. Nad wejściem do katakumb wyryto napis: „Arrête! C’est ici l’Empire de la Mort”.

Targowisko urządzone na miejscu cmentarza – le Marché des Innocents – ostatecznie zamknięto w 1858 roku.

## Przypisy

---

[1] *Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje*, tłum. E. Hartleb, J. Strzelecki, Warszawa 1957 (przyp. tłum.).

[2] „Teraz bowiem widzimy jakby przez zwierciadło i niby w zagadce...” (1 Kor 13, 12, cyt. za wydaniem Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1990). W oryginale powieści zdanie brzmi „Sees through a glass darkly” – w tym kontekście mówienie o zwierciadle niestety nie miało sensu (przyp. tłum.).

[3] J.W. von Goethe, *Cierpienia młodego Wertera*, tłum. F. Mirandola (przyp. tłum.).